

358170

Pamiętniki

Jana Chryzostoma Paska

z czasów panowania

JANA KAZIMIERZA,
MICHAŁA KORYBUTA

i

JANA III.

WYDANE Z RĘKOPISMU

przez

Edwarda Raczyńskiego.

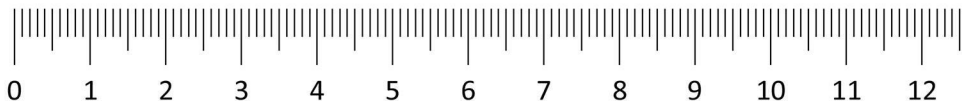
Edycja trzecia.

Rymer

W Poznaniu,

nakładem Ludwika Merzbacha.

1840.



P 112033

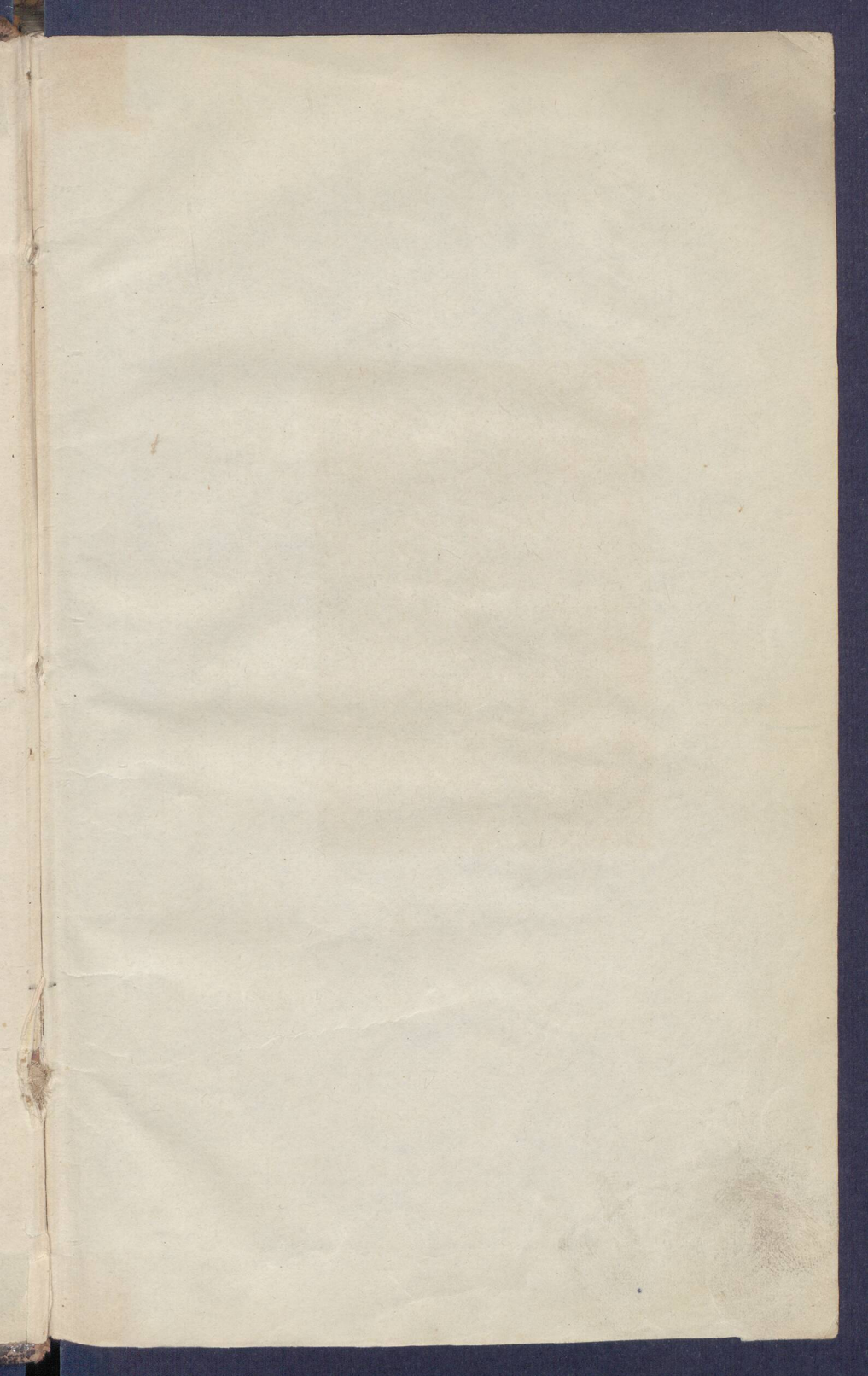
Wypożycza się
tylko do czytelní

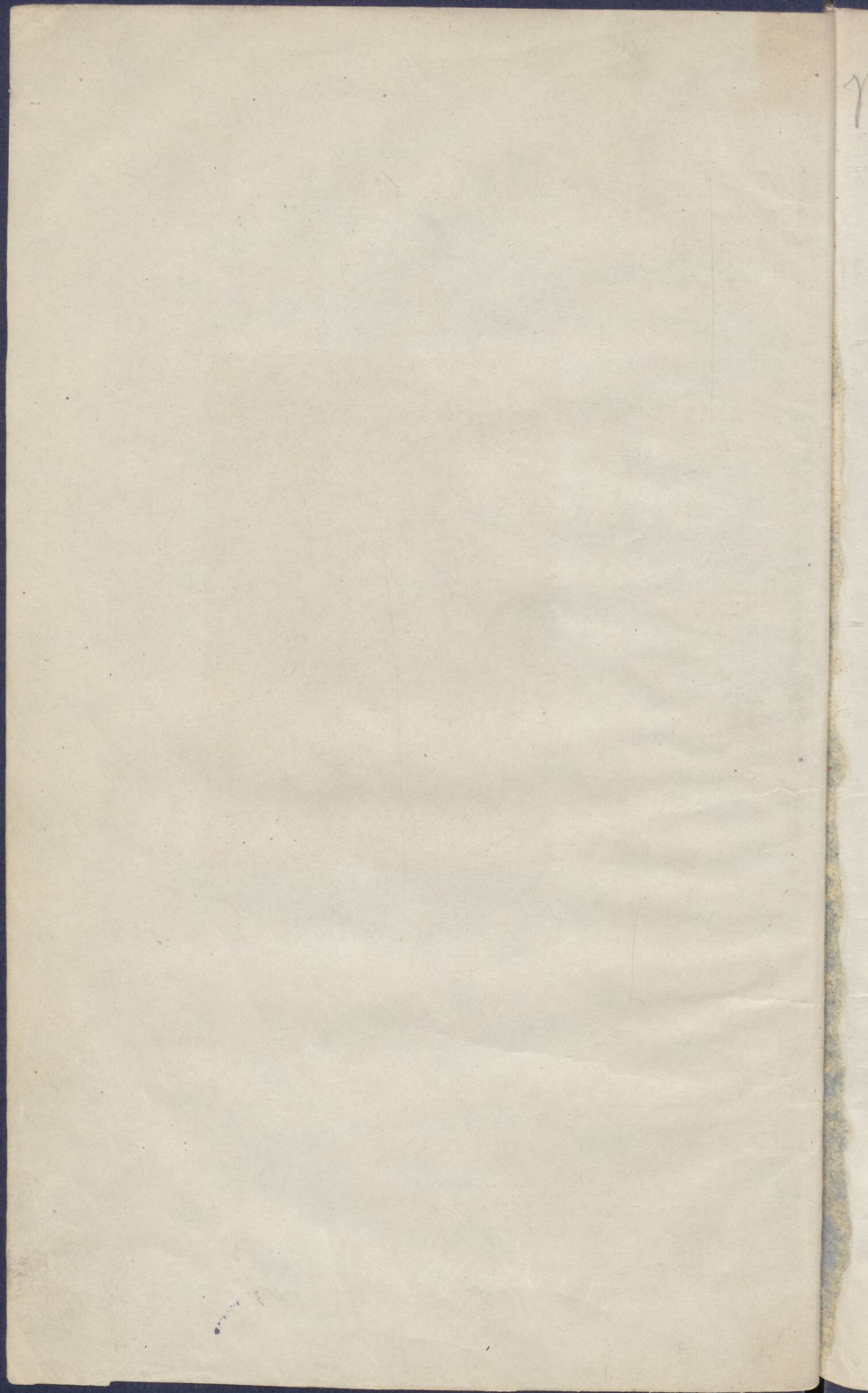


Biblioteka
Dra Jana Rymarkiewicza

— Zgornella —

z Poznania.





358170

Pamiętniki

Jana Chryzostoma Paska

z czasów panowania

JANA KAZIMIERZA,
MICHAŁA KORYBUTA

i

JANA III.

WYDANE Z REKOPISMU

przez

Edwarda Raczyńskiego.

Edycja trzecia.

Rymer

W Poznaniu,

nakładem Ludwika Merzbacha.

1840.

Wydawnictwo

Wydawnictwo

Wydawnictwo

Wydawnictwo

112 033. II



W Poznaniu, czcionkami W. Deckera i Spółki.

1922.16857a

nakładem J. Heinkego

1922

Przedmowa.

Zajęty od kilku lat poszukiwaniem pomników dawniejszej historyi lub literatury naszej, dziś PAMIĘTNIKI JANA CHRYZOSTOMA PASKA na widok publiczny wydaję. Śmiem sobie pochlebiać, że dzieło to uwagę czytelnika zajmie. Pamiętniki Paska, pisane z wielką bezstronnością, uzupełniają historią Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III, podają nam wiele nieznanych z owego wieku szczegółów, a nadto, lubo w rubasznym często stylu, lecz w wydatnych rysach malują obyczaje i domowe życie ojców naszych i pod tym względem zaszczytnie się przed innymi ówczesnymi dziejopisami polskimi odznaczają.

Po takim zaleceniu Pamiętników J. C. Paska, wiedzieć podobno zechce czytelnik, kto on był? Wyznać muszę, że téj ciekawości całkiem zaspokoić nie mogę, i to tylko o nim powiem, co z własnych jego Pamiętników wyczerpnąłem.

Urodził się Pasek w stanie ślacheckim w okolicy Rawy, a nauki w témże mieście odbywszy w szkołach jezuickich, służył w ojczyntém wojsku pod Czarnieckim przeciw Rakocemu, Szwedom i Moskalom. W nieszczęsnej owój wojnie domowej, którą Jerzy Lubomirski na Polskę ściągnął, Pasek, wierny królowi swemu, obstawał za jego sprawą. Na schyłku panowania Jana Kazimierza porzucił Pasek służbę wojskową, osiadł w województwie rawskiém, został komornikiem ziemskim, znajdował się na rozmaitych sejmach, a na sejmiku rawskim roku 1661. obrany został marszałkiem kola rycerskiego. Później ożenił się z Łącką, wdową, i chodząc dzierzawami, co rok z pszenicą jeździł do Gdańska. Znany był i lubiony od Jana Kazimierza i Jana III. Umarł podobno około roku 1690., gdyż pamiętniki jego kończą się na roku 1688.

Wydawca.

Piąta potrzeba, a prawie téż już ostatnia z Szwedami, pod Trzemesznem, kiedyśmy z samą tylko Czarnieckiego dywizyą, a 2,000 mając z sobą ordy krymskiej, 6,000 Szwedów tych, co się byli z różnych fortec zgromadzili i już się za królem do Prus przebierali z wielkimi dostatkami, których nabyli w Polsce, tak wycieli, jako owo mówią: że ani zwiąściciel kłęski nie został się i jeden, któryby był królowi o zginieniu tego wojska wieść zaniósł; bo który z pobojowiska do lasu albo na błota uciekł, tam od ręki chłopskiej okrutniejszą zginął śmiercią; kogo chłopci nie wytropili, musiał wyjść do wsi albo do miasta, gdzie postaremu zginąć mu przyszło, bo już nigdzie nie było Szwedów. Z wszystkich tedy tych zginionych nie wiem, jeżeliby się który znalazł, który nie miał być exenterowany, a to z téj okazji: zbierając chłopci zdobycz na pobojowisku, nadeszli jednego trupa tłustego z brzuchem okrutnie szablą rozciętym, tak że wnętrzności z niego wyszły; więc że kiszka przecięta była, zobaczyli jeden czerwony złoty; dalej szukając znaleźli więcéj; dopieroż zaczęli innych pruć, a tak znajdowali miejscami złoto, miejscami téż błoto. Nawet i tych, co po lasach żywcem znajdowali, to wprzód koło niego poszukali trzosa, potem brzuch nożem rozerznawszy i kiszki wyjąwszy, a tam nic nie znalazłszy, dopiero: »idźże złodzieju pludraku do domu, kiedy zdobyczy nie masz; daruję cię zdrowiem.« — Bito i po innych miejscach Szwedów znacznie w tym roku. Ale gdzieś nie był, trudno o tém pisać, bo ja przez wszystkie wojny tego trzepaczki Czarnieckiego trzymałem się, i z nim zażywałem czasem okrutnej biedy, czasem téż i roskoszy, gdyż właśnie było wódz manieri owych wielkich wojenników i szczęśliwy; słowem, że po wszystek czas mojej służby w jego dywizyi, nie uciekałem tylko raz, a gonilem, mógłby razy tysiącami rachować. Poprostu wszystka moja służba była pod jego dowództwem i miła bardzo.

Rok 1657.

Roku pańskiego 1657. mieliśmy wojnę węgierską, na którą były zaciągi nowe, między którymi zaciągał téż Filip

Piekarski, krewny mój, z której przyczyny i ja tam pojechałem. Złodziej Węgrzyn, szalony Rakocy, świerzbiała go skóra, tęskno go było z pokojem, zachciało mu się polskiego czosnku, który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego niżli węgierski smaku.

Jako Xerxes podniósł przeciwko Grecyi wojnę, tak i pan Rakocy podobną szczęśliwością we czterdzieści tysięcy Węgrów z Multanami, Kozaków zaciągnawszy drugie tyle, wybrał się na czosnek do Polski, aleć dano mu nie tylko czosnku, ale i dzięglu z kminem. Bo jak on tylko wyszedł za granicę, zaraz Lubomirski Jerzy poszedł w jego ziemię, palił, ścinał, gdzie tylko zasiągnął, wodę a ziemię zostawując. Potem od matki Rakociego wielki okup wziąwszy, wyszedł synowi perswadować, żeby nie wszystkiego czosnku zjadał, i przynajmniej na rozmnożenie zostawił. A my też już z Czarnieckim posługiwali jakeśmy umieli; i tak szczęśliwie najadł się czosnku, że wszystko wojsko zgubił, sam się w nasze ręce dostał; potem uczyniwszy targ o swoją skórę, pozwolił miliony, i uprosiwszy sobie zdrowie, jako Żyd do granicy, w bardzo małym poczcie, udał się, kilku tylko wielmożnych hrabiów zostawując w zastaw umówionego okupu, którzy zrazu wino pili, na srebro jadałi w Łancucie; jak zaś nie było widać okupu, pijali wodę, drwa do kuchni rąbali i nosili, i w tej nędzy żywot kończyli. Okup przepadł, on też sam (Rakocy) nigdzie nie mając oka wesołego, bo gdzie się obrócił, wszędzie płacz i przekleństwo słyszał od synów, mężów, braci, których na wojnie polskiej pogubił, wpadł w desperacyą i umarł. Otóż masz czosnek!

Kiedy na tę wojnę wyjeżdżał Rakocy, pożegnawszy się z matką, wsiadł na konia; w oczach jej padł koń pod nim. Kiedy mu matka perswadowała, żeby zaniechał tej wojny, mówiąc, że to znak jest nie dobry, odpowiedział, że to nogi końskie złe, ale nie znak. Przesiadł się, tedy na innego; aż tu załamał się pod nim most i znowu spadł z konia; na to powiedział, że dyl był zły. Jak to przecie przepowiedzenia te zwyczajnie rade się sprawdzają!

Rok 1658.

Roku pańskiego 1658. król z jednym wojskiem pod Toruniem, drugie wojsko w Ukrainie, jedna zaś dywizya z panem Czarnieckim. Pod Drahimem staliśmy przez miesiąc trzy. Na końcu Sierpnia poszliśmy do Danii, na pomoc królowi duńskiemu, który uczynił dywersyą wojny szwedzkiej u nas w Polsce; nie tak ci to on podobno uczynił z politowania nad nami, lubo ten naród jest od dawna przychylny narodowi polskiemu, jako dawne świadczą pisma, ale przecie mając wrodzoną przeciwko Szwedom nienawiść i owe zawzięte w sąsiedztwie nieprzyjaźnie, chwycił się sposobności, za którą mógł się krzywd swoich wtenczas, kiedy król szwedzki był zabawną wojną w Polsce, pomścić. Wpadł mu z wojskiem w państwo, bił, ścinał i zabijał. Gustaw, wojennik wielki i szczęśliwy, powróciwszy z Polski i niektóre fortece w Prusiech osadziwszy, potężnie przycisnął Duńczyków, tak, że i swoje od nich odebrał i państwo ich prawie wszystko opanował. Duńczyk tedy koloryzując rzecz swoją, że to właśnie z miłości ku narodowi naszemu uczynił, że pakta złamał i wojnę przeciwko Szwedom podniósł, prosi o sukurs Polaków, prosił też i cesarza. Cesarz wymówił się paktami, które miał z Szwedem, i że z téj przyczyny posłać posiłków nie może. Druga wymówka była, że wojska natenczas nie miał, pozwoliwszy królowi polskiemu zaciągnąć wszystko na jego usługę. Król tedy nasz posyła Czarnieckiego z sześciu tysięcy wojska naszego. Posyła też, wprawdzie z swego ramienia, generała Montekukulego z wojskiem cesarskim. Tam kazano nam iść kommonikiem; Wilhelm zaś, elektor brandenburski, był w osobie króla polskiego, i onto był nad temi wojskami niejako naczelnikiem. Zostawiliśmy tedy tabory nasze w Czaplunku, mając nadzieję powrócić do nich najwięcej za pół roku.

Tam kiedyśmy wychodzili, było bardzo wiele i różnych namysłań w ludziach wojskowych. Trwożyło to nie jednego, że to iść za morze, iść tam, gdzie noga polska nigdy nie postąpiła, iść z sześciu tysięcy wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi, do jego własnego państwa, które-

x. J. J. : jasnio, - bez wzrostu z prowadzeniem

gośmy potęgi w ojczyźnie naszej wszystkimi siłami nie mogli wytrzymywać. A jeszcze też nie było udecydowaniem, żeby wojsko cesarskie miało z nami pójść. Ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać; bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mię miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imię boskie wzięwszy na pomoc, tém się najmniej nie trwożył, ale szedł śmiecie tam, gdzie jest wola wodza, pod błogosławieństwem ojcowskiem i macierzyńskiem, obiecując gorąco majestatu boskiego błagać i upewniając mię, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli bożej. Gdyśmy tedy poszli do Międzyrzecza, już na granicy uchodziło siła kompanij i czeladź nazad do Polski, osobliwie Wielkopolaczków, z pod tych nowo-zaciągniętych powiatowych chorągwi, jakoto: starosty osieckiego, półku wojewody podlaskiego, Opalińskiego. Chorągiew Kozubskiego wszystka się rozjechała, sam tylko z chorążym i z jednym towarzyszem z nami poszedł. Wojewody sandomierskiego, Zamojskiego, chorągwi huzarskiej została wszystka kompania, prawdziwiej, pouciekała, tylko przy chorągwi sześciu towarzyszów i namiestnik zostawszy; poszli przecie z nami i włączyli się tak przy wojsku; zwaśliśmy ich cyganami, że to w czerwonych szatach była czeladź. Z pod inszych chorągwi zostało po dwóch, po trzech. Tak oni tchórzowie i dobrym pacholkom serce byli zepsuli, że nie jeden wodził się myślami. Wchodząc tedy za granicę, każdy według swojej intencji swoje Bogu złożył słuby; zaśpiewało wojsko polskim trybem: *O gloriosa Domina*; konie zaś po wszystkich półkach uczyniły okrutne parskanie, prawie aż serca przyrastało, i wszyscy to osądzili za znak dobry, jakoż i tak się stało. Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzecza; przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było jeszcze granicę polską i miasta. Jaki taki obejrzawszy się, pomyślił sobie: »miła ojczyzno! czy cię też już więcej oglądać będę!« Jakaś tęskność ogarniała zrazu, póki blisko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jakby ręką odiał; a dalej poszedłszy, już się i o Polsce zapomniało. Przyjęli nas tedy Prusacy dosyć uprzejmie, wysławszy kommissarzów swoich jeszcze

za Odrę. Pierwszy tedy prowiant dano nam pod Kiestrzynem, i tak dawano wszędy, pókiśmy elektorskiego państwa nie przeszli, i przyznać to musimy, że dobrym porządkiem; bo już było takie urządzenie, żeby noclegi były rozpisane przez całe jego państwo, i już na noclegi zwożono prowianty. Postanowiona też była w wojsku naszym maniera niemiecka, że przechodząc miasta, oficerowie z szablami dobytymi przed chorągwiami jechali, towarzystwo zaś pistolety, czeladź *bandolety* do góry trzymając. Karanie zaś było za przekroczenia już nie ścinać, ani rozstrzelać, ale za nogi u konia uwiązawszy, włóczyć po majdanie, tak we wszystkiém, jako na uczynku złapano według dekretu, albo też dwa lub trzy razy na koło; zdało się to zrazu, że to nie wielkie rzeczy, ale okrutna to jest męka, bo nietylko suknia, ale i ciało tak opada, że same tylko zostają kości.

Ruszyło się potem wojsko do Nibołu, ztamtąd do Apenradę, ztąd znowu poszliśmy na zimowisko do Haderschlewen, gdzie wojewoda sam stanął z jednym tylko półkiem naszym królewskim i półkiem jego dragonii, inne zaś półki w Kolbryku, w Horsenz i po inszych wsiach i miasteczkach; a lubo głębiej miało iść wojsko w duńskie królestwo, uważał to jednak dowódzca, żeby stanąć na zimę jako najbliżej z tej przyczyny, aby przecie więcej jeść chleba szwedzkiego niż duńskiego. Jakoż tak było, bo przez całą zimę czaty nasze do tamtych wiosek wybiegały, mszcząc się na nich krzywd naszego narodu. Opisaćby siła było, co tam z nimi robili czatownicy nasi, stawiając sobie przed oczy świeże od nich krzywdy w ojczyźnie swojej. Prowadzono z czat wszelakich prowiantów wielką obfitość, także bydła i owiec; wołu dobrego dostał kupić za bity talar i dwie marki duńskie; miodów praśnych wielką wieziono obfitość, bo po polach lada gdzie przestronne pasieki, a wszędzie pszczoły w słomianych pudełkach, nie w ulach; ryb wszelkiego rodzaju podostatkiem, chleba siła, wińsko złe, ale zaś miody dobre; drew o male, bo ziemię rznęta a suszoną palą, z której węgle są takie jak z drew dębowych, i nie mogą być foremniejsze; jeleni, zajęcy, sarn nad miarę i nie bardzo płocze, bo się nie każdemu godzi je szczuwać; wilków też tam nie masz i dla tego zwier

*) J. po placu.

nie płochy, da się zjechać i blisko do siebie strzelić, a osobliwie takeśmy jełowili: upatrzywszy stado jeleni w polu, (bo i pod wieś przychodziło to lichy jak bydło), to się one objechało z téj strony od równego pola, a potem skoczywszy na koniach i krzyk uczyniwszy, nagnało się je na te doły, gdzie ziemię kopią do palenia, a któreto doły są bardzo głębokie i szerokie, w które tego dużo nawpadało; ztamtąd dopiero trzeba je było wywłóczyć i rznąć. O wilkach namieniłem, że ich tam nie masz; prawo bowiem takie, że kiedy wilka obaczą, powinni wszyscy na głowę wychodzić z domów, tak po miastach jako też i po wsiach, i tak długo owego wilka prześladując gonią, aż go albo umorzą, albo utopia, albo złapią, a nie obdzierając go, tak ze wszystkiem na wysokości szubienicy, albo na drzewie, obwieszają na grubym żelaznym łańcuchu, i tak długo wisi, póki kości staje. Nietylko rozmnożyć, ale i przemocować się wilkowi nie dadzą. Kiedy mu się zdarzy wnieść na jeleninę, to z tego tu tylko przystępu, który jest między morzami wązki; z inszój zaś strony nie ma nigdzie przystępu, bo z jednéj strony morze bałtyckie, z drugiej strony od północy Ocean oblewa to królestwo; chyba, żeby sobie w Gdańsku u pana prezydenta najął okręt do przewozu, zapłaciwszy od niego dobrze. Z téj przyczyny zwierza wszelkiego wielka tam jest obfitość; kuropatw zaś nie masz z téj przyczyny, że to jest zwierzę głupie, przelekniejszy się lada czego, to padną w morze i utoną.

Lud też tam nadobny; białogłowy gładkie i zbyt białe; stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie, gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słyhać kiedy człowiek do człowieka mówi; wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki; w affektach zaś nie tak powściągliwe jak Polki, bo lubo zrazu jakąś niezwyczajną pokazują wstydlivość, ale zaś za jedném posiedzeniem i przemówieniem kilku słów, zbytecznie i zapamiętałe zakochają się i pokryć tego nie umieją; ojca, matki i posagu bogatego gotowusienka odstąpić i jechać za tym, w kim się pokocha, choćby na kraj świata. Łóżka do sypiania mają w ścianach zasuwane, tak jako szafa, a pościeli tam okrutnie siła

ścielą. Nago sypiają, tak jak matka porodziła, i nie mają tego za żadną sromotę, rozbierając się i ubierając się jedno przy drugim, a nawet nie strzegą się i gości, ale przy świecy zdejmują wszystek ubiór, i na ostátku i koszulę zdejmują i powieszają to wszystko na kołeczkach; dopiero tak nago, drzwi pozamykawszy, świecie zagasiwszy, w owę szafę wchodzą spać. Kiedyśmy im mówili, że to tak szpetnie, u nas tego i żona przy mężu nie czyni, powiadały, że u nich nie masz żadnej sromoty, i nie rzecz jest wstydzic się za swoje własne członki, które Pan Bóg stworzył. Na to zaś nagle sypianie powiadają, że ma dosyć za swe koszula i inszy ubiór, co mi służy przez dzień i okrywa mię, powinna téż przynajmniej w nocy mieć swoją ochronę, a do tego, co mi potem robaki, pehły brać z sobą na nocleg do łóżka i dać się im kąsać, mając od nich w smaczném spaniu przeszkodę. Różne niecnoty wyrabiali im nasi chłopcy, ale przecie nieprzelamano zwyczajów. Sposób życia ich uciészny bardzo, bo rzadko co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy w kupie uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy mlóca, (bo tak tam białogłowa mlóci cepami jako i chłop), ledwo nie za każdym snopa omlóceniem to posiędą na słomie, i wzięwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często czynią, a po kąsku. Wołu, wieprza, albo barana kiedy zabiją, to najmniejszej kropli krwi nie zepsują, ale ją wytoczą w naczynie, namieszawszy w to krup jęczmiennych albo tatarczanych, tém kiszki owego bydłęcia nadziewają i razem w kotle uwarzą, i osnują wieniec na wielkiej misce koło głowy owegoż bydłęcia te kiszki, i tak to na stole stawią przy każdym obiedzie, i jedzą za wielki specyał; nawet i w domach ślacheckich tak czynią; i mnie częstowano tém do uprzykrzenia, ażem powiedział, że się Polakom tego jeść nie godzi, bo by nam psy przyjaciółmi były, gdyż to ich potrawa. Pieców w domach nie mają, chyba wielcy panowie, bo od nich wielki podatek na króla idzie; powiadali, że sto bitych talarów od jednego na rok. Ale kominy mają szerokie, przy których krzesielek stoi tak wiele, ile w domu osób; posiadłszy to się tak ogrzewają;

albo téż, dla lepszego izby ogrzania, jest w środku izby rowek jako korytko, który węglami napelnwszy, rozedną z jednego końca i tak się to żarzy i ciepło sprawuje. Kościoły tam bardzo piękne, w których przedtém bywały katolickie nabożeństwa; piękniejsze téż, niżeli u naszych polskich Kalwinistów, bo są oltarze, obrazy po kościołach; bywaliśmy téż na kazaniach, gdyż umyślnie dla nas gotowali się po łacinie i zapraszali na swoje *praedikta*, (bo tam tak zowią kazanie), i tak kazali ostróżnie, żeby najmniejszego słowa nie wymówić przeciw wierze; rzekłby kto, że to rzymski ksiądz każe; i tém szczylicili się, mówiąc: my w to wierzymy co i wy, daremnie nas nazywacie odszczepieńcami. Ale po staremu ksiądz Piekarski lajał o to, żeśmy tam bywali; drugi bardziej dla tego bywał, żeby widzieć piękne panny i ich obyczaje, jak takie ich nabożeństwo. Niemcy oczy zasłaniają kapelusząmi, a białogłowy swemi kwefami, i schyliwszy się kładą głowy pod ławki. Wtenczas im to nasi chłopcy najbardziej książki, chustki i t. d. kradli. Postrzegł to raz minister i okrutnie się śmiał, tak że kazania przed śmiechem nie mógł skończyć. I my także, cośmy na to patrzali, musieliśmy się śmiać. Dziwili się Luterani, że się śmiejemy, i kaznodzieja się z nami śmieje. Przytoczył potém kaznodzieja przykład o owym żołnierzu, który prosił pustelnika, żeby się za niego modlił; klęknął pustelnik na modlitwę, a on mu tymczasem porwał baranka, ca za nim tłumoczek nosił, i uciekł. Przy dokończeniu tego przykładu zawołał: »O pobożność nad pobożność! Jeden się modli, drugi kradzie!« Od tego czasu, kiedy już miały pokryć głowy, to pochowały wprzód książki i chustki, a po staremu nie było i to bez śmiechu, spojrzawszy jedna na drugą. Kiedym z nimi dyskurował, na jaką pamiątkę głowy kryją i oczy zasłaniają, ponieważ tego nie czynił Pan Chrystus, ani apostołowie, żadna nie umiała odpowiedzieć; jeden tylko z męszczyzn tak powiedział: że na tę pamiątkę, iż Żydzi zasłaniaли Panu Chrystusowi twarz i kazali mu prorokować. Ja im na to odpowiedziałem: chcieli w tém należycie wyrazić pamiątkę męki pańskiej, to was przy tém zasłonienu trzeba w kark pięścią bić, bo tam tak czyniono; aleć na to zgody nie

było. Prędko o tém nabożeństwie wiedział elektor brandenburski, i kiedy u niego był starosta kaniowski, rzekł: »Dla Boga, przestrzeż waćpan jmcpana wojewodę odemnie, żeby zakazał panom Polakom bywać w kościele, bo się ich pewnie siła ponawraca na wiarę luterską, gdyż jako słyszę, tak się gorąco modlą; że aż chustki pannom duńskim ta gorącość pożera.« Wojewoda srodze się śmiał z tój przestrogi.

Wspomniony elektor Wilhelm bardzo się nam grzecznie stawiał, we wszystkich okazyach akkomodował się, częstował, popolsku chodził. Kiedy wojsko przechodziło, więc zwyczajnie ten tego, ten tóż tego powita, to on wyszedł przed namiot, lub tóż przed stancyą jeżeli w mieście stał, i trzymał tak długo czapkę, póki wszystkie niepo-chodziły chorągwie. Pono tóż to on spodziewał się, że go powołają na państwo po śmierci Kazimierza. Jakoż ledwieby było do tego nie przyszło, gdyby był nie podrwił poseł pod czas elekcyi, któremu gdy rzekł pewien senator: »niech książę jmc porzuci Lutra, a będzie u nas królem«, odpowiedział na te słowa, deklarując, »żeby tego nie uczynił i dla cesarstwa«, a co mu książę miał bardzo za złe i złażał go, że tak grubiańsko odpowiedział, nie py-tawszy go się o to. Tam będąc w Danii znosił się z nim wojewoda często, gdyż on był w osobie króla polskiego i miał dowództwo tak nad naszym jako i nad cesarskiem wojskiem, którego było 14,000 z generałem Montekukulim, a z nim było Prusaków 12,000, ale lepszego ludu niżeli ce-sarscy, i woleliśmy zawsze z nimi obozem stawać, bo nam zaraz do naszego obozu nasłali szwaczek. I to dziwna, że w kraju tak obfitym, gdzie u nas wszystkiego było pełno, a oni byli tydzień na miejscu postali, to zaraz do nas po kweście żony swe przysłali. Przyszła kobietka nadobna, młoda, a chuda jakoby z najcięższego obłęzenia; zbliżywszy się do szalasu, taką prawila oracyą: »Mospan Polak, daj troszki kleb, będziem tobie koszul uszyć«. Spojrzawszy na owę nędzną, to się musiało dać jałmużnę; komu tóż po-trzeba było koszule szyć, to szła i tydzień i dwie nie-dziele; jakoż nie trudno było o płótno, bo go wozili z czaty podostatkim, a uszyć nie miał kto, bośmy w woj-

sku mieli tylko jedną kobietę trębaczkę; z téj racyi była tedy z nich wygoda. Jak się zaś mężowie nie mogli ich doczekać, to przyszli je szukać od szalasu do szalasu; skoro znaleźli, to je wzięli z sobą, podziękowawszy, że je przeżywiono; jeżeli téż jeszcze która była potrzebna, że koszul niedoszyła, to jeno było dać mężowi sucharów, to poszedł, zostawiwszy żonę na dalszy czas, a sam do niej nadchodził czasami. Z tych małp nie jedna tak się poprawiła przez dwie niedziele, że ich zaś mężowie niepopoznawali. — Aż tam już radzą jak się podszańcować, jak mury rąbać; a czém rąbać, nie wspomnieli. A siekiery kędy? Dopiero strażnik kazał zaraz Wołoszy z pod chorągwi, żeby się rozjechali po wsiach o mil dwie albo trzy, dla nabycia siekier. Jeszcze nie świtało, a już 500 siekier na kupie leżało. Skoro tedy zegary poczęły bić i z północka kazano trąbić pobudkę, wstał sam strażnik, mało co śpiąc, i owe siekiery kazał podzielić między chorągwie i piechotę; w godzinę po pobudce kazał otrąbić, żeby byli gotowi do szturmowania za godzinę i żeby snopy każdy niósł przed sobą na piersiach, dla postrzału od ręcznej strzelby; a żeby wszyscy wraz skoczywszy pod mury i jako najlepiej przycisnąwszy się do nich, żeby z góry nie rażono, drugim odstrzelowali. Gdy tedy świtać poczęło, podemknęło się wojsko bliżej pod miasto. Ja téż dopiero do księdza; rzecze mi potém: pan porucznik Charlewski prosi cię z ochoty do przywodzenia czeladzi. »Niechże tam już oni idą, a wasć zostań«, odpowiem. »Już to wszyscy słyszeli, żeś mię waćpan prosił; rozumiałby kto o mnie, że ja się lękam; pójdę«. Jakaśmy z koni zsiadli, aż téż zsiada Kossowski Paweł i Łącki. Było nas tedy przy czeladzi z pod naszej chorągwi pięciu, ale komenda postaremu przy mnie była; bo mi już była dana dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namyślili się na ochotę. Oddawszy się tedy Boskiej i Jego Najświętszej Matki protekcyi, każdy swoje z osobna Jego Ś. Majestatowi poślubiwszy wota, z kompanią się téż już tak właśnie jako na śmierć pożegnawszy, stanęliśmy już osobno od konnych. Ksiądz Piekarski, Jezuita, uczynił do nas exortę w ten sens. »Lubo wdzięczna jest Bogu ofiara każda, z serca szczerego dana, to ta osobliwie najmilsza ze

wszystkich: kto krew swoją za dostojenstwo Jego świętego Majestatu na plac niesie. Za cóż pobłogosławił Abrahamowi, że wszystek świat plemię jego odziedziczyło, tylko za to, że na jedno Boskie rozkazanie z ochotą krew ukochanego poświęcił Izaaka. Woła na nas krzywda Boska, od tego narodu poniesiona; wołają świątynie pańskie, od nich po całej Polsce zprofanowane; woła krew braci naszych i ojczyzna ręką ich spustoszona; woła naostatek Najświętsza Panna, Matka Boska, która jest imienia przeczystego, że ten naród jest bluźniercą! żebyśmy za te pretensye ujęli się szczerze, żeby w osobach naszych widział jeszcze świat nieumarłą przodków naszych sławę i fantazyą. Niesiecie tu, odważni kawalerowie, z Izaakiem krew swoją na ofiarę Bogu; upewniam was imieniem Boskiem, że kogo Bóg, jako Izaaka, samą jego kontentując się intencją, zdrowo i z sławą dobrą z tej wyprowadzi okazji, i nadal wszelkiem swoim nagradzać mu będzie błogosławieństwem; kogoby zaś cokolwiek potkało, za najświętszy majestat Boga i Matkę Jego wylana kropla krwi, by najcięższe, wszystkie obmyje grzechy i wieczną bez wątpienia w niebie zgotuje koronę. Oddajcież się temu, który dziś ubogo w jaseleczkach położony, krew swoją ochotnie dla zbawienia waszego ofiaruje Bogu Ojcu. Ofiarujcież te swoje terażniejsze czyny w nagrodę jutrzejszego nabożeństwa, które zwyczajnie o tym czasie odprawiamy, witając nowego Gościa Boga, w ciele ludzkim na świat zesłanego. A ja w tym mam nadzieję, którego przenajświętsze wspominam imię Jezus, i w przyczynie przenajświętszej Jego Matki, do której wołam: »broń czci Syna Twego!« Przyczyną swoją Matko u Syna spraw to, żeby tę imprzyę raczył pobłogosławić, żeby tę zaczął kawaleryą szczęśliwie z tego upału wyprowadził, i na dalszy zaszczyt swego Boskiego Majestatu zachować raczył. Tych tedy w przedsięwziętą drogę daje wam wodzów, zastępców, opiekunów; w tych gruntną pokładam nadzieję, że was wszystkich powracających w dobrem witać będę zdrowiu«. — Mówił potem z nami akt skruchy i wszystkie modlitwy, to jest te, co się odprawiają z owymi, którzy już pod miecz idą. Przystąpiwszy do niego bliżej, rzekłem: »i ja też proszę mój do-

brodzieju o błogosławieństwo«. Ścisnął mię z konia za głowę i błogosławił, a zdiąwszy z siebie relikwie, włożył na mnie, mówiąc: »idźże więc śmiało, nie bój się«. Ksiądz Dąbrowski, także Jezuita, jeździł do innych półków;) ten prawie więcej płacze niżeli mówi; bo taki miał zwyczaj, choć był nie zły kaznodzieja, że jak co począł mówić, rozplakał się i nie skończył kazania, a narobił śmiechu.

Tymczasem powraca trębacz do Szwedów wysłany, częstując nas ich słowami: »Jeżeli chcecie, czynicie z nami, co wam fantazyja kawalerska każe; my także, jakeśmy się was w Polsce nie bali, tém bardziej i tu się nie boimy«. Zaraz potem zaczęli strzelać; bo nas lekce ważyli, widząc, że działka i jednego nie mamy, piechoty tylko jeden półk, a Piaseczyńskiego cztery szwadrony i Semonowa ludzi trzysta, ale bardzo dobrych. Na konnych mówili oni, że to ludzie do szturmów nie zwyczajni i pójdą w rozsypkę jak raz ognia dadzą, co nam sami więźniowie powiadali. Już każdy z pachółków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach tylko, niektórzy też z bronią palną; a wtém przyjeżdża wojewoda i mówi: »Niechże was Bóg ma w swojej opiece i imię jego święte. Ruszajcież, a jak przez fossę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić. Że zaś tedy duchowni kazali to ofiarować na pamiątkę jutrzni, bo to samém było świtaniem w dzień narodzenia pańskiego, zacząłem tedy z tymi, co w mojej komendzie byli: »Już pochwalny króla tego«. Wolski także Paweł, który potem był starostą lityńskim, towarzysz natenczas królewskiej pancernej chorągwi, co także swojej chorągwi czeladź przywodził, kazał tożsamo śpiewać. Tak Bóg dał, że z pod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u innych, co nie śpiewali, powytykano dziesięcinę. Skorośmy tedy do fossy przyszli, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fossę; jaki taki obaczywszy pierwszych, także to czynił, i wyrównali owę fossę tak, że już daleko lepiej było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z półku królewskiego; bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na

wał, kto jednak swój wyniósł, pomagał, i znajdował w nich kulę, co i do połowy nieprzewierciała. Wychodząc tedy z fossy, kazałem ja swoim wołać: »Jezus, Marya!« lubo insi wołali: »hu, hu, hu!« bom się spodziewał, że mi więcej pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan *hu*. Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecą kule, a tu jaki taki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moimi pacholkami, że przy srogim filarze, albo raczej narożniku, było jakieś okno, w którym srodze gruba żelazna krata; zaraz tedy przed ową kratą kazałem rąbać na odmianę; ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugiem piętrze nad nami także takie okno, z taką kratą; z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z innéj strzelby nie mógł strzelać do nas iwysadzać się nijak, dla owéj kraty; chyba tam do dalszych mógł strzelać. Jam téż kazał do góry nagotować 15 bandoletów, i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało, aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcej rąk pokazywać, ale tylko kamienie wypychali na nas przez owę kratę, ale już się tego przecie snadniej można było uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią tak rąbią mur, i naokolusienko nie wiedzieć, gdzieby Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owéj kraty widać, radziśmy, bo tu już grad kul na nas nie pada; rokosz, by cóprędzej wniknąć pod dach, ale że nie było czém owéj kraty wyważyć, musieli jeszcze dalej rąbać. Skoro mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi wlażyć po jednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: »ja wleżę«. Tylko wlażł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi; tam go do siebie zapraszają; my go téż tu nazad wydzieramy; ledwieśmy chłopca nie rozerwali; woła na nas: »dla Boga, już mię puście, bo mię rozerwiecie!« Krzyknę ja na swoich: »Dajcie w okno ognia«. Włożyli tedy kilka bandoletów w okno i dali ognia; zaraz Szwedzi puścili Wolskiego; dopieroż my po jednemu owém oknem leżli; już nas tam było z półtorasta; tymczasem idzie kilka rot muszkietarów, co to znać ztamtąd uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu nasi dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wycho-

dzimy tedy sobie szczęśliwie z sklepu i stawamy szeregim w dziedzińcu, a tu naszych coraz więcej ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas Szwedzi na dziedzińcu, dopiero poczęli trąbić i chorągwią białą wywijać, co jest znakiem proszenia o miłosierdzie, odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego świńskiego; powiadali bowiem dawniej, że o pardon prosić nie będą. Z kupy tedy rozchodzić się nie dałem, aż póki nie obaczę powszechnego zamieszania w wojsku nieprzyjacielskiem. Wolski także z swoimi w dziedzińcu. Nie masz nic. Wszyscy ludzie porozsadzani, i każdy swojej pilnował kwatery. Aż tu widać po schodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że schodzą na dół muszkietierowie. Mówię do swoich towarzyszków: »a otoż mamy gości«. Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby półksiężycem, bo nie tak razi szeregiem jak w kupie; i rozkazaliśmy po wydaniu pierwszego ognia, zaraz wziąć na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły biją, hałas, krzyk, grzmot; wychodzą tedy w dziedziniec i zaraz stawają do ordynku; my też do nich postępujemy; już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać; bo ich już był Tetwin, oberszt-lejtnant, z dragonią zламаł; skoczmy tedy na tych, co nam w czole dadzą ognia; z obu stron kilku padło, i tam też wzięliśmy ich na szable; wpadło ich kilku na schody, z kąd przyszli; drugich zaraz lewem skrzydłem przerznięto od schodów, i nuż ich siec. Ci, co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz nam przychodzą; jak tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem; dopiero co żywe z naszego rycerstwa w rozsypkę, w rabunek po pokojach; po tych tamto kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, i zdobywcz wynoszą. Gdy się to dzieje, wchodzi też Tetwin z dragonią, rozumiejąc, że najpierwszym w zamku będzie, a tu trupa leży moc, a nas tylko z piętnastu stoi towarzystwa, bo się już od nas porozbiegali, i żegna się, mówiąc: »a tych ludzi kto narznął, kiedy was tu tak mało«. »My,« odpowiedział Wolski; »ale i dla was będzie, ano wyglądają z wieży«. A wtém prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię; daj sam, zetnę go; on prosi: niech

go pierwój rozbiore, bo suknie na nim piękne pokrwawia się. Rozbiera go tedy; wtém przyszedł Adamowski, towarzysz krajczego koronnego Leszczyńskiego, i mówi: panie bracie, gruby ma kark na waszności młodą rękę; zetnę ja go. Targujemy się tedy, kto go ma ścinać, a tymczasem wpadli nasi i do sklepu, w którym były prochy w beczkach; pobrawszy insze rzeczy, biorą téż i prochy w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z luntem zapalonym i bierze téż proch, aż jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmogący, kiedy to huknie impet, kiedy się mury poczną trząskać, kiedy owe marmury, alabastry, latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na której wierzchu nie było dachu, tylko płasko; cyną wszystka pokryta, tak jak w izbie posadzka; rynny dla spływania wód mosiężnozłociste, a w koło tego statuy także na rogach także z mosiądzu, a grubo-złociste; miejscami téż osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam nieuszkodzonych zbliśka nie widział, ale po rozrzuconiu przypatrowaliśmy się; a jedną wyrzuciły prochy całą nienaruszoną na tę stronę ku wojsku, która właśnie taka była jak kobieta żywa, do której na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona kommandanta, wyrzucona prochami; a tu leżała owa statua, rozkrzyżowawszy się w kształcie, jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznac tak trudno było, aż prawie pomacawszy dopiero twardość kamienną.

Na téj wieży, albo raczej sali, królowie uciechy swoje miewali, kolacje jadali, tańce i różne odprawiali zabawy, bo jest w śliczném bardzo położeniu; może z niej wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżę kommandant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli, i ztamtąd o darowanie życia, lubo nierychło, prosili; cò mogliby byli otrzymać, ale te prochy, które właśnie pod tą wieżę zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętra, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko przed dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzeć; dopiero zaś impet straciwszy, widać ich było lepiej, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpa-

dali. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, aleć ich tam nie puszczono; Piotr święty przywarł zaraz fórtkę, mówiąc: »A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancya ich do Pana Boga nieważna i niepotrzebna; w kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc Jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okupną jako poganom; teraz częstował was Czarniecki pokojem i zdrowiem, chciał darować, pogardziliście. Pamiętacie, coście w sandomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzili, a przecie i tam Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić; wyrzuciły prochy pana Bobołę, ślachećca tamecznego, i z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecie zdrowy został; i teraz strzelaliście gesto, a nie wieleście Polaków nabili; czemu? bo ich aniołowie strzegą, a was czarny, a toż macie jego usługę«. Miły Boże, jakie to sprawiedliwe sądy twoje! Szwedzi naszym Polakom tak wyrządzili w Sandomierzu, zasadziwszy miny zdradziecko w zamku. A tu sami na się zbudowali tę samolówkę, bo im to nasi nie z umysłu uczynili, ponieważ i samych tenże przypadek pożarł ze dwunastu. Nie wiedziano tedy, kto tam z naszych zginął, ale się tylko dorozumiewano, kiedy ani żywego, ani zabitego nie znaleziono. Widzieli ten przypadek obaj królowie, duński i szweci; widziały wszystkie wojska cesarskie i brandenburskie, ale rozumieli, że to Polacy tryumf jakiś czynią na cześć Bożego narodzenia. Radziejowski tedy i Korycki powiadali królowi szwedzkiemu, przy którym jeszcze nateczas byli, że to coś inszego; niemasz tego u Polaków w zwyczaj, tylko na wielkanocne święta. Po oném szczęśliwém zwycięztwie zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam osadził na téj fortecy wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczystość mszy świętej słuchać; mieliśmy księdza, ale nie było apparatu. Jeno cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą aparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko; nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawilo się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te Deum*

laudamus śpiewano, aż się po lesie rozlegało. Klęknąłem księdzu Pickarskiemu służyć do mszy; ucieszony ubieram księdza, aż wojewoda rzecze: »Panie bracie, przynajmniej ręce umyć«. Odpowie ksiądz: »Nie wadzi to nic; nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego«. Spotykaliśmy potem naszych łóźnych, wiozących nam różny zasiłek. Gdzie kto swego zastał, tam siadł i jadł, z owego wczorajszego głodu. Wojewoda wesoło jechał, że to prawie niezwyčajnym przykładem, bez armaty i piechoty, wziął fortecę taką, co oboje mógłby być mieć od elektora blisko stojącego, ale fantazya w nim była, że nie chciał się kłaniać, ale żeby do niego samego ta należała się sława, ufając w Bogu, porwał się i dokonał.

R o k 1659.

Rok pański 1659. zaczęliśmy tamże w Haderschlewen daj Panie Boże szczęśliwie, gdzie zażywaliśmy i mięsopustu, lubo nie z taką przecie, jak w Polsce, wesołością. Mieliśmy jeszcze na przeszkodzie wyspę Alsen, która że nam w tyle zostawała, dla tego też nam na wielkiej była przeszkodzie; bo czeladź nam na czatach porywano i zdobywcz odbierano, gdyż tam załoga była wielka. Przeszło tedy koło niej wojsko brandenburskie i z armatą i z piechotą, a po staremu uderzyć na nią nie śmieli, czyli też nie chcieli, jak to powiadają, że »kruk krukowi oka nie wykole«. Wojewoda pojechał raz na rozpoznanie w trzy-sta koni, wprawdzie na przejażdżkę; nic nie mówiąc, kazał otrąbić, żeby nazajutrz gotowość była wszelka i na koń wsiadano. Jużemy tedy nie zapomnieli o lepszym porządku, bo się kazało i w sakwy czeladzi nabrać żywności, i takeśmy jechali. W pewnym miejscu odcieliśmy lód siekierami, bo morze jeszcze z brzegu nie było puściło, lubo nie bardzo było zimno i pogody były piękne; to samo uczyniła dragonia na drugiej stronie; a stało się to w lot, że załoga nie wiedziała, ażeśmy już na drugim lądzie byli, bo sobie siedziała w mieście i po wsiach. Było pływać jak na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku téj odnogi było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć, bo

było takiego miejsca z pół staja. Sam tedy wojewoda, przeżegnawszy się, wprzód w wodę; półki za nim, których jeno trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknąwszy pistolety a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął na środek, stanął, i kazał każdej chorągwi odpocząć, a potem dalej. Konie już były do pływania probowane; który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć; dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potem zima tęga ujęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u ładu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew też każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi widząc, że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych też, co przybywali na pomoc, przetrzęgli nasi końmi, a dopiero w nich jako w dym. Powiadali zaś więźniowie: »rozumieliśmy na was, żeście diabli, nie ludzie«. O kommandanta tamecznego przysłał król duński z prośbą, żeby mu go żywcem dostawić, bo miał do niego wielką jakąś pretensją; nie wiem, jak go tam witano. Po owój robocie, jak się wojsko dorwało do cieplej izby, kto kogo mógł złapać, chłopca lub też kobietę, to zaraz odarł z koszuli, żeby się przewlec. Przetrzęsawszy tedy ową wyspę, bo to nie wielka, jeno jej siedm mil, miast kilka a wsi kilkadziesiąt, osadził tam wojewoda na komendzie grzecznego kapitana, słachcica duńskiego, z ludźmi nowo-zaciecznymi. Bo taki był rozkaz, że zaraz za nami, gdzieśmy weszli z wojskiem, oficerowie króla duńskiego werbowali, i tymi ludźmi osadzano fortece, które się dostawały; wziął jednak wojewoda sobie sto Szwedów dobrych i pomieścił ich między dragonią, w nagrodę tych, co przecie tu i ówdzie musiało ich ubywać, jak to zwyczajnie: gdzie drwa rąbią, tam wiory padają. Potem wróciło wojsko do swoich kwater, już się nazad w statkach przewożąc. Jak tedy ten rok pięknie się skończył wzięciem Koldynga z dobrą sławą, tak i ten nowy dosyć się w fortunie zaczął, wzięciem tak chwalebnie tej wyspy Alsen. Jużesmy potem siedzieli kilka niedziel spokojnie. Poszliśmy później pod ; jestto forteca bardzo potężna; nie masz

tam miasta żadnego, ale tylko same szzańce; fortyfikacya bardzo wymienita i od pola i od morza; wchodzą te szzańce w morze, tak, że morzem do samego szzańca może nie przypuszczać okrętów i bronić lądowania flocie duńskiej. Tam, lubośmy widzieli, że nie po naszych siłach, ale przecie, że się wolno i o niepodobne rzeczy pokusić, próbowaliśmy szczęścia, podpadliśmy. Szwedzi też często do nas wychodzili, dawali pole przy fortecy, a potem do dziury, kiedy im ciężko było. Z wielkich tylko kartanów okrutnie nam dokuczali; na każdy dzień koniom i ludziom dostawało się, bo w tamtém miejscu przenosi kula z długiego działa prawie wszędzie. Aleć Pan Bóg uspokoił, lubo nie wtenczas, ale potem na wiosnę, i podał je w polskie ręce dziwnym sposobem, bez wielkiego krwi rozlania. Zimę tę odprawiliśmy tedy tłukąc się ustawicznie i podjazdami bijąc się z Szwedami.

Poszliśmy potem do prowincyi duńskiej, która się zowie Jutland, a przeszedłszy, stanął półk królewski w Arhusen, w mieście piękném; na nasze chorągwie że się dostała ulica, co nie było gdzie koni postawić, nawet stajen z czego budować i miejsca na budowanie ich nie było, bo bardzo w cieśni między wodami, jako Wenecya, prosiliśmy więc wojewody, aby nam pozwolił stać we wsi. Stanęliśmy tedy w Arhusen, a insze półki i chorągwie po wsiach i miastach różnych. Ustawa tedy stanęła, żeby brać po 10 bitych talarów co miesiąc na konia z pługą, bo co u nas łan, to tam u nich pług. Braliśmy tedy w pierwszym miesiącu według ustawy, w drugim po 20 bitych, w trzecim już kto co mógł, choćby najwięcej, wytargować, rozumiawszy majątek chłopka, jeżeli się miał dobrze na miejszku. Dostało się chorągwi naszej na przystawstwo miasteczko Holm z przynależnościami i z wioskami do niego należąciami, które przystawstwo jużto w samym było cyplu, między morzem bałtyckim a Oceanem, z kąd już lądem iść nie można. Ta więc prowincya zowie się Jutland, a owa, gdzie Haderschlewen, Suder-Jutland. Chorągiew byłaby tam bardzo rada stała, ale nie pozwolono z téj przyczyny, że daleko od wojska i żeby jój nie ułowiono, bo już było 10 mil od Kopenhagi morzem, co jest tak sna-

dny przejazd nieprzyjacielowi, jak miłą iść lądem. Wyślano mię tam tedy na deputacyą, najbardziej z przyczyny języka łacińskiego, bo tam lada chłop po łacinie mówi, po niemiecku rzadko kto, po polsku nikt, i taka właśnie różnica mowy Jutlandczyków od niemieckiej, jak Litwy albo Żmudzi od Polaków. Luboć mi było trochę okropno jechać tam między inne, między samo wielkie morze, bo już w samym cyplu; spojrzawszy i na tę stronę i na tę ku południowi, bałtyckie; tu zaś ku północy, właśnie jakby na obłoki spojrzął; a lubo to woda jako i to woda, przecie znać, że insza tego, a insza tamtego morza jest natura, bo uważałem téż to, że czasem jedno się wydaje błękitne, drugie czarne; to zaś czasem jako niebo takiego koloru, a drugie zawsze od tamtego odmienne; to igra, wały na nim okrutne skaczą, a to spokojnie stoi; nawet kiedy oboje stoją, a spojrzysz na nie tam, gdzie się jedno z drugim styka, osobliwie wieczorem spojrzawszy, to na niem widocznie rozeznać, jako jaką granicę. Trochę mi było, jak to mówią, niesmaczno tam jechać, ale przecie mając zawsze chęć widzenia świata, nie wymówiłem się; dano mi tedy czeladzi kilkanaście; pojechałem i wstąpiłem do Arhusen, aż mi mówią Piekarscy: »Szczęśliwa droga! kłaniaj się tam od nas królowi Gustawowi, bo ty prędzej będziesz w Kopenhadze, niżeli u nas nazad«. Ja przecie nie uważając pojechałem. Wojewoda téż mówił mi: »Panie bracie, i mnie się téż tam na kuchnię moję dostało; posyłam tam mego Lanckorońskiego; radźcie tam o sobie, żebyście nie nawiedzili Kopenhagi«. Bo wojewoda dla tego tam sobie wziął, bo mu powiadano, że tam lud najdostateczniejszy. Pojechałem przecie, a Lanckoroński, pokojowy wojewody, za mną nie przyjechał, aż w półtóry niedzieli. Przyjechawszy tam, uczyniłem jakoby nie umiał po łacinie; pokazałem assygnacyą kommissarską; pytają mię: »kann er dejcz?« odpowiem: »nix«. Przyprawdzili jednego, co umiał po włosku; ten pyta mię: »Italiano parla?« Já: »nix«. Ledwo nie poszaleli pludracy od frasunku, że się ze mną zmówić nie mogli. Cokolwiek do mnie mówią, to ja tylko odpowiadam: »Geld«. Pytają: »co sobie każesz dać jeść?« to ja po staremu: »Geld«. Pytają: »co będziesz pił?« »Geld«.

Nareszcie proszą, żeby na nich nie nagle następować o pieniądze; ja mówiłem: »Geld«. Gdy zaś najczęściej po łacinie do mnie wówili; że to Polakom język zwyczajny, przyprowadzili mi zatem słachcica, który tam blisko nich mieszkał, bo majątność jego i zamek widać ztąd było, a który w wojsku Fryderyka służył i różnie peregrynował, aby się mógł jakokolwiek ze mną porozumieć; mówi tedy do mnie: »Ego saluto Dominationem Vestram:« ja odpowiadam: »Geld«. Mówi: »Parla lingua francesca?« »Geld«. Mówi: »Parla italiano?« »Geld«. Rzekł więc do nich: »żadnego języka nie rozumie«; a posiedziawszy trochę, pojechał. Oni w srogiem myśleniu; a byłoto tego przez cały dzień. Już mieli do brandenburgskiego wojska posłać, dla najęcia kogo do rozmowy ze mną i już się jeden gotował jechać. Tymczasem nazajutrz zrana przynieśli mi w podarunku łososia żywego wielkiego w wannie, wołu karmnego i jelenia także żywego, chowanego, na powrozie przyprowadzili, a przytém w kubku sto bitych talarów, (ponieważ widzieli, że żadnym językiem nie mogli mię zażyć), mówiąc językiem krajowym: »przynieśliśmy podarunek«. Dopierom ja do nich przemówił, skazując na ów kubek z talarami. »Oto jest« rzekłem po łacinie »moich życzeń tłumacz«. Kiedy to Niemcy skoczą od radości, kiedy się poczną rzechotać, obłapiać mię; kiedy to skoczą na miasto, powiadając, że przemówił nasz pan; nuż gonić owego, co już był wyjechał po tłumacza; dopieroż się rozmawiać, dopieroż dyszkurować; popili się Niemczyska na ów śmiech. Nazajutrz dopiero w układy. Pokazałem im regestr kommissarski, to jest, jak wiele plugów na którą wieś położył, a żadnej nie było sprzeczeki i zaprzec też nie mogli, bo widzieli, że nie mój wymysł, ale kommissarza taki jest rozkaz. We dwóch dniach złożyli pieniądze za pierwszy miesiąc. A kiedy o talarach jaka była mowa, to je nie zwali talarami, ale tłumaczem. Pieniądze kazałem im zaraz odwieźć do chorągwi, posławszy przy nich trzech pachoków; chciałem i sam jechać, ale prosili mię bardzo, żeby nie jeździć, bo się bali, żeby ich brandenburgskie czaty nienapaśtowały, które o 6 mil tylko stały; jakoż bywali potém Brandenburczykowie, ale szkody nie uczynili, bo choć porwał jakie bydłę, to

zaraz puścił zobaczywszy załogę, i sam uciekł. Oddawcy pieniędzy wspomnieli także o tym tłumaczu, co zaś potem doniosło się i do wojewody. Gdy później byłem w Arhusen, aż tu wojewoda odzywa się do Polanowskiego, porucznika starosty boratyńskiego: »Mospanie poruczniku! mam tu towarzysza w wojsku, co wszelkie umie języki, ale trzeba mu wprzód postawić kubek spory srebrny, bitemi talarami napełniony, to on zaraz gotów przemówić, jakim komu potrzeba językiem«. Polanowski tego wyrażenia nie rozumiał, aż mu wytłumaczył, i odtąd talary nazywano w wojsku tłumaczami. Na drugi miesiąc pisał do mnie porucznik, że sam i wszystkie chorągwie biorą po 20 talarów z pluga, żebyś i ty tak wybrał. Sarkali na to niebożęta mieszkańcy, że to przeciw zwyczajom postanowionym, aleć przecie wydali i odwieźli. Na trzeci miesiąc kazali wybierać więcej, alem się już tego nie chciał podjąć, bo widziałem też ich zniszczotą przez wojnę, lubo znać było, że mieli kiedyś dostatki. Nie chciało mi się tedy z nimi drażnić, bo lud dobry, tylko że przez nieprzyjaciela zniszczony.

Pisałem do chorągwi: albo się tém, jak na przeszły miesiąc, to jest po 20 talarów, kontentujcie, albo mię ztąd sprowadźcie, bo ja się tego nie podejmę, być mordercą ludzi, którzy są sprzymierzeńcy, a nie nasi nieprzyjaciele. Postanowiono tedy, żeby podzielić plugi na kompanie, a każdy u swego chłopka niech wybiera jak może. Tak się stało; czeladź na to przystała i każdy sobie wyciągał co mógł. Mnie nie kazano po staremu zjeżdżać dla utrzymywania porządku nad czeladzią, aby nie robiła bezprawiów; kto tedy prędzej wystraszył pieniądze, ten też prędzej pojechał, a chłop z nim, dla oddania własnymi rękoma pieniędzy. Jam zaś na swój poczet wziął plugi, którem rozumiał, lub też, którzy się o to prosili i dokupywali; jużem tedy miał wolniejszą głowę, wszelką wygodę w jadle, zgoła wszystko, co człowiek zamyślał; trunki dobre, osobliwie miody, których tam obywatele sami nie piją, ale zwarzywszy, do innych prowincyj okrętami wysyłają; ryb rozmaitych siła; dwa szelągi lipskie, które czynią 4 grosze polskie, posławszy do niewodu, to chłop przyniósł ryb

wór, aż się pod nim zgiął. Chleb z grochu pieką, bo tam tego wielka rodzi się obfitość! dostawiano mi jednakże pszennego lub żytnego, osobliwie od ślachty. Jest tam i ryb mówiących i jęczących mnóstwo, prócz karpia, bo o tego skąpo.

Miałem tam różne uciechy i zabawy, widząc takie rzeczy, których w Polsce widzieć trudno; ale i to uciecha być przy łowieniu ryb na morzu, których cudowne rodzaje i cudowne są kształty, kiedy tego okrutne wyciągną mnóstwo; te, które mi się najpiękniejsze widziały i najlepsze, są zle i jeść się nie godzą, i odrzucają je na piasek dla psów i ptaków; inne znowu choć dobre do jedzenia, to są tak szpetne, że i spojrzeć na nie brzydko. Jest tam także ryba tak straszna jak diabeł, i mówiłem, że gdyby mi głód największy dokuczał, tobym téj ryby nie jadł. Ażtu kiedyś byłem w domu ślacheckim, między innymi potrawami, (bo tam dają na stół mięso i ryby zawsze jednakowo) począłem rybę jeść, która mi tak wybornie smakowała, że cały prawie półmisek wypróżnił. Widząc to ślacheć, rzekł: „Jestto ryba, którą pan diabłem nazwałeś“. Zawstydziłem się niemało, ale jednak widział, że i oni ją smacznie zjadali; a druga, nie wierzyłem, żeby to ta była, bo mi się zdawało niepodobnym, aby w tak brzydkim ciele miało być smaku tak wiele; później jednak nigdy jęj więcej nie jadłem. Powiadał ten ślacheć, że ryba ta bywa wędzona i sprzedaje się po czerwonym złotym funt; ale nazwiska jęj nie pamiętam, bo bardzo dziwne, jak i sama dziwna; łeb i ślępie jak u smoka, paszcza straszna i szeroka, a płaska jak u małpy; na łbie dwa rogi zakrzywione, takie jak u kozy dzikięj, ale tak ostre, że się zakole jak igłą; na karku hak, małego mniejszy od tych co na głowie, zakrzywiony na tę stronę ku głowie, i już tak po wszystkim grzbiecie jeden za drugim, a coraz mniejsze, aż do ogona; sama w sobie okrągła jako pniak; skóra właśnie na nięj taka, jako jaszczór, co go do szabli zażywają, a po téj skórze haczki takie, jak i na grzbiecie, ale już drobniejsze, tak jak szpony u jastrzębia, a srodze ostre; byle go się dotknąć, to zaraz krew wytryska. Są i insze, bardzo cudne ryby, co jak ptaki mają skrzydła, nosy i głowy zaś jak u bocia-

nów, i kiedy jój łeb z worka dziurą wytknie, przysięglby drugi, że bociana ma w worku; ale siłaby o tém pisać. Zażywalimy téż tam różnej zabawy na morzu wsiadłszy w bat. Kiedy woda spokojna była, to jeno było stać cicho, a ujrzało się rozmaite gadziny i zwierzów morskich, cudnych ryb, a osobliwie w tém miejscu stanąwszy, gdzie jest trawa, z której sól robią, bo w tém miejscu tak jest morze przezroczyście, że, na sto Lutrów psów w głąb, obaczyć można najmniejszą rybkę i cokolwiek pływa przeciwko owęj trawie, która tak się bieli w głębi, jako śnieg, i dla tego widać każdą rzecz naprzeciw owemu odbiciu promieni. Tę trawę rwą osękami żelaznemi; puszczają je na dno na długim sznurze, a tak wyciągają tę trawę i na brzeg wywożą, rozrzucając ją po krzakach, a skoro uschnie, to ją palą i sól z tego robią bardzo dobrą. Ale nietylko trawa, ale i ziemia znajduje się taka, że kiedy potrawę jaką osolić trzeba, to biorą na miskę garść ziemi, a wypłókawszy ją wodą, zlewają tę wodę w garnek, gdzie za pół godziny zsiądzie się sól bardzo piękna.

Różnych rzeczy dziwnych napatrzyłem się na dnie morskiém; miejscem są piaski czyste, miejscem trawy i coś jak drzewka, miejscem stoją skały, tak jako jakie słupy, jako budynki, a na owych skałach siedzą jakieś zwierzęta dziwne; kiedyśmy chcieli doskonale napatrzeć się owych bestyj, to był tam zamek pusty na morzu, 4 duże mile od Ebeltost, na wielkiej skale, który się zowie; pojechawszy do owego zamczyska przed południem i zostawiwszy barkę przy lądzie, utailiśmy się w rozwalinach, nic się nie odzywając; aż tu powyłaziły na ową skalę owce, delfiny okrutne, wielkie psy morskie i inne zwierzęta i pokładły się ku słońcu, rozwaliwszy swe srogie i tłuste brzuchy. Napatrzywszy się już do woli owych dziwotworów; to jeno było małym kamykiem tam sisnąć, to się wszystko w jednym mrugnieniu oka pochowało w morze. Tameczni mieszkańcy powiadali, że choćto i z rusznicy strzeli do tego, to darmo zepsuje nabicie, bo zaraz i z postrzałem w morze wpada, a gdy tam zdechnie, to się komu innemu dostanie, bo morze nie wiezieć gdzie wyrzuca. Delektowałem się wprawdzie przejażdżką na morzu, ale téż raz

wielkiego nabawiłem się strachu, a to z téj przyczyny. Zaczęło mi się morzem jechać na nabożeństwo wielkanocne do Arhusen, gdzie stał wojewoda, bo i bliżej było morzem, niżeli lądem, i dla tego téż żeby koni nie turbować. Jechałem tedy w sobotę, bo morze igrało, ale od północkska ustawszy, puściliśmy się w drogę, ufając marynarzom, że nie zblądzą; noc była bardzo ciemna; udali się k'sobie ku Zelandyi; mnie zaraz to nie podobało się, że bardzo długo jedziemy, a mil tylko 6. Pytam się, czy dobrze jedziemy? odpowiedzą, że im to nie nowina w nocy jeździć, i że pewno nie zblądzą. Dopiero jak już dość długo jedziemy, poczęli się trwożyć, poznaawszy błąd. Poradziwszy się jeden z drugim, chcieli się lepij naprostować, tymczasem pojechali gorzej. Jedziemy tedy do uprzykrzenia; nie widać tylko niebo a wodę; a że ja miałem bardzo bystry wzrok, pierwój niżeli oni obaczyłem jakieś budynki. »Oto po lewój ręce widać, jak się zdaje, jakieś miasto«. Oni tego nie widząc, mówią: »Niech Pan Bóg broni tego, aby nam się z lewój strony miało pokazać miasto; po prawej stronie powinno być nasze miasto«. Jedziemy bliżej, aż tu okręty stoją w porcie Niköping. Dopiero trwoga okrutna. Uciszyliśmy się jednak, aż zegar począł bić, i ruszyliśmy potém w bok cichusieńko; wtém dojrzała nas straż i woła: »Wer da!« Nic się nie odzywamy. Drugi raz woła: »Wer da!« Ja mówię owemu swemu gubernatorowi: »Powiedz, że jesteśmy rybacy«. Takci tedy odpowiedział. Straż pyta: »z kąd!« Odpowiedział: »z tego tu lądu«. Kiedy straż weźmie burczęć, źle życzyć; „o szelmo! dy to już święto, dy to już wielkanoc“. My na to nuż w szczęściu wiosłami robić, udając się do lądu, nie na morze, żeby się nie domyślili. Już się téż troszkę oznaczył świt, a wtém poczęli z armaty strzelać w tyle nas; dopierom się domyślił, że to już jutrznia, i mówię: „Otóż, patrzcie, tam jest Arhusen, gdzie strzelają“. „O, na Boga! nie jestto Arhusen, ale Kopenhaga, gdzie przy oblężeniu strzelają“. Ja im powiadam, że nie; że to u nas jest zwyczaj strzelać pod czas jutrzni zmartwychwstania pańskiego. Pomiarkowali się nareszcie, że właśnie tam jest Arhusen, i już poznali owe tameczne lądy i port, wiedząc nawet, w którym są miejscu.

Dopieroż oddawszy się Panu Bogu, kiedyto nie poczniemy wszyscy wiosłami robić, aż żebro na żebro zachodziło, udając się wprost ku owemu strzelaniu. Nie ujechawszy le dwie z milę od owych okrętów skoro oświtło, (a na morzu mila tak się widzi, jak na ziemi kilka staj), postrzegli nas: myśmy téż chyżo umykali. Gonili nas ze dwie mile; a widząc, że tak ten szczerze pracuje co chce uciec, jak i ten co chce dogonić, a podobno zrozumiawszy coś po morzu, stanęli, potem się i wrócili. Jedziemy dalej, aż mówi starszy marynarz: „Unikliśmy rąk jednego nieprzyjaciela; drugi, sroższy, grozi nam, to jest burza. Trzeba się modlić i pracować“. O kiedy się to znowu weźmiemy przeginać, kiedy zaczniemy pociągać, już i Arhusen widzimy dobrze, a morze téż po kąsku ruszać się poczęło! Okrutny nas strach ogarnął i szczerze nabożeństwo; nabożeństwo, które tak my jako i Lutrzy mieli. Dał tedy Bóg wszechmogący, że morze nie nagle poczęło igrać, ale z wielką zegarową godziną tak się jak pierwój ruszać poczęło; my téż już przymykamy się coraz to bliżej do miasta, a woda coraz bardziej skacze. To nas przecie cieszyło, że wiatr był w bok trochę, i pomagał nam do lądu, nie od lądu, a sternik téż bardzo umiejętnie kierował. Z miasta nas widzą; patrzą, co takiego od nieprzyjacielskiej strony jedzie. Dopiero woda gwałtownie ruszać się poczyna, dopiero wężmie ciskać wały; aż téż jedni robią wiosłami, drudzy wodę wylewają nawet kapeluszami niemieckimi, zgoła, czém kto miał, bo nie było tylko jedno naczynie do wylewania wody. Co przypadnie wał, to nas i barkę przykrywa; a co jeden ustąpi i człowiek trochę ochłonie, aż cię taki drugi dogania, tak właśnie, jakby cię znowu nowy nieprzyjaciel i ostatnia zguba potykała; ten minie, a inny zaraz następuje; wtém barka trzeszczy, co ją mocują wały, a Lutrzy wołają: „Ach Herr Jesu Christ!“ Oni na samego tylko syna, a Katolicy zaś i na syna i matkę wołają; słowem, sprawdza się owa sentencja: „Qui nescit orare, discedat in mare!“ to jest: „Kto się modlić nie umie, niech się puści na morze“. Wpadło mi to przecie na myśl, żem zawołał: „Boże! nie daj nam ginać; wszak widzisz, z jaką puściliśmy się intencją, że na chwałę i na służbę Twoję“. Z mia-

sta biegną ludzie z powrozami, które zwyczajnie ciskają tonącym, wołając na nas i kiwając; lecz tak my ich, jako i oni nas nie słyszą, bo kiedy morze igra, to tak huczy, jakby z dział bił. Tymczasem jużesmy téż blisko bulwarków, a co nas wał przyniesie do bulwarku, to znowu nas impet wody odrzuca na morze; znowu inszy wał przybije i znowu odrzuci. Ażci przecie uchwyciliśmy powróż, i dopiero jak téż przytarł wał do bulwarku, to tak silnie uderzył; że sternik wypadł na bulwark, a my wszyscy padliśmy na bok w barkę, prawie pełną wody; choć ją ustawicznie wylewano. Tak więc powylaziwszy na bulwark jako zmokłe myszy, cośmy mieli trafić na jutrznią, tośmy i mszy nie słuchali, przyjechawszy dopiero przed niezporem. Poszedłem do gospody; dał mi gospodarz koszulę suchą, ogrzano izbę, i porozwieszano suknie i moje i czeladzi. Jeść mi dają, nie chcą; ale kazałem spory garniec miodu wstawić, (bo wina tam zle), nasypałem gwoździków, imbiru, i tom tak pił. Jakem kąsek otrzeźwiał, aż mi się téż jeść póczeło zachciewać. Posłałem tedy do księdza Piekarskiego, prosząc o święcone jajko, i kazałem mu opowiedzieć, w jakich byłem przygodach. Przysłał mi zatém baranka, placków i jajec. Dopierom zażył święconego, a już téż był wieczór. Dowiedziawszy się o mnie dobrzy różni przyjaciele, przyszli, a ja u ognia w koszuli siedzę i zagrzewam się owym miodem. Nuż oni pytać: coś to robił? Opowiadałem im o moim strachu, a jaki taki powinszowawszy mi tak wielkiego szczęścia, żegnał mię. Ja téż układałem się spać, bo właśnie po takięj łaźni trzeba było wywczasu. Nazajutrz wstawszy, suknie téż już poschły, poszedłem do regimentarza, a opowiedziawszy za jego pytaniem wczorajszą biedę i dwa strachy, to jest od Szwedów i od wody, rzekł wojewoda: „Jużto prawda, że to przygody były nie dobre, ale téż za to, panie bracie, masz waszeć pierwszeństwo nad całym wojskiem, bo ty wojujesz po morzu i lądzie, a wojsko tylko na lądzie. Chciał waść zburzyć sam Szwecyą i nam palmę sławy wziąć“. Jam odpowiedział: „Jeżeli Chrystus Pan dnia dzisiejszego zburzył państwo nieprzyjaciół dusznych, toć i nam trzeba się starać, żebyśmy burzyli państwa nieprzyjaciół cielesnych.

A ponieważ wacpan sam mówisz, że dwojaką manierą wojuję, to ja też proszę o dwojaką zapłatę, wodną i lądową“. Tak nażartowawszy się, poszliśmy na nabożeństwo. Byłem tedy w poniedziałek i wtorek na nabożeństwie. Mówili mi drudzy: „Już teraz pewno będziesz wołał jechać 10 mil lądem, niżeli wodą? „Nie myślę o tém, żebym się miał tego nieszczęścia lękać, które mię już wczoraj minęło; kto mię dnia wczorajszego wybawił, ten mię i w jutrzejszym zachowa“. Jakoż i tak uczyniłem; wysłuchałem mszy świętej we środe, wsiadłem w tęż gondulę i tak pojechałem. Ale się już trzymał nad lądami, bo nie masz niebezpieczeństwa i małym statkiem po morzu jechać, byle tylko niedaleko od lądu, aby, obaczywszy następnie jaką odmiennność, można uciec. Aleć nam to tego nic nie narobiło, tylko mocny błąd.

Po przewodniej niedzieli zachorował wojewoda niebezpiecznie; wszyscy zlekliśmy się bardzo; posprowadzano różnych lekarzy; elektor przysłał także swoich. Admirał holenderski przysłał lekarza okrętem, bardzo sławnego, ale niepamięć z którego miasta. Ratowali go wszelkimi sposobami. Po naradzie rozkazali lekarze, żeby mu muzyka grała ciągle; grano tedy zawsze w drugim pokoju na cichych narzędziach, jakoto na lutniach, cytrach i innych; i taki przyszedł do zdrowia, z wielką wojska uciechą i dziękczynieniem Panu Bogu. Wojsko zaś stało po konsystencyach, aż dobrze nie wyzdrowiał; i ja także byłem na ówój deputacyi. Nigdy nie próżnowałem, ale zawsze starałem się widzieć to, czego w Polsce widzieć nie mogę; tylko że trzeba było być zawsze na ostrożności; bo skoro się już ocieplilo, to Szwedzi od Zelandyi, od Fionii, częściej, niż pierwój, wypadali na lądy. Jednego czasu przyszło pod Ebeltod siedm okrętów holenderskich i stanęły w porcie tamiecznym, aby Szwedom na tym tam trakcie czyniły przeszkodę i nas też do Fionii przewozić mogły. Stoją tedy tydzień i więcej; a że to byli nasi koligaci, (książe Oranii był bowiem szwagrem księcia pruskiego Wilhelma, który miał siostrę jego rodzoną za żonę, a która z nim była na téjże wojnie), dla tego się też już z nami kumali. Kiedy przyjeżdżał admirał z okrętów do kościoła na nabożeństwo,

zawsze do siebie zapraszał. Pewnego razu prosił mię i Lanckorońskiego do siebie na okręt w dzień niedzielny. Lubo tam jest port spokojny i cichy, ale przecie nieprzystępny, bo do samych bulwarków okręt wielki wojenny nie przystąpi, chyba małe okręty kupieckie. Trzeba tedy było do okrętu przewozić się, więc wsiedliśmy w bat i pojechaliśmy do okrętu. Cotyłko stanęliśmy i jeść dano, aż tu woła majtek, ten, co na najwyższym maszcie pilnuje, że idą dwa okręty od Zelandyi. Przychodzi strażnik i powiada o tém wodzowi po niemiecku, a on zaś nam po łacinie z tym dodatkiem: „Te dwa okręty nie przerwą nam obiadu“. Kazał jednak upatrować bander jakie są, czy szwedzkie, czy jakie inne, których jednakże zdaleka trudno jeszcze było rozeznac. Woła znowu majtek, że idą drugie dwa; zaraz potém powiada, że idzie ich więcej, ale jeszcze daleko. Patrzą przez perspektywy; „co widzicie?“ powiadają: że jeszcze nic więcej rozeznac nie mogą. Każę admirał podać sobie swoją perspektywę, znać że albo oko lepsze, albo téż że to u pana zawsze perspektywa lepsza bywa, i dojrzał zaraz owych najpierwszych bander, że szwedzkie; a potém coraz to więcej ich się pokazuje. Gdy już ich widać 15, kazał tedy okrętom swoim trochę lepiej rozszerzyć się, tak jak mógł objąć port, ale z portu nie wychodzić dla tego, żeby ich nie mogły otoczyć; bo luboby się on był z nimi śmieie spotkał, choć ich więcej było, ale nie miał ludzi na okrętach, mało tylko dział, puszkarzów i tych ludzi, co do kierowania statków należą. Bo to on, jakim już wyżej napomknął, miał wojska nasze przewozić do Fionii, i dla tego okręty przysłano bez żołnierzy, wiedząc, że u nas jest piechota. Sam admirał ciągle patrzy. Szwedzi téż dowiedziawszy się, że przy tych okrętach mało potęgi, przyszli je brać jako swoje własne. Doszli, że Szwedom o tém doniesiono z wojska brandenburgskiego, jak to o zdrajcę wszędzie nie trudno. Gdy tedy owe dwa pierwsze okręta już niedaleko, mówi do nas admirał: „Może zechcecie udać się do miasta“. Odpowiadam: „Zostaniemy jeszcze“. Lanckoroński rzekł: „Ja pojedę, bo mam 15,000 wybranych pieniędzy, a obawiam się, żeby ich kto w tunulcie niezacpił“. Wsiadłszy tedy w barcę,

odwieziono go do bulwarku; jam się został. Kiedy przypadną na lewe skrzydło, nasze téż dwa wysunęły się ku nim; kiedy przypadną srogim impetem i dadzą do siebie ognia z obu stron, tak jak z ręcznej strzelby gęściej ognia dać nie może, odrzucają się zaraz od siebie najmniej na 10 staj; i poczęły lawirować, a tymczasem działa nabijać; owe téż dwa nasze cofnęły się nazad w port, a potem lawirują, czekając aż tamte nadejdą. Przychodzą tedy drugie dwa i stanęły równo z tamtymi, wyrzutowawszy żagle; a potem i trzecie dwa, i téż to czynią; a gdy zaś i inne nadeszły, zaczęto w mieście bić na gwałt w dzwony i w bębny. Lud się sypie na bulwark, a kto cokolwiek tylko ma umiejętności okrętowej, ten wsiada w barkę i jedzie do okrętów. Szwedzi tymczasem uzbrajający się, kiedy się już uszykowali, idą ławą, zerwą się bliżej niż na staje, nuż poczną palić do siebie tak, że aż się powietrze od dymu zaćmiło. Jeden okręt szwedzki ujął się odwagą i wpadł między holenderskie, tak jak między księżyc; te kiedy dadzą do niego ognia i z boków i z tego okrętu, gdzie sam admirał siedział, to aż deski z niego leciały i poszedł zaraz na stronę, kulejąc właśnie jak ów pies, gdy mu nogę potrąca. Znowu powtórnie zerwą się inne i uderzą z armat; a co się trochę odsuną, to znowu nacierają; chcieli bowiem Szwedzi koniecznie tył wziąć Holendrom, ale żadnym sposobem nie mogli, bo się Holendrowie przy porcie trzymali; tak tedy strzelali do siebie aż do wieczora, a potem się uciszeli; ja téż nocą wsiadłem na barkę i pojechałem na bulwark. Szwedzi wzięli w nocy z bulwarku okręt kupiecki, a skoro świt zaprowadzili go po wietrze, i ustroiwszy go jako należy do żeglugi, i rozpiawszy żagle, zapalili go i puścili między okręty holenderskie, od którego zaraz jeden okręt się zapalił, bo to jest rzecz tak chwytna jako siarka; sami zaś nacierają tuż za ogniem, począwszy okrutnie bić z armat. Byłoby bardzo tragiczne widowisko, bo nie wiedzieli, czy się ogniowi lub nieprzyjacielowi bronić! Tu się od owego zapalonego okrętu umykać trzeba, tu się znowu strzedz, żeby ich nieprzyjaciel nie rozerwał, a tu zaś z owego zapalonego uciekają i kto co może porwać, lada deskę, lada drewno, to się z niem rzuca w mo-

rze; z miasta zaś, ci, którzy śmieli, podjeżdżają barkami i ratują; sznury tonącym rzucając, żeby się ich chwytali. A tu z obu stron działa ryczą, których na jednym okręcie było 80 do 100, z czego łatwo sobie wystawić można, jaki tam musiał być ogień; zgoła, straszna jest wojna na ziemi, ale daleko okropniejsza na morzu, kiedyto maszty lecą, żagle na morze spadają, człowiekowi zaś i człowiek nieprzyjaciel i woda nieprzyjaciel. Owe kule, co okrętów chybiały, to ludzi tych, co z miasta wyszli, na lądzie raziły. Gdyby Szwedzi byli Holendrów zwyciężyli, pewnieby i miasto byli zrabowali, a jeszcze natenczas wszystko mieli w domach, bo się ubezpieczali, że mają wojsko do obrony, i dopiero wtenczas, kiedy obaczyli zapalające się okręty, zaczęli swoje kosztowności kryć do wody, bo to u nich wszystek depozyt najpoufalszy w morzu, a nietylko rzeczy do jedzenia, ale téż ubiory, srebra i pieniądze topią kiedy chcą i dobywają kiedy chcą, a mają sposoby i naczynia tak doskonale, że się w nich nic nie zepsuje i nie zamoknie, a w tych téż miejscach topią, gdzie morze nie wyrzuca, jakoto w tych portach, odnogach i t. d. Zapaliły się były żagle i na szwedzkim jednym okręcie, ale zaraz pościnali maszty i pozrzucali w morze. Drugi okręt szwedzki przebito z dział, tak że zaraz poszedł na dno ze wszystkiem, coś nie wiele z niego ludzi uratowawszy; u trzeciego utracono dwa maszty; u czwartego jeden największy, przez co musiały mieć odmianę; ów téż z okazji wczorajszej już zepsuty nie pomógł, tylko z daleka stał. Dośchy ich mogli byli zabrać Holendrzy, gdyby byli w ludzi trochę potężniejsi. Już tedy widzieli Szwedzi szkodę swoją większą, niżeli uczynili nieprzyjacielowi, i zaraz poszli na odwrót, bo im już wiatr nie służył i nie był nawet spokojny gdy nazad z niczém powracali. Holendrowie téż niebożęta dziury w okrętach łatali, zabitych wywozili, a potem zaś działa swoje i szwedzkie podobywali, o czém sami powiadali, skoro do nas przyszli pod Frederichs-Odde; bo mają taką naukę i nurków takich, którzy się w wodę spuszczaają i po samém dnie chodzą i tam zakładają narzędzia tak, że każdą rzecz z głębi wydobyć mogą; ludzie zaś okrętowi tak są w pływaniu biegli, że mogą w potrzebie

daleko płynąć. Białogłowa jedna z holenderskiego okrętu, tego co zgorzał, płynęła dalej niżeli $\frac{3}{4}$ mili i dopłynęła do samego bulwarku. Piechoty brandenburskiej przyszło 3,000 ludzi, ale dopiero po ustąpieniu Szwedów. Poosadzano nimi oweż okręta według potrzeby, a resztę zwrócono nazad do wojska.

Często Szwedzi podobnego fortelu zażywają w bitwie, a zwłaszcza, gdy w porcie zastaną słabszych od siebie nieprzyjaciół; i tą razą słyhać było, że jakiś zdrajca z wojska pruskiego, który był natenczas komendantem szwedzkim w Randbyl, dał Szwedom wiadomość o słabém obsadzeniu okrętów holenderskich, na której się jednakże później zawiedli.

Po ustąpieniu Szwedów pojechaliśmy do admirała z pożalowaniem; zastaliśmy go wesołego i nie żałującego owej szkody; u nich bowiem okręt stracić jest to co ładunek wystrzelić. Miał to sobie za zwycięstwo, że się nie dał i w nieprzyjacielu szkodę uczynił; mnie dziękował, że go nie odstąpił pierwszego dnia, lubom mu tam nic nie pomógł, i przed wojewodą to o mnie powiadał: że choć połowy żołnierz nie wzdygał się wodnej bitwy. Na te działa utopione mówił, że te wszystkie jego będą, ale mi się to rzecz niepodobna widziała, biorąc miarę, jaką trudność była, kiedy działo w blocie uwięzione, a cóż dopiero kiedy w morzu, i życzyłem sobie bardzo widzieć i być przy tém dobywaniu, ale oni czekali aż się woda ociepli, a mnie też tymczasem z tamtego miejsca sprowadzono. Kiedy się już wojsko ruszało do obozu, póki mi tedy czasu stawało, nigdy nie było bez konwersacyi tak miłej, żebym i w Polsce lepszej nie znalazł między krewnymi; już były różne tentacye nie jechać do obozu, rezolwowałem się jednak i pożegnałem się z dobrymi przyjaciółmi, przy oświadczeniach i nadziei, żeśmy z wojskiem mieli przyiść tamże na drugą zimę. Pojechałem do chorągwi, otrzymawszy od kommissarza zaświadczenie dobrego sprawowania się, w którym zaraz tameczni mieszkańcy kommissarza proszą, żeby na drugą zimę ja, a nie kto inny, do nich był przysłany. Czeladnik jednak mój, Wolski, ślacheć z pod Brzezim, został się tam i ożenił się z poddanką pewnego ślachećca, córką

gbura, który postępek czynił im lepsze nadzieje, że i ja zapewne do nich powrócę; aleć i on słowa nie dotrzymał, bo uciekł od żony i wyjechał do Polski z półkiem Piaseczyńskiego, powiadając potem, że przez sen i na jawie, jakby mu coś za uchem szeptało: odstąpiłeś Boga. Jakem stanął u chorągwi, zaraz czwartego dnia ruszyliśmy do obozu, który był założony między Frederichs-Odde i Rypen; Frederichs-Odde nie jestto miasto, lecz forteca bardzo potężna między morzem; Rypen zaś miasto bardzo piękne, sławne niegdyś za Katolików arcybiskupstwem rypeńskim; ta zaś pomieniona forteca Frederichs-Odde, nad tém tu morzem, panuje z strony ku Fionii; insza zaś ma dwa kąty, to jest kelsingborski i kronenborgski, które przeciwko sobie wprost stoją, i nikt na świecie, choćby z najpotężniejszą flotą, nie może przechodzić na Ocean z morza bałtyckiego bez pozwolenia króla duńskiego i nie okupiwszy mu się za to. Ten Kronenborg założył Fryderyk, król duński, (nie wiem który w liczbie, bo tam Fryderyków kilku było), wrzucając w morską głębokość okrutną ilość kamieni, z których uczynił fundamenta w głębi i dopiero na tych owe fortece wyniósł nad wszystkie wody i wały igrające, które i dotąd największych morskich nie wzdrygają się krzywd. Tam między temi fortecami, każdy żeglujący klaniać się i prosić musi i płacić cło postanowione, albo raczej portowe. Tameczni mieszkańcy szczycą się tém, że się raz trafiło, gdy wojował Alexander Farnesius, książę parmeński, przeciw Holendrom, iż za rozkazaniem króla duńskiego 500 okrętów holenderskich zamknięto na morzu bałtyckim, tak, żeby było wszystkich uduszono i niktby nie uszedł, ale srogie poskładawszy pieniądze Holendrzy, okupili ich. Taki to jest pożytek z tych zamków na morzu bałtyckim, z których król duński wielkie ma dochody, choć żadnej w państwie nie ma kopalni złota, ani srebra; ma przytém prowincye żyzne w ryby, zwierzynę i obfite miody. Jedna prowincya dodaje drugiej czego potrzeba. Grönlandya ma tak wiele ryb, że gdyby ich nie wyłowiono, nie mogłaby być przed niemi odnoga splawną; osobliwie śledzi, stokfiszów, które łowią w Styczniu i suszą na mrozie i na wietrze, tak, aż się zeschnie jako drewno; każda prowincya

cya ma inne rzeczy i tak niczego nie pragnie. Ale dawszy pokój tamecznym prowincjom i naturze ich, ponieważ ja tu nie historyą, ale bieg życia mego opisać postanowiłem, wracam się do odbiegłej materji.

Przy rozkazach, do ruszenia się wydanych, taka była ordynacya, aby wszystkie półki jednego dnia stanęły w obozie, co i tak się stało, z zbudowaniem wojsk cudzoziemskich, bo w jednym dniu jako z rękawa wysypało się wojsko; cesarskie zaś półtory niedzieli ściągało się. Stały tedy wojska o milę tylko od drugiego. Generał Montekukuli miał urazę do wojewody o to, że wszyscy oficerowie króla duńskiego z nowemi werbunkami nie do niego, ale do wojewody ściągali się, i ztąd brali ordynanse, bo taki mieli od króla swego rozkaz; za pierwszém tedy widzeniem powadzili się o to. Rzekł mu tedy wojewoda: „Nie trzeba tu się swarzyć, ani gniewać o tę pretensyą, którą między nami może uspokoić żelazo. Tyś żołnierz, ja żołnierz; ty generał, ja generał; sprawić się jutro“. Posłał tedy do niego porucznika Skoraszewskiego i krajczego koronnego Leszczyńskiego, wyzywając go na parol sam na sam, żeby wojska nie turbować; aleć był tak grzeczny, że nie chciał wyjechać, wysłał jednak oficerów z pewnym traktatem, których gdy obaczył wojewoda, skoczył jako piorun ku nim, proponując, że generał wyjeżdża; gdy jednak obaczył, że kto inny stanął, że to legacya, uspokoił się. Elektor był natenczas z wojskiem swoim o trzy mile od nas, kiedy się to działo; gdy się obaczył z Montekukulim, miał to mówić: „Dobrześ uczynił, żeś nie wyjechał, bo gdybyś był z Czarnieckim zrobił jaki experymnt, pewnobyś to i ze mną uczynić był musiał, bom ja tu jest w osobie króla polskiego“. Aleć trzeciego dnia skarał Pan Bóg Montekukulego, bo go z działa postrzelono; nie sama jednak kula uderzyła go, ale drzazga z okrętu od kuli wyrwana, obiedwie podcięła mu łydki. Chciał téż to on popisać się, bo dotąd jeszcze nic nie sprawił, a przez dwie zimy chleb zjadał, i chciał czegoś bez nas dokazać. Osadził owe wyżej wzmiankowane okręty holenderskie i inne posprowadzawszy kupieckie swymi ludźmi, wjechał między Fionią i Frederichs-Odde; tu jak go Szwedzi poczęli obracać i z téj i z owéj

strony, wrócił się z konfuzyą i tylek nadwieruszył. Znać, że było wolą Boga, aby tę fortecę tak sławną, także i tamtę prowincyą, nie szpada niemiecka, ale polska zawojowała szabla. Chciał też to może Bóg nadgrodzić narodowi naszemu owę konfuzyą, którąśmy za jego dopuszczeniem od narodu szwedzkiego w ojczyźnie naszej ponieśli. Od tego tedy czasu kazał wojewoda Szwedów niepokoić, podpadając, strzelając i wywabiając ich od wałów, którzy zrazu byli tak głupimi, że się dali złowić, ale potem zaniechali tego, siedząc sobie w fortecy; nasi też wzięli się do podszańcowania i usypali nocą szanczyki tak blisko, że i z muszkietu, nietylko z dział doniosło; gdy jednakże niedoskonała jeszcze była fortyfikacya owych szanców, stało tedy wojsko naokół przez dzień cały, żeby wycieczki na owe szanice nie uczynili i nie wyparli naszych. Jak noc przyszła, dopiero lepiej opatrzone, koszów ponasprowadzano, ponasypywano, działa sprowadzono, a wszystkich cichusieńko, bo w dzień trudno było to robić, gdyż Szwedzi bardzo razili. Jak tedy w piątek obaczyli ufortyfikowane szanice, zaraz ich tegoż dnia nad świtaniem nawiedzili nasi, tojest dragonia ze swoim oberszt-lejtnantem Tetwinem, i tak blisko siebie stali, że się prawie muszkietami sięgali, a odparwszy od jednego szanica Szwedów, ci zaraz stracili odwagę; wypadli wprawdzie raz jeszcze tegoż samego dnia popołudniu, ale ich nasi potężnie wytrzepali; wojsko też z obozu hurmem skoczyło. Szwedzi uciekli nazad, zostawiwszy trupa kilkadziesiąt. W nocy z piątku na sobotę, powsiadawszy na statki, a tu na wałach od naszego obozu czynili okrzyk, hałas, strzelanie, uciekli do Fionii, spodziewając się szturm generalnego w sobotę rano. Nazajutrz dziwimy się, że tak cicho w sąsiedztwie; jednym razem, jak tam już nasi postrzegli, aż tu na wałach wywijają chorągwiemi, wołając: „Niech żyje król duński!“ a czeladź z obozu sunie się co żywo dla zdobyczy. Wojewoda posłał zaraz strażnika Mężynskiego, żeby téj minuty pod gardłem wszyscy wyszli z szanców i aby Tetwin dokoła dał straż i nie ważył się tam wchodzić, dopóki strażnik nie przyjechał. Już tam zrabowano, co kto znalazł, ale też i nie było wiele co brać, oprócz trochy legumin, które pra-

wie na to miejsce poznoszono, gdzie były prochy posadzane. Jak tedy wszyscy powychodzili z szańców, dopiero zapaliły się miny, ale w ludziach nieuczyniły szkody najmniejszej; nawet wałów i budynków nic nie naruszyły, tylko dwa budynki podługowate jako szopy spaliły się; podobno to były spiżarnie; inne budynki zostały całe. To to jest rozumnego wodza dzieło: domyślić się i zabezpieczyć, aby nie gubić wojska; bo tam niepodobną rzeczą było, aby nie miało być szkody; a to druga, że przecie wcześniej postrzeżono, iż nieprzyjaciel uciekł, a zaraz potem wpadli nasi i rozebrali co było, a Szwedzi wnosili, że nie rychło postrzegą, i dla tego tak nierychły ogień zapalili; a owa forteca, która niegdyś 20,000 ludzi strawiła, gdy ją brał Szwed królowi duńskiemu, bo Szwedów 9,000, a Duńczyków 11,000, jako sami kommissarze powiadali, zginęło, wróciła się nazad bez straty wojska. Powiadali kommissarze, że się tu ta ziemia krwią ludzką tak nasyciła, jak wodą po wielkim deszczu. Uciekli tedy Szwedzi z Frederichs-Odde przed śmiercią do Fionii, spodziewając się, że ich tam nie znajdziemy między morzami, ale zawiedli się na tym, bo w krótkim czasie tam za nimi popłynęliśmy, o czém niżej. Elektor wieszował wojewodzie tej szczęśliwości, ale jawną mu znać było z oczów zazdrość Niemców, że Pan Bóg Polakom sławną fortecę oddał. Szwedzi się także bardzo gniewali, że na minach nic nie wskórali. Wojewoda wprowadził tedy trzeciego dnia osadę ludzi duńskich i komendanta tegoż narodu, bo się obawiał, żeby jeszcze nie było i drugich min. Okręty holenderskie stanęły zaraz przy tej fortecy w porcie bardzo pięknym, a tymczasem radzono jak sobie postąpić z Fionią, ponieważ Frederichs-Odde, tak potężna forteca, która była Fionii sprzymierzoną, już jest w naszych rękach, a Fionia osadzona przez nieprzyjaciela. Staliśmy tedy obozem, nasz oddział jednak nigdy nie próżnował, bo było barek ze dwieście, więc lada kiedy powsiadawszy dragonia i Semenowie, to napadali Szwedów w Fionii, znacznie ich napastując; osobliwie Semenowie, których było 300, cudownych rzeczy dokazowali, bo ci ludzie byli tak wybrakowani w lata, w wzrost, jakoby ich jedna porodziła matka. Mieli Szwedzi co robić z sobą

w Fionii, bo ta prowincya jest na 14 mil, azatém musieli wszystkich lądów dobrze pilnować, nie wiedząc gdzie nieprzyjaciel wysiąść może, osobliwie w nocy; zgoła, we wszystkich okazyach Pan Bóg nam błogosławił jawnie, tak na podjazdach, jakotóż w szturmach i gdziekolwiek spotkawszy się z Szwedami, wszędzieśmy ich bili. Cesarskich zaś lekce ważyli. Szwedzi porwali na podjeździe towarzysza Myliszowskiego i posłali go królowi pod Kopenhagę. Tam król pomiędzy innymi rzeczami pytał go: „Co to tu jest za wojsko z Czarnieckim?“ Odpowiedział: „Które zwyczajnie w jego dywizyi chodzi“. Pytał: „Gdzieżeście wtenczas byli, kiedy ja w Polsce byłem?“ Powiedział: „Tameśmy téż byli i bijaliśmy się z wojskiem w. k. mci?“ Pytał: „Czemużeście tak dobrze nie wojowali, jak teraz?“ Odpowiedź: „Tak znać była wola boska“. Mówi król: „I to racya; ale ja tobie powiem drugą, a to tę, że nie każdyby trafił do domu, gdyby się dostało przegrać, i dla tego staracie się, żeby zawsze wygrać“. Towarzysz zamilkł. Król pyta go: „Czemu milczysz?“ Odpowiedź: „Bo przeciwko prawdzie nie wiem co mówić“. Ale i sami więźniowie szwedzcy przyznawali to, że cale odmianę szczęścia widzą.

Jak tylko król szwedzki dowiedział się o wzięciu Frederichs-Odde, zaraz z królem duńskim począł o pokój traktować. W wojsku zaś kazał wytrąbić, że ktokolwiek do Polski chce wyjść, wolno mu, z okazji Radziejowskiego abszytu, i kontencyą wzięwszy; aleć takich nie wiele się obrało, choć ich było dużo w wojsku szwedzkim, a nie wyszło ich z Radziejowskim ledwie z półtorasta i to samój szlachty, między którymi Kompanowski, Przeorowski, Kazanowski i Jarzyna Rafał, syn Marcina, kasztelana sochaczewskiego. Korycki jeszcze tam był został i wielu innych Polaków, którzy tam już osiedli i nie spodziewali się tak mieć w Polsce dobrze, powróciwszy na swoją fortunę. My téż stojąc blisko siebie obozami z cesarskimi przez niedziel 8 i więćej, uprzykrzyliśmy się sobie znacznie; oni na nas narzekali, że czatownicy ich krądną; my zaś na nich, że nam żony ich w obozie chleb zjadają. Odsunęliśmy się tedy od nich trzema milami, ale i tam po staremu żony ich trafiły, lubo już nie tak często. Nadeszły tymczasem listy

od króla naszego, oznajmując o grożącym ojczyźnie od Moskwy niebezpieczeństwie i ażeby za powtórny ordynansem być na pogotowiu do pochodu ku granicy. Mnie jednak wielką czyniło dystrakcją owe affektów zawzięcie; listy latają często ztamtąd i odemnie; w jednej godzinie napadnie myśl żeby zostać, w drugiej żeby tego nie czynić, bo mi przecie żal było rzucać nie tak fortunę, jako raczej affekt taki, o który podobny trudno. Pasuję się tedy z owemi myślami, jako z niedźwiedziami; kiedy myśl ta przypadnie, żeby zostać, to jakaś wesołość ogarnie człowieka; skoro zaś nastąpi myśl, żeby nie zostawać, to w człowieku powstaje wzruszenie, żałując affektu owych ludzi i biorąc przed oczy, że wpadnę u nich w podejrzenie o nie-szczerość i niewdzięczność. Niektórzy z kompanii postrzegli to, i pytają: co ci się to dzieje, że się czasem zapamiętywasz? Powiedziałem, że człowiek nie może być nigdy jednakowy, a sekretu przed nikim na świecie nie wykryłem, i nichy byli nie wiedzieli, gdyby nie Lanckoroński trochę się był wygadał przed chorążym naszym o tych affektach, ale i on poufale nie wiedział, choć tam ze mną bywał; komplement tylko widząc, z tego brał miarę i podobieństwo. Doszła nareszcie kompania téj trochy myśli moich i już mi wszystko wymawiali. Aż tu odbieram przez umyślnego rajtara list, jak się tam dowiedzieli, że się wojsko polskie zbliża ku granicy, którego ten jest sens, lubo inne poginęły, których było siła:

„Wielmożny mości dobrodzieju!

„Osoby mile sercu naszemu pragniemy uczcić słowami, oglądać oczami. Jak dalece ojciec mój polubił znakomity naród wasz i współżolnierza bohatyrskiego, dowodzi to częste wspomnianie nazwiska WP. Dobrodzieja. Stałym zamiarem jego jest zawsze, mieć Cię nietylko za przybranego, lecz za własnego syna. Ale, jeżeli Cię ojciec kocha, kocha Cię nie mniej i córka, w której sercu niezmiennie tkwić będzie miłość ku Tobie. O gdybyś panie mógł czytać w sercu mojem te dowody moich uczuć ku Tobie! Wyznaję teraz, com długo tała, że dla żadnego męszczyzny, prócz Ciebie, panie, serce moje bić nie będzie. Musito pochodzić z woli boskiej, bo i Ty, panie, kochasz mię, jak

to mi wyznałeś. Miej wzgląd na moją miłość, na mnie, której ani odległość miejsca, ani skromność stanu, od Ciebie oddzielić nie zdołają. Pójdę, gdzie mię los i serce poniesie. Familia moja może się równać z najstarszymi rodzinami w Polsce. Dostatki sam oglądałeś. Obyczaje moje, acz naganne, chwaliłeś. Religia moja mię nie szpeci, bo wierzę w świętą Tróję. Wyrazy mego ojca, że nie pozwoli majątku swego wynieść za granicę, nie są na przeszkodzie: bo prawa tego twórcą jest mój ojciec, a Ty je będziesz wykladał; Ty będziesz majątkiem tym samowolnie rządził. Twoją rzeczą będzie rozkazywać, moją słuchać. Wielmożny Rychald, generalny kommissarz królewski, przywiózł mi dowody Twojej miłości ku mnie. Co się mnie tyczy, świadkiem Bóg i siostra moja, że ile słów, tyle westchnień; ile wspomnień o Tobie, tyle łkania! Gdy mię kto zapytuje: pocóż to wszystko? ja mówię: serce, odpowiedz za mnie. Serce moje nie jest już mojem, jest Twojem; opuściło mię, Tobie towarzyszy. Cóż mam począć? Poradź mi. Jeżeli zechcesz, możesz mię łatwo szczęśliwą uczynić; jeżeliś mię poniechał, pomnij na gniew Boga, który był zawsze mścicielem na niewdzięcznych. Ale nie wątpię o Twojej stałości. Przyjedź tylko w dom mego ojca; nie pragnę nic więcej tylko Twojej przytomności; przybądź przynajmniej na jedną godzinę; błagam Cię gorąco, oczekuję niecierpliwie.

„WMPana Dobrodzieja do zgonu najprzywiązawsza

„Eleonora“

List ten, że w wyrażeniach swoich nie bardzo był podobien do konceptu białogłowskiego, i ja sam nie bardzo bym mu był wierzył, gdybym nie znał ję wiadomości i nie nasłuchał się nieraz ję rozmów. Już teraz jakoby kajdany włożyła na me serce. Postanowiłem nieodmiennie jechać tam i odpisałem na list, obiecując się, iż jadę; ułożyłem też go tak, że był pisany wyrażeniami za wyrażenia. Trzeciego dnia wyjechałem; nikt nie wiedział dokąd i po co. Na odjeździe wstąpiłem do półku Piaseczyńskiego pod chorągiew półkowniczą, gdzie Ryłski, krewny mój, chorągiew nosił. Zwierzyłem się przed nim całkiem tego sekretu; pokazałem mu listy i brałem też poradę jako od swego kre-

wnego. On mi perswadował wszelkimi sposobami, żebym tój nie rzucił okazji i sam jechać ze mną deklarował. Piemy tedy na ową fantazyą dzień jeden, także i drugi; trzeciego dnia wyjechaliśmy. Tu nadeszły wiadomości, że kilka tysięcy Szwedów wysiadło z morza pod Szanderborgiem, przez któreto miejsce trzeba nam było przejeżdżać, przebiegając się do tamtych ludzi. Jedziemy przecie, aż tu już koło mędela trwogi; Prusacy się uzbrają i pytają nas dokąd jedziemy; powiedzieliśmy; perswadują nam, że nie podobna, abyśmy się tam mogli przeprawić, bo Szwedzi, wylądowawszy, naprawiają stare szańce i chcą tam osieść dla tego, aby w Jutlandyi jakiegokolwiek mieli panowanie i nagrodę Frederichs-Oddu, i że książę elektor gotuje się na nich, żeby ich ztamtąd wykurzyć. Usłuchaliśmy ich i nazadeśmy się wrócili. Przyjeżdżamy do obozu, aż tu uzbrają się na podjazd; sam nawet wojewoda chce już iść, gdy wtém przybywa oberszt-lejtnant od elektora z oświadczeniem, że nie życzy wojsku tój turbacyi, i że sam, będąc Szwedów najbliższy, może wydolać temu przedsięwzięciu. Wojewoda rzekł na to: „Baba z woza, konikom lżej; niech też sobie przynajmniej tą jedną okazją nagrodzą, bo tu jeszcze nic dobrego nie sprawili, a chleba siła zjedli“. Roztaszowali się tedy, a ja po staremu zamierzam, jak Szwedów z tamtego miejsca wykurzą, zaraz jechać.

Jeszcze się Prusacy nie wyguzdrali przeciw Szwedom, a nam już przyszedł rozkaz od króla, żeby wychodzić do Polski. Zadumawszy się ja na owe przeszkody; pomyślałem sobie: „Miły Boże! podobno to do mojej intencji nie masz Twojej świętej woli“. A wtém Rylski wchodzi i pyta: „A nasze zamysły w co się obróciły?“ Odpowiedziałem: „Podobno w nic“. Aż on rzecze: „Tak i ja rozumiem, że temu trzeba dać pokój“. I tak sobie o tём dyszkurujemy, żeśmy sobie, jak to zwyczaj polski, i podpili. Przy owém podpicciu co się przypomni affekt, to się ledwie nie łzami farbuję trunek, a potém rozeszliśmy się. Noc nie dała snu na oczy, choć podpilemu. Jużem i pił więcej, żeby usnąć, lecz wszystko na próżno. Takto uprzykrzone są w młodych ludziach affekty! Mnie ani dobre mienie, ani gładkość, która w owęj dziewczynie niewypowiedziana była, przy

takim rozumie i niezwyčajnej stanowi swemu nauce, ale affekt jój, który sobie do mnie lichego człowieka urościła, a po prostu w liczbie mnogiój mówiąc, urościli. Bo jak ona sama, tak i rodzice, domownicy i poddani, już mię tam właśnie za własnego syna pańskiego mieli. Ofiarując to w dyspozycyą boską, a ścisnąwszy nóżki Panu Jezusowi, którego miałem na obrazie z Najświętszą Panną, to zaraz jakbym plastr przyłożył i nastąpiła téż ochota jechania do Polski, a tam niezostania. Nazajutrz otrąbiono, że za trzy dni ruszymy, ale się odwlekło do tygodnia, bo elektor przysłał, prosząc, żeby mu cokolwiek zostawić komunika, przynajmniej dla sławy, że jeszcze nie wszyscy Polacy wyszli z królestwa duńskiego. Tak tedy postanowiono: wyznaczono Piaseczyńskiego z półtora tysiąca ludzi. Jak ten ordynans stanął, zaraz téż rada mego pana Ryłskiego odmieniła się, bo co mię przedtém odwoził, żeby nie zostawać, to teraz przeciwnie przywoził, to jest, aby zostać, a to z téj przyczyny, że i on się został. Podawał mi wiele sposobów, mówiąc, że będzie wiele okazji, że tam możemy być i postanowić o dalszém, a potém wolno będzie czynić z tém co chcieć. Znowu tedy nachyliła się myśl moja do téj perswazyi. Ksiądz Piekarski dowiedział się o tym traktacie. Dopiero inwektywy na mnie: „Nie czyń tego, co ci potém, albo wiesz jaki koniec rzeczy wezmą; a kiedy cię ta uwiedzie słodycz dobrego mienia i przyzwyczajenie, że ci do tego nie przyjdzie wyjechać do Polski, kiedy nastąpią ciągle namowy i ułowią cię, że tu mieszkać będziesz, natenczas: z jakim przestajesz, takim się stajesz, zostaniesz Lutrem, aż tu będzie piękna żony dobroć, duszę stracić; a do tego, cóżby za pociechę rodzice i krewni z tego tu dobrego ożenienia mieli, gdyby przez poczty tylko o tobie słyszeli, a ciebie nie widzieli, tak właśnie, jakobyś téż umarł, a dostał się do nieba, gdzie jest królestwo największe i z inszemi dostatkami, niżeli pana bogactwa. Nie tać to jest pociecha słyszeć o krewnym, że się on ma dobrze w odległości 200 lub 300 mil, ale ta, kiedy ja go mam blisko. Nie czyń tego, bardzo proszę“. Taki się tedy stało i podobno dobrze, a biedny Ryłski wkrótce potém w Fionii zginął. Kto wie, je-

żeliby się tam i mnie nie było dostało, bo pewno i ja, gdybym się tam był został, musiałbym być téj okazji nieomieszkać. Poszliśmy tedy szczęśliwie ku granicy, pożegnawszy się z owymi, co tam popozostawali, i zapłakawszy poglądając w tamtę stronę, gdzie się mnie na zimę spodziewano. Oni zaś, jak się dowiedzieli, że się wojsko nasze rusza do Polski, wyprawili czémprędzej owegoto Wolskiego z listem, upominając go, że na przypadek gdyby już wojska w obozie nie zastał, żeby je gonił choćby do Hamburga, prosząc przynajmniej, żebym w Hamburgu zaczekał na dalszą umowę. Ubrali chłopca w niemieckie suknie, a język był mazowiecki, bo nie umiał więcej wymówić po niemiecku, tylko: „gib Brod, gib Szpek, gib Hafer“, i tém podrywili, bo gdyby go byli w polskich sukniach wysłali, ledwieby był wojska nie dogonił od obozu w 15 mil, (jakém zaś porównywał czas z jego powieści), ale przejechawszy owe miejsca, które byli zalegli Szwedzi i nazad z kąd przyszli uciekli, nie chcąc z elektorem spotkać się, napadł na cesarskich. Mówią do niego po niemiecku, nic; po łacinie, nic; dopiero mówią: tyś śpieg jakiś; suknie niemieckie; według stroju mowy nie masz. Wzięli kuma, odarli, a listy przeczytawszy, piechotę go nazad puścili. I tak nie przyszło mi czytać owych ostatnich komplementów, o których zaś Wolski, wracający ztamtąd do Polski, powiadał mi, dodając, że niepodobnaby rzeczą było, nieuczynić co dla tych listów, które od rodziców były. Te listy czytali przy nim cesarscy, a zaś potem którzy umieli po polsku pytali go o stanie rzeczy: „coto i jakto?“ Jak im opowiedział, uważni mieli za złe tym, co go zatrzymali i odarli, ponieważ w takim był posłany interesie. Kazali mu potem, czwartego dnia, wyjść wolno z pod straży, który gdy powrócił do pana nie sprawiwszy, dopiero napelnił dom płaczem, bo oni jeszcze mieli nadzieję, że, gdy mię z temi listami dogoni, zostanę w Hamburgu, z kąd łatwo się do nich dostanę. Rzecz dziwna, iż porównywając czas z czasem według relacji Wolskiego, to właśnie wtenczas, kiedy się tam źle działo, kiedy go z listami zatrzymano, i kiedy za powrotem do domu nastąpiły żale, to mnie téż takie ciężkości robiły się na sercu, żem nie wiedział, czy żyję. Zaremba

Jędrzej nie odstąpił mię pędzią, widząc po mnie owę niepokojność. Jakto przecie serce przeczuwa! W tém wszystkim znać boskiej woli nie było i dla tego tak się stało.

Jakeśmy tedy odeszli z Jutlandyi, Piaseczyński Kazimierz, mąż chciwy i w rycerskiem dziele prawie równy Czarnieckiemu, starał się pilnie, aby stawać za chwałą narodu, i żeby owi, którzy się z nim współubiegali, widzieli, że darmo tam chleba nie zjada. Piaseczyński zatem, żeby sobie tam i w Polsce dobrą zostawił sławę, upatrzawszy tedy czas i widząc, że Szwedzi nie tak już pilnie, jak przedtém gdy nasze wojsko przechodziło, pilnują lądów Fionii, ale bardziej się tam gotują przeciwko wojskom cesarskim i brandenburgskim, wzięwszy od elektora 3 półki piechoty, przepawił wojsko konne i piesze w statkach. Lubo potężnie broniono naszym wysiadać, ale iż, jakem już nadmieniał, rozerwaną mieli Szwedzi potęgę po różnych szancach nad lądami, niżeli się więc tamci zgromadzili, ci tymczasem nie mogli wstrzymać i wypuścili naszych na ląd. Skoczyli tedy nasi konni na owych, rozerwali i wycięli, a potem stanawszy, czekali aż więcej będą mieli gości. Samych tam bowiem Szwedów było 12,000 żołnierza, z tamecznych zaś mieszkańców każdy strzelec, każdy żołnierz, a do tego i bardzo mężny. Przyszła tedy potęga na małą garść ludzi. Jak się zerwą z obu stron, zaraz w pierwszym spotkaniu półkownik Piaseczyński, kulą w piersi uderzony, pada nieżywy. Towarzystwa i czeladzi także kilka zginęło. Rylski, brat mój, również poległ. Ale też jak ów ogień wytrzymał, nuż na szable, a wtenczas Szwedzi i nabijać nie mieli czasu. Tymczasem przepawiło się więcej Prusaków na inném miejscu, tojest na tém, z którego już Szwedzi byli ustąpili, i dopieroż Szwedów ścinać, kłóć, strzelać; wyrznięto miasta i wsie zrabowano. Wszyscy tam mieli zadosyć, bo się Polacy mścili krwi swego półkownika. I mieszkańcom znacznie się dostało, bo ich więcej jak połowa zginęła, a to dla tego, że ich zastano z bronią w ręku i że bronili się tak jak Szwedzi, ponieważ oni już całkiem króla szwedzkiego mieli za pana swego, nie spodziewając się nigdy, żeby kiedy dał ich sobie wydrzeć; ale jak oni odstąpili pana, tak też ich odstąpił protektor piekielny,

w którym oni całą swą ufność pokładają. Alećto i diabeł ustąpi, kiedy Bóg ma kogo skarać.

W całym królestwie szwedzkim i w duńskich niektórych prowincjach tymi diabłami tak robią jak niewolnikami w Turczach i co im każą, to czynić muszą, i nazywają ich duchami familijnemi. Kiedy Rej był posłem do Szwecyi, zachorował mu stangret jego kochany, którego zachorowanego zostawił u pewnego ślachcica, mając go odebrać powracając nazad do Polski. Chory ten leżał w jednej izbie pustej, a kiedy go gorączka ominęła, usłyszał muzykę jakąś pięknie grającą; rozumiejąc, że to tam w inszych pokojach grają, leży, aż tu z myszj jamy wyskoczy jeden chłopiek maleńki, po niemiecku ubrany, a za nim drugi i trzeci, a potem i damulki, muzykę też coraz to lepiej słysząc, i poczną tańczyć po izbie. Ów stangret w okrutnym był strachu. Potem zaczną parami wychodzić za drzwi; wyszła także muzyka, wyprowadzono i pannę, zwyczajnie tak jak do ślubu ubraną; nareszcie wyszli wszyscy z izby, jemu żadnego nie czyniąc gwałtu. Biedny stangret ledwie od strachu nie umarł. Wychodząc zostawili jednego malca, który mu rzekł: „Nie turbuj się tém, co widzisz, bo tu tobie i włos z głowy nie spadnie; my jesteśmy panowie duchowie; mamy też to wesele swoje, żeni się nasz brat, idziemy do ślubu, i nazad tędy powracać będziemy, a ciebie także aktu weselnego uczestnikiem uczynimy“. Ów nie życząc sobie więcej patrzeć na owo widowisko, wstał i założył drzwi na haczyk, żeby oni tamtędy nazad powrócić nie mogli. Skoro tam już po onym ślubie, powracają, aż tu drzwi zamknięte, muzykę znowu słysząc; tymczasem ruszą drzwiami, zamknięte; wlaźł jeden malusieńki sparą podedrzwiemi, a uczyniwszy się w oczach jego dużym mężczyzną, pogroził mu tylko palcem, i zdiąwszy haczyk otworzył drzwi, i tym się znowu co pierwój prowadzili traktem, a potem w ową myszją jamę powłazili. W godzinę, lub też więcej, wyszedł znowu jeden z owj dziury i przyniósł mu na talerzu kołacza, suto konfiturami i rodzenkami przepłatanego, mówiąc ten maleńki oddawca: weź i skosztuj tych weselných wetów. Odebrał stangret te wety z wielkim strachem, a podziękowawszy, postawił wedle siebie.

Przyszli potem do niego ci, co go doglądali w jego chorobie, i ten lekarz, co koło jego zdrowia chodził. Pytają: któż to dał? Opowiedział im całą awanturę. Pytają: „Czemuż nie jesz?“ Odpowiada: „Bo się tego jeść boję“. Owi mówią mu: „Nie bądź prostakiem, nie bój się, jedz, dobre to rzeczy; nasi to są domownicy, nasi przyjaciele; jedz“. On po staremu nie chce. Wziąwszy owi kolacz, przed oczami jego zjedli, i nic im nie szkodził. Zażywają oni tam tych malców do roboty i do różnych posług.

W wzmiankowaną protekcją Finowie bardzo ufali, aleć nie słyszałem od żadnego Polaka, żeby się któremu szabla na karku wyszczerbiła; prawda, że też zawsze przed bitwą kule przyprawiali, pocierając je różnemi świętościami.

Szliśmy nazad do Polski tymże co pierwój traktem, na Hamburg. Widzieliśmy tam klasztor Augustyanów, z którego Marcin Luter na apostazją uciekł. Stał w nim wojewoda. Ja zaś byłem tak ciekawy, żem wszystkie miejsca piękne i ozdobne tak klasztoru jak i cel zrewidował, nawet i w celi, gdzie Luter mieszkał, byłem, bośmy powiedzieli, żeśmy Lutrzy, i dla tego nas poufale opróżdzali i pokazywali wszystkie miejsca owego starożytności, opowiadając zaraz co i jak się działo, a my też wdychali; zowie się ten klasztor, jeżeli dobrze pamiętam, Uraniburgum. Strukturę ma cudnie piękną i położony w miejscu bardzo sposobnym do obrony, bo go oblewa srogie jezioro nakształt morza ze trzech stron, z czwartój tylko strony przystęp i to w wielkiej równinie. Cella w nim każda tak piękna, żeby się mogła nazwać gabinetem królewskim, a jest ich z 500; okna po wszystkich wielkie malowane i po staremu jasne, bo na jednych kwaterach są różne obrazy świętych bożych, a najwięcej Najświętszej Panny, wszystko z napisami, a drugie z białego jako kryształ szkła. Kościół sam tak piękny i wspaniały, że mu równego nigdzie w Polsce nie widzę. Ołtarze, obrazy, staroświecką robotą, ale tak śliczne farby, pokosty i pozłoty, tak śliczny porządek, że i proszka na niczym nie zobaczy, tak dalece, iż rzekłby kto, jakoby dopiero trzeci dzień ztamtąd zakonników wygnano. Intrata, powiadają, wielka jest do tego klasztoru, ale też i zakonników bywało do 400. Po wszystkich owych celach, gdzieś

jeno zjrzał, pełno było kobiet i dzieci, co to pouchodzili przed wojskiem, i bardzo się obawiających, żeby ich nie rabowano, bo się nas bardziej bali powracających, niżeli tam dawniej idących; aleć jak obaczyli, że im żadnej nie czynią przykrości, choć w klasztorze nocowało ludzi kilkaset z wojewodą i wojsko całe obozem stało przed klasztorem, nazajutrz weselsi już byli; kiedy się wojsko ruszało, powychodzili przed klasztor, błogosławiąc i dziękując wojewodzie. Ztamąd poszliśmy na Ratzenburg, Wismar, do księstwa meklenburgskiego; na Gustrow, Teterow, Ganskow, Passewalk, do brandenburskiej ziemi; na Szczecin, ku granicy przebierając się, ku swemu taborowi w Czaplunku, inaczej w Tempelbergu, aleć już tabor niszczał, bo jedni z czeladzi poumierali, drudzy do domów popojeżdżali, inni pożenili się, wozy spruchniały, słowem, nie wiedzieć, gdzie się co podziało.

Weszliśmy tedy na granicę polską, Panu Bogu podziękowawszy, że nam dał w dobrém zdrowiu oglądać ojczyznę, a zaśpiewawszy wesolo na cześć i na chwałę imienia wszechmogącego, zaraz potem poszły chorągwie dalej i w różne rozeszły się strony.

Naszemu wojsku naznaczono na stanowisko zimowe Wielkopolskę i Warmią. Wojsko też z pod Malborga z Lubomirskim, hetmanem polnym, powracało. I tak kiedy się chorągwie w pochodzie różnie mieszały, to już nie trzeba było pytać: z czyjój ta a z czyjój owa chorągiew dywizyi, bo tylko spojrzawszy, znać było, że, kiedy chudo, ubogo, boso, pieszo, to Malborczykowie; kiedy zaś konno, raźnie odziano i dostatnio, to Duńczykowie, albo, jak nas nazywali, Czarniecczykowie. Nawet i owych tchórzów, co od nas z granic pouciekali i z nami się iść bali, Pan Bóg ukarał, bo albo zginęli, albo stracili, tu w Polsce wojując. Na naszą chorągiew dostały się Oborniki i Mosina pod Poznaniem. Tam idąc, zaraziłem się łożną chorobą z téj okazji: Niesiono na noszach chorego towarzysza, który mój był dobry przyjaciel, z młodości znajomy, bo jeszcze w szkołach rawskich byłem, a on też do kancelaryi chodził, (i z bratem jego rodzonym miałem także dobrą przyjaźń), użaliłem się tedy owego, nie wiedząc, na co chory, a widząc, że

mu trzeba było wlec się na nocleg za chorągwią miłą, czy więcéj, prosiłem go na nocleg do mojej gospody. W kilka dni potém zachorowałem niebezpiecznie; już kompania o mnie powątpiewała, ale jednakże wielkie czyniła staranie, i nie długo potém począłem do zdrowia przychodzić. Przyjehawszy tedy do Poznania, uczyniłem Bogu dzięki, że mię do pierwszego zdrowia przyprowadzić raczył i że mi udzielał zdrowia i opieki i w obcej ziemi, gdzie mię z Jego i przeczystej Matki Jego przenajświętszej łaski i palec jeden nie zabołał. Stanęliśmy nakoniec pół chorągwi w Mosinie, a pół w Obornikach. Mnie się dostała gospoda w rynku, ale oboje gospodarstwo wielkie hultajstwo. Wyniosłem się więc od nich i stanąłem na ulicy poznańskiej u pewnego tkacza, człowieka poczciwego, u którego po owej chorobie mojej miałem wielką wygodę, bo gdy mi się zachciało ptaszków, którem z chęcią jadał, to ów człowiek i w wszystkich z domu wysłał ludzi na różne miejsca, żeby mi tylko mógł dogodzić; słowem, wszelkie usługi z wielką odprawował wdzięcznością. Przyszedłem prawda prędko do zupełnego zdrowia, ale mi téż czupryna precz wylazła. Zachowaj mię Boże drugi raz w życiu mojem takiej choroby. Skończyliśmy tedy rok stary, (1659) niech będzie imie boskie pochwalone, w Mosinie.

Rok 1660.

Rok pański 1660 zaczęliśmy, z woli Pana Boga, tamże w Mosinie, gdzie lubo nas postawiono na całą zimę po tak ciężkich pracach i tak dalekiej za bałtyckie morze wyprawie, jednakże następujące od Moskalów i Kozaków niebezpieczeństwa, nie dały nam nawet na konsystencyi ucześć Bachusowego święta. Przysyłają uniwersały już nie z gorącym rozkazaniem, ale z gorącą prośbą, przyznawając, jakieby to wojsko, za swoją odwagę i turbacye, powinno mieć odpocznienie i nagrodę, i proszą przez miłość Boga i ojczyzny, żeby tego nie mieć za krzywdę, że podczas tak tegiej zimy przychodzi wojsku ruszać, (bo już Moskale opanowawszy całą Litwę, fortece, na Podlasiu grasowali i za Warszawą się już zbierali), obiecując to dywizyi naszej

w innym razie wynagrodzić. Ruszyliśmy się tedy z konsystencyi, a przez ten wszystek czas, jak tylko dali Czarneckiemu osobną dywizyą, uczyniwszy go niby trzecim hetmanem, nigdy się nie trafiło, żebyśmy całą zimę na konsystencyi mieli przepędzić, ale ustawicznie z nieprzyjaciół musieliśmy się spotykać. A po staremu nasze wojsko zawsze było najporządniejsze i najlepsze. Takto Bóg błogosławi za szczerą dla ojczyzny ochotę! Poszliśmy tedy nie tak prosto (jak owo zwyczajnie o żołnierzach powiadają), jako sierpem cisnął, ale wielkimi drogami, traktem na Łowicz, na Warszawę, z podziwieniem wszystkich. Nie spodziewali się po nas tak ochotnego posłuszeństwa. Do króla wstępowali żołnierze w sukniach zagranicznych, postroiwszy się ładnie w żupan z drelichu, kontusz także z drelichu, jupkę z rajtarskiego koletu, bóty z niemieckimi cholewami prawie do pasa, kontusz po kolana, i ztądto był nastął ów strój krótki i bóty z podwiązkami, któryto strój niesłusznie nazywali czerkieskim, bo to właśnie musieliśmy czynić z potrzeby, żeśmy w tanych krajach krótko się nosili, co musiało być dla samych cholew, które tak są długie i szerokie; musiałoby chyba być straszdyło, gdyby owa suknia na onych długich cholewach odbijała się i na przodzie i na zadzie; bótów téż tam polskich nie było, bo wojsko komunikiem poszedłszy, każdy w tych puścił się, co je miał na nogach, a które jednakże nie mogły być tak trwale, żeby przez ten wszystek czas dosłużyły do powrotu do Polski. Ten strój obrócił się w modę, bo zaraz suknie choć najpiękniejsze kazano robić krótko, i bóty, choć polskie, to z długimi cholewami i z podwiązkami, które były srebrem, złotem, rubinami, dyamentami sadzone, na jakie kogo mogło stać. I dla tego, żeby widziano podwiązki, to już i suknią krótką kazano robić, a zaraz się tego wszyscy chwycili, nawet szewcy i krawcy; bo u nas w Polsce taki zwyczaj, że choć kto suknie na nice wywróci, to mówią, że to moda, i potem ta moda ma wielką powagę u ludzi, póki nie przyjdzie do prostych ludzi. Co ja już pamiętam odmiennój coraz mody, w sukniach, w czépkach, w bótach, w szablach, w rządzikach i w każdym aparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, w gestach, w stą-

paniu i witaniu, o Boże święty, nie spisałby tego na dzie-
sięciu skórach wołowych! Jestto wielka lekkomyślność na-
rodu naszego i wielkie ztąd pochodzi zubożenie. Mógłbym
tego ubioru mieć na cały wiek i dzieciom by się dostało,
kupiwszy raz u cudzoziemców, aż tu za rok albo i prędzej
nie moda, nie tak zażywają, więc psuj, przerabiaj albo
na tandetę daj, a inne sprawiaj, bo musiałbyś się w nim
chyba tylko między domowymi ścianami prezentować, ale
między ludzi wyjechawszy, to się dziwią, jak wróble na
sowę patrzą, palcem skazują i mówią, że ten ubiór pamięta
potóp. O domach i ich wymysłach nic nie mówię, bobym
mógł całą księgę tą materją zapisać. Ta tedy moda, którą
my wnieśli z Danii z potrzeby, weszła u wszystkich w zwy-
czaj. Gdy żołnierze przyjechali w tym ubiorze do Warsza-
wy, nie mogła się im nadziwić królowa Ludwika i damy
dworu, obracając ich sobie i oglądając do koła i bardzo się
ciesząc. Choć też drugi miał dobrą suknię, to się jednak
ustroił w pstry drelich, kiedy co chciał wydrwić na królu.
Dano nam tedy natenczas zasług ze skarbu za dwie tylko
ćwierci roku, które co odebrawszy, pojechałem do rodzi-
ców prosto z Łowicza, trzy mile za Rawę, do Bielin, gdzie
stałem zdrowo i w fortunie pewnie dobrój. Witali mię
rodzice z tak niezmiernym płaczem, że do godziny utulić
się nie mogli. Przywiozłem tedy różnych osobliwości do
domu, osobliwie numizmatów, których tu u nas w Polsce
nie ujrzy. Damie też swojej, cośmy się w sobie kochali,
pannie Teressie Krosnowskiej, podczaszance rawskiej, przy-
wiozłem w podarunku trzewiki drewniane lipowe; kupiłem
na nie umyślnie w Poznaniu puderko piękne, sztukę mi-
sterniej roboty, hebanem i perłową macicą nasadzone, ada-
maszkiem karmazynowym podklejone, i tak to oddałem za
wielką osobliwość, z piękną mową pana Franciszka Olta-
rzowskiego, towarzysza i sąsiada mego, któryto wywiódł
dosyć ładnie pierwej niżeli pokazał, co tam jest wewnątrz
w puderku, i jako nigdy w Polsce niewidziany oddał pre-
zent. Oni też biorąc miarę z pięknego puderka, spodzie-
wali się, że to tam coś dziwnego i drogiego obaczą. Mó-
wił tedy w ten sens, (lubo całej niepodobna pamiętać:)
„Wolentarz to jest w ciele ludzkim affekt, moja wielce

mością panno, który od inszych zmysłów żadnych nie przyjmując ordynansów, swoją własną rządzi się imprezą, i na którąkolwiek stronę zechce i sam siebie i serdeczną może nakierować inklinacją. Niech przez wysokie przeprawia się Alpy, niech bystrych rzek przepływa nurty, niech między bezdennemi niezbrodzonego Oceanu zabawia się głębokościami, ma jednak swój cel, do którego uprzejmém serca swego zmierza okiem, do którego choć w odległości swoje życzliwe zwykł akkomodować intencye. Takich nie omieszkując sposobów, któremiby swoją mógł wyświadczyć przysługę jmc pan Pasek, brat i towarzysz mój, z tak dalekiej od granic ojczystych ziemi przybyły, jakimby miał waćpannie przysłużyć się prezentem, długo deliberował, bo przywiózł z dalekich krajów to, co lubo z drogocności i ceny ma wysokie u ludzi zalecenie, ale że w Polsce zdawna znajome nie specyał; przywiózł z krajów tych to, czego u nas i wśród Polski nie dostanie; nie modę, ale taką osobliwość, której jeszcze i dotąd nie widziała Polska, to jest specyał. Niech się odważny Jazon złotém popisuje runem, po które do Kolchidy rezolwował się, czyniąc to dla swėj sławy; niech Hippomenes, przez wyrznięcie złotego jabłka, gładką pozyskuje przyjaźń Atalanty; ale tamte podarunki z tym wchodzić nie mogą w paragon; czemuż? bo to tam były specyały, żadnego w sobie nie mające rarytetu, ale z samego tylko zrobione złota. Ja zaś poszczycić się mogę, że oddaję imieniem mego brata tak niezwyuczajny prezent, którego pewnie ani w królewskich, ani w cesarskich nie znajdzie skarbnicach; którego równego i sama na cały świat sławna i wymyślna strojnica, Kleopatra, nie zażywała i nie miała. Co i W. M. Panno sama przyznasz to snadnie, tak niezwyuczajny obaczywszy specyał. Prosi tedy przezemnie, abyś W. M. Panna tegoż zażywając zdrowo, wdzięcznie przyjąć raczyła.“ Rozumieli tedy, z owego zalecenia biorąc miarę, że w owém puzderku nieoszacowany znajduje się klejnot; ale skoro zobaczyli trzewiki drewniane, z wielką je po staremu przyjęli wdzięcznością. Do widzenia ich wszystka prawie krewnych, przyjaciół i sąsiadek zjeżdżała się kompania. Odprawiwszy tedy dni Bachusowe w dobrej komitywie, z dobrymi sąsiadami, a osobliwie z Mikołajem

Krosnowskim, podczaszym rawskim, który często bywał u rodziców moich, my też nawzajem u niego, pojechałem za chorągwią, lubo kochanka moja chciała, żebym dłużej u niej zabawił, ale cóż, kiedy natenczas taka była karność w naszej dywizyi, że Panie zachowaj oddalić się na dłuższy czas od chorągwi towarzyszewi, albo na stanowisko lub do obozu nie wprowadzić i nie wyprowadzić już chorągwie pogotowiu, już okazyi omieszkać, zaraz sąd, zaraz pokuta, zaraz do artykułów, i jużby to nie był oficer, gdyby ich zawsze w kieszeni nie miał. Dogoniłem tedy chorągwie i wszystko prawie jakby w kupie było, chorągiew od chorągwi bardzo gęsto. Jakiśmy weszli na Podlasie, Moskale ustąpili ku tyłowi, czyniąc z Trubeckim i Horskim zabiegi około Kobrynia i koło Brześcia. Przyszędł nareszcie ordynans od króla do wojewody, aby na święta wielkanocne rozłożyć wojsko brzegiem Podlasia w dobrach ślacheckich i żyć za uproszeniem, co kto da z dyskrety, bo już dobra królewskie i duchowne nie mogły wystarczyć, będąc zniszczone od nieprzyjaciela i od wojska litewskiego, ponieważ też i wojsko z dywizyj hetmańskich po stanowiskach daleko stało, i byle przecie tę ścianę od Warszawy zasłonić, a być pogotowiu do ruszenia zaraz po wielkiénocy. Dostało się nam tedy na wytchnienie miasteczko Siedlce, własność jmc pana kasztelana zakroczymskiego, a na przystawstwo trzy parafie ślachty całkiem ubogiej. Mnie zaś, wraz z panem Wawrzyńcem Rudzieńskim, który potem u nas chorągiew nosił, deputowano do pisania gospód i podzielenia owego ubogiego przystawstwa. Pojechalśmy. Przyjęto nas z chęcią powszechną, bo tak już Litwini zaprawili w tę ryzę ślachtę w tamtych stronach, że ją prawie w chłopów obrócili. Stanęliśmy tam na niedziele środopostną. Najpierwśmy odwiedzili i oddali honor samęj jéjmość pani kasztelanowój, bo blisko mieszkała, zaraz przy mieście, w majątności nazwanój Strzała. Sam zaś kasztelan mieszkał tam gdzieś daleko. Zawsze oni osobno mieszkali, bo pan sam miał na czas obląkanie zmysłów, a do tego, że majątność siedlecka była własnością i dziedzictwem pani kasztelanowój, z domu Wodyńskiój. Do której jadąc, mówiliśmy sobie: będą bronić stacyi z przy-

czyń, że to ziemskie dobra; aleć jakeśmy powiedzieli przyczynę przyjazdu i assygnacyą pokazali, najmniejszego sporu nie było, lecz owszem wszelką pokazawszy wdzięczność, uczęstowano i pozwolono. Powróciwszy do miasta zaraz nazajutrz, rewidowaliśmy gospody. Mieszczanie, którzy czytali assygnacye, wiedzieli, które parafie dano nam w przystawstwo. Ślacha dowiedziawszy się o nas, z każdej wsi przyjechało ich po dwóch witać deputatów imieniem innych swoich braci, bo tych jest i 50 i 60 domów w jednej wsi; przywieźli oraz owsa, chleba, oleju i t. d., choć im o to nic nie mówiono, prosząc o respekt, żeby się łaskawie z nimi obejść. Jaki taki prosił o dobrego pana do swojej wsi, bojąc się, żeby im tak nie dokuczali jak Litwini. Rozpisaliśmy gospody we wtorek, pojechaliśmy do wsi we środek, jeździliśmy do piątku, a po staremu nie skończyliśmy owego objeżdżania, lubo wsie gęste i blisko siebie są, bo ich jest i po trzydzieści w parafii; wróciliśmy się tedy do miasta, rozkazawszy, żeby z każdej wsi po dwóch przyszło, ażeby mieli kwity poborowe, żeby się z nich można informować, która wieś więcej a która mniej ma gruntów. Zaraz tedy nazajutrz stanęli, ale że musieliśmy wyjechać przeciwko chorągwi; która nadchodziła, aby ją wprowadzić, oni musieli zatem czekać. Usiedliśmy nareszcie w niedzielę białą, po ranniej mszy, nad owemi kwitami, i mieliśmy z nimi aż do wieczora do czynienia, a jaki taki o dobrego prosi pana; ten obiecuje za to gęs, ów kapłona, inny znowu baranka na święta. Każdemu z osobna powiedzieliśmy sekretnie, żeśmy mu przeznaczyli najlepszego ze wszystkich i nienaprzykrzonego towarzysza, to ów dziękował, to pocztę deklarował. Ci panowie ślacha nie odeszli prędkiej, ażeśmy popisali assygnacye i pooddawali kompanii; tak zaś byli słowni, że cokolwiek imieniem swojej wsi obiecali, wszystko poodwozili w wielki tydzień. Nawieźli tedy nam deputatom tyle, że choćbyśmy byli nie nie wzięli na swoje poczty, tobyśmy się jednak mieli dobrze i wielu przy sobie pożywili. Kiedy zaś przywieźli prowiant, to zaraz przy nim przyszło 30 i 40 ślachty. Towarzystwo téż przez wzgląd, że ślacha bracia i znowu zaś, że dają prowiant a nie powinni by byli, zapraszali ich i częstowali za

to; ci czasem więcej wypili, niżeli przywieźli, ale zaś w nagrodę ochoty znowu przystali, choć nie proszono. Pod niebiosa nas wynosili, mówiąc, że to pana Czarnieckiego żołnierze anieli, a Litwini diabli. Już tedy, co się dopraszali każdy z osobna o dobrego, nie mogli się domagać żadnego złego, co ich bardzo cieszyło. Było to przystawstwo po staremu niezgorsze, czyli raczej (jak to u nas nazywano) wytchnienie. Ja obrałem sobie wieś Strzałę, majątność pani kasztelanowej, tam gdzie jej rezydencya, bo sama o to prosiła. Poczciwa ta pani nie tylko mi udzielała chleba, ale kazała mi nawet mieszkać tak długo, póki się nie ruszy chorągiew. Wieś ta była blisko miasta i dawano z niej wszystkiego dla czeladzi i koni, co tylko mogli spotrzebować. Ja tylko sam jadałem i pijałem we dworze w konwersacyi arcy szumnój, jako w raju. Była to pani zacna, pełna poczciwości i bardzo wesola; miała jedyną córkę, dziedziczkę, która potem poszła za Oleśnickiego, podkomorzycy sandomierskiego. Na każde święto kazała prosić przezemnie kompanii, do mego przystawstwa, na karty, na taniec, bo miała muzykę swoją i pańien nadwornych kilkanaście, które były z domów zacnych i miały dobre posagi. Majątek córki jedynaczki wynosił kilkakroć stotysięcy, o którą począł się był najpierw starać Stefan Czarniecki, starosta natenczas kaniowski; wszedł w tę konkurrencyą z natchnienia pana wojewody, stryja swego, który go wyprawił bogato na tę kommandę z obozu, dawszy mu kupę grzechnych żołnierzy do boku, alieć nie poszczęściło mu się; znać nie było woli bożej. Powiadano mi potem, że się dla tego nie udało, iż pan starosta bardzo humorem i marszem nadrabiał, poszła zaś tegoż roku za pana Oleśnickiego, podkomorzycy sandomierskiego. To przystawstwo widziało mi się dniem jednym, że to w dobrym bycie, i takiego drugiego przez całą służbę nie miałem, bo mi nawet i wozy naładowano takimi specyałami, jakich nie w obozie, ale przy domowych tylko wyweczasach zażywają, i do obozu pod Kozierady, pókiśmy tam stali, (bo tylko mil 6 było) przysyłano. Dostyc na tém, nie wyświadczyłaby tego ładajaka matka. Mąż tej zacnej pani, tento pan kasztelan zakroczymski, był także człowiek ludzki, wielce dobry żoł-

nierz i mąż doświadczony, tylko że mu się to głowa była napsowała, i dla tego osobno mieszkali, tę jedną tylko spłodziwszy córkę. On swojemi zarządzał majątnościami, a ona też swemi, i każde z nich osobną miało assistencyą. Póki był zdrow, to taki był bitny mąż, że go się wszyscy bali. Trafiło się raz, że chorągiew Karola Potockiego, dobrze okrytą, wybił wstępny bojem, w samo dziesięć tylko pojechawszy, i powiedział im: „nie w mojej wsi, żebyście nie mówili, iż w kupę ufam, ale w polu was czekać będę,“ i tak uczynił. Zjechawszy się, wyzwiał porucznika. Odjechawszy od chorągwi, rzekli sobie: „na szable.“ Dojechał porucznika, ciał go dwa razy, aż z konia spadł, a wtém skoczyła chorągiew hurmem, wytrzymał ich, a potem z ową swoją dziesiątką jak począł ich łamać, naskiła, nabił, chorągiew i kotły im wziął i to odesłał hetmanowi. Nie czynił on nic złego, jak to szaleni czynią, ale tylko uczynił się jakimś okrutnie nabożnym; przyszywszy bowiem na czapce passyjkę, to idąc z nią przez kościół lub przez izbę, na nikogo nie wejrzał, nikomu się nie skłonił, tylko obiema rękami trzymając owę czapkę z passyjką przed oczyma, na nią patrzył; szedł zaś z nim chłopiec z mieczem, tuż przy jego boku. Nigdy on się nie rozśmiał, bo słudzy, co mu po kilkanaście lat służyli, powiadali, że go nigdy śmiejącego nie widzieli. U żony bywał, ale nocować nigdy nie chciał; obiad i wieczerzą zjadłszy, pojechał na całą noc o 4 mile do domu. Wymówił też czasem mądrze, czasem głupio. Przyjechał raz do żony w obiad; było nas u stołu czterech towarzystwa; dano znać, że jęgomość przyjechał; ja rzekłem: „wielmożna pani, pójdziemy witać?“ ona odpowiedziała: „nie trzeba tego czynić, on tego niegodny.“ Wszedł tedy do izby z ową powagą i nabożństwem, trzymając czapkę z passyjką przed oczyma; prosto do swojej jęności przyszedłszy, klęknął na kolana; ona mu głowę ścisnęła jako biskup, bo taki był zwyczaj, i klęczałby tak długo, póki by tego nie uczyniła. Siedział wedle jęności towarzysz nasz wielce grzeczny, stary już, Kościuszkiewicz, Wołyniec, osoba wielce poważna, choży, wysoki, broda do pasa; wstawszy kasztelan, rzekł do tegoż Kościuszkiewicza: „czolem mości panie hetmanie!“ To-

warzysz odpowie: „czołem mości królu!“ i podali sobie ręce. Potem pyta: „a jmc pan Pasek jest tu?“ Ozwę się: „jestem sługą w. mm. pana dobrodzieja.“ Podał mi także rękę i ja mu, i rzekł: „domysliłem się też zaraz, żeś to waćpan, gdyż mi powiadano, żeś młody.“ Dalej mówił: „Jam tu przyjechał podziękować waćpanu za to, że tu jesteś opiekunem żony mojej.“ A ów miecz zaraz mu pod łokciem chłopiec trzymał. Odpowiedziałem: „nie uzurpuję sobie tej godności, żebym miał być protektorem jejmości, albo poddanych w. mm. pana, natenczas zostających w moim przystawstwie.“ Mówił dalej: „tak trzeba, tak Bóg kazał z nieba.“ Wtém odezwał się Kościuszkiewicz: „Mości panie kasztelanie! w. mm. pan jako gospodarz racz usiąść i nam też usiąść rozkaż, bo potrawy na półmiskach poziebna.“ „Zgoda mości panie wojewodo, i ja też jeszcze nie jadłem,“ odpowiedział kasztelan, podawszy owę kompanii rękę, których jeszcze nie witał, a którzy wedle Kościuszkiewicza siedzieli, i poszedł usieść do samych drzwi. My się tu ruszamy i prosimy go wyżej. Żona mówi do nas: „daremma turbacya, bo on tego żadną miarą nie uczyni i pojedzie, mając już taki zwyczaj.“ Siedział więc za wszystkimi sługami żoninemi i za naszą czeladzią; jadł, pił dobrze, a z każdym kieliszkiem poszedł pierwój do żony o pozwolenie, klękawszy, a ta mu głowę ścisnęła. Prawił jedno do rzeczy, a drugie ladaco, mając zawsze przy boku owego chłopca z mieczem, na który ja pilne miałem oko, bo to przecie z szalonym dziwna sprawa. Po skończonym obiedzie, rzekł: „Jasnie wielmożna mościa pani i dobrodziejko, albo to waszmość muzyków nie masz, że tak nie wesoło?“ Odpowiada: „Są, mości panie, ale stron nie mają za co kupić.“ Rzekł: „wołaj ich do mnie Brzeski.“ Gdy przyszli, sięgnął do kieszeni chłopca, co miecz trzymał, i dał im trzy czerwone złote, a ci zaraz grać zaczęli. Poszliśmy w taniec, kłaniając mu się, a on zęgnął nas owym krzyżykiem i pił. Skoro podpił, to już i słowa do nikogo nie przemówił. Odjeżdżając, znowu przed żoną klękął i pojechał. Ona poczęła płakać z tego żalu, że to przecie mając przyjaciela, jakoby go nie było, kiedy nie z takimi jako ludzie jest postępkami. Póki jeszcze był nie odjechał,

rzekł do niego towarzysz nasz, pan Łącki, Litwin: „Czemu téż w. mm. pan w domu swoim nam nie dopomagasz weselić się?“ On uderzywszy dwoma palcami w miecz, odpowiedział: „ja z tą tylko jedną panną zwykłem tańczyć; gdybym z nią poszedł, mogłoby się to komu nie podobać.“ Dał mu tedy pokój i nie zapraszał go już więcej do tańca. Powiadano, że on i w domu podpiwszy sobie, każe grać muzyce, a z mieczem różne sztuki szermiercze wyrabia, to przystępując, to odstępując, i to tak długo, póki się nie zmorduje. Jak o nim powiadają, miało być szermierz doświadczony.

Stojąc w Siedlcach umarło nam dwóch towarzyszków, starych żołnierzy, tojest pan Jan Rubieszowski i pan Jan Wojnowski. Rzecz dziwna, że ci dwaj ludzie tak z sobą żyli, że jeżeli się temu dobrze powodziło, to i temu; jeżeli temu źle, to téż i temu. Obaj byli Mazurowie, obadwa starzy, obadwa żołnierze, obadwa Janowie, obadwa żonaci i podle siebie w rejestrze, i obadwa jednej fantazyi. Gdy nas w nocy pod Chojnicami napadli Szwedzi, obudwóch porabali, rapierami pokłóli i za umarłych na pobojowisku zostawili, jednakże obadwaj z tak ciężkich ran wyleczyli się i obaj razem królowi za pogrzeb dziękowali. Bo król widząc po okazji tak ciężkie ich pokaleczenie, kazał im dać 600 złotych, mówiąc, że to daje na pogrzeb, nie na leczenie. Przy podziękowaniu wzięli znowu od króla po tysiącu złotych, wojnę kontynuowali, w Danii z nami byli, i jakoby kontrakt szczęścia między sobą zawarli, razem téż obaj w Siedlcach zachorowali i jednego dnia pomarli. Gdy im tedy ostatnią należało oddać usługę, Jan Domaszowski sprawił im pogrzeb, jakiego porucznik nasz, jakiego senator nie może mieć foremniejszego, w przytomności okolicznej szlachty i żołnierzy, także wielu duchowieństwa, w kościele siedleckim. Z woli tedy porucznika i kompanii, mnie, jako Janowi, kazano także zapraszać na chleb żałobny gości. Zacząłem tedy takim sensem, nie bardzo wiele mając czasu do należytego przygotowania, bo mi owa moja stacya była na przeszkodzie, będąc zapraszany coraz to w karty, to w szachy, to w arcaby, alem się przecie starał, żeby nie podrwić, bo wiedziałem, jaki miał być ludzi napływ; wie-

działem i to, że miał od gości mówić pan Gumowski, podczasy, wielki mówca, a od wojska zaś kondolencją pan Wolborski, porucznik starosty dobrzyńskiego, Rokitnickiego. Zacząłem tedy:

„Któreby téj konstytucyi opponować volumina, przed którymi uskarżyć się parlamentami, u któregooby z najpotężniejszych świata tego monarchów szukać protekcji od nieuchromnej na naród ludzki śmiertelności oppressyi? Nie wiem, sposobu nie znajduję, ale widzę, że ani prawo nikomu w tém pomódz nie może, kiedy czytam na hieroglyfiku rzeczypospolitej genueńskiej: „Parka dumna, trzymająca kosę w groźnej ręce, pokazującą napis: „Prawa! czytam, królowie! panuję; sędziowie! sądzę.“ Któż się takiej sprzeciwić może potencji? Zgoła, dla ceremonii tylko, równemu przed równym, człowiekowi przed człowiekiem, śmiertelnemu przed śmiertelnym swojej użalić się dolegliwości; potem zamilczeć i przestać, ponieważ „możemy się użalać na los, ale go zmienić nie możemy.“ Prawda, że to jest ciężkie rozstanie, kiedy wrodzone krewności nie wytrzymają kolligacyi, kiedy rozrywają się miłości związki, kiedy ojciec syna, syn ojca, towarzysz towarzysza najpoufalszego, odstąpić musi; ale cóż z tém czynić? kiedyto ludzkiej doli taką własność przypisuje Arystoteles: „Człowiek jest wzorem nieudolności, łupem czasu, igrzyskiem fortuny, obrazem niestateczności, nienawiści i nieszczęść przedmiotem.“ Ciężkito jest wprawdzie na chorągiew naszą rok, dwóch razem téj matce tak dobrych pozbywać synów, ciężki i nieznośny ojczyźnie poroxyzm takich przez niedyskretne losy razem i naraz uronić wojowników, którzy najniebezpieczniejsze jej pożary hojnie swoją w każdym okazyach krwią gasili. Przykra całej kompanii strata! tak dobrych, poufałych, nikomu nie uprzykrzonych, w każdej z nieprzyjacielem utarczce podle boku pożądaných i do wytrzymania wszelakich ciosów doświadczonych postradać kawalerów. Ale, ponieważ sama litera święta taką całemu światu podaje naukę: „Zeźnać należy źniwo, tak potrzeba każe,“ dla tegoż: „potrzebę znosić, a nie płakać należy.“ Mając przed oczami konstytucją, a umówioną przed wieki ziemi z niebem ugodę, że nam tam deklarowano „ożyć przez

śmierć.“ Że nam tam obiecują do powszechnego powrócić towarzystwa. „Nadejdzie znowu dzień, który nam światło powróci.“ Było to prawo w ateńskim państwie, że się nie godziło oddawać zmarłego żołnierza ziemi, pókiby wprzód na najgromadniejszym zebraniu przez swoich nie był chwalony, i dokładają tam: „Chwalony był od tego, który najwymowniejszym był z całego wojska.“ Gdyby przyszło na tém miejscu strykte obserwować tamtych ludzi zdanie, przyznam się, żeby mi ciężką musiała przynieść konfuzyą na mnie prostaka włożona od oficera mego prowincya, albowiem więcej tém sławy ujmuje, kto czyje sławne i światu widoczne nie tak dostatecznie, jakoby potrzebowały, chwali czyny. Ale że „żelazny młotek tłucze złote pieniądze i pogardzana jest pycha,“ dla tegoż choć nieudolna Minerwa moja, tumanem saletry zakurzona i surowością impetów bałtyckich świeżo zhukana, rezolwowała się chwalić swoich współżołnierzy, ś. p. jmc pana Jana Rubieszowskiego i jmc pana Jana Wojnowskiego, lubo niegodnie, jednak najgodniej, z pamięci na zmarłych którzy z młodości zaraz swojej, ledwie tak rzec nie mogę, że prawie z powicia, bo w chłopięcych latach, nie wdając się w pieszczonęj Pallady przyjaźń, udali się ochotnie do przykrój i krwawej Bellony palestry. Tym zabawom poświęcającemu się, najmniejszego czasu nie zostaje dla Apollina. Starych, polskich wojowników trybem, jako ślachtetnego orla piskłeta, ostrego za dyrektora obrali sobie Gradywa; jemu swój cały obligowali wiek; jemu siebie za dożywotnią poświęcili ofiarę. Bo cecorskie, chocimskie, żółtowodzkie, już za towarzystwa odprawiwszy okazy, w niezliczone potem różnych na ojczyznę następujących nieszczęśliwości wdali się labirynty, o których gdyby szczegółowo mówić przyszło, całodziennego o każdej z tych okazji nie dosyćby było dyskursu, kiedy owe korsuńskie, zbaraskie, batochowskie, tak ciężkie na ojczyznę przepłynąwszy wylewy, tak nieszczęśliwe na stan rycerski strawili lata. O których owego wieku żołnierzach takie było powstało zdanie, że kto z tych okazji zdrowo wyszedł, jeżeli przedtém nazywano go Sokolem, mógł bezpiecznie tytułować się Fenixem. Nie dosyć na tém, chciwy sławy Animusz szuka uporczywie niebezpieczeństw. Nie

ustraszyla ich w owych przeszlych kampaniach zagniewanej fortuny srogość; ida dalej w owe beresteckie, bialocerkiewskie, mohilowskie, żwaniemieckie okazy. I tam synowie dobzy dla ojczyzny zdrowia swego nie żalowali. O takich to znać żołnierzach gdzieś tam napisano: „Meża przymiotem jest waleczność; dwie główne cnoty jego są: pogarda śmierci i bólu.“ Nuż dopiero jak nastąpiły szwedzkie, moskiewskie, węgierskie wojny, co rzeke o owych trzemeszeńskich, grodeckich, wojnickich, gołębskich, wareckich, gnieźnieńskich, magierowskich, czarno-ostrowskich i innych wielu okazyach, z jaką tam rezolucją i z jakim umysłem ponosili przeciwności losu i niewczasy, już w tém, jako koło późniejszych okazyj, nie trudno o wielu świadków. Tymbyto zacnym kawalerom przypisać można to, co Alexandra Wielkiego żołnierzom: „Gdy żołnierz gardzi dostatkami i bogactwami, toczy boje w karności i ubóstwie, znużonemu służy ziemia za łożę; używa za pokarm, co ma.“ W tych zacnych kawalerach widział świat pomienione przymioty, przy nieskąpém zawsze krwi i zdrowia swego szafowaniu. A osobliwie téż już pod Chojnicami, więcéj, niż potrzeba, od ręki nieprzyjacielskiej otrzymawszy, otoczony od mnóstwa, Rubieszowski, czterdziestą kilką razów strzelanych, sztychowych i rapierami sieczonych na pobojowisku położony za nieżywego, którego gdyśmy z placu zbierali, to ten zacny kawaler do pół boków prawie w swojej pławił się krwi, tak że w niej ledwo nie spłynął. Lubośmy wszyscy rozumieli, że po tak ciężkiem pokaleczeniu już téż obmierzi sobie wojnę, ale nie, bo „męstwo hartuje się ranami;“ jako mówią, piłka a męstwo bite większy impet bierze. Nie ustawa odważny Cyrus w przedsięwziętej imprezie; Kodrus pozbył zdrowia dla ojczyzny, i ztąd mają na cały świat wieczystą sławę i zalecenie; a ten wszystko pokaleczone ciało niesie na ostatnią ojczyzny ofiarę. Kapała Thetis Achileśa w jakichś tam wymyślnych wódkach, żeby go żadne zabić nie mogły oręże; ja tak bezpiecznie moralizować mogę, że tegoto Achileśa, naszego ulubionego współżołnierza, poważniejsza, jakaś od tamtych przyprawnych wódek, krew Chrystusowa, konserwowała kąpiel i od tak ciężkich ran zginąć niepozwołała. Nie wywodzę tu genealogii, bo i tak

podobno naprzykrzyłem się czasowi, choć o samém tylko ich życiu dosyć lakonicznie namieniłem, wielką sławę, jako wielki dzwon, w sam tylko brzeg małym bardzo sercem dotykając. Niechaj będzie dosyć, że zaczął województwa mazowieckiego porodzić się szlachtą, których urodzenie choćbym chciał wywodzić, nie mogę, bo mi nie pozwala czas i licha moja wymowa. Ponieważ wielkich ludzi podziwiać, a nie chwalić należy, krótkiej tylko, jako niegdy Salustius do Kartaginy, do tych przeznacznych familiantów zażywszy apostrofy: „O waszej sławie lepiej jest milczeć, niżeli mało co powiedzieć.“ To tylko przydam, że kto tak wiele prowadzi, tego ślachectwo jest podwojone. „Owi są prawdziwą szlachtą, którzy nie tylko samém urodzeniem, ale i cnotą są ślachetni.“ A teraz chwalebni zmarli w wiekuistą zabrawszy się kompanią; żegnają przezemnie wszystko wojsko, jako swoją szkołę. Żegnają chorągiew matkę i miłą swoją kompanią, z którymi równie wdzięczno im było i przeciwności i pomyślności ponosić. Żegnają wszystkich krewnych i swoje pozostałe potomstwo, życząc, aby tym samym sposobem postępując i ojczyźnie służąc, dni wieku swego prowadzili. Żegnają wszystkich wielmożnych panów, na tém miejscu zgromadzonych, i wielce dziękują, że jako chrześcijanom, chrześcijańską wyświadcając życzliwość, raczyliście zrobić im tę usługę, ostatnie światu dając: Bądź zdrów, nowój zaś wieczności: Witam cię. A że się tam ktoś ważył o sobie mówić: „Nie cały umieram, i wielką część mnie ochroni Libityna.“ Toż nasi współżołnierze zasłużyli u świata i do wspanów swoje przysyłają proźby, ażeby zasługi ich w słodkiem wspanów nieobumierały wspomnieniu, ponieważ „umysł i sława nie mogą być pochowane.“ A po tych wspanów fatygach i wyświadczonej pobożnie zmarłym łasce, żebyście wspanowie w domu żałoby swojej nie raczyli odmawiać przytomności, imieniem jmc pana poręcznika i całej kompanii uniżenie proszę.“

Jakem ja skończył, mówił pan podczaszy Gumowski bardzo wymownie, uczenie, ale sobie pomieszał sens i związek, i zaraz to było widać, kto się znał na rzeczach. Duchowni postrzegli to także. Omawiał się potem kształtnie, narzekając na mnie, że mu wziął kilka probacyj do jego

mowy należących, i już musiał wyrzucać te, które odemnie słyszano. Przytoczył i to, jako jest ciężka rzecz architektowi, kiedy mu kto do założenia fabryki już przyciesane i ocheblowane weźmie drewno. Domyślili się wszyscy tego terminu, i bywało tak często, że orator oratorowi zabierze materyą. Od wojska zaś miał kondolencyą pan Wolborski, porucznik starosty dobrzyńskiego. Tak tedy pochowawszy owych kolegów, na poczet pana Rubieszowskiego przyjechał pan Wąsowicz, jego krewny, a zaś pana Wojnowskiego poczet i zasługi żonie odesłano.

Przyszły potem do ruszenia uniwersały, żeby się choraźnie ściągaly pod Kozierady, bo też już i o Moskałach były wiadomości, że się kupili. Stanęliśmy tedy pod Kozieradami na trzy niedziele przed świątkami. Wojsko było piękne i dobre, tylko że, jak Lutrzy mówią, mała kupka, bo nas tylko 6,000 było w dywizyi pana Czarnieckiego. To cudowna, że kiedy mi zbudowano chłodnik przed namiotem z brzozowego chrustu, zaraz w tymże dniu począł sobie robić gniazdo trznadel u samych drzwi mego namiotu a w płocie owego chłodnika i jawnie na gniazdo znosił między gęstwą ludzi; zbudowawszy je, zasiadł na swoich jajkach i wylął młode. W owym chłodniku był stół z tarcie na soszkach zrobiony; u tego stołu jadano, pijano, karty grywano, strzelano czasem, wołano, a ptak siedział i nie bał się najmniejszej rzeczy, choć to było zaraz w rogu stołu; gdy mu się jeść chciało, to przed rumakiem owies zbierał. Wysiedział tedy owo swoje potomstwo, wychował i wyprowadził. Wszyscy mówili, że to znak jakiegoś znamienitego szczęścia; aleć było szczęście, lecz ptakowi, co się spokojnie wylął, ale nie mnie, bo mię takie ogarnęły kłopoty, z których ledwom wybrnął, i po staremu z wielkim fortuny mojej uszczerbkiem, bo jak pod Kozieradami zaczęły mi się kłopoty i szkody, tak aż do końca nie opuszczały mnie. Towarzystwo półkowe, panowie Naczyńscy, pili u brata swego ciotecznego, pana Marcina Jasińskiego, towarzysza naszego; mnie też tam był zaprosił na tę ucztę pan Jasiński. Bodajby jój nie było! Podpiwszy bowiem mocno Naczyński, począł mi dawać okazye. Ja lubom tak był pijany jak i oni, rzekłem jednak do Jasiń-

skiego: „Panie Marcinie, nie miałeś mię tu waszcć po co prosić, kiedy przytyki dają i miodem oblewają,“ i wyszedłem z szalasu, chcąc ujsć licha, to tylko jeszcze wymówiwszy: „kto ma do mnie pretensyą jaką, wolno mu powiedzieć to jutro, a nie popijanu.“ Jużem był na pół drogi, dogonił mię Naczyński i rzekł: „Bij się ze mną.“ Odpowiedziałem: „Panie bracie! nie bardzo byś mię waść leniwego uznał, ale dwie są przeszkody: jedna, że tu obóz, druga, że szabli nie mam, bom poszedł do towarzysza swego na posiedzenie, nie na żadną wojnę; ale tak, jeżeliby nie mogło być inaczej, jutro rano, za obozem, nie w obozie.“ Idę tedy do swego szalasu, onego zaś jego wyrostek hamuje i trzyma; lecz dawszy on wyrostkowi pięścią w twarz, wydarł mu się i przyszedł za mną. Musiałem wynieść szablę, a starłszy się, co ten tnie, to mówi „zginiesz!“ ja zaś mówię: „Pan Bóg tém rządzi.“ Za drugim, czy trzecim cięciem, dosiłem mu palców i mówię: „widzisz, żeś znalazł, czegoś szukał.“ Rozumiałem, że się tém będzie kontentował, lecz on albo tego nie czuł jako pijany, lub też chciał się zemścić, skoczył znowu do mnie, machnął raz i drugi, a już mu krew na twarz pluska; jak go tnę przez puls, wywrócił się. Wtém dano znać do pijanych, którzy rozumieli, że na przechód wyszedł. Przypada młodszy brat, a widząc, co się stało, pocnie gęsto i często przycinać. (Pan Bóg zaś patrzył na mą niewinność.) Zetrzemy się z sobą; i ręka i szabla upadła. Towarzysze także poprzymadali, ale już było po charapie. Przyszedł potem Jasiński, gospodarz tój ochoty, i krzyknął: „A zdrajco! pokasałeś mi braci; pójdź jeno ze mną.“ Rzekłem mu na to: „czego szukali, znaleźli.“ Począł wołać o szablę, bo nie miał jój przy sobie, a mię za rękę prowadził. Kompania perswaduje mu: „Tyś gospodarz, powinienbyś był te rzeczy zagodzić; nie czyni tego.“ Żadnym sposobem perswadować sobie nie da; prowadzi mię. Tymczasem przyniósł mi szablę chłopiec. Po prostu bałem się go, bo w oczach całej chorągwi, przed kilką niedziel, Pawła Kosowskiego, naszego towarzysza, posiekl. Wyszarpnę mu tedy rękę, stanę osobno i mówię: „com ci winien; zaniechaj mię!“ Towarzysze go trzymają, ale jak pchnie Dro-

zdowskiego, puścili go, mówiąc: „idźże, niech cię zabije.“ Była tam rzeczka wąska, przez którą trzeba było przechodzić, i kładki przez nią wązkie położone. „Tam jeno, tam, przejdźma sobie, aż pod on las; kto kogo położy, żeby się już nie wracał do obozu;“ woła Jasiński, i popchnął mię na ową kładkę, mówiąc: „idźże ty wprzód.“ Tylkom wszedł na ową kładkę, ten mię z tyłu ciał w głowę, ale że w czapce axamit wenecki przedni był, Pan Bóg zachował, że nie przeciał, tylko w jedném miejscu trochę axamit puścił, a zład powstała pręga: jakby od bicza; zamroczył mię jednak tak, żem spadł z owęj kładki w wodę. Umknąłem się z owego miejsca, bojąc się, żeby mi nie poprawił, i na tamtę stronę dobywam się, mówiąc: „Boże! widzisz moje niewinność.“ Jeno co wyszedłem z wody, on też już przez kładkę przeszedł. Ja mówię: „A milczkiem to kásasz pogański synu!“ Idzie do mnie i mówi: „Wnet cię tu lepiej będę kásał.“ Z obozu powychodzili i patrzą, bo wszystkie chorągwie stały u owęj rzeczki. Przytnie na mnie potężnie, aż mi zadrzała szabla w garści: wytrzymałem zamach. Cięliśmy się z dziesięć razy; nic ani jemu, ani mnie. Mówię: „Dosyć tego, panie Marcinie.“ On rzecze: „O ty z kurwy synu! nie uczyniłeś mi nic, a mówisz dosyć.“ Tak Pan Bóg dał, że po owém wymówieniu samym końcem szabli dosiągłem go przez jagodę i odskoczyłem od niego. Tymbardziej dopiero na mnie natrze; ja też urwę go w głowę; jakby nie był na nogach. Dopiero go płazem poczną walić na ziemi, wzięwszy w obie ręce szablę. Tu kompania z naszych i z innych chorągwi przybiegłszy, woła: „Stój, nie zabijaj!“ Dałem mu z pięćdziesiąt razy płazem, niżeli nadeszli, za owę zdradę, co mię z tyłu rąbnął w głowę. Takci dałem Naczyńskim jednanym sposobem za ból i za rany ich, że to zwyczajna była płaca, złotych 1200; cyrulika z osobną zaspokoilem. Jasińskiemu nic, którego za gębę surowo jeszcze osądzono w ten sposób: „że ty gospodarzem będąc, dopuściłeś gościom bić się, nie rozważając ich, i sam jeszcze do tego wyzwałeś na pojedynek, za to daj do Brześcia Bernardynom złotych 600 i w pancerzu stać będziesz przez trzy msze w święto, szablę trzymając.“ Potém wyprawiono Skrzetuskiego na podjazd

z kommanderowanymi ludźmi po dwóch towarzyszów z pod chorągwi, bo też już były wiadomości, że Moskale zbliżali się coraz bardziej ku nam; poszedł tedy podjazd i spotkał się z chorągwią Horskiego. Chorągiew moskiewską, bardzo okrytą, zagarniono. Powracając tedy nazad, obawiali się pogoni, szli zatem noc całą. Skoro też już dniało, stanęli podewsią, na łąkach konie paśli, i sami, jako sturbowani, co żywo do spania się udali, Moskale strażą dobrze opatrzyszy. Był dwór ślachecki blisko nad rzeką; pojechało tam kilku czeladzi; chcąc się pożywić, chcieli tam coś wziąć gwałtem; nuż tu po sobie, nuż hałas i strzelanie. Podjazd się potrwożył, rozumiejąc, że Moskale są u koni, aleć potem dowiedzieli się, co było. Łukasz W, Rawianin, towarzysz krajczego koronnego, porwawszy się ze snu, jak dopadł konia, tak też zaraz i w rzekę prosto skoczył, a przepłynawszy, że się i rozespał i bojaźliwego był serca, (boto drugi nie porachowawszy się z swoją fantazyą, zaciągnie się do wojska, a podobno lepićby zrobił, gdyby w domu kury sadził i kanie od kurcząt odganiał), nie obejrzawszy się, co się dzieje, skoczył w las i przyjechał dwoma dniami przed podjazdem, potrwożywszy wojsko okrutnie. Pozbiegaliśmy się co żywo do wojewody i on też przyszedł czynić relacyą. Pyta go wojewoda: co się to tam stało? Ów prawi, na większy jeszcze żal, jako byli zabrali Moskale ze 300, jako chorągiew ze wszystkiém zagarnęli, jako mieli wielkie zdobycze, a potem przyszła pogon, zastali śpiących, obskoczyli i w pień wycięli, drudzy się w rzece, nad którą popasali, potopili. Pyta dalej wojewoda: a Skrzetuski czy żywcem wzięty? On mówi, że na oczy swoje widział, kiedy Moskwicin do niego strzelił, a potem go ściał, „bo stałem długo przepłynawszy rzekę, i widziałem, że nikogo żywcem nie puszczono.“ Ja nie mogąc się już utrzymać, rzekłem do niego: „a ciebie czemu nie zabito?“ Wojewoda otrząsnął się na mnie i rzekł: „dajcie pokój;“ sam go jednak pyta: „a ty jakeś uszedł?“ Odpowie: „bom nie spał, a do tego trzymałem konia w ręku i zaraz uderzyłem wplaw; strzelono jednak za mną kilkanaście razy, ale Pan Bóg mię zachował.“ Wojewoda pyta dalej: „co za potęga mogła być tamtego podjazdu?“

Odpowiada: „nie podjazd to mości dobrodzieju, ale wszystka potęga Chowańskiego, bom widział wszystko prawie wojsko, okryło pola jako oblok; drugie półki jeszcze się z zagóry pokazywały; napadłem téż słachcica uchodzącego, który także powiadał, że Chowański z całą idzie potęgą.“ Zalterował się wojewoda, ale nie pokazuje tego po sobie, i mówi: „Pan Bóg z nami; nie to panie strażniku; każ otrąbić, żeby zaraz stada sprowadzono.“ Tu trąbią, tu w obozie krętawina sroga; stada o kilka mil od obozu, prawie każdej chorągwi osobno. Tu każdy nos zwiesił, myśląc sobie o pierwszym nieszczęściu! Pytają nareszcie W..... każdy o swego towarzysza. Powiada im, jaką który zginął śmiercią. Owo zgoła, pełno strachu, żalu i zamieszania.

Poszliśmy więc do chorągwi; każdy koło siebie czyniąc porządek, do stad co żywo udaje się i piechoto i na koniach. Przyszedłem i ja, a tu mój czeladnik mego rumaka siodła. Pytam go: „a to na co?“ Odpowiada: „po konie pojedę.“ Kiedy go to obuchem zajadę, mówiąc: „poganinie, droższe moje zdrowie, niżeli wszystkie konie; albo tam nie masz trojga czeladzi przy koniach; będą inni swoje brać, pobierą téż i moje, a ja konia mieć muszę od wielkiej potrzeby; gdyby téż co przypadło, a ty mi konia wzięłeś? zostań więc.“ Rozporządziwszy tak u siebie, poszedłem znowu do wojewody. Idę, mijam bazar, aż tu W..... u Ormianina waży łyżki srebrne zdobyczne; mówię do niego: „Panie Łukaszu! a nasz Jaworski czy nie uszedł téż? bo on przecie zawsze ostrożny i na dobrym koniu;“ aż on mówi: „jako waszec ucho swoje widzisz, tak już téż nie obaczysz pana Jaworskiego.“ Mówię dalej: „dla Boga panie Łukaszu, czyś się téż nie omylił, albo jakim sposobem nie odłączył się od podjazdu, bo ja wiem żeś ty dawno wicher.“ Lecz on począł znowu to potwierdzać, czego się pierwój zwierzał, a nawet i gniewał się. Dałem pokój, idę do namiotów, aż ksiądz Piekarski „stój!“ rzecze, „zła nasza panie bracie.“ Ja odpowiadam: „Panie bracie, popamiętasz waszec, że w téj W..... relacji połowy prawdy nie masz, bo ja naturę jego znam, że rad klimkiem rzuci.“ Wtém wyszedł wojewoda z namiotu i brodę kręci, a jużto był znak alteracyi, albo gniewu. Przy-

mknawszy się do księdza Piekarskiego, rzekł: „o czémże prawicie?“ Powiada mu ksiądz moje słowa. On do mnie: „maż on tę wadę?“ Powiadam, że to natura jego i ojca jego taka jest, który jest pobórcą rawskim; nawet w szkołach nazywaliśmy go generał kłamca. Uderzył się wojewoda ręką po axamicie i rzekł: „otóż i ja tego jestem zdania, bo jeżeli ich podjazd dognał, niepodobna, aby ich miał tak osaczyć, żeby mieli wszyscy zginąć, jak i to niepodobna, że cała Moskalia potęga nadeszła, bo ja mam wiadomości, że dopiero jutro ostatniemi silami na szturm do Lachowic gotowali się, i dopiero im drabiny i inne rekwizyta zwożono, bo wszystko to byli potracili u pierwszych szturmów.“ Zaraz potem kazał wojewoda W..... wołać; aż mu też mówi jeden: „Bracie, czy się waszeć nie omylił, gardłowa sprawa wojsko potrwożyć.“ Odpowiedział: „dam zdrowie i szyję moję, jeżeli się inaczej pokaże.“ Tak tedy od samego rana całe wojsko było jakby powarzone. Stada, które bliżej były, sprowadzają; jedni bez swoich tęsknią, drudzy wyglądają i chorągwie ordynują na podjazd, aż się też zemknęło ku wieczorowi; zachodzi tedy słońce i widać z tamtej strony kogoś; ja mówię: „otóż mamy języka.“ Nie poznaliśmy go, bo miał bachmat zdobyczny i był w kołpaku moskiewskim z perłami. Bieży przez majdan, pomija chorągwie i woła. Wypadają do niego, pytając go, czy dobra, czy zła nowina? Rzekł-coś przecie, Polanowskiego pomijając. Kiedy to co żywo na wyścigi za nim, aż on prawi całą rzecz przed wojewodą tak: „że jutro, da Pan Bóg doczekać, kommandant nasz, z obfitszym, niżeli był wysłany gronem, kłaniać się będzie waćpanu dobrodziejowi i chorągiew nieprzyjacielską u nóg złoży; jedną tylko mamy szkodę, żeśmy stracili w tej okazyi wielkiego kawalera, towarzysza jmc pana krajczego koronnego.“ Wojewoda rzekł: „Niechże będzie imie boskie pochwalone! Tego towarzysza nie straciliście, ale jutro dopiero go straciecie; idźcie po tego skurwego syna.“ Krajczy stoi. Porucznik jego, Skoraszewski, jakoby mu policzki wyszczypał. Wzięli pana W..... w kajdany. I takto owa okazyja wesola i miła była z przyczyny dwójakićj: jedna, że pierwszą okazyją tak Pan Bóg pofortunil;

druga, że owych, których jużesmy byli odżałowali, obaczyliśmy zdrowo, a nadewszystko, że już nadzieja nas jakoś delektowała. Chciano W..... koniecznie szyję uciąć; nawet go nikt z Rawianów nie nawiedzał, bo się wstydzili za niego. Przysłał do nas, prosząc o instancją, lecz żaden z nas nie chciał się w to wdać; jeden tylko ksiądz Piekarski i Skoraszewski, jego porucznik, co go obronili, że go przecie nie stracono, ale kazano mu zaraz z wojska wyjechać i nie powiadać nigdy, żeby kiedy służył w dywizyi Czarnieckiego. Przyszedł tedy podjazd szczęśliwie nazajutrz po owym przyslanym towarzyszu, i wchodził do obozu z tryumfem, niosąc rozwinioną chorągiew nieprzyjacielską i pędząc przed sobą powiązanych więźniów kupę prawie tyłą, jak ich samych było. Gdy prezentowali więźniów, naszło się wojskowych siła do regimentarza i jam téż był. Po skończonej owéj ceremonii stoję przy namiocie z Jarzyną Rafałem, Rawianinem. Odzywa się do nas wojewoda: „Rozumiałem, że wszyscy Rawianie dobrzy pacholcy, aleć téż jak widzę są i kpy.“ Ja się odzywam: „Tylko się to tu w jednéj familii panów W..... znajduje.“ (A W..... stoi dwóch grzecznych ludzi, tojest Paweł, który był potem starostą lityńskim, i drugi, co go zwano odlewany). W....., z pod królewskiej chorągwi, począł się obruszać, aż wojewoda rzecze: „do mazowieckich W....., on mówi, a wyście ruscy, a inni są rzymscy, o których pisze Owidyusz. Toto znać ruscy i włoscy W..... są dobrzy pacholcy, ponieważ ich nazywają walecznymi, a rawscy W..... kpy; nie ujmujcie się za nimi. Ale przecie pana Paska od dzisiaj będę miał za dobrego metra ludzkiej natury, kiedy on z W..... wyczytał wszystkie nieprawdę.“ Potém się żartami dyskurs zakończył. Kilku więźniów posłano królowi.

Skoro tedy od Sapiehy, hetmana litewskiego, przyszła wiadomość, że téż już wojsko litewskie wymoderowało się jako mocąc, zaraz i my ruszyliśmy się i poszliśmy traktem ku Mścikowu. Chowański téż, hetman moskiewski, wyszedł ku nam ze wszystką potęgą, której miał 40,000 ludzi, zostawiwszy pod Lachowicami niewiele coś ludzi, żeby obozu pilnowali, i fortecę przecie, której już tak długo dobywali,

żeby nieprzestawali atakować i żeby jój niedali wytechnąć. Obiecował bowiem sobie wziąć ją zaraz za powrotem, z imprezy nas wprzód rozgromiwszy, i szedł właśnie tak, jak wilk na stado owiec, bo już się tak był zaprawił na Litwinach, że już zawsze do nich chodził jak na pewne zwycięstwo. Posłał więc Naszczokina, drugiego hetmana, kilka mil przed sobą, z pięciu tysiącami ludzi wybornych, żeby się z nami powitał. W wigilią tedy świętych Piotra i Pawła zetknęły się z naszą przednią strażą, która, że niebyła tak mocną jak on podjazd moskiewski, posłali do wojska, dając znać o nieprzyjacielu, że go już widzą na oko. A wtém Moskale impetem na nich skoczyli. Niżeli tedy chorągwie i ochotnicy przyszli, w srogim ogniu była przednia straż, ale przecie potężnie ich wspierali. Już było trupa i z tej i z owój strony potrosze, aż dopiero, skorośmy przyszli, obróci się na nas połowa Moskali, a drudzy już téż tam z przednią strażą kończą. Potężnie tedy uderzą na nas, chcąc nas pierwszym swoim zamachem skonfundować, aleśmy jednak wytrzymali, lubo kilkunastu z koni spadło. Gdy widzą, że i tu opierają się mocno, już w drugim starciu nie tak rzeźwo pokazali się, a wtém téż wychodzi z chojniaków chorągiew Tuszyńskiego i Antonowicza tatarska 200 koni, a wyszedłszy zaraz rysią idą. Moskale poczęły się mieszać. My téż natarli. Nuż w nich; złamaliśmy ich zaraz; a dopiero wzięwszy na szablę, już rzadko kto i strzelił, jeno tak cięto; ostatek ich poszedł w rozsypkę. Dopieroż gonić; dojeżdżano i bito. Wtém zaszło słońce, wojsko téż nadeszło i tu na owém stanęło pobojowisku. Tak tedy przez całą noc trzymaliśmy konie w ręku, dwa pułki w placowej straży postawiwszy. Litwini tuż przy nas stanęli, których było 9000 z wielkim hetmanem Sapięgą; a Gąsiewski, natenczas polny hetman i podskarbi, siedział w Moskwie w więzieniu, od tegoto Chowańskiego schowany. Tego szczęścia spodziewał się i z nami, nawet kiedy przodem Naszczokina wysłał, zlecił mu tak: „żebyś mi się starał dostać żywcem Czarnieckiego i Połubińskiego, aby Gąsiewski miał się z kim zabawić.“ Było tedy na 40,000 Moskali, naszego wojska i z Litwinami tylko 15,000. Bardzoto mała kupka, ale przecie nadzieja nas cieszyła, bo co trup

padł, to zawsze za nimi głową, co wojennicy sądzą za znak zwycięstwa, kiedy trup głowami za nieprzyjacielem pada. Tak tedy owęj nocy jeść było co, bośmy kazali nabrać sucharów w sakwy, w wozy; gorzalina też była w blaszanych ładownicach, jakich natenczas zażywano. Zakropiwszy się tedy po raz, po dwa, zawróciła się potrosze i głowa, aź się też i spać zachciało. Jaki taki położywszy się na trawie, spi. Służył z nami Kaczewski, Radomianin, wielki przechéra; ten mówi do mnie: „Panie Janie! na co mamy pięć pod głowę kładź, układźmy się miasto poduszki na tym Moskału.“ (Leżał bowiem blisko tłusty Moskał zastrzelony.) Ja odpowiadam: „Dobrze, dla kompanii.“ On więc z jednéj strony, ja z drugiećj, położyliśmy głowy, konie do rąk za cugle okręciwszy, i takeśmy zasnęli, śpiąc może ze trzy godziny. Gdy już było nadedniem, tak w nim coś gruchnęło, żeśmy się obadwaj porwali; podobno się to tam jeszcze coś było zataiło ducha. Skoro się trochę rozwidniło, zaraz przez munsztuk kazano trąbić wsiadanego. Ruszyło się wojsko, żebyśmy, Pana Boga wzięwszy na pomoc, wczesnie zaczęli tę igraszkę. Idąc tedy, każdy odprawował swoje nabożeństwo; śpiewano godzinki; kapelani, na koniach jadąc, słuchali spowiedzi; każdy się dysponował, żeby był jak najgotowszy na śmierć. Przyszedszy tedy o pół mili od Połongi, stanęło wojsko do szyku bojowego. Czarniecki uszykował swoje lewe, a Sapięha swoje prawe skrzydło, a Połubiński armaty i piechotę. Szliśmy tedy szykiem i dopiero w obliczu nieprzyjaciela stanawszy, chcieli nasi wodzowie, żeby nieprzyjaciel wyszedł do nas za przeprawę, ale nie mogąc go wywabić, kazali postąpić dalej. Wyszło nareszcie ku nam za przeprawę ze sześć tysięcy piechoty, aleć jak poszły do nich nasze trzy półki, zaraz ich wystrzelali i z téj strony wyparowali za rzekę. Poczęli tedy z tamtéj strony bić z armat i razić naszych: towarzysza jednego, podle mnie stojącego, jak uderzyła kula w łeb jego konia, to aź ogonem wylęciała, a towarzysz poleciał do góry od kulbaki wyżej niżli na trzy łokcie i nic mu nie było. Gdzie szło lewe skrzydło i korpus, tam mieli ciężką przeprawę; gdzie zaś nasze prawe skrzydło, tośmy mieli błota jak przez siedmioro stajan, i miejscami koń zapadał

po tebinki, miejscami też uszedł po wierzchu, tylko że się tak owe chwasty zrosłe zaginały jak pierzyna. Prawie połowa była takich, którzy piechotą za sobą konie prowadzili. My się tu z owego błota dobywamy, a tu już bitwa potężna na lewém skrzydle. Był tedy wprost przeciw naszej przeprawie folwark oparkaniony; Moskale spodziewając się, że tam nasi będą probowali szczęścia, zasadzili tam kilkaset piechoty i 4 działka. Nie pokazowali się nam wtenczas, aż dopiero kiedyśmy się wybijali z tego błota na twardy ład, wysunęła się piechota i nuż pocznie do nas ognia dawać, nuż poczną i z dział parzyć; jak grad lecą kule; padło natenczas naszych dużo, a drudzy zostali postrzelani. Poszliśmy zatem na nich hurmem, bośmy widzieli, że przyjdzie nam poginać, gdybyśmy im mieli tył podać, i jużemy tak na oslep w ogień leźli, żeśmy się z nimi zmieszali, jak ziarno z sieczką, bo już trudno było inaczej. Okrutna wtedy powstała rzeźba w owęj gęstwinie, a najgorsze były berdysze; kwadrans jednak nie wyszedł od owego zmieszania, a wycięliśmy ich tak, że i jeden nie uszedł, bo w szczerém polu, powiadano, miało ich być 100. Z naszych też kto leął, ten leżał, a kto co otrzymał, ten musiał cierpieć; podemną konia gniadego postrzelono w pierś, cięto berdyszem w łeb i drugi raz w kolano. Jeszczebym go był użył, gdyby nie ta kolanowa rana, bo ja takie miałem szczęście do koni w wojsku, że nie pamiętam, abym którego sprzedał, kupiwszy go drogo, ale każdy albo skaleczał, albo zdechł, albo go zabito, i to nieszczęście wyгнаło mię z wojska, bobym ja był i do tego czasu żołnierzem, ale już i ojca nie stawało kupować koni i mnie też już było obmierzło to szczęście, na które nie raz zapłakać musiałem. Przesiadłem się więc wtenczas na mego myszkę, kazawszy pacholкови, co na nim siedział, wędrować nazad za przeprawę po konia, aleć mię nie zadługo dogonił na lepszym koniu, niżeli ja siedział, tojest na zdobytym. Docinamy ową piechotę, a Trubecki leci ordynowany owym na sukurs z dziesięcią chorągwiemi Bojarów dumnych i z trzema tysięcy rajtaryi. Stanęliśmy tedy tyłem do owych, a frontem do nieprzyjaciela. Wpadają na nas tak, jakoby chcieli zjeść; wytrzymaliśmy jednak, bo-

śny i musieli. Kiedy zaś widzimy, że nas pchają w owe błota, zewrzemy się z nimi potężnie; rajtarya sypała do nas gęsty ogień, z nas zaś rzadko kto strzelił, bośmy już powystrzelali na ową piechotę, a nabieć znowu było niepodobna, bo czas niepozwoił. I tak powiadam, że w okazyi nabieć najpotrzebniejsza, kiedy idziesz do nieprzyjaciela, ale nabijać, kiedyto już wojska się zetną, rzadko się to trafi, szabla natenczas grunt. Tak tedy szablami ten tego, ten też owego w bożą godzinę, bo i owym jużesmy tak przygrywali mocno, że i strzelby nabijać nie mogli. A po staremu już nam rzeczy nie szły tak twardo, choćto na nas z gotowym ogniem przypadli. Przemagaliśmy się tedy właśnie jak owo, kiedy dwaj zapasy chodzą, ten tego, ten też owego nachylając. Trubecki jako cygan uwija się na szpakowatym kałmuku. Pada trupów gęsto, i nawet chorągwi ich leżało na ziemi ze sześć. Towarzysz starosty dobrzyńskiego, jak ciął w głowę Trubeckiego, to aż mu kołpak spadł; zaraz go dwaj porwali pod ręce i poprowadzili. Dopiero hossudarowie w nogi do szyków; my za nimi; wpędziliśmy ich, siekąc, aż między samo ich wojsko. Padła ich wtedy z połowa na placu. A tu jako w garcu już się sam korpus potyka. Litwini na lewém skrzydle także niepróżniają, ale przecie nie tak na nich, jak na nas najlepsze siły obracają, bo ich już lekce ważyli. Obróciły się tedy niektóre półki świeże i naodwrot znowu poszły. Zobaczywszy wojewoda nasze chorągwie już w tyle szyków nieprzyjacielskich, posłał do Sapiehy, aby dla Boga wszystkimi siłami natrzeć i rozrywać Moskali, bo półk królewski zgubimy. A wtém też już Moskale mieszają się, kręcąc, wiercą, właśnie jak owo, kiedy komu źle za stołem siedzieć. Już było znać po nich trwogę. Ci też, których na nas obrócono, biją się już nie z ochotą. Poskoczą do nas, to znowu od nas, a wtém natrze na nich korpus potężnie. Huzarskie chorągwie skoczyły, my też tu z tyłu uderzymy na nich. Jużesmy trochę mieli czasu i do nabiecia strzelby, a wtém Moskale w nogi. Wszystko tedy wojsko na nas uciekało; bijże teraz, którego ci się spodoba; wybieraj: ten piękny, ten jeszcze piękniejszy. Obaczyłem dalej moję chorągiew, przybiegnę do niej, aż tu i szczęciu ludzi niema przy

nić; i drugie chorągwie także bez ludzi. Co żywo pozaganiało się; sieką, rzną, gonią. Mówię do chorążego: „Nagrodził mi Pan Bóg mego gniadego; dał mi za niego innego gniadego, bardzo pięknego konia, alem go tam oddał obcemu człowiekowi; niewiem, jeżeli mię dójdzie.“ Pyta chorąży: „A to czyj płowy?“ Powiadam, że i ten mój. Przerzedziło się już znacznie lewe skrzydło moskiewskie i sam środek. A tu prawe skrzydło moskiewskie, które się z naszym lewem potykało, poczyną także uciekać. Znowu zrobiła się gęstwa taka, że tu jednego gonisz, a drugi tuż nad karkiem stoi z szablą; tego docinasz, a drugi jak zajęć pod smycz leci; trzeba było mieć głowę jak na śrubach, i przed się i za się oglądać się. Ucieka chorąży, hoży Moskal, chorągiew pod siebie włożywszy; zajadę go, złożę pistolet; ten woła: „pożałuj“, i oddaje mi chorągiew. Prowadzę go; modli się okrutnie, ręce składa. Myślę sobie: już też tego żywcem zaprowadzę, aż tu ze 400 Moskali, wielka kupka, już prawie na mnie wpadają; ów też chorąży począł się ociągać, lubom go rozbroił. Widząc, że i onego nieuprowadzę i sam zginę, uderzyłem go sztychem, spadł, a sam z ową chorągwią uskokczyłem się im z traktu. A tu na nich jadą Litwini, tu z boków przybiegają ci, co są w przodzie nas, i już na nich czekają. Ja też cisnąwszy owę chorągiew sliczną, złocistą, do nich się udałem, bo mi jeszcze żal było niebieć, kiedy było kogo. Tych docinamy, a druga chmura takąż, albo większa, następuje; tych biją, aż tu inni. Dostyc na tén, aż ręce ustawały, bo wszyscy owi, którym się udało uciec, nie mogli uciekać tylko podle naszych chorągwi, które im najpierw w tyle stanęły. Było tedy téj rzeźby przez 3 mile. Wracamy się już nazad, a drudzy jeszcze gonią; żal mi, że nikogo żywcem nie mam, ale się końmi cieszę, osobliwie gniadym, który był bardzo piękny, ale niewiem, jak mi się nada; wtém wysunie się kilkunastu Moskali z lasa, co się tam byli w niewielkim gaju zataili, a którychto ruszono jako stado sarn. Ucieka jeden na slicznym koniu, na którym rząd bogaty, złocisty, huzarską modą, suknie jedwabne, kołpak haftowany, bogaty; przebiega go nasi co żywo i z téj i z owéj strony; ja go najbliżej będąc i rozumiejąc, że to sam Chowański,



wołam: „stój, nie bój się, będziesz miał pożałowanie.“ Już trochę poczęł wstrzymywać konia i spojrzał na mnie z boku; nie zdałem mu się do tej konfidencji, że to był w szarym kontuszu; nie ufał mi, rozumiejąc, że jestem jaki pacholek; cholota, których się oni najbardziej boją, mówiąc, że u takich ludzi żadnej nie znajdzie dyskrecyi (jak zaś i sam o tym powiadał). Ale obaczył on zdala towarzysza naszego, który był w czerwonej sukni, w karmazynowym wytartym kontuszu i na takiej szkapie, żeby go był i do sądnego dnia nie dogonił; ale wnosił po ubiorze, że to ktoś znaczny, i wprost do niego jechał. Z tych, co mu drogę zabiegali, strzelił jeden do niego, lecz chybił. Chorągwy zaś po staremu pędzi do owego towarzysza w czerwieni; ten ze strachu poczęł się kręcić na szkapie i dopiero ochłonął, gdy obaczył, że ów oddaje mi szablę i pistolety w heban i srebro oprawne, i woła: „pożałuj;“ wziąłem go żywcem. Chowański sam, już w ucieczce dwa razy w głowę cięty, uszedł; piechota zaś wszystka, mało naruszona, oprócz owych kilkuset na raz wyciętych, została żywcem, a było ich 18,000 ludzi, i poszła do bliskiej brzeziny, zasiecz czynniejszy. Otoczono ich do koła armatami i piechotą, bo obrzednia była owa brzezina; dawano do nich ognia z dział, że na wylot kule przechodziły, i na tę i na ową stronę, a potem jak ich to osłabiono z armaty, dopiero ze wszystkich stron uderzono na nich i w pień wycięto. Trudno też krwi ludzkiej w kupie tyle widzieć, jak tam było, bo lud gęsto bardzo stał i tak też ginął, bo trup na trupa padł, a do tego owa brzezina na pagórku była, a krew lała się ztamtąd strumieniami, właśnie tak, jak owo po walnym deszczu woda. Pojeżdżaliśmy się tedy do chorągwi, aż też już mój pacholek odebrał konia zdobycznego gniadego, ale jak go tylko odebrał od tamtego, zaraz go postrzelono pod łopatkę, musiałem go sprzedać słachcicowi za 10 zł., a najmniej wart był 800 albo 1,000 zł. Poznali więźniowie tego konia i powiadali, że na nim siedział Żmijow, wojewoda, szwagier Naszczokina, hetmana polnego. Nabrano wtedy Moskali jak bydła. Hetman najwyższy, Chowański, dwa razy cięty, uciekł. Drugi hetman, Szczerba, zginął. (Boto u nich kilku jest hetmanów w wojsku). Wojewodów, knia-

ziów, bojarów dumnych, naginęło siła. Z Chowańskim nie uszło konnych nad 4,000, a było wojska, jako sam ten pisarz powiadał od Kaczowskiego wzięty, 46,000; armat zaś zostało 60. Owe samopaly dońskie i różną strzelbę, berdyszów, to chłopci nawet brali. Byli tedy natenczas kommissarze nasi w Mińsku na traktatach z Moskwą. Obawiając się Czarniecki, żeby ich Chowański, uciekając, z sobą nie zabrał, posłał na całą noc 12 chorągwi dobrych, między którymi i nasze, aby ich ocalić. Kommendę dano Borzęckiemu Pawłowi. Po owęj tedy tak ciężkiej robocie z koni nie zsiadając, poszliśmy nocą do miasta; już kości w sobie nie czuje człowiek od srogiego sturbowania. Mówi kommandant: „Mości panowie! trzebaby nam tu języka, żebyśmy przecie wiedzieli, co się w mieście dzieje. Proszę, kto ochotny, skoczyć by i na przedmieście, i wziąć lada chłopca.“ Nie mówią nic, po prostu wszystkim się nie chce. Kiedy widzi, że nie masz ochoty, mówi: „Proszę przynajmniej z 15 koni dla kompanii, kto łaskaw, i bądźcie gotowi, kiedy nas tam poczną bić.“ Z pod jego chorągwi nie wyjechało więcej jak dwóch. Ja pamiętając jego łaskę pod Kozieradami w mojem nieszczęściu, wyjechałem, a obaczywszy mnie, wyjechało z pod naszej chorągwi 20 koni.

Przyjechaliśmy na przedmieście do jednej chałupy; nie masz nic; do drugiej, ogień jest, co znać jeść gotowano, a ludzi niemasz; zaświeciwszy, szukamy po kątach, nic. Już wychodzimy z owęj chaty, aż tu baba zakaszłała w chlewie. (Znaleźliśmy wtedy trzy białogłowy.) Jeden nasz towarzysz umiał naśladować mowę moskiewską i niektóre ich terminy. Pyta więc babę: „Ne masz tu Lachów?“ Baba prawi: „Mospane, ne masz, ale trochu skoru przystupaly tu czetery horakwi naszych panów przewodnych, w toj czas zabrali naszych kommissarzów, i pobeżeli, znaty szto hdeś czuwajut Czarnoczka.“ Towarzysz mówi: „Oj poberymy ich.“ Baba na to: „Oj poberyte panuszki, pre Boh żywy, i postinajtie tych sukisynów.“ Posłał tedy, żeby chorągwie przyszły; każą babie prowadzić do gospody kommissarskiej; baba z wielką ochotą to czyni, wciąż na drodze podskakując, i pokazała, gdzie kommissarze stoją. Stały chorągwie w rynku. Kommissarze w strach, jak im dała znać straż,

że pełne miasto wojska. Komendant każe Charlewskiemu pytać się po moskiewsku: kto tu stoi? pytać o kommissarzów moskiewskich. Tym większy strach. Już piechota, co stała przy karawanach na rynku, ustąpiła do sieni, a w tém zsiadło nas kilkunastu z koni wraz z regimentarzem. Charlewski mówi po moskiewsku do sługi: „Niech wstają kommissarze, bo tego potrzeba, i niech wszyscy będą w kupie.“ Poszedł sługa do izby, a już się téż tam i świeciło. To się działo w gospodzie starosty żmudzkiego, Chlebowicza, jako pierwszego kommissarza i najwyższego senatora. Podle niego, w drugim domu, stał wojewoda sieradzki, Wierzbowski; w trzecim wojewoda mazowiecki, Sarbiejowski. Poszliśmy tedy ku koniom. Tymczasem, niżeli się tam poschodzili. idzie starszy sługa i mówi: „Ichmość proszą.“ Za nim wyszło kilka świec lanych. Wchodzimy więc, kołpaków i innych rzeczy nabrawszy, a oni téż ku drzwiom od stołu trochę postępują, bardzo będąc zatrwożeni. Wojewoda mazowiecki poznał zaraz Borzęckiego, porucznika, zięcia swego, i krzyknął: „Bóg sprawiedliwy, Bóg łaskawy, nasi, nasi!“ Rzekł potem Borzęcki kilka słów, piękną od wodza wizytę przynosząc, który o szczęśliwém zwycięstwie oznajmuje. Odpowiedział starosta żmudzki, jako pierwszy kommissarz, bardzo pięknie, ale z płaczem z wielkiej radości, że i skończyć niemógł. Kiedy to skoczą do nas wszyscy, obłapiając, ściskając, Bogu dziękując za takie dobrodziejstwa. Pytają o procederze wojny. Borzęcki im prawi, aż towarzysz woła: „niepowiadaj im waćpan, aż nam dadzą jeśdź.“ Kiedy to skoczą słudzy i kuchmistrzowie wszystkich kommissarzów zakładać kuchnie, piec, warzyć, naznośiwszy tymczasem wódek, miodów, win. Posiadali wszyscy z koni. I tak tedy w owém nieogarnioném weselu powiadawszy im o okazyi i zwycięstwie, oni téż nam powiadali, jako dorozumiewali się z tego, kiedy kommissarze moskiewscy uciekali, jak się bali, żeby ich niezabrali z sobą; jako się nas polekali, rozumiejąc, że po nich Chowański przysłał; jako już mieli nazajutrz traktaty podpisać, i jako na nich Moskale fukali. Mnie, choć się chciało spać serdecznie, potem się odechciało, słuchając owych dyskursów, a patrząc na owę szczerą uciechę. Nastąpił dzień; pożegnawszy się, wyszli-

śny z miasta, i zaraz blisko w łąkach stanęliśmy, aby koniom wygodzić i nakarmić. Kommissarze gotowali się w drogę i wyjechali za nami. Poszliśmy stamtąd pod Lachowice, gdzie zastaliśmy wojsko nasze w obozie moskiewskim. Zostawiono prawda na nasze chorągwie kwatery i przydano straż, żeby ich nikt nierabował, ale ci sami, co pilnowali, poprzetrzasali co lepszego. Forteca to jest, te Lachowice, bardzo foremna; siłaby o niej pisać, ale że to nie w cudzej ziemi, mało na tém opisywać, bo siła takich, co jęj dobrze wiadomi; jedném słowem, niemasz takiej w Polsce żadnej. Dobra to są Sapieżyńskie. Wyginęło tam Moskali w szturmach do 30,000.

Nastąpiło potem święto Panny Maryi Nawiedzenia. Tam, co żywo z wojskowych, zgromadziło się na nabożeństwo; każdy swoje oddał Bogu dzięki za dobrodziejstwa w owęj uznanęj okazji. Ślachty było dużo w tęj fortecy. Ślachićianki postroiły się precudnie; ta pięknie, ta jeszcze pięknie; druga ustrojona była tak bogato, że ledwie szła pod złotem i klejnotami. Nie dziw, że się tam Moskale darli gwałtem do owęj fortecy, a i ta jużby się nie była więćej nad miesiąc trzymała, bo żywności nie stawało. Dwa więc pożytki stały się przez to pospieszenie wojska, to jest: ocalenie fortecy i rozerwanie traktatów, a wszystko to stało się męstwem Czarnieckiego, bo Sapiecha zawsze odkładał na jutro, oczekiwając na lepsze jakieś oporządzenie wojska w kopije i inne rzeczy. Z tego powodu powiedział mu Czarniecki: „po chwili nie pomogą nam i kopije, a zresztą nie trudno w Litwie o chmielowe tyczki. Jeżeli się ty z wojskiem twojém nie ruszysz, pójdę ja w imię boskie bez waszności.“ I tak uczynił, że się ruszył z pod Kozierad. Sapiecha tóż, dla wstydu, musiał się łączyć z nami. Tak tedy czynić musieli niebożęta, strugali tyczki, pstro i biało farbowali, jak owo dziadkowie laski robią, a proporeczyki płócienne wieszali; grotów tóż z miast przywieziono co było potrzeba; i tak to po staremu było pięknie i dobrze, kiedy nie mogło być inaczej. Trzeci pożytek, ową szybkość w uderzeniu na nieprzyjaciela, przyniosło to, że mieli wiadomość wodzowie, iż Dołgoruki z wielką potęgą idzie Chowańskiemu na pomoc, a my z nikąd nie spodziewaliśmy się

posiłków, tylko od samego Pana Boga. Gdyby się były złączyły tamte potęgi, niepodobnaby ich było przełamać, albo jeżelibyśmy, byli przełamali, to z wielką ludzi naszych stratą i szkodą, bo z każdym z osobna byłoby co robić, a osobliwie z Dolgorukim, (o czém niżej będzie). Wszystko to mądrą dobrego wodza stało się dyspozycją, że i owym potęgom, które i na cesarza tureckiego mogłyby się porwać, nie przyszło się połączyć, i traktaty szkodliwe zerwano, i fortece, które już nie pozostały wolne, tylko dwie w całej Litwie, od rąk moskiewskich uwolniono, i tamtym wojskom, które były szczere ku naszym hetmanom, serce nie upadło. I to znacznie do zwycięstwa cudnowskiego dopomogło. Lachowice tylko nie były w rękach moskiewskich; wszystkie inne miasta i całe litewskie księstwo zawojowane było. Wjeżdżając tedy Czarniecki do Lachowic w dzień Najświętszej Panny, wyszli przeciwko niemu w processyi zakonnicy, ślacha, ślachiecianki, i kto tylko był w owém ciężkiem oblężeniu. „Witaj, zawitaj,“ wołali, „niezwyciężony wodzu, niezwyciężony wojenniku! zawitaj od Boga nam zesłany obrońco!“ Byli i tacy, osobliwie z białychgłów, co wołali: „Zbawicielu nasz!“ Zatulął uszy czapką, nie chcąc słuchać owego podehlebstwa. Kiedy zaś po nim wjeżdżał Sapięha, połowy tego applauzu nie było, tylko proste przywitanie, choć to jego własne siedlisko. Zsiadł tedy i wszedł do kościoła. Rycerstwa siła i z naszego i z litewskiego wojska. Dopieroż *Te Deum* laudamus, dopieroż tryumf. Z armat bito, aż ziemia drżała, a potem nabożeństwo śliczne, kazania, gratulacye, dzięki Bogu za dobrodziejstwa, i wszędy pełno radości, pomieszanej z płaczem, bo tam wszyscy magnatowie z księstwa litewskiego do tej fortecy posprowadzali się byli. Wesole bardzo było to zwycięstwo wszystkim z tej przyczyny, że po owych nieszczęśliwościach, pierwsze ojczyźnie przyniosło szczęście. Gdyż Moskale taką już wzięli byli górę, że gdziekolwiek się o wojsku naszym dowiedzieli, już tak na nas leźli, jak po pewne zwycięstwo, gotowe zawsze mając na nas dybki i kajdany, które się znajdowały i w obozie pod Lachowicami, aleć się na nich samych przygodziły, bo ich w nie kazano kować. Nasprowadzał tedy Sapięha ar-

mat zdobycznych siła do Lachowic; wszystkie były piękne, szpizowe, i jednego nie obaczył działa żelaznego. Czarniecki posłał ich do Tykocina 20 i kilka, przyłączywszy do swoich dawnych dwie zdobyczne, srodze długie i donośne. — Kiedy otrąbiono, żeby więźniów oddawać, okrutnie poczęli płakać, bojąc się Czarnieckiego. Ja swego oddałem zaraz idąc do Mińska po kommissarzów, ale inni, których nie zaraz oddano, płakali i prosili, żeby ich nie oddawać. Ów pisarz [nie chorąży], (co o nim wspomniałem wyżej), który przedemną uciekał a później mi się poddał, rzekł mi: „Kiedyto u was zwyczaj taki, że więźnia trzeba oddać regimentarzewi, i nie może to być, żebyś mię przy sobie zostawił, uczynże tak: odstaw ty zasług i substancyi, jedź ze mną do stolicy, dam ci 50,000 rubli, dam ci i córkę i wszystko co mam.“ Począłem był medytować ubogi żołnierz, a tymczasem kazano oddawać więźniów i musiałem go oddać. Dostało to wojewody, że od siebie obiecywał 50,000. Chwycono się tego zaraz, tyle się od niego okupu upominano, i musiał tak być. On jednak nie chciał tyle dać, broniąc się: „żem ja to obiecał dla tego, aby się był ułakomił i wypuścił mię; tak wielkiej zaś summy nie miałem i mieć nie mogę.“ Nie słuchano tego i kazano pana pisarza w kajdankach do wału, do taczek, równo z drugimi używać; w Tykocinie musiał obiecać, a potem dać. Wziął przecie wojewoda za swoich więźniów ze dwa milliony, bo na zamian nie było co brać, gdyż z naszej dywizyi nie było w Moskwie prawie żadnych więźniów. Sapicha zaś wszystkich swoich wydał na zamian, bo było w niewoli wiele szlachty, szlachcianek i żołnierzy. Przy okupie samego Gąsiewskiego, hetmana polnego, wyszło niewolnika moskiewskiego gwałt, jak to zwyczajnie bywa, że głowa hetmańska jest droga. A tę głowę od Moskwy okupiwszy, sami zdrajcy boćwinkowie, popiwszy się, marnie zagubili, bo tyrańsko a niewinnie zabili wojennika szczęśliwego, wodza dobrego i senatora wielce poczciwego, (o czém będzie niżej). Postoiwszy tedy trzy dni pod Lachowicami w obozie moskiewskim, przy owych dostatkach, obfitościach wszelkiej żywności, ruszyliśmy się pod Borysów, fortecę także niepoślednią, nad rzeką Berezyną. Tam stanęliśmy, spo-

dziewając się dostać jój nie siłą, lecz postrachem. Staliśmy tam przez dwa miesiące, ale widząc, że dobrowolnie podać się nie chcą, i wiedząc przytém, jak wiele na nas gotuje się potęgi, umyślił wojewoda odstąpić tój fortecy, jakoż i odstąpił. Żeby przecie nie próżnować, poszliśmy pod wielki Mohilew biało-ruski, która forteca jest i wielka i potężna, nad samym Dnieprem. Starosta bobrownicki, Działyński, ujęty obietnicami Lubomirskiego Jerzego, marszałka i hetmana, przysłał ordynans swojej chorągwi, żeby wyszła z dywizyi pod pozorem hussarczynny, że ją miał shussarczyć. Skonfundowało to bardzo wojewodę, bo mu żal było nie tak chorągwi, lubo była bardzo dobra, ale Polanowskiego, na którego téż on radzie siła polegał. Perswadował mu niby, niby prosił, żeby tego nie czynił; nie mogło to być. Gdy tedy nie mógł uprosić, musiał ich puścić, jednak z przekleństwem, które z wielkiego żalu pochodziło, bo te wymówił przy pożegnaniu słowa: „Bodajże was tam i z rotmistrzem w pierwszej okazji pozabijano.“ Tak się i stało. Przyszli pod Cudnów. Nazajutrz zabito rotmistrza, zabito 20 towarzyszków i czeladzi ze 40. Z odmianą miejsca zwykło się i szczęście zmieniać. Sam Polanowski o włos że nie zginął.

Nie chcąc wojewoda czekać nieprzyjaciela przy owój tak wielkiej i ludnej fortecy, widząc, że lepiej jest uprzedzić, niż być uprzedzonym, poszliśmy tedy naprzeciw temu panu Dołgorukiemu traktem ku Krzyczowu, aby widział, iż się przed nim kurczyć nie myślimy, i to samo właśnie wlaźło mu w konsyderacyą i zaraz trochę leniwić postępował ku nam, co przedtém szedł wielkimi pochodami, bo co uszedł 3 mile, to odpoczywał 3 dni.

Właśnie to tak, jak mnie jeden wielki pan odpowiedział i rozkazał do mnie przez osoby poważne, że mię miał pewno zabić. Ja téż nie czekając owój niepewnej godziny, wolałem sobie czas upatrzeć i zbyć się już tego myślenia prędzej, niżeli się go dłużej obawiać. Przyjechałem do niego na podwórze i posłałem chłopca, dając znać: „że pan mój, którego wielmożny pan deklarowałeś zabić, nie życząc wielmożnemu panu turbacyi szukaniem go po świecie na zabicie, póki bardziej nie schudnie, przyjechał tu i daje

znać o sobie.“ Ów pan pomiarkował się, nie zabijał mię i przeprosił się ze mną. Tak właśnie i pan Dołgoruki kwapił się bardzo do nas, głosy puściwszy po fortecach Moskalami osadzonych: żeby nam wszędzie zastępowali, gdy będziemy uciekać, a jak my do niego poszli, zaraz mu fantazyja przygasła.

Stańło tedy wojsko nasze nad rzeką pewną, o pół ćwierci mili w szczerém polu. Jeszcześmy przecie nie dowierzali o tak wielkiej potędze nieprzyjacielskiej. Złapawszy już kogo, boków przypieczono. Powiadają nam: że jest 70 tysięcy wojska Dołgorukiego. Dopierośmy uwierzyli i gotowaliśmy się do porządnego ich przywitania, Pana Boga wzięwszy na pomoc.

Zapomniałem tego napisać, że mnie, pod Mohilowem stojąc, napadł był kłopot, podobny owemu kozieradzkiemu, a to w ten sposób: Goczkowski, towarzysz marszałka nadwornego Branickiego, intentował mi akcyą do sądu wojkowego o zabicie brata rodzzonego, którego uderzyłem był obuchem, a to wtedy, kiedyśmy stali w radomskim, po węgierskiej wojnie, służąc z panem Rykawskim. Prosił i o to, żebym odpowiedział z więzienia. Wojewoda zaś deklarował: „że nietylko żołnierzy, a zwłaszcza dobrych, wiązać, idąc na tak straszną wojnę, aleby jeszcze związanych, gdyby byli, trzeba rozwiązać, i, gdyby można, jednego do więzienia a dwóch z więzienia wziąć.“ Ślubem tylko więzienia kazano mi się sprawić. Kiedym się tedy sprawił, dano mi na inkwizycyą miejsce czynu. To jeszcze wojewoda dolożył: „Jeżeliś winny, to cię Bóg w téj okazyi, do której się gotujemy, skarze; jeżeliś niewinny, to wyjdiesz zdrowo, i stąd będę miał próbę twojéj niewinności.“ Wrócił się tedy do Polski on mój adwersarz, a to dla tego, żeby się uchronił okazyi. Gdy tedy odjeżdżał, poszedłem do wojewody, deklarując, „że ja po inkwizycyą nie pojadę od okazyi, ale jakakolwiek on przywiezie, dam się z jego inkwizycyi sądzić.“ Wodzowi ta rzecz była bardzo wdzięczna, i rzekł to przy kilku towarzyszach: „Miejże w Bogu nadzieję, że cię wydzwignie z téj turbacyi za tę cnotę, że z nami wolisz iść na wojnę, a twego adwersarza mogą tam gdzie osacznicy na puszczy zabić.“ Poszedłem

więc i byłem we wszystkich okazjach, i tak w owym ślubie chodziłem i białem się. Wojewoda zaś ile razy mię obaczył, to zawsze mówił: „cóż tam panie poślubiony? znać, żeś niewinien, kiedy cię jeszcze po tak gęstych ogniach żywo widzę.“

Skoro tedy w dwóch tylko milach stanął od nas pan Dołgoruki, dopiero do narady wojennój; jedni radzili, żeby go na tę stronę przeprawy przepuścić, i dawali przyczyny, a z tymi trzymał hetman Sapieha; drudzy, żeby tam ku niemu się przeprawić, a z tymi trzymał Czarniecki i Polubiński. Stoimy tedy kilka dni; nieidzie on do nas; czemu? niewiedzą; języków biorą, pytają i ci niewiedzą. Żeby się nas miał bać, to niepodobna wierzyć, tak wielkie mając siły, ale coś w tém za sekret; aż przecie zwąchał Czarniecki od jakiegoś ślachcica tamecznego, że Zoltareńko prowadzi 40,000 Kozaków zadnieprskich. Dopieroż w radę. Stańło tedy, że lepiej uprzedzić, niż być uprzedzonym. Poszliśmy więc za przeprawę, do której przystęp był bardzo błotny z obu stron, i sama w głąb na tebinki, ale że i dno było bardzo lgnące, mieli wolę most na nią postawić; że zaś rzecz nie cierpiała zwłoki, bo lasy od tego miejsca nie daleko przeto poszliśmy w bród. Przeszedłszy za przeprawę, każdy sobie pomyślał: zbić, Boże, niepodobna; lepiejby już prosto na nieprzyjacielskie szyki przebić się, niżeli nazad w przeprawę. Uszykowano wojsko tak, jakoby przeciw Chowańskiemu, ale już chorągwie husarskie, których było dziewięć, rozdzielono, każde na 3 szwadrony, a za każdym szwadronem pancerną chorągiew postawiono. Było zatem wojsko tak ozdobne, że się zdalo, iż jest hussaryi ze 6,000. Stańło wojsko w szyku, my znowu z Wojnielowiczem byliśmy na prawém skrzydle. Wszystkiój czeladzi lóźnej, tak z naszego, jako i z litewskiego wojska, kazano pod znakami stanąć do szyku, przydawszy każdemu znaczkowi towarzysza za rotmistrza. Było też kilka chorągwi wolontarskich, które wodził Muraszka; przyłączono tedy lóźnych do wolontarzów i uszykowano ich za górą, zdaleka od wojska, a niekazano się im ukazywać, aż kiedy się szyki poczną schodzić i zwierać. Przybyło tedy ozdoby małemu wojsku z owymi lóźnymi, bo

kiedy na nich spojrział, to się widziało takie drugie wojsko. Litwini osobliwie siła chowają tych karmicielów. Nazbierało się tego kilka tysięcy, nadstawiając się animuszem, czego siły wystarczyć niemogły, bośmy niemieli i czwartęj części potęgi nieprzyjacielskiej. Posłali wodzowie do Dolgorukiego, żeby dał pole, bośmy tu przyszli na wojnę, nie na leżenie. Spotkali go wodzowie już idącego ku nam szykiem, a powróciwszy, opowiedzieli wielkość wojska i to, że idzie z hulajgorodami, któremi całe opasał wojsko. (Są to hulajgorody, które oni zwyczajnie dają przy szańcach, czyli, jestto drzewo dłubane, na krzyż przetykane, a na końcach drzewo z drzewem spięte żelaznemi skoblicami. To nosi piechota przed szykami, a kiedy do rozprawy przyjdzie, stawiają na ziemi i przez to podają muszkiety. Na te rzeczy nijak natrzeć i nijak rozrywać nieprzyjaciela, boby się konie poprzebijaly. Wojsko stoi za tém jak za fortecą i stądto nazwano hulajgorody). Jak tedy o tym fortelu dowiedział się Czarniecki, kazał zaraz przed szykami zrobić szańczyki małe i piechocie i czeladzi, i gesto rzucili się do téj roboty, biorąc czém kto mógł ziemię, czy czapkami, czy połami, bo rydlów nie było tak wiele przy armatach. W godzinę lub więcej stanęły szańce, w które wprowadzono piechotę i działa. Stało się to bardzo prędko. Już natenczas nie miały szyki dalej szańców postąpić, tylko przy nich bić się odpornie, wysuwając się półkami do nieprzyjaciela, a kiedy ciężko to się pod szańce schronić, alećto inaczej rzeczy poszły, bośmy swoich szańców odbieźli oni téż swoje hulajgorody połamali, (o czém niżej). Kazano tedy ochotnikom podpadać pod ich szyki. Był las w pośrodku nie szeroki, ale długi i rzadki, przez któryto las jeszcze się wojska nie widziały. Skoczyliśmy tedy ku owemu lasowi, oni téż nas obaczywszy, wysłali swoich ochotników naprzód, a wojsko zaraz za ochotnikami następowało. Nasze wojsko stało jak wryte przy owych szańcach. Poczęliśmy się więc ucierać. Ten tego, ten téż owego pogoni. A działa się to po tamtéj jeszcze stronie lasu, o pół ćwierci mili od naszych szyków; wpadali już nawet i do lasu, gdy się kto za kim zagonił. Był téż między ochotnikami chłopiec, który umiał z Moskałami

swarzyć się i drażnić ich; jak oni wołali: „czaru, czaru!“ to chłopiec przypadłszy blisko nich, zawołał głosem: „wasz czar taki a taki!“ to Moskali za nim kilkunastu albo kilkudziesiąt wysworowało się; chłopiec zaś, na rączym bachmacie siedząc, dobrze uciekał, a wyprowadziwszy ich za sobą daleko od kupy, to my skoczywszy z boków, przernęliśmy ich, siekąc i zabierając. Dość na tém, żeśmy posłali wojewodzie ze trzydziestu języków z harcówki za powodem owego chłopca. To znowu chłopiec do nich poruszał i powiedział im co innego o czarze, a Moskale jakoby wściekli, (bo oni bardziej się urażają o krzywdę imienia carskiego, niżeli imienia boskiego), suną się za nim zapamiętale. Tak było tego wiele razy na owego chłopca. I tak tedy zagnali się za owym chłopcem aż w las, chcąc go koniecznie dostać, bohy go pewno ze skóry byli odarli za takie niecnoty, które im wyrządzał. My zaś zawsze po nich. Ja zagoniłem się za jednym i sam bez mała nie stałem się obławem; naprowadziłem konia nieostrożnie na krzaki, jak owo bywają wyrabane, a nowemi latoroślami obrosłe, że mi koń, chcąc owę krzaki przeskoczyć, (a miałem konia nie wielkiego, myszatego, który był bardzo rączy i obrotny; siadałem na nim do okazji często, kładłem na niego dwie uzdeczki, na przypadek zerwania wędzideł, co jedne cugle były w rękach, drugie u lęku przywiązane), zatoczył jakoś nogę za owe cugle wiszące, które zdrajca pacholek trochę przydłużej uwiązał. Począł tedy koń jakby chromać; ja rozumiałem, że go postrzelono; aż tu z boku drugi brodatyasz pędzi do mnie; ten też, com go gonił, wrócił się nazad, widząc, co się ze mną dzieje. Przypada do mnie brodaty; ja ruszę cyngla prosto w piersi, i spadł z konia; a ten drugi młody za kark mię, znać, że mię to chciał żywcem prowadzić, (bo jeszcze żadnego języka niewzięli, tylko zabili kilku naszych), albo też niemiał do mnie czym strzelić, ponieważ obadwa pistolety znalazły się nie nabite, a za tę rękę, co trzymał szablę, uchwyciłem go lewą ręką zaraz wtenczas, kiedy mię porwał za kark, i tak się właśnie wodzimy, jak kiedy owo dwa jastrzębie się zwiążą. Wtém ciał mię inny Moskal na pleśniawym bachmacie; ów na niego woła: „Fiedor, Fiedor, sudy!“ a Fie-

dorowi też chodziło o swoją skórę i zmykał dalej, bo go dwaj nasi towarzysze gonili. Obaczywszy mię towarzysze z owym Moskalem, dali pokój tamtemu, którego gonili, i przybyli do mnie. Moskał woła: „puszczajut, pojdu.....!“ lecz ja go też już nie chciałem puścić, ale gdyby mię był przed minutą poczęstował, pewniebym go był puścił z ochotą, nie dając się wiele prosić. Wzięli go tedy towarzysze i rozerznęli mi cugle zastąpiane. Owego zaś brodacza, na ziemi leżącego, który jeszcze żyw był, dobił towarzysz sztychem i chciał do niego zleść z konia, obmacać mu kieszenie, ale nie przyszło do tego, bo już szyki nieprzyjacielskie w sam ów lasek wchodziły i ochotnicy sypali się jako mrówki. Wyciąwszy więc konia płazem pod owym zabranym Moskalem, chcieliśmy udać się do śwóich, ale, po staremu, i tego trudno było uprowadzić; ciął go tedy Jakubowski w kark i spadł z konia, a my skoczyli do szyków; Moskale zaś wyszedłszy z lasku, stanęli jako mak kwitnący. Już wtedy obadwa wojska widzą się. Harcownikom kazano zniszczyć pola. Wojewoda objeżdża półki, napomina, prosi: „Mości panowie, pamiętajcie na imię boskie, dla którego zdrowie i krew nasze jako na ofiarę do tój niesiemy okazji.“ Stały obadwa szyki ze dwie godziny spokojnie, ani ci nas, ani my ich nie zaczepiając. Znowu kazano harcownikom podpadać i wywabiać ich w pole. Wyszli tedy w pole dalej od lasku i tak blisko stanęli, że już z armaty donosiły kule i z tój i z owój strony.

Tymczasem wyprowadził z owych hultajgorodów książę carski ze dwanaście tysięcy, jak powiadali, wojska. Ja przesiadłem się na innego konia. Stoimy w szyku. Wtém widzimy, że książę carski prosto ku naszemu prawemu skrzydłu zmierza. Przypadł wojewoda do nas i rzekł do Wojnielowicza: „Nu, stary żołnierzu, poczynajże nam szczęśliwie w imię pańskie!“ Podle naszej chorągwi jadąc, rzekł: „Proszę wytrzymać impet.“ Idą tedy do nas powołusieńku. Skoro już książę carski od nas niedaleko, rzekł wojewoda: „Do roboty, imię boskie wzięwszy na pomoc.“ Ruszają się tedy chorągwie powoli, a wodzowie zaś jadą przed nami z gołemi po łokcie rękami. Gdy już wojsko od wojska nie było nad czworo stajan, skoczą do nas, my też

do nich. Przyparli zaś do nas tak, że jeden drugiego mógłby był za piersi uchwycić. Przywiódlszy nas wojewoda na same szyki, wysunął się na stronę, a my uderzyli na siebie. Było tego z dobry kwadrans, że ani ten temu, ani ten owemu piędzią nie ustąpił. Sapięha widząc, że na nas ciężko, bo nas mało, posłał z lewego skrzydła półtora tysiąca dobrych ludzi. Przyszli im z boku i srogim impetem tak w nich uderzyli, że się zaraz z sobą pomięszały chorągwie. Dopieroż bitwa tęga i trupa leci moc. Moskale nazad odwodem, a my tu przycieramy, i tym bardziej trup pada. Moskale w nogi, a potem piechoty dawały ognia z armat okrutnie gęsto, z nie wielką jednakże po staremu, z łaski bożej, szkodą w ludziach naszych, z przyczyny, żeśmy się bardzo podsadzili pod armaty i przenosiły nas, ale po staremu legło i naszych kilkunastu; ci zaś wszyscy, co pod nimi konie popostrzelano, pouchodzili żywo. Pod Wojniłowiczem konia ubito i głuchych gwałt narobiono, bo owo bliskie pod armaty podsadzenie sprawiło, że ów huk i srogi impet szkodził słuchowi. I mnie samemu więcej niż trzy miesiące w głowie szumiało jak w browarze. Poszliśmy tedy nazad, wzięwszy chorągwi moskiewskich sześć i samych dobrze przeredziwszy, a tym, co uszli, suto narozdawawszy specyałów. Skonfudował bardzo Dołgoruki kniazia carskiego, (jak o tym później rotmistrz rajtarski, do niewoli wzięty, powiadał), że się dał z pola spędzić. Na co mu kniaz natychmiast odpowiedział: „Nie za długo obaczę cię samego, jeżeli też tak wytrzymywać będziesz, jako mnie tego uczysz. Osy to tam, osy, nie ludzie.“ Staliśmy tedy długo, z dział tylko bito z tamtej strony. Posłali znowu nasi wodzowie do Dołgorukiego z oświadczeniem, „żeśmy tu po to przyszli, aby się bić a nie próżnować, i że wieczór blisko.“ Na to odpowiedział Dołgoruki tak: „że komu się śmierć odwlecze, niech tego nie ma za krzywdę; co was ma spotkać, to was nieminie, lubo wieczór niedaleko; mam ja takie wojsko, że was może uspokoić i za godzinę, i podzielić, komu co będzie należało, całego dnia na to niepotrzebując.“ Po owej tak hardziej odpowiedzi, zaraz półki kazał wyprowadzić w pole z owemi hulajgorodami, zostawiwszy tam tylko część pie-

choty z armatą, a między kominikiem namieszawszy piechoty i polnych działek, bo on obiecywał sobie jednym zamachem zawojować nas, ufając wielkości swego wojska. Posłano tedy natychmiast ordynans do Muraszki, żeby wolonterów i lózną czeladź wyprowadził z za góry na oko nieprzyjacielowi. Przyszli więc wielkim pędem, właśnie tak, jakobyto dopiero świeżo na sukurs posiłki przychodziły, i zaraz rysią przy lewém skrzydle stawają, trochę opodal od wojska litewskiego. Muraszka uwija się pod bunczukiem, biega z buzdyganem, szykuje jakbyto nowotny hetman i nowotne wojsko, bo stało się tak ozdobne, że i nam samym serca przyrastało, patrząc na ową cholotę. Moskale rozumieli, że nowe przyszły posiłki; ów zaś krzyk, który i oni w obozie naszym słyszeli, tłómaczyli sobie, że to musi być tryumf z powodu posiłków nowo-przybywających. Już tedy Moskale wyprowadzili wszystko wojsko konne z owych hulajgorodów i piechoty połowę, nasz kominik także wyszedł, owe szanice w tyle zostawiwszy. Aż tu z armat biją, i coraz to strzala okrutna padnie między nas, czasem w szeregi, czasem też przed lub za szeregi, a że liście ma jako siekacz, dziwujemy się, co tam za łuki takie mają? czy olbrzym jaki strzela z wielkiego łuku, czy co; niewiedzieliśmy bowiem, że to astrachańscy Tatarowie strzelają, którzy o ziemię oparliszy drąg jeden łuku, drugi im aż nad głową stoperczy. Było tedy między wodzami postanowiono, że się najpierw miał potykać Sapięha, gdyż sam o to prosił, ale że Moskale swojej, nie naszej, wygadując potrzebie, na nasze prawe skrzydło najpierwszy uczynili impet, nam tedy jakoś znowu potykać się przyszło. Przypadł tedy wojewoda i mówi: „Mości panowie, do was to widzę coś sobie upodobał nieprzyjaciel, ale nie bójcie się, będzie was korpus cały wspierał.“ Zaczęła się tedy krwawa bitwa. Tam lud srodze gęsty i prawie kilku ich po jednego sięga, ale cóż, kiedy my przecie niedamy się rozrywać, opierając się potężnie. Spadają z koni postrzeleni, rannych za szeregi prowadzą. Piechota, między kominikiem pomieszana, bardzo nam szkodziła, bo jak cokolwiek zeprzemy nieprzyjaciela, a na owych zdrajców napadniemy, to jakby nam w gębę dał. Litwini biją się na

lewém skrzydle nierównie lepiej, niżeli z Chowańskim. Odzyskali przecie serce, które przedtém już wcale im było upadło. Lóżni też z wolonterami tak odważnie wpadają na szyki, że ledwie Tatar tak natrze; zgoła, we wszystkich sroga była ochota, bo też i niemogło być inaczej, tak wielką potęgę przed oczyma mając. Biło się też wojsko nasze tak, że po wszystkim czas służby mojej, i przed tą i po téj okazyi, nigdy niewidziałem bijących się tak mężnie Polaków. I mówiono nawet, iż gdyby Polacy zawsze tak się bili szczerze, byłby zaiste świat cały w ich mocy. Moskale ufali w wielkość swego wojska, nasi zaś w Pana Boga i swoją dzielność, bo jeden na drugiego zapatrując się, tak stawał, przy takiém współubieganiu się litewskiego wojska z naszym, że też już lepiej widzieć niepodobna; jakoż i to przyznać każdy musi, że moskiewskie wojska, a osobliwie owe bojarskie chorągwie, w szyku stojące, są tak straszne, jako naród żaden nie jest. Spojrzawszy na owe ich brody, to się taka jakoś przedstawiała powaga, jakby się na panów ojców porywał. Pojechawszy wojewoda do hussaryi i jako kto ma skoczyć rozporządziwszy, posłał też i do Sapięhy, żeby i on szczerze postąpił, bo też już słońce zachodziło. Przyjechał i do nas. (Bodaj się tacy wodzowie rodzili! Szczęśliwa matka, która takich rodzi synów!) „Teraz,“ rzekł, „mości panowie! komu Bóg i cnota miła, za mną!“ Jak też skoczymy, zrobił się srogi krzyk i rzeź, bośmy ich złamać niemogli; onym też niedaliśmy się, opierając się potężnie, a to z téj przyczyny, że było chwalebniej poledz w bitwie, niżeli w ucieczce. Oczywiście to rzecz była, że nas tam ręka boska piastowała, kiedy przeciwko tak wielkiej potędze dał Bóg i wygrać, mało w ludziach naszych mając szkody. Nie zapomnę tego nigdy, dziesiątemu to powiem, i mam to sobie za wielki dziw, kiedy do czterech naszych chorągwi, które zagnały się za Moskalami i naprowadzone zostały na ogień, prawie w bok włożywszy, 3,000 strzelców razem ognia dali, a po staremu jeden tylko towarzysz zabity został i czeladzi czterech, a podemną konia postrzelono; sprawdziła się zatem przepowiedź, że „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi,“ bo na taki ogień należałoby było połowie z koni spaść. Uderzyły po-

tém hussarye kopijami jako w ścianę; jedni kruszyli kopije, drudzy nie; który był taki, że skruszył kopiją, to brał się do pałasza, bo taki zaś był rozkaz, że, Panie zachowaj, aby miano kopiją cisnąć, któraby się jeszcze nie była umoczyła we krwi nieprzyjacielskiej, ale należało ją znowu podnieść. Tak więc czyniły jeden szwadron hussarskiej chorągwi Czarnieckiego i pancerna chorągiew, za nią nie pamiętam czyja, bo co słabsze chorągwie, to za szwadrony hussarskie ordynowano. Trafiły też na jakąś słabą ścianę, co się o brzuchy bali, bo rozstępowali się im tak, że przeszły chorągwie przez wszystkie szyki nieprzyjacielskie jakoby świdrem wierciał, nie prawie nieskruszywszy kopij, i zaszły wprost na to miejsce, gdzie nibyto była brama między owemi hulajgoradami, a którémto miejscem wyprowadzano szyki w pole. Jednego tylko towarzysza stracili przebijając się, i jednego także konia, przebrawszy się przeciwko owęj bramie. Obrócili się nazad z chorągwią i stanęli frontem w tył nieprzyjacielowi. Dopowiedziano wojewodzie, że już proporce jego widać w tyle szyków nieprzyjacielskich. Bał się, żeby ich tam nie pognieciono. Moskali też to nie mało hańbiło. Wojewoda kazał ostatniemi natrzeć siłami, sam zaś przed nami natarczywie skoczywszy, siekł, strzelał, narażał się, nie jak hetman, ale jak prosty żołnierz. Zmieszali się tedy Moskale, a potem w nogi. Terazto dopiero tnij i rznij. Co tedy która chorągiew moskiewska zapędziła się do owęj bramy, żeby uciec między hulajgorody, to hussarya owa, co się przebiła przez szyki, złożyła do nich kopije, to oni na stronę. Nacisnęła się ich moc pod owe hulajgorody, chcąc żeby ich odstrzeliwano, oni bowiem odstrzeliwać nie mogli, bo się sami bardziej razili, i z armat także już niestrzelano, bo nadaremnie było między pomieszane wojska. Wtém zamieszaniu natarliśmy na nich, strzelając i rąbiąc. Owe zaś hulajgorody, żelaznemi skoblicami potężnie pospinane, trudno było na prędce rozbierać. Uderzyli więc na te hulajgorody, a tu ich nasi bez przestanku sieką i tu dopiero legło ich powałem siła, tak, że trupa na trupie leżała ogromna kupa. Nad wszystkiemi owemi hulajgorodami utworzył się z trupów nieprzyjacielskich jako jaki największy wał, albo grobla. A tak, co na nas zasta-

wili, na to sami powpadali, stósownie do przysłowia: „kto pod kim dół kopie, sam w niego wpada,“ bo z naszych i jeden nie zginął przez ten fortel, w którym oni największą nadzieję pokładali. Takto zwyczajnie Bóg zrzędzą, że zawsze człowiek sam wpada w tę samolówkę, którą na innych buduje. Zginął tedy kommunik prawie wszystkich, bo nie bardzo wiele go uszło. Wojewodów, kniaziów, bojarów dumnych, urzędników carskich, siła bardzo naginęło, ponieważ żywcem nic nie brano, bo nie było czasu bawić się tak wielką potęgą nieprzyjacielską. Wziąć bowiem żywcem nieprzyjaciela, znaczy: nic już więcej nie robić, a tymczasem, kiedy Pan Bóg poszczęści, może kilku na to miejsce zabić, co się z owym jednym zabawi. Mnie samemu trafiło się jakiegoś znacznego Moskala ciąć, i potém dopiero pomiarkowałem, że był strojny jak do ślubu, a nie przyszło mi nawet i kołpaka mu wziąć, na którym było pereł ze trzy garście i zapona dyamentowa, boto niepodobna inaczej w gęstym boju, ty za tym jedziesz, a na ciebie bije ich dziesięciu. Piechota nasza największe miała zdobycze, bo zaraz za nami następowała, i odzierała. Pieniędzy znajdowali siła, boto było pospolite ruszenie. Bojarowie znaczni poginęli, także i piechota wszystka, która była w pole wyprowadzona; byłaby i tanta druga zginęła, gdyby noc nie była zaszła i temu przeszkodziła, a oni tymczasem poszli w las, nocy jedynie zawdzięczając swe ocalenie. Chorągwi nabrano kilka wozów, armat szumnych wzięto siła i więźniów po troszę; zabrano ich piechoty kilkaset do Sapiehy i do Czarnieckiego, ale nie było znacznych, tylko trzech pólkowników,rotnistrzów kilku, bojarów, Niemców i Anglików kilkunastu. Dołgorukiego i tych ludzi, co uszli, noc ochroniła, bo gdyby było więcej dnia stawało, wszyscyby byli polegli. Zoltareńko z swymi Kozakami o trzy mile tylko był pod czas okazyi. Podjazd jego był i patrzył na bitwę, jak udawano, a widząc przegraną Dołgorukiego, natychmiast wyciął chyżego nazad. Odebrał potém Zoltareńko od Moskwy ukazy, a po naszymu ordynanse, żeby zaraz poszedł łączyć się z Chmielniczeńką; poszedł zatém spiesznym pochodem, lecz nie wiem, czy tam co pomógł, czy nie, bo téż prawie o tym jakoś czasie pa-

nowie nasi hetmani doszczętnie znieśli Szeremeta, tak, że ani zwiasticiel klęski nie pozostał, bo jedni na placu padli, drugich Tatarowie, którzy byli z naszej strony, zabrali, i samego Szeremeta wzięli, a to w nagrodę tego, że nam Moskalki pomogli wojować. I to było chwalebne i wielkie zwycięstwo, ale ja o niem nie piszę, bom tam nie był, i o tych tylko piszę okazjach, w których sam byłem, gdyż ten jest zamiar mój, aby opisać życie moje, nie zaś stan Rzeczypospolitej, a to z tej przyczyny, żebym sobie mógł przywieść na pamięć każde moje czyny przeczytawszy w piśmie, gdyby ich pamięć nie mogła dotrzymać. Ale i ta okazyja dosyć była szczęśliwa od Pana Boga, kiedy nie znalazł się i jeden z nieprzyjacielskiego wojska tak wielkiego, (którego, jak powiadano, było, oprócz Kozaków, 70,000 ludzi), coby nie był ranny; a że wielkie Bóg wszechmogący nad narodem polskim pokazał miłosierdzie i ojczyznę strapioną wydarł prawie z paszczy okrutnego nieprzyjaciela, który jużby ją był prawie osiadł, gdyby Pan Bóg nie był dał otrzymać zwycięstwa, za co niech będzie imię jego przenaјświętsze pochwalone! Po okazyi jednak tej posłał wojewoda ruski podjazdy potężne na te miejsca, gdzie slyszal o Kozakach, chcąc się z nimi powitać; lecz dano znać od podjazdów wojewodzie, że panowie Kozacy drapnęli, widząc bankiet Dolgorukiego, i nie chcieli takiego drugiego czekać. Toto jest roztropność dobrego wodza, uprzedzić nieprzyjaciela, i nie dać mu się wzmoćnić. Cobyto Moskalki z małą garstką naszego wojska nie byli robili, gdyby się to kozactwo z nimi było złączyło! A tak i Moskalki otrzymali chłostę i Kozacy uciekli, i owi astrachańscy Tatarowie zginęli, cośmy się ich lękali, a o których powiadali ci, co ich bili, (bo tam innym półkom dostało się na nich napaść), że nie nie umieli, i owszem począwszy się trochę z razu uwijać z swemi dzidami, jeszcze prędzej pierzehali niżeli Moskalki, i nie slyszalem, żeby się kto skarzył na ranę od ich oręża. Takto Pan Bóg dobry, kiedy chce, pobłogosławi, doda rady zdrowej wodzowi, doda męstwa i odwagi rycerzom; czegośmy widocznie doznawali w tych moskiewskich okazjach, kiedy nie było podobieństwa do wygranej tak szczupłemu naszemu wojsku. Gdy podjazd powracał po nad

Dnieprem już ku swoim, taki mając ordynans, szedł mimo Mohilewa. Co przedtém (jakom namienil) na wojsko przechodzące hukali, wołali, grozili kniazem Dołgorukim, grozili i kajdanami i stolicą, wtenczas ani gęby nikt nie rozdziawił, ani do nich nawet nie strzelano. Jakto jest straszne godło zwycięstwa! jakto Bóg przeinaczy hardość ludzką i wielkie o sobie rozumienie!

Jużeśmy rozumieli, że po owych tak ciężkich pracach przyjdziemy na wytchnienie, oblawszy się do sytości swoją i nieprzyjacielską krwią, aż tu przychodzą powtórne i nieodmienne wiadomości, że Dołgoruki, zapomniawszy o dawnej chłoście, znowu za ukazem carskim zebrał 12,000 wojska dobrego z owych ostatnich już dumnych bojarów i dwornych carskich urzędników, przeszedł Dniepr pod Smoleńskiem i zachodzi nam od Polski z strony Dniepru, rezolwowawszy się, by téż i samemu przyszło zginąć, i deklarowawszy carowi wstępnym bojem na nas uderzyć, albo téż z za Dniepru nas nie puścić, ażby znowu nowych sił nie nabral i na nas nie przyszedł uderzyć, aleć się i na tym zawiódł zamiarze, bo trudno w śpiączki złapać ostróżnego lisa, jak prędko Lisowskiego jeszcze zabytku żołnierza. Jak tylko Czarniecki odebrał wiadomość o tych poruszeniach Dołgorukiego, zaraz poszło wojsko śpiesznym pochodem nazad do Dniepru. Przeprawiwszy się tedy jak mogąc na tamtą stronę pod Szklowem, jedni konie przewożąc, drudzy zaś przy łodziach i pramach pławiąc, a że już były i wielkie zimna, bardzo na tém biedne konie cierpiały i nie jeden zęby wyszczerzył, i stanęliśmy pod Szklowem, Litwini zaś w polu szczerém, ćwierć mili od nas, my zaś nad samym Dnieprem na kępie, którą oblewał. Wyprawił zaraz Sapięcha na podjazd Kmiczyca, półkownika, żołnierza dobrego, we trzy tysiące dobrych ludzi, ku Czercicy, gdzie się był Chowański położył obozem i pobudował jak na całą zimę i okopał, bo miał w polu zimować. Nazajutrz po wyprawionym podjeździe, podobno duchem prorockim Czarniecki natchniony, kazał otrąbić, żeby za dwie godziny było wojsko w pogotowiu siadać na koń, biorąc z sobą prowianty. Tak tedy się stało. Cichusieńko przez munsztuk zatrąbiwszy i Sapięsze nic nie powiedziawszy, ruszyliśmy

się; idziemy lasami, a wszystko spieszno; nie wiemy nic po co i dokąd. A Chowański téż tak uczynił, poszedł komunikiem, chcąc nas na przeprawie zaskoczyć rozdwojonych. Spotkał się tedy z Kmiczycem pod Druckiem, albo raczej przyszedł mu z tyłu, bo już go był minął innym traktem. (Opowiedział o Litwinach mieszczanin z Drucka, którego tam gdzieś w drodze Moskale porwali). Tam jak się uderzyli z sobą, bili się, prawda, Litwini niebożęta mocno, ale, nie mogąc wytrzymać, rozerwano ich; dopieroż trwoga, dopieroż ich Moskale zaczęły bić, brać i wiązać. Posłał był Czarniecki przodem kilka chorągwi; te skoro przyszły do przeprawy pod samym Druckiem, czyli Odruckiem, (bo to miasteczko dwojako nazywają), do rzeki Drucz, na której były mosty, ale te już zastali zrzuczone od Moskali. Stanęli więc nad rzeką i posłali do wojewody, dając znać, że słyhać strzelanie i bitwę jakąś. Zaraz tedy rysią poszło wojsko, zaraz domyśliliśmy się, że nie darmo; przyjdziemy do przeprawy nad Druckiem samym; źle, rzeka wprawdzie nie szeroka, ale dwoma nurtami idzie, dwa razy zatém pływać trzeba jak po pół stajana głęboko i bystro, a zabrzejysto zaraz jak z pieca. Moskale prostacy spuścili się na to, iż mosty zrzucili; wiedzieli téż i to, że wojsko nasze jeszcze pod Szklówem i sukursu zatém żadnego nie mogli mieć Litwini, nie kazali więc owęj przeprawy pilnować, której mogliby byli zabronić należycie. Wojewoda rzekł: „Mości panowie! rzecz nie cierpi odwłoki; mostów tu budować nie masz czasu; słyszycie strzelanie; słyhać i głosy moskiewskie. Jużto znać, że nie nasi onych, ale oni naszych biją. Przeplływaliśmy morze i tu trzeba, Pana Boga wzięwszy na pomoc. Za siebie pistolety, ładownice za kołnierz!“ Sam tedy wojewoda wprzód skoczył z brzegu, i zaraz koń spłynął, bo rzeka bardzo była głęboka. Przeplłynął więc i stanął na drugim brzegu, a chorągwie jedna za drugą płyną cicho, ponieważ do tego miejsca, gdzie się bili, nie było ledwie z piętnaście stajan, tylko że za lasem, przeto nie mogli nas widzieć. Ażtu znowu wojewoda woła, stojąc na brzegu: „Szeregiem mości panowie, szeregiem!“ co niepodobna było, bo nie każdy koń jednakowo pływa, jeden się bardziej suwa, drugi nie tak; nasz pierwszy to-

warzysz, Drozdowski, miał konia, co go był nie świadom, a on pływał jakoś dziwnie na bok; skoro tedy tak uczynił, zaraz go woda zniosła z konia i począł tonąć, konia puściwszy; jam go uchwycił za ramię, drugi towarzysz z drugiej strony i takeśmy go między sobą pławili. Skorośmy go wynieśli, aż mówi wojewoda: „Macie szczęście panie bracie, bo są tu wielkie ryby, i połknąłby was był szczupak całkiem z pancerzem.“ (Ten przydatek zrobił wojewoda dla tego, że to był chłopek małego wzrostu). Jakeśmy się przeprawili i przez drugą taką odnogę, zaraz półkowi królewskiemu kazał wojewoda skoczyć do bitwy, a sam został przy przeprawie innych półków. Idziemy tedy rysią. Moskale zdumieli się, mówiąc: „czyż z nieba spadli?“ Tu wojsko ich nie w porządku należytym, jedni się kupą bawią, drudzy Litwinów wiążą, inni po stawie brodzą i rozgromionych z trzciny wywłóczą, (bo mało co zabijali naszych, chcąc jako najwięcej nabrać niewolnika, żeby ich zaś mogli za swoich zamieniać), a był ten staw bardzo wielki pod samém miastem, gęstą trzcina zarosły; do niego Litwini niebożęta uciekali z pogromu. Uderzą na nas Moskale, rozumiejąc, że to drugi jaki podjazd; zepną nas; dziwią się, że każdy z nas mokry i z każdego ciecze, a strzelba jednak daje ognia. Gdy zaś widzą, że coraz więcej przybywa nas jak z rękawa, stąd téż serce w nich coraz mniejsze, u nas przeciwnie coraz większe, bo co się która chorągiew przeprawiła, to kazał jój wojewoda zaraz za nami skoczyć. Litwini, jako barani, i po kilku do kupy byli związani. Kmiczyc, pułkownik, wypadł gdzieś z chałupy, jak go już straż była odstała, biega między naszymi, ręce w tył mając związane, i woła: „dla Boga ratujcie!“ i takci go tam ktoś rozerznął. Wtém porwali Moskale pacholka z naszego wojska i pytają go: „coto za podjazd?“ Ten odpowiada: „nie podjazd to, ale Czarniecki z wojskiem.“ A tu rąbanina sroga, trupy padają, owi się po stawie poruszają i nurzają, a co przedtém Moskal prowadził Litwina, to go już teraz Litwin za brodę ciągnie. Wnet zmieniło się Moskalom szczęście, w jednej bowiem godzinie podchlebiło im, a potem ich na sztych wydało. Jak więc usłyszeli od owego pacholka, że to nie podjazd,

ale wojsko, widzą, że źle koło nich; a że im nasi faldów mocno przyciskają i coraz z lasa wymknie się chorągiew, właśnie jak kiedy owo wyrwanego tańczą, poczęła starszyzna uciekać, a wojsko też poszło w rozsypkę. Lecz tego uciekania nie było długo, bo konie mieli zmordowane bijąc się z Litwinami i przebiegając im z innego traktu wielkie trzy mile, ponieważ ich już byli minęli, a do tego, że i konie mieli srodze tłuste i rozpierały się im. Jakaśmy tedy wsiedli na nich, tośmy ich ciąli przez cztery wielkie mile, a kto w pierwszej mili nie zginął, to w drugiej lub trzeciej, bo dojechawszy go, to koń pod nim stoi jako krowa, albo też już z niego zsiadłszy, to Moskal kłęczy, ręce złożwszy; to go po szyi, mówiąc: a dalej za drugimi. Kto więc w tych czterech milach nie zginął, to już dalej trupa nie było, ale jednak ich bardzo mało przybieżowało do obozu, co powiadali chłopci i inni niewolnicy, którzycheśmy w obozie zastali, a którzyto zdrajcy wielkińi zrobili się panami, bo zaraz jak postrzegli co się dzieje, przetrzęśli szalasy. Przyszliśmy więc do obozu moskiewskiego pod Tołeczyn, mil siedm od tego miejsca, gdzie była bitwa, w którym zastaliśmy wszystko do życia i wozy wszelkie, nawet koni podostatkiem, bo owi, co uciekli, nie zdołali swego porwać, gdyż zaraześmy na karku ich jechali, a ci, co byli w obozie zostali, jakoto wozowi ludzie, ledwie co który konia dopadł i uciekał, a rzeczy tych, co zginęli, nikt też nie brał. Było i bydła po troszę, co za wielką nowalią mieliśmy, komu się dostał wół albo jałowica, i nie trzeba było gości zapraszać, sami bowiem przyszli i z trzeciego nawet półku, dowiedziawszy się, gdzie świeżą sztukę mięsa gotują, bo o to bardzo było trudno, gdyż blisko granicy moskiewskiej jedne były pozabierane, drugie też, kto co jeszcze miał, to chyba w pustyniach głębokich i lecie i zimie. Przeglądnieliśmy byli bardzo mięsa, nie żyjąc przez kilka miesięcy tylko ogrodniemi rzeczami, a najbardziej ćwikłą pieczoną, z której różne specyały wymyślali, między innymi i pierogi pieczone; rozwierciawszy bowiem warzoną ćwikłę i położywszy na placek, a potem zwinąwszy jak zwyczajnie pieróg i konopnem siemieniem rozwiercianem po wierzchu posmarowawszy, to w piec z nim, a potem to

dopiero wielki specyał. — Gdyśmy stanęli w obozie moskiewskim, rozdano kwatery tak jak w jakimś mieście. Litwinów, którzy za nami przyszli czwartego dnia, nie puściliśmy do nas, aleśmy im przecie udzielali legumin. Stajnie zastałiśmy gotowe z podłogami, bo już były wielkie błota jesienne; budynki porządne, ponieważ się oni słusznie budują w obozach. Tabory nasze przyszły za nami wtenczas, kiedy i litewskie wojsko. Sapięha stanął osobno obozem, o milkę od nas. Nastąpiły wielkie słoty, śniegi, poczęły Litwinom konie szwankować, poszli więc na kwatery po wsiach; my zaś staliśmy w obozie, pókiśmy mieli co jeść i konie nasze, których lubośmy już byli uronili po troszę przez bitwy przeszłe i słoty jesienne i to pływanie na rzekach podczas zimnej wody, ale zaś napełniło się tego przez tę okazyą, że ich było dosyć i bardzo dobrych owych astrańskich, kałnuków, bachmatów i różnych ruskich koni.

Mogliby panowie żołnierze terażniejszego wieku brać przykład z naszego wojowania, którzyto często konie tracą. Ja powiadam, że oni nigdy w większych jak my nie byli pracach, a więc odbytu takiego nie mieli na konie, a przecie wojsko nasze nigdy nie opieszało, bo u nas konia utracić tak było, jak raka z kobielei wypuścić, wiedział bowiem każdy, że przy szczerem spotkaniu się z nieprzyjacielem może mu Pan Bóg dać innego. Weźmie ci konia nieprzyjaciela, starajże się i ty, żebyś mu odebrał dwóch, ponieważ takiś człowiek jako i on, taki żołnierz jako i on, i na nim skóra nawet nie z karaczyny, tylko jako i na tobie.

Rok 1661.

Rok pański 1661, za boską pomocą, zacząłem w domu, w którymto roku dziwnemi Pan Bóg słuę swego próbował okazjami, złą i dobrą fortuną przeplatając odmianami, ale się to wszystko na dobre obróciło, (o czém będzie niżej). Po trzech królach pojechałem do radomskiego dla owęj inkwizycyi, a Goczkowski, swoją wywiódłszy, nie wiem jakim tam sposobem, pojechał z nią, i, po odjeździe moim z domu, podobno w tydzień przyjechał do wojska. Powiedział mu wojewoda: „Waszec się dotychczas zabawiał

czarnym kałamarzem, wywodząc inkwizycyą, a pan Pasek tu z nami krwią pisał; teraz waszec napierasz się sądu przeciw nieprzytomnemu, to być nie może, bo też i on chciał się bronić, i teraz dopiero pojechał tam, skąd waszec przyjechał, a lepiej było i waszeci dopiero teraz z nim razem pospołu jechać po inkwizycyą, niżeli tak wiele pięknych opuścić okazji. Waszeci bardziej pachnie kancelarya, niżeli wojna; lepiej waszec zaniechaj téj kłótni, bo kiedy on wyszedł zdrowo z takiego ognia, w którym widziałem go sam, to znać, że niewinien krwi brata waszeci; wszak waszec pamiętasz, żem go taką zagadnął próbą: „jeżeli wynijdziesz zdrowo z téj okazji, to się miarkować będę o twojej niewinności.“ Jać was rozsądzę, skoro on z swoją powróci inkwizycyą. Ale jeżeli tam waszec co zrozumiał, to lepiej ludzi nie turbować. On się tego niezapiera, że brata waszeci uderzył, ale się w tém chce wywieść, jako nie z téj, ale z innéj przyczyny zszedł z tego świata. Udajcie się o to do trybunału jako ślacheć z ślachećcem, ponieważ to stało się tak dawno i nie pod moją dyrekcją.“ Nabwszy mu więc tak wojewoda uszy, nietylko temu dał pokój, ale nawet z wojska od ćwierci roku wyjechał. Ja zaś przyjechawszy do radomskiego, już owych ludzi niezastalem żywych, co byli najpotrzebniejsi do inkwizycyi, osobliwie gospodarstwo, w których domu działa się ta zwada, ksiądz tylko jeden był, co go dysponował, i ten chciał mi dać świadectwo: „że mię przy śmierci nieczynił winnym,“ ale chciał, żebym się o to był postarał, aby mu do tego było dane pozwolenie od konsystorza. Miałem też nadzieję w świadectwie kompanii naszéj, która pod tym znakiem pana Piekarskiego zostawała. Znowu ze mną pod tąże chorągwią pana kasztelana lubelskiego służyli pan Olszowski Jan i pan Zaremba Jędrzej. Pojechałem więc z radomskiego z niczém, mając wołą o to pozwolenie postarać się, aleć przyjechawszy do domu, dowiedziałem się, że mój przeciwnik wyjechał z wojska, i, ożeniwszy się, osiadł w domu. Wnosiłem natenczas, że tego zaniecha, i jużem się więc nie starał o owę inkwizycyą, jakoż później zjechałem się z nim i widziałem w domu pana kasztelana żarnowskiego, Starołęckiego, w Studzianném, podczas kommendów pana

Michała Łabiszewskiego i księcia Dymitra, kiedy się o pannę Przyłuską, siostrzenicę saméj jéjmości, starał. Pan Goczkowski nie już także o téj inkwizycyi nie wspominał, tylko przy powitaniu ręki mi umknął, o co chcieli się ujmować ci, co z nami przyjechali, osobliwie panowie Petrykowscy, panowie Radziątkowscy, krewni moi, i inni, i już się byli poczéli brać do szabel, ale gospodarz wdał się w to i ja téż mówiłem, żeby mu dali pokój i żeby się już tém ukontentował, że mi rękę umknął. Takci dali pokój, tylko Bełski Jan, a sędzia rawski, rzekł mu: „Panie bracie, waszeć się o to ujmujesz, że brata waszeci obuchem uderzono, a waszeci samego trzebaby kijem, że waszeć tak barbarzyński.“ Siedział ci z nami przez owe dni kommandów, ale od nas już stronił, bo się bał; było nas lepiej niżeli sto koni, a wszyscy na niego marszem patrzali o owe umknienie ręki, i w tańcu nie był i razu. Kiedy z nim mówili niektórzy i pytali: co dalej będzie czynił? odpowiedział: „czekajcie dłużej! udam się do koronnego prawa, bo w wojsku ma widzę fawory.“ Ja téż temu byłem bardzo rad i jużem się nie starał o owę inkwizycyą, aleć potém i on prawa koronnego nie zaczynał, bo podobno poczuwał się, że mi tego nie dowiedzie. Pojechałem późniéj do wojska. Wojewoda obaczywszy mię, rzekł: „To za inkwizycyą.“ Odpowiadam: „Tak jest.“ „Nie dojdziecie z sobą sprawy,“ rzekł daléj wojewoda, „kiedy ten odjeżdża, a ten przyjeżdża.“ Potém powiedziałem wojewodzie, że już do koronnego udaje się prawa. Wkrótce potém wojsko od hetmańskiej dywizyi poczęło się zabierać do związku; ustawiczne poselstwa i listy inwitujące od towarzystwa, proponujące wspólną krzywdę i wspólne dobro wojska. Nasza dywizya opierała się temu, bo przecie uważała stąd wielką ojczyzny szkodę. Już Moskale nie mieli sposobu oporu, już z desperacyi poddać się i miłosierdzia prosić zamysłali. Panowie téż Wolscy za białe jezioro wyrugowali swoje dostatki. Po prostu mówiąc, rzadko się taki znalazł w wojsku naszym, któryby szczerze był wdychał do związku. Aż nakoniec dokazali tego hetmańscy, żeśmy przynajmniej zbliżyli się do nich na rozmowę. Ja zaś oświadczyłem poręcznikowi memu, żeby się starał o towarzysza na moje

miejsce, o czém dowiedziawszy się wojewoda, kazał Mężynskiemu, porucznikowi swemu, traktować ze mną, abym pod jego chorągiew podjechał. Postanowiono więc, żem dał rękę. Wojsko zaś poszedłszy z pód Kobrynia, złączyło się z hetmańskimi, ale nie wszystkie chorągwie, bo królewskie, jego samego i inne, jakoto: Zięciowskiego, starosty kaniowskiego, nie chciały się też łączyć. W kole tedy jeneralném wielki hałas za i przeciw, bo hetmańskie wojsko już było jako dudy nadęte i srogiego ducha miało do konfederacyi. Nasi zaś byli między młotem i kowadłem: bo i tu nęciła słodycz chlebów i tu żał było wydzierać się z posłuszeństwa okazyą rozprzestrzenienia granic. Niektórzy żalowali, że się zbliżyli do jeneralnego koła, drudzy też mówili, że tego koniecznie trzeba; słowem, ile głów, tyle zdań, jakby nie jednéj matki dziatki. Przyszło więc pozwolić na ich wolą pod następującemi warunkami: naprzód, żeby z naszego wojska marszałka obrać; powtóre, żeby zaraz wzięwszy dobre chleby i poprawiwszy pocztów słusznie, iść już nie pod dowództwo hetmanów, ale marszałka swego, i zostawić po ekonomiach i starostwach deputowanych administratorów, którzyby na rzecz wojska zawiadywali dobrami królewskimi i wybierali intraty. Nierozwiązywać się jednak z związku, aż będzie wojsku obmyślona w zupełności satysfakcyja. Co do pierwszego, nie mogło to być, żeby marszałek był z naszej dywizyi, z przyczyny, że tam wojsko większe o dwie części. Postanowiono tedy, że z naszego wojska ma być zastępca, a z hetmańskich marszałek. Stał więc marszałek Świderski, człowiek prosty i szczery, co w nim wojsko upatrowało. Zastępcą zaś Borzęcki, porucznik chorągwi pancernéj Franciszka Myśzkowskiego, margrabi pinczowskiego, człowiek uczony, fantazyi górnej. Konsyliarzów połowa z naszego wojska, połowa z tamtego. Co do drugiego wniosku, widzieli w tém niezmienny zamiar wojska naszego, żeby ten chleb jeść pracując, nie pò włościach leżąc. Słyszeli deklaracyą z całego gardła, że tego nie odstąpimy, choćby też przyszło i broń doświadczyć, jeżeli nam nie ujdą przyczyny. Tam przeciwnie dawano przyczyny takie, że tym związkiem tak wiele ugrozimy jako nic, i że kiedy pójdziemy w pracę, że nie

będzie rzeczpospolita dbała o to i nie obmyśli zasług, kiedy mieć będzie zaszczyt i t. d. i t. d. Zastępca zaś bronił tego mocno, na toż i marszałek przystawał, ale nie śmiał szczerze mówić, aby nie obrazić swojej strony. Ozwie się towarzysz Karkoszka, lecz nie wiem z pod czyjej chorągwi, w te słowa: „Wymyśli to niepotrzebne kilku osób; jeżeli ma być związek, niechże będzie. Gdy zaś nie będzie nic, to nasze zasługi przypadną i w draganów nas obróćą. Takito kilku ichmościów, jak mówię, wymyśl, a drudzy nie nie mówią, znać, że toż samo czują, co i my.“ — Spójrzy zastępca po pólkownikach, porucznikach, i mówi: „Panie, co wam się w tém zdaje.“ Owi rzekli: „Bierzemy to sobie do namysłu z kompaniami.“ Solwowano tedy do dnia następnego.

Skoro nazajutrz jednomyślnie wszyscy nasi zgodzili się na to po kołach partykularnych, żeby téj przedsięwziętej nie odstępować intencji, w kole zaś jeneralném kazali porucznikom daklarować, każdemu imieniem swojej kompanii; który chciał, sam własnymi usty deklarował; komu zaś trudno było o słowa, to przez deputowanych szły deklaracje.

Nasz Krzywiecki, lubo był dobry żołnierz i męszczyzna pewno urody pięknej i okazałej, ale nie mówca, a osobliwie w zgromadzeniu publiczném. Mnie zatém ordynował do deklaracyi i całej kompanii kazał być w jeneralném kole, a sam został listy pilno expedyować. Że tedy nie było chorągwi królewskich, wojewodzinych obudwu i krajczego koronnego Leszczyńskiego, zięcia jego, najpierwsza więc deklaracja była téj chorągwi, gdzie porucznikował zastępca, a deklarował Kraszowski, towarzysz. Druga zaraz deklaracja była chorągwi naszéj, gdzie ja ćwierci jeszcze dosłużywałem. Lubom dał wojewodzie słowo, mówiłem jednak tak, a kompania nasza i z pod wszystkich chorągwi jak najliczniej zgromadzili się: „Nie wiem, jakby się ten mógł nazwać synem ojczyzny, któryby dla swojej prywaty, miał całe zapomnąć publicznych ojczyzny interressów. Marnotrawnymi synami nazywa świat takich synów, którzy dla jednéj tylko na krótki czas wygody, masę całej swojej zaprzędają substancyi, i te części, któreby z sukcesorami swymi mogli wkrótce zażywać, jednym razem swawolnie

utracają. Do rzeczypospolitój mamy pretensyę zatrzymanych tak wiele zasług. Ale gdy uważę, że to do rzeczypospolitój nie węgierskiej, nie niemieckiej, ale polskiej, naszej własnej matki, toć też podobno jako z matką należałoby postąpić, bo matka każda, gdy się jej przebierze chleba, nagradza zwyczajnie dzieciom swoim zatrzymane śniadanie dobrym obiadem, i także nie da im upadać pod ciężkim głodem. Gdyby jej swawolne dziatki gospodarską razem wyniszczyły spiżarnią, jużby się podobno i zatrzymane nie nagrodziło śniadanie i do dalszego wiktupadłyby sposoby. Jest nowa zwłoka, a nieprzyjaciel się wzmocni, kiedy mu czasu pozwolimy. Bóg się rozgniewa, kiedy łaska jego i ta ręka boska, która za nami wojowała, będzie przeciwko nam, że nietylko nieprzyjacielskiego nieotrzymamy, ale i swego uronimy. Jawne to rzeczy, mości panowie, jawne, że nas dotąd piastowała boska opieka. W kronikach się tego nie doczytamy, żeby od polskiej szabli, dokładam, przy takiej wojska szczupłości, tak potężne i wielkie miały upadać miryady. Uważajmy to, że ten dumny naród trzy części ojczyzny naszej mieczem i ogniem spustoszył. Uważajmy, jak wiele Bogu w jego kościołach poczynił obrazy. Uważajmy, jaką nam podczas wojny szwedzkiej stał się przeszkodą. Pokażmy to, że też umiemy za granicą szukać chleba u tych, co go u nas tak wiele napsowali. Zrzućmy nakoniec z siebie owę od sąsiednich narodów wyrzucaną narodowi naszemu gnusność. Będzieto z lepszą sławą i z lepszym naszym pożytkiem, bo i Bóg w zemście pobłogosławi rzeczy nasze, a bracia nasi, choćby też mieli z kamienia serce, muszą na szczerłość naszą respektować, i w obfity kraj wszedłszy, może nam Bóg lepsze, niżeli na domowej skibie, obmyślić chleby. Tę tedy w imieniu całej kompanii naszej przynosząc deklaracyą, oznajmiam to, że komu się dobre nasze chęci nie zdają, pewnie i nam jego. Nie wiem, jakie dawszy im nazwisko, całemu, że tak pozwolę sobie wymówić, wojsku dywizyi naszej podobać się nie będą, oraz protestuję przed niebem i ziemią, jeżeliby jaką przez czyj upór ojczyzna poniosła krzywdę, że my chcemy jej synowską wyświadczyć miłość.“ Słuchali przecie, póki mówiłem, spokojnie, ale jakem skończył, stało się srogie

szemranie; jedni mówią tak, drudzy tak, trzeci tak trzeba, inni tak trzeba, inni znowu mówią: zle, nic potém. Wyrwie się nareszcie kilku biboszków i poczną wszyscy razem wrzeszczeć: „Nie dziwujcie się panom Czarnieczykom, że sobie roszczą skrupuły, bo oni tam w dywizyi swojej samych Jezuitów mają kapelanów. Oni to ich temi nadzieją skrupułami.“ Aleć jak to ich inni ohuknęli, umilkli. Zastępcy zaś miło było tego słuchać i pokazaował to jawnie, bo widział, że wszystkie słowa, to jest cokolwiekby się dobrze stało, musiałyby były ustąpić jego reputacyi, gdyż był mąż dzielny i żołnierz dobry. I marszałek tegoż był zdania, ale tego nie pokazywał z téj przyczyny, żeby się zdał potakiwać tamtym. Jak się owo szemranie uspokoiło, nastąpiły potém innych chorągwi deklaracye, które punkt w punkt deklarowały. Jak się półk królewski skończył, toż dopiero i innych półków w téjże samej myśli; nawet te chorągwie, które przeciwnéj z nami były myśli, a tych było sześć, zszepnąwszy się z sobą od poprzedniej intencji i zgodnie z nami deklarowały, żeby iść w kampanią cokolwiek wychnąwszy i sporządziwszy się. Hetmańczykowie widząc w nas stałość, widząc, że nas w tém nie przełamia, nie chcieli nas drażnić, bo widzieli, że byłoby nie dobrze na nich, gdyby nas od siebie pozbyli i gdyby Czarniecki miał siły, który był duszą i ciałem królowi oddany. Stańło na tém, że się wszyscy zgodzili, aby tak było. Solwowano tedy kołowanie, obiecawszy o tém, da Pan Bóg stanąć na konsystencyi, postanowić.

Nazajutrz naznaczono konsystencye; siedmiu marszałków z zastępcą w zamku kleckim przysięgało wojsku, starszyzna na wymyślną ostrą rotę, wojsko starszyźnie nawzajem; niektórzy zwłoczyli przysięgę (i ja także) do dalszego kołowania.

Poszły tedy półki oddzielnie, każdy do swego stanowiska; posłano także 3,000 wojska po owe chorągwie, których było 9 z dywizyi naszej, aby one wciągnąć do związku, bo tego tylko potrzebowały, żeby je przymuszono, z przyczyny, iż to były królewskie i regimentarskie, aby się tém zasłoniły, że to musiały uczynić. Tak się więc stało, że do związku przystąpiły. Poodbierano tedy sta-

rostwa, tenuty, ekonomie i podzielono między wojsko. Rozgościwszy się na stanowiskach, skoro próżnowały i skoro się zbytki i pijatyki wkradły, już owa pobożna intencja poszła w zapomnienie; jeżeli kto o tém wspomniał, okrzyczano go zaraz, strojąc do króla i rzeczypospolitej te grymasy: „że nam tak grożą, że na nas tak następują, że nas obiecują znosić, i za cóż im mamy tak nadskakiwać?“ Rzeczpospolita ospale téż koło siebie chodziła, i tak się wszystko stało, jakom ja, choć prostak, mówił, bo gdy związek aż do trzeciego roku trwał, Moskale się téż tymczasem wzmocnili, a wszedłszy później w traktaty, już swoją siłę widzieli, już naszą niezgodę zważyli, i hardzijsi już być poczęli, a którym nietylko byśmy byli mieli co wziąć, lub téż swoje odebrać, aleśmy im jeszcze dobry dali bassarunek, za to, żeśmy ich wybili (o czém niżej obszerniej będzie).

Takto Bóg zwyczajnie unyka dobrodziejstwa tym, którzy sobie danego nie umieją zażyć, bo, jak powiadają, zwyciężyć, a umieć z zwycięstwa korzystać, wcale inną jest rzeczą. Po tak więc znacznych zwycięstwach nad nieprzyjacielem odniesionych, kiedy za osobliwą boską protekcją oswobodziwszy ruskie, litewskie i białoruskie kraje, usławszy pola ich trupem, to jest moskiewskim, i ziemię tę, którą nam zawojowali byli i przywłaszczyć sobie pragnęli, krwią napoiwszy; fortece zawojowane odebrawszy jedne szturmem, drugie przez traktaty, i ugasiwszy ten tak straszny zapal, tryumfującemu do stolicy moskiewskiej pospieszyć trzeba było wojsku, a zhlukany i już prawie upadły nieprzyjaciel przyznałby był zwycięską rękę i przyjął jarzmo niewoli, gdyż już cały naród o tém mówił i tak uczynić chciał z przyczyny bojaźni, którą Pan Bóg już był na nich dopuścił, że i z stolicy za białe jezioro uciekali, czego doszedłem będąc później w Moskwie, (o czém będzie niżej); poszło wojsko do związku, nie tak dla zatrzymania zasług, jako raczej dla praktyki czyjéjs i fakcyi, które promowować chciano pod pozorem zasług wojsku zatrzymanych, przez wojsko w związku zostające. Car moskiewski nie żałował téż smolnego łuczywa na podpalenie tego ognia, którego iskry gęsto latały. Ale ten związek sprawiła ta okoliczność, że ktoś chciał ryby łowić w odmęcie, widząc

króla bez następcy i już upadającą linią owęj sławnęj Jagiellońskiego domu familii. Luboć wprawdzie zadłużyła się była rzeczpospolita wojsku, ale po staremu jeszczeby się było mogło potrzytać, wzięwszy cokolwiek na rachunek od rzeczypospolitéj, bo nie było tak ubogie, a osobliwie nasze w Czarnieckiego dywizyi, które bogato i konno z Danią wyszło, w moskiewskich téż okazyach pewno nie straciło, ale się zapomogło, obeszłoby się było wojsko bez zasług i tego związku nie strojąc. Ale ponieważ tak się już stało, trzeba było zaraz na zrazie ujmować wojsko łaskawością, nie surowością, co lubo potem nastąpiło, ale już było za późno, kiedy już zasmakowała owa swawola, kiedy już czuł jeleni na głowie rogi, kiedy już 60,000 szabel było, jako mówią, jakby je gołębiowi z gardła wybrał.

Stanąwszy więc w Kielcach w najpierwszém kole, wniesiono tę materyą, żeby przysięgali ci, co jeszcze przysięgi nie złożyli na wierność starszyźnie i nie wyjawianie sekretów, i żeby się nie odstępować aż do jeneralnej amnestyi, na co niektóre chorągwie sarkały, mając przed oczami bojażn bożą, osobliwie te, które nie bardzo do tego związku miały apetyt; jednak nieznacznie, drudzy obawą kary, inni zaś, słodyczą mienia i tak wielkich chlebów uwiedzeni, musieli przystać. Ja zaś będąc pomiędzy młotem a kowadłem, mając równo z innymi zasługi i będąc godzien wespół z nimi tak tłustego chleba, chciałem być w związku, bo mi tam jakiś urząd kanclerski już byli naznaczyli, ale przysięgą nie chciałem się wiązać i tak przez kilka czasów unikałem ję jakom mógł, bom się zawsze wystrzeżał tego przysięgania, aż dopiero za czwartém kołowaniem, kiedy już porucznicy podawali rejestra przysięg odprawionych swoich kompanij, nacisną na mnie seryo, żebym nie odwołując przysięgł. Biorę tedy głos i już mowę poczynam, aż mi zastępca przerwał, deklarując wojsku, że to już na siebie bierze, jako mię nakłoni perswazyami, iż to uczynię na jego przedstawienie, że przysięgę na umówioną rotę złożę. Mówi mi zatém, już się nic nie obawiając, że to uczynił, żeby na mnie jakie nie powstały zniewagi od ludzi pijanych, jeżeli bym był co przyostrzej wymówił, albo się téż z przysięgi wyłamywał. Co bez mała byłoby i nie nastąpiło, bom téż

i ja trochę był podweselił głowę z dobrą kompanią. Po zamknięciu tego kola, żąda odemnie zastępcą wszelkimi sposobami, przekładając przed oczy korzyść stąd całej dywizyi, kiedy w rękach naszych pióro będzie, oraz dobro całej Rzeczypospolitej, kiedy my, cośmy poszli do związku bardziej przymuszeni, niż zaproszeni, będziemy mieli prym w radach, przekładając korzyść i poprawę fortunną z tego urzędu, mówiąc, że ten urząd może więcej uczynić intraty, niżeli całej jednej chorągwi. Przekładał i to, że kiedy nas więcej będzie chodziło na radę takich, którzy dobrze życzymy ojczyźnie i chcemy iść na wojnę przy tym chlebie, to też prędzej intencją naszą przywiedziemy do skutku; a jeżeli dokażemy, że pod naszą dyrekcją pójdzie wojsko na imprezę, to i moje i twoje imię będzie światu znajome. Aleć mnie te smakowite propozycye żadnego nie czyniły gustu, choć były pozorne, kiedym sobie na przysięgę wspominał, tak mi się był dobrze ten skrupuł w głowie ugruntował. Rozgniewał się tedy Borzęcki i z takimi wypadł słowy: „Nie chcesz na moję życzliwą uczynić intencją, obaczysz, żeć jutro więcej wyperswadują kilkaset obuszków, kiedy ci je w kole pokażą. A ja też tam natenczas nie będę, ponieważ moję przyjaźń tak lekce ważysz.“

Nazajutrz tedy zastępcą do kola nie przyszedł, i jam się też tam nie kwapił; ale że po mię przysłano, musiałem. Zaczęła się tedy materya o przysięgach, żeby koniecznie złożone były, kto ich dotąd jeszcze nie czynił. Przysiągł tedy wprzód Chochół, a potem kilka różnych kompanii, a wtém idzie zastępcą; lubo się był chorobą złożył, żal mu jednak mnie było, żebym w złe jakie nie wpadł terminy, bo mię bardzo kochał. Gdy już więc i mnie każą przysiądz, mówię tak: „Wszakto nie boże przykazanie, aby koniecznie każdy towarzysz w kole jeneralném przysięgę odprawił, ale wolno i w partykularném przed swoim oficerem to wykonać, co i tu.“ Odpowiedziano mi: „Nie może być, jeno tu, cheszli mieć ten honor w rękach, który ci wojsko dać zamysła.“ Chciałem jeszcze prosić o namysł do jutra, ale jakby mi coś poszeptalo: mów już rzetelnie, co masz mówić. Po prostu, wcale się nie chwytalo moje serce i związku i tych wszystkich obietnic, i niewiem czemu.

Zacząłem więc mówić do nich temi słowy: „Moi moiści panowie! Od zaczęcia służby mojej ponosząc wszystkie trudy od nieprzyjaciół ojczyzny z niezmarszczoném okiem, ponosząc wszystkie prace wojenne wesolém czołem, odbierając wszelakich szczęśliwych i nieszczęśliwych okazji losy, z uszczerbkiem ubogiej mojej substancyi, nie widziano mię nigdy za szeregiem, chyba tam, gdzie należało być obok z chorągwią, matką moją. I mogę to śmieie mówić: „kto o mnie wie, że nie tak jest, niech rzuci kamieniem!“ z których przyczyn poczuwam się być na równi z dobrze zasłużonymi w tej ojczyźnie synami. Co jeżeli tak jest, toć podobno kto zarówno idzie do roboty, zarówno też ma należeć i do zapłaty, azatém równo mię tyczą, co i każdego z waćpanów, pretensye do rzeczypospolitej. Poczuwam się, że upomnieć się mogę śmieie zasłużonego żołdu. Także i do tej sztuki hibernowego chleba posięgnąć mogę śmieie ręką, bo nie dopiero przysiadam się do niego, kiedy go z pieca wysadzają, ale wtenczas jeszcze, kiedy nam ostrén zabrano żelazem; o chleb tedy prosić nie będę, bom go krwawie zasłużył i należę do niego równo z drugimi. Ale o to proszę waćpanów, a mianowicie starszych braci naszych, że ponieważ pracowałem nie dla przysięgi, żebym go też mógł jeść nie dla przysięgi. Jestto chwalebne dzieło, żeście wynaleźli sposób i upatrzyli czas do windykowania zasług naszych, za co dziękować zawsze należało i należy. I to rzecz potrzebna, że waćpanowie nadając stały obrót rzeczom naszym, a osobliwie w przypadkach dalszych (nie wiedząc jakie nastąpią) zaradzając okazyom, obmyśliliście taką przysięgę, którego sposobu lubo ja nie ganię, ale że jakiś mam do niego wstręt naturalny, dla tego zaraz z początku w najpierwszém kole opowiedziałem się z tém, że ja przysięgać nie myślę, bo jako twardoustemu koniowi czasem i arabski nie pomoże munsztuk, tak kogo wrodzona nie ustrzeże poczciwość, takiego i tym podobne przysięg wężły nie utrzymają i nie będą hamulcem. Większa i owszem stąd pochodzi obraza majestatu, kiedy Bogu kawalerskie przyrzekłszy słowo, łamiemy je. Nie wiem, jeżeli tego nie żałował Katylin, że kiedykolwiek na to się ubezpieczył, że współprzysiężeńców obowiązał przysięgą; nie wiem, co

pomogło Annibalowi, choć przysięgał uroczyście zgubę Rzymian, kiedy mu nieba inakszą, niżeli sobie obiecywał, obmyśliły fortuny kolój; uważć, co za pociechę miał Xerxes, że na wierność obowiązał sobie przysięgą spartańskiego bohatera, kiedy życziwszy, choć niewdzięcznej ojczyźnie swojej, wygnaniec, wszystkie następującego na ojczyznę nieprzyjaciela wykrył sekreta, a potém i na okrutne jego zabójstwo podszczuł stryja rodzzonego Artabana. Żgola, więcéjbym takich mógł wyliczyć przykładów, które się ograniczają bardziej hamulcem cnoty i pocziwości, niżeli przymuszonej przysięgi. Ja tedy oświadczam, że nie wiem, na co się przygodzi ta przysięga, którój waćpanowie po mnie wymagacie; jeżeli dla tego, żebym związku nie odstąpił, jest to przeciw rozumowi, abym ja, którym nigdy nie był zbiegiem z obozu choć w największej biedzie, kiedy rzadko było jeść a gęsto się bić, miałbym teraz wojska odstąpić, kiedy nigdy się nie bić, tłusto jeść i słodko pić, a choćbym téż odstąpił, nie jestem żadnym półkownikiem, półki i kompanie nie pójdą za mną; w kilkudziesiąt tysięcy wojska nie znaczna przez osobę moję będzie ujma; jeżeli zaś z téj racyi, że to waćpanowie urząd kancellaryi chcecie na mię włożyć, w tém ja gotów być posłusznym woli waćpanów i służyć według sił moich pod warunkiem, żebym nie przysięgał, bo mię ani ten, ani żaden inny urząd i największa jego intrata do tego nie przywiedzie. Proszę tedy waćpanów o to, jeżeli być może. Tak deklaruję, że te wszystkie okoliczności, na które wojsko przysięga, ściślej zachowywać będę, aniżeli kto pod przysięgą, dając w ten zastaw zdrowie i krew moję, które zawsze będzie w rękach waćpanów; jeżeli zaś tego nie uproszę i tego nie mogę być godzien względu, to już do rady wchodzić nie chcę, o sekretach wiedzieć nie pragnę, ale chleba nie odstąpię, bo tego bez przysięgi może zażyć, kto go dobrze zasłużył.“

Uczynił się tedy huczek nie mały: przeciw i za, jako czyj przeciwko mnie dyktował affekt, osobliwie Pokarzewski, towarzysz natenczas starosty krasnostawskiego, który ten urząd, co mnie nim częstowano, na siebie ciągnął, jakoż i był na nim, ale między sześciu jeden, wymówił w imieniu wszystkich: „lepiej że od nas, kto z nami zaró-

wno pociągać nie chce; kto z nami chleba, my z nim kołacza, jeść nie chcemy.“ Ja odpowiedziałem: „źles zrozumiał słowa moje, bo ja lubo nowości, jako szkodliwej, nie chwale i nie porywam chleba, jednak chcę i tym nie gardzę, bom go zasłużył i lepiej i dawniej niżeli waćpan.“

Tegoż dnia poszedłem żegnać marszałka. Spytał mię: „dokąd jadę?“ Powiedziałem: że do chorągwi poczet prowadzić, a ponieważ nie godziem zasłużonego chleba u związku, pożywi mię jeszcze domowa skiba z łaski ojca mego.“ Zastępca, lubo mój wielki przyjaciel, już się ze mną od żalu i gniewu żegnać i widzieć nie chciał. Doniosło się to jednak do nich, czegom się przyznał przed moimi konfidentami, że ja mało co koniom w domu odpocząwszy, jadę do rotmistrza na Białą Ruś, kędy on natenczas Chowańskiego, hetmana moskiewskiego, już po czwarty raz gromił. Jak prędko tedy o mojej dowiedzieli się intency, zaraz posyłają do chorągwi, żeby mię z pocztu nie wypuszczano, co i tak się musiało stać, bo pierwój tam kozak marszałkowski przyjechał do chorągwi, niżeli ja. Tym terminem chcieli mię od imprezy odwieść, ale i to nic nie pomogło, kiedy ja kilka dni tylko pobywwszy u chorągwi i na waletę onych zażywszy z dobrą kompanią, pojechałem do domu, pocztu odstąpiwszy, łóżnych tylko pobrawszy, i więcej nie powiadając tylko to, że do domu jadę. Pochwalili ojciec intencyą, bardzo dziękując i błogosławiąc, żem tak uczynił. Matka także, lubo mię jednego tylko miała syna, ale była téj fantazyi, że od największych i niebezpiecznych okazji nigdy mię nie odwodziła, mocno wierząc, że bez woli bożej nic złego spotkać człowieka nie może.

Oporządziwszy się tedy w domu, w samo święto Ś. Marcina wyjechałem z domu, koni dobrze podkarmiwszy i więcej przykupiwszy, bo i pieniądze z łaski boskiej były duńskie i ojciec téż dodał. Jadąc więc tam, spotkałem się w Łyssobykach z chorągwią naszą hussarską, której Kossakowski porucznikował, która, po wielu naradach, szła do związku. Tamże wielu moich krewnych zostawało i musiałem z nimi spocząć kilka dni, alem się z moją nie objawił intencyą, tylko powiedział, że jadę do pana Kazi-

mierza Gorzewskiego, stryja mego, do Targoniów, pod Tykocin, który na Tykocinie był komendantem, i uwierzyli temu snadno, wiedząc, że to mój stryj, boby mię byli mogli odwozić od téj imprezy, gdybym się był przyznał, a osobliwie cioteczny mój, Trzemeski Stanisław, który tam był namiestnikiem. Odjechawszy tedy od nich, zajechałem do wsi pod zieloną puszcza na pierwsze roraty, gdzie téż był jmcpan Stanisławski, cześnik warszawski, a dworzanin królewski, który, gdy mię obaczył w kościele, lubo mię przedtém nie znał, jednak jako człowiek ludzki, począł mię szczerze prosić, żebym u niego odpoczął, albo przy najmniej obiad zjadł. Kiedym się wymawiał i powiedziałwszy już szczerze, gdzie jadę i z jakiej okazji odstąpiłem związku, tém bardziej prosić począł, chcąc mi zawdzięczyć w domu swoim jako stronnikowi królewskiemu, i obiecując pisać do dwóru, żebym tam uznał wszelką wdzięczność. Gdy tedy niemogło być inaczej, wstąpiłem, gdzie wpadłem w taką ochotę, że i mnie, i czeladzi, i koniom, było jako w raj, nawet szpyca mego na jedwabnym wezglówku posadziwszy u stołu, na srebrnych talerzach, prosto z półmisków, jeść kładziono. A w tém przyjechał tamże Mazeppa, pokojowy królewski; było kozak nobilitowany, i jechał z Warszawy do króla, w Grodnie natenczas będącego. Tam więc w posiedzeniu, że się różne rozmowy prowadziły, z których jakoś mojej osoby pretendując godność, taką głowę sobie naładował opinią, mówiąc, że to niepodobna, aby ten człowiek bez przyczyny miał jechać w litewskie i białoruskie kraje. Ja jechałem powoli, on zaś do króla skoczył spieszno, i chcąc się przypochebić, opowiedział, że jedzie tu towarzysz związkowy z pod chorągwi pana wojewody ruskiego, który udaje, że to do rotmistrza swego na Białą Ruś przebiera się. Zaczém król, uwierzywszy Mazeppie, wysłał oddział wojska, który mię na drodze pojmałszy, do Grodna przyprowadził. Stawiony przed senatorami, przelożyłem moję i wojska krzywdę, i musiałem się odcinać senatorom, którzy na mnie różne inwektywy kładli. Między innymi, Pac, wojewoda trocki, podobnym, jeżeli mogę pamiętać, sensem: „Jestto rzecz prawdziwa, że to musi być bolesno, kiedy kogo jaka potyka dolegliwość. Bo

tak powiadają, że żal nie ma uwagi. Jeżeli tedy przy niewinności, nie bardzo mam za złe. Jeżeli zaś ten jegomość i winien i tak hardo każe, już nie prostym ale dwuraznym trzeba to nazwać grzechem, w którym już zbrodnia obrażonego majestatu i ujma naszej senatorskiej powagi, jako w zwierciadle reprezentuje się. Jednak też co i jegomość pan podkanclerzy (Naruszewicz) i brat mając przed oczami konsyderacye, bardziej go winnym, niżeli niewinnym być sądzę,“ i zaraz do mnie obróci apostrofę: „Odpowiadasz tu nam waszność wojskiem, grozisz jakąś zemstą, obiecujesz wrócić się nazad do związku. A wieszże, jeżeli stąd wynijdziesz zdrowo? A pytałżeś się, jeżeli ci stąd pozwolą wyjść z głową? Aż to takie procedery nie gardłem pachną? Sami się do tego przyczynimy i wniesimy prośbę do króla jegomości, żebyś stąd nie wyszedł ladajako za takie uszczerbki, które spotykają od osoby nie tak też bardzo i poważnej i zasłużonej, bo same to oznaczają lata.“ I dalej dōsyc̄ obszernie mówił. Na co odpowiedziałem temi słowy: „Przyznałeś to waćpan, jako jest rzecz ciężka przy niewinności tak wielką ponosić potwarz; przyznajesz waćpan i to, że cokolwiek ma w sobie żalu serce, to język jako jego naturalny interes świata ogłaszać musi. A przecie waćpan dodajesz utrapienie utrapionemu; z pismem tedy zapytać się muszę: jeżeli prawdę mówię, czemuż nie ustąpicie? Grozisz mi tu waćpan śmiercią; jestto wszystkich żyjących wspólne przeznaczenie: „Kto żyje, umrzeć musi.“ Staremi to waćpan straszysz mię awizami, które nie wiem, jeżeli nie prędzej dojdą waćpana gabinetu, niżeli mego szałas; jeżeli nie będą waćpanu straszniejsze za zlocistym pawilonem, niżeli mnie na ubogim żołnierskim posłaniu. Kto wojnę służy, już ten gardzi śmiercią, bo jęj szuka, nie ona go. Szukałem ja już śmierci, choć w młodym wieku moim, i za Dnieprem, i za Dniestrem, i za Odrą, i za Elbą, i koło Oceanu i bałtyckiego morza. A waszność, mój wielce miłościwy pan, podobnobyś się obszedł, choćby się z nią i nigdy nie potykać. Ja zaś nie dbam, bo wiem, że życia tego taki jest koniec. Jeżeli umrzeć, to umrzeć, byle dobrze, a lepsza podobno śmierć być nie może nad tę, która kogo przy niewinności potka za cnotę i miłość ojezyny

Bo jeżeli to jest zasługą ginąć dla ojczyzny, ginąć od synów ojczyzny, ale jaki tego może być skutek, końca pa-trzeń. Chcąc się ojczyźnie Perseusz przysłużyć, piszą tam, zabił węża, z którego szyi krople krwi płynące, niezmiernie mnóstwo węzów zrodziły. Nie ugasi nikt krwią moją niewinną zapala tego, który ktoś złą radą, nie wiem, jeżeli nie na zgubę naniecił ojczyzny. Za niewinność moję ujmie się Bóg, wojsko i moja uboga rodzina, bo mi nie trudno o krewność, dawno się czując, że jestem słachcicem. Poleże głowa, zostaną zęby i jakkolwiek pamięć nazwiska. Nie nowina to pod słońcem. Potykały podobne terminy osoby wielkiego imienia. Tych tedy wszystkich postrachów niewinność moja lękać mi się nie każe i nadziei nie tracić. Chory, dopóki dusza w ciele, nie traci nadziei. Większe jest miłosierdzie boskie, niżeli całego świata furja. Że zaś osoba moja w oczach waćpana nie ma, jako waćpan mienisz, powagi, cóż z tém czynić? Lata i szarza moja terazniejsza nie potrzebuje takiej powagi, żebyto odąć się w krzesło jako pajak. Bywato czasem, że i te wysokości równają się z niskością. Kto ostrożny, i na starą obręcz nie nastąpi; kto rozumny, i najpodlejszego lekce ważyć nie powinien.“ Potém siła czasu ucierałem się z różnymi senatorami, nareszcie oni porwali się i wyszli. Jam téż wyszedł, aż nie masz tylko zwyczajna przed pokojem straż. A owych już nie masz, tylko moja czeladź. Pytam tedy: „A moi panowie stróże gdzie są?“ Powiadają mi, że już z godzina jak wszyscy poszli; wnosilem jednak, że do mojej stancyi. I mówię: „Toby teraz poseł mógł uciec, gdyby chciał.“ Odpowiada oficer Karpiński, co jego straż przed królem była: „Podobnoby był dawno to potrafił, gdyby miał wolę uciekać.“ Poszedłem więc, a przyszedłszy do gospody, nikogo nie masz, ani strzelby na kółkach, której było pełna sień, tylko zwyczajna moja poręca, z kuchni królewskiej, stoi na stole. Przyszedł do mnie gospodarz, winszując mi, że już Pan Bóg dał uspokojenie. Pytam go: „gdzie się podzieli?“ Powiada mi, „że z pałacu przyszedłszy, swoje rzeczy pobrali, i tych, co tu byli zostawili, sprowadzili, i na łbie utykając, pobieżeli, przeklinając Mazepę.“ Siadłem jeść, prosiwszy gospodarza z sobą, bo już księdzu Gostko-

wskiemu zakazano u mnie bywać, mówiąc, że mi wszystkie odnosi nowiny, czego się od dworskich może dowiedzieć, a potem wypiwszy wina jedną i drugą flaszę, poszedłem spać.

Nadedniem przebudzę się, aż jakiś koło ścian słycać szelest, zawołam na wyrostka: „Orłowski, wyjrzyj jeńo, co to za rozruch przed sienią.“ Wychodzi do sieni, a tu mu masztalerz, który u koni spał, powiada, że ci ludzie, co byli pierwój, znowu przyszli. Jak mi to powiedział, dziwowałem się, co to jest, czy mię to próbowali, jak owo dzieci wróbla uwiązawszy na nici, który jeśli się porwie do uciekania, to go znowu nicią przytrzymają, czyli co. Słota na dworze sroga, śnieg. Chodzą, depcą. Usłyszeli, że gadam, poczęli więc wołać: „Ej, mości panie, kaź nas waść puścić do sieni, bo sam pomarzniemy!“ Uczyniłem się śpiącym. Czeladź téż z sieni zawołała: „nie budźcie pana!“ Takci stali tam do dnia, po śniegu depcą. Nazajutrz tedy nie kazałem gospody otwierać, aż już z godzinę na dzień. Skoro weszli do sieni, pytam ich: „na jaką pamiątkę odchodzicie i przychodzicie?“ Powiedzą: „Nie wiemy sami, co robią z nami i z waścią. Kiedy waść był w pałacu, kazano nam, żebyśmy zaraz z tamtéj straży ze wszystkiém schodzili, aby tam towarzysz ten żadnego z was nie zastał, jak przyjdzie do gospody. Po północy obeszano nas, żeby tu znowu iść i pilnować jak najlepij.“ Myślę, co jest w tém? a ono to, że mię już król był osądził za niewinnego i miał mię już był wyprawić nazajutrz, ale senatorowie nabili uszy królowi jakiéms obrażeniem przezemnie majestatu, ślubując i chcąc się zapisać za to, że nie inaczej było. Król dał się nakoniec namówić, że powtórnie straż posłał.

Tyzenhaus téż, starosta świdzki, mój wielki nieprzyjaciel, przyłożył się, mówiąc: „To wasza król. mość widzisz, że się sprawdzają moje słowa, którem mówił, że u tego człowieka stary rozum, choć sam jest młody.“ Przychodzi do mnie ksiądz biskup kijowski i perswaduje, żeby się niepodawać w niebezpieczeństwo życia, żeby się spuścić na dyskretyą pańską, powiadając: „Z poczty to przyszło, że ciebie wojsko posłem wysłało, a z lepszym to będzie

twojém, wyznawszy wszystko dobrowolnie; będzie i łaska pańska, będą i promocyje, i zaraz cię do boku swego król weźmie. Będzie i starostwo dobre. Cóż ci przyjdzie z łaski wojska; król cię rozumiał, słysząc twoje mowy; już widzi dobrą głowę twoją, będzie cię zażywał; już w tobie zrozumiał stałość, którą i sam chwali, że wśród takich obrotów dotrzymujesz wojsku słowa i niechcesz ich wydać z sekretu, która cnota w każdym człowieku jest chwalebna, i panowie takich ludzi radzi zażywają i zawierzają im. Dajże się już nachylić mojej perswazyi, a ja cię na summienie moje kapłańskie biore, żeć nietylko włos z głowy niespadnie, ale i owszém będziesz pełen dobrej sławy, łaski królewskiej i honorów wszelkich. Jeżeli ci chodzi o przysięgę, którąście sobie nawzajem obowiazali na niewydanie sekretów, ja ciebie z tego rozgrzeszę. Bo o nic niechodzi królowi, tylko o to, żeby im téż to oddawał, co oni mu robią. Listy króla do Wiednia i do Francyi wysłane, poszarпали, i czytali sekretne rzeczy, dobrego pana cenzurując, podchwytyjąc, jako jakiego zdrajcę. Niebyło tam nic ani przeciw rzeczypospolitój, ani przeciwko wojsku, ale że to przeciw króla potykać niemialo, na to jest żalósny.“ Te i tym podobne rzeczy proponuje mi, ja zaś milczę, słucham; i gniewno mi, i śmieję się, myśląc, co Bóg na mnie dopuścił za dziwne rzeczy, że chcą we mnie wnówić koniecznie to, czego im potrzeba, a ja się w tém nieczuję. Wlazło mi i owo na myśl, że straż już była sprowadzona i potem po północy przysłana, pomyśliłem, że to właśnie wtenczas poczta przyszła, o którejto biskup wspomina, i opisano tam w niej o tém poselstwie, ale pewnie niemożono wzmiankować osoby mojej, z czém jadę, po co i dokąd, chyba, żeby to uczynił nieprzyjaciel jaki mój, żem to w związku niechciał być, aby mię na zły termin narazić. Bogu się jednak oddaję intencją samą, a odpowiadam temi słowy: „Gdyby do mnie z tém przyszedł pan starosta świdzki z panem wojewodzicem smoleńskim, co najpierw do mnie przychodzili, wiedziałbym, jako ichnościom odpowiedzieć, bo świecki świeckiemu może téż czasem powiedzieć parabola-mi, ale że waćpan wielki i zacny senator, a mój wielki do-brodziój, którego ja znam łaskę i affekt dobry, choć mi

rzecz jest bolesna, muszę jednak postąpić łagodnie. Jeden Bóg, który stworzył niebo i ziemię, waćpana i mnie téż lichego człowieka, niech mię wyświadczy jako obrońca niewinności, kiedy mię cnota i poczciwość wyświadczyć nie może, a tego niech skarże, który mnie téj opinii, a waćpanów niepotrzebnej nabawił turbacyi. Tychciby mi niepotrzeba przysiąg, bo to pokaże czas, jako lekarz wszego złego, że niewinność moja pokaże się jako oliwa na wierzchu. Gdybym naprzykład był tak ciemny, żebym niewiedział, jaką to jest tarczą każdemu nieskazitelność sumnienia, kłaniałbym się, szukałbym sposobów nieraz, ale dziesięć razy, i jużbym był stąd uciekł, ale wiem, że mi przy niewinności żadne niezaszkodzą napaści, i jużem to powiedział przy pierwszej audyencyi, że wolno kurcie i na bożąmkę szcekać. Ani prośba, ani groźba, myśli mojej zatrwożyć nie może. Dla prośby nieprzeformuje się prawda w nieprawdę, dla groźby zaś, Bóg widzi, że jednym krokiem nieustąpię i choćby mię tu przy niewinności mojej miało co potkać, ani prosić się, ani lękać niebędę. Niech się niecnotliwy ucieszy tém, że się o cnotliwego nagada poczciwości. Niech i ten, który istotną spodziewa się ukontentować rzeczywistością, płonną na chwilę zabawi się nadzieją. Byłe go ta nadzieja w lekkomyślną niewprowadziła konfuzją. Jako niebyło, tak i teraz żadnego niemasz na mnie podobieństwa; wszystkie okoliczności czynią mię wolnym i mówię tak: jako waćpan odchodząc od świętej ofiary ołtarza ufasz w siebie, że masz świętą duszę, tak ja teraz sam Boga wyświadczam się imieniem, że jestem niewinny téj potwarzy; ja i tamtych nowin niezapłonę się, te wszystkie tumany oka mi niezapruszą i pogróżki nieustraszą. W czém się waćpanu usprawiedliwiam szczerze, jakobym pod sekretem spowiedzi inaczej powiedzieć niemógł i przed samym królem, panem moim miłościwym, jeżeli tego godzien będę, usprawiedliwiać się inaczej i szczerzej niemogę, jako przed waćpanem, któryś tego, bez pochlebstwa, godzien, o to upraszając najuniżej, abys waćpan tego niegłosił, że się tak szczerze z wzywaniem imienia boskiego sprawuję. Niech o mnie rozumieją jako chcą, póki mię z téj opinii sama jawna niewyprowadzi rzeczywistość.“ Na to odpowiedział

biskup: „Już teraz wierzę zupełnie, żeś niewinny, i lubom miał wolą wszelkiemi sposoby bronić cię u króla, będę teraz milczał, ponieważ waszmość ufasz w siebie, bo widzę, że to z lepszym waszmości może być honorem i reputacją, kiedy to katerycznym wyjaśni się wywodem, a tymczasem możesz waszmość być dobrej myśli i ja się o waszmość niefrasuję.“ Poszedł więc i uczynił tam relacją, lecz niewiem jaką. Obsyłał mię z kuchni swojej, miałem się jeszcze lepiej, niżeli pierwej, bo mi noszono i od króla i od niego.

Wolają mię do króla. Tu podkanclerzy litewski odezwał się w ten sens: „Czegoś waszmość żądał od łaski jego król. mości, pana naszego miłościwego, to waszmość nieodmownie otrzymujesz, kiedy jego król. mość pańskiego swego ucha do usprawiedliwienia się nieodmawia.“ Widząc ja natenczas, że niemasz żadnej wielkiej świty przy królu, tylko ksiądz biskup kijowski, podkanclerzy litewski i kasztelan gnieźnieński, a dworskich kilku, mówię tedy do króla w te słowa: „Miłościwy, najjaśniejszy królu, panie, a panie mój miłościwy! Jest nietylko mnie, ale wszystkim rzeczypospolitej stanom i państwom w poddaństwie waszjej królewskiej mości, pana mego miłościwego, zostającym, wiadoma wrodzona waszjej król. mci, p. m. mił., łaskawość, którą uznawamy, że pańskiego swego w każdych potrzebach nie raczysz wasza k. mość odmawiać ucha, za co ja pokorném panu memu miłościwemu podziękowawszy poddańskiem sercem, sędzę, że dawnobym wolen był od tój potwarzy, gdybym dawniej mógł być otrzymać wyświadczoną mi w tój chwili od w. k. mci, p. m. m., łaskę, przy której mi nic niepozostaje, tylko upadłszy do nóg pana mego miłościwego, upraszać pokornie, abym mógł być tak szczęśliwy, żebym tę sukienkę, którą na mnie, że to rzecz muszę, publicznie przykrojono, mógł ją téż w większym, niżeli widzę, zgromadzeniu ichmościów panów senatorów, przy boku w. k. m. rezydujących, zdjąć z siebie, ponieważ w tój potwarzy, o której już prawie cała wie Polska, jako rzeczywiście winnym być mię posądzono. Z której przyczyny upraszam pokornie w. k. m., p. m. mił., o tę łaskę i pański wzgląd na mój honor.“ Zszepnęli się tedy, widząc, że już noc,

niżeliby posprowadzano senatorów, różnie po mieście stojących, i że siłaby to czasu wzięło. Rzecz sam król: „Więcej tu uczynimy, ale już skrócił się czas, więc odkładamy do jutra.“ Ukłoniłem się tedy i wyszedłem z księdzem Piekarskim, a Tyszkiewicza zatrzymał król; czekaliśmy go więc w innym pokoju. Przyszedszy, rzekł do mnie: „Teraz cię mam za poczciwego, żeś tak sobie postąpił i postrzegł się w tém, że niechciałeś uniewinniać się w małym zgromadzeniu.“ Dziękując za tę myśl, podpijali sobie winem z królewskiej winiarni, i jam także kilka flaszek wypił. Potém poszliśmy spać. Nazajutrz rano wysłuchawszy mszy ś. u Jezuitów, poszliśmy do pałacu, ale czekaliśmy ze dwie godziny, niżeli się pojeżdżali senatorowie. Dopieroż mię zawołano; już widzę wszystkich i innych ślachty różnych, kto tylko chciał, bo wnijsć niebroniono. Rzekł tedy podkanclerzy: „Już też teraz, tak tu są, dosyć się dzieje dla waszmości, kiedy j. k. mość, pan nasz miłościwy, zwoławszy do boku swego wszystkich, co tu mogą stanąć, pp. senatorów, przy ich bytności audyencyi waszmości pozwala.“ Zaczém jam zabrał głos do króla: „Miłościwy, najjaśniejszy królu, panie a panie mój miłościwy! Taka wprawdzie życia ludzkiego jest reguła, żeby jako cień za słońcem, tak nieszczęścia za szczęściem następowały, aby złego z dobrem, kłopotów i frasunków z pomyślnościami, ustawiczna człowieka nawiedzała kolej, którą, lubo przykrą naturze naszej, z skromną jednak należy zność cierpliwością, zapatrując się, że taka jest od niebios całemu narodowi dana konstytucya; ale przecie, kiedy komu złem za dobre, niewdzięcznością za wdzięczność nagradza się; kiedy ojczyzna ta, dla której kto ochotnie swoje niesie zdrowie, jemu za to honor i reputacyą, jako najdroższy skarb, odbiera; kiedy nadto żółcią z piołunem mieszane miota potwarze, jestto boleść nad wszelkie boleści, dolegliwość nad wszystkie dolegliwości. Jestto zbrodnia czarna, przeciwko Bogu samemu i prawu powstająca. Jak tylko mogłem orężem władnąć, niedopuszcila mi myśl moja służyć dla zbogacenia się; niecisnąłem się w szereg pieszczonych Adonisów, ale w poczet walecznych mężów; nie przykre mi były niedostatki Bellony; nie ciężkie, bez wio-

seł przebyte, rzek głębokich nurty; nie straszne, lubo polskiemu narodowi niezwyčajne, bałtyckiej wody głębie. Przyjmowały się wesolém czołem wszystkie losu przeciwności. Przyjmowały się z niezamarszczoną, z łaski bożej, żrenicą, nieprzyjacielskie pociski; utoczyło się i krwi nie mało; a dla czegoż to? pewno nie dla przywatnej urazy, albo jakiej z nieprzyjacielem zwady, pewnie téż i nie dla nabycia majątku, bo i owszem jużem swojego znaczną uromił część, ale wprzód dla zaszczytu w. k. mci, p. m. mił., majestatu, potem dla całości ojczyzny, których okazji przypomnianie nie jest (jako mi tu powiedziano) samochwalstwem, ale świadectwem życia. Jest w tym terminie świadectwo wodzów moich, są rany z przodu odniesione i grzbiet ołowiem i żelazem poorany. Nie to jest fundament dawno w wojsku służyć, długo żołnierzem być, ale często się bić; znam i teraz chorągwie takie w wojsku, już nie w naszej dywizyi, które nazywamy nieśmiertelne, gdzie towarzyszy służyć, zaślepił oko jako stary raróg, dosłużył się sronowatej czupryny, a przez cały wiek służby swojej niebył w okazji, krwi nierozlał, i darmo zjada chleb rzeczypospolitej. Z kogóż tedy większy jest ojczyźnie pożytek, czy z owego darmo chleb zjadającego starca, czy z młodego, a ustawicznie pracującego i za zdrowie jój ochotnie krew lejącego towarzysza? do której ochoty pewnie nie te 40 albo 60 złt., ta błaha cena krwi, ale wrodzona synowska przeciwko matce miłość, winne majestatowi posłuszeństwo i przysługa, ale sama pobudziła mię cnota. Dla której jako niebyłoby téż trudno najcięższe ponosić przykrości, tak przeciwnie, kiedy mię teraz tak niedyskretna potyka dolegliwość, muszę żałośnie wołać z ateńskim uciemionym: „O cnoto! ja sądziłem, żeś ty jest panią fortuny, a tyś jest jój służebnicą!“ Jeżeli w tém winien, że m głowy ukoronowanej i dostojenstwa waszej król. mości, pana mego miłościwego, podczas wojny szwedzkiej, niezrzekł się, czego i teraz w związku uczynić niechciałem; jeżeli i to zły uczynek, że dobrowolnie odstąpiwszy takich chlebów, idę w pracę, idę tam, gdzie mi nie Hymeneuszową dają ponętę, ale należyta szarzy mojej zabawę Marsa, pytam się tedy z piśmem: „Cóżem złego uczynił?“ boć przecie o sądnym dniu

tak powiadają, że złe uczynki chwalić będą, a dobre ganić. Już to podobno i w naszej Polsce poczyna się praktykować, skąd nie inakszniej spodziewać się konsekwencji, bo jeżeli cnota będzie wygnana, wszystko przepadnie.“ Potem wynurzyłem moje krzywdy i oświadczyłem, że mi mieczem i gardłem grożono. Na te słowa moje, kiedym mówił, że mi mieczem i gardłem grożą, obrócił się król do podkomorzego koronnego, i rzekł: „Któż to mówił?“ Miło mi było słysząc to, i już spodziewałem się dobrej ekspedycji. Zeszli się tedy wszyscy do krzesła i tam mówili z królem, niewiem co; widziałem tylko, że się król z affektem otrząsał, i dobywszy z kieszonki mowy mojej, która była w kole jeneralném, cisnął ją na wojewodę trockiego. Czytali ją sobie. A w tém podkanclerzy począł mówić w ten sens: „Dawno powiedziano, że przypadki nie po ziemi, ale po ludziach chodzą; musiałby być człowiek nie człowiekiem, gdyby w pomyślnych zawsze opływał szczęśliwościami, i przeciwniej kiedykolwiek nie miał uznawać fortuny. I samo nawet pismo święte wyraźnie przyświadcza, że taki człowiek wielkiej jest u nieba wartości i względów, na którego lubo przykre przychodzą utrapienia, i sam Bóg swemi potwierdza to słowy: „Kogo kocham, chłoszczę.“ Co nietylko chrześcijańskiemu człowiekowi wdzięczném od Boga należy znosić sercem, ale i w samych poganach osobliwą zawsze miało powagę. Ów Filip wielki, król macedoński, kiedy mu przyszły nowiny, że jego wodzowie na imię jego wielkie otrzymali zwycięstwo, trupem wojsko nieprzyjacielskie położywszy; że królowie spartańscy w wieczne jemu poddali się posłuszeństwo; że mu się urodził syn Alexander z znakami wielkiej u świata nadziei, zawołał wielkim głosem: „O bogowie! proszę, ażebyście do tyłu i tak wielkich pomyślności nieprzydali też coś niepomyślnego.“ Postrzegając znać w tém, że wielkie szczęście zwykło pociągać za sobą wielkie nieszczęście, a po nieszczęściu zaś i dolegliwościach, łaskawém Bóg zwykł się oglądać okiem. I w terażniejszej okazji cokolwiek się stało, wszystko się za wolą bożą stało; króla jnci, pana naszego miłościwego, w tém winić nietrzeba, bo życzyłby sobie, aby przynajmniej dla straży osoby swój tę część w posłuszeństwie zostającego

przy panu wojewodzie ruskim wojska mógł zachować. Jako waszmość udano, jakie też musiał mieć porozumienie, nieznając jeszcze dotąd waszmości cnoty i tak pocziwych, które teraz wykryły się, postępków; honorowi urodzonemu i postępkom pocziwym nic to nie szkodzi i nigdy szkodzić niemoże, i owszém większą po ogłoszeniu przyniesie sławę, niżeliby była mogła zaszkodzić zniewaga. Uważając, że niemasz tak złej rzeczy żadnej, któraby się na dobre przygodzić niemiała. Niebyłby tak drogi, w podziemnych kamieniach zakryty dyament, gdyby go umiejętna ludzka niewyla mywała ręka. Niebyłoby tak powabne i oko ludzkie delektujące złoto, gdyby go siła gorących niewyczyściła ogniów. Niebyłaby światu wiadoma cnota, gdyby jój rozmaite niewypróbowały przeciwności. Żadna przez ten postępek nie stała się honorowi waćpana ujma, ani szkoda, i owszém nagrodzi się to dobrą sławą, rzeczypospolitęj wdzięcznością, jego król. mci, pana naszego mił., respektami i promocją.“ Jak skończył, poszedłem do króla i skłoniłem się nisko; król też ścisnął mię za głowę, mówiąc: „Przebaczenie! Ci zdrajcy siła nam pod nos kurzą, zaczem i my musimy też dla złych ludzi i o pocziwych opacznie porozumiewać, a osobliwie za takiem udaniem i takimi podobieństwami. Aléc i temu, co udał, już się ta jego płochosć nagrodziła, kiedy pozbył łaski naszój i już jój nigdy odzyskać niemoże.“ Te słowa wyrzekłszy król, wstał z krzesła i poszedł do pokoju. Jedni z nim poszli, drudzy się też za mną obrócili. Poczeli wymawiać: „Jakoś po nas jeździł, jakoś nam przymawiał, ale niedziwujemy się, kiedy już mamy próbę twojój cnoty, musiało to przy niewinności być, ale już przebaczymy sobie nawzajem.“

Tak tedy słowa za słowa, aż idzie dworzanin królewski i mówi: „Wola króla jnci, żebyś się tu waszmość troszkę zatrzymał.“ Myślę sobie: czy tam znowu wymyślili na mnie co nowego? Nie wyszło kwadransu, aż znowu tenże idzie i mówi: żebym szedł do pokoju. Poszedłem więc. Tam dopiero obszerniejsza nastąpiła mowa o procederze związkowym i pytania o innych okolicznościach, i znowu odezwał się król: „przebacz, przebacz; będziemyć to zawsze pamiętać.“ Za każdym moim ukłonem uściskał

mię król za głowę i dał mi 500 czerw. zł. rękami swemi, pytając mię, gdzie teraz pojedę. Powiedziałem, że tam, gdzie się zapuścił, do rotmistrza mego na Białą Ruś. Król na to: „Już nie do związku?“ Odpowiadam: „Miłościwy panie! co się czuje, wbrew temu uczynić nie można.“ Król: „Dobrze, dobrze; nie za płot wyrzuca się temu, kto dla króla i ojczyzny co dobrego wyświadczy. Będzie więc ekspedycya i listy do pana wojewody.“ Obróciwszy się król do księdza Piekarskiego, rzekł: „Bądźcie tam radzi krwi swojej, podpiszcie na ten frasunek.“ Tymczasem królowi gotowano do stołu, a my poszli. Przychodzimy; przyniesiono jeść pięknie z kuchni królewskiej; wina szumnego, co sam król pijał. Byliśmy tedy dobrej myśli. Czeladzi dano także do gospody beczkę miodu, obroków surowych i owsów dla koni i t. d. I tak już z łaski miłego Pana Boga, w pocieszniejszych okolicznościach skończyłem ów rok, doznawszy, że to nigdy nie trzeba człowiekowi desperować, choć się na niego czasem fortuna trochę zamarszczy, bo jak człowiekiem, tak i jego fortuną Bóg dysponuje, i zasnuć kiedy chce i pocieszy gdy jego święta wola. Taką niechaj ma przestrożę odemnie każdy, kto to czytać będzie, co i sami przyznawali ci, którzy już rozumieniem swoim fortunę moję na wieki osądzili być upadłą.

Rok 1662.

Rok ten, z łaski Pana Boga, zacząłem szczęśliwie w Grodnie. Król też zaraz wyjeżdżał ku Warszawie. A że to podobno jeszcze nie zupełnie była wygotowana moja ekspedycya, kazał mi za sobą jechać, i tam dopiero dano mi list otwarty do miast i miasteczek, żeby mi wszędzie było niebronnie pożywienie, ile go będę potrzebował; oddano mi także listy sekretne i do wojewody, dano przytém i dragonów z półku pana wojewody, których w obozie pogromiono we Mścikowie, że tam w częmsiś zbytkowali, na gwałt uderzono i nasieczono kilkunastu, a do króla przyszło ich ośmnastu z wachmistrzem, prosząc o list do przejechań. Król do nich rzekł: „Posyłam tam towarzysza, więc idźcie pod jego kommandę, a słuchajcie go we wszy-

stkiem, kiedyście tak swawolni, że z wami miasta wojują.“
Dano więc każdemu po bitym talarze na rękę, a kazawszy
mię król zawołać, oddał mi ich, przykazawszy, żebym jako
własny ich oficer rządził nini i karał przekroczenia. Pod
tym tedy moim listem szli, który mam i teraz w ten sens:

„Wszem w obec i każdemu z osobna, komuby o tém
wiedzieć należało, a mianowicie urodzonym i wiernie nam
miłym panom starostom, dzierzawcom i administratorom dóbr
naszych królewskich, tudzież wójtom, burmistrzom i rajcom
po miastach i miasteczkach, wiadomo czynimy, iż w pe-
wnych naszych interessach posyłamy do wojska na Białej
Rusi z oddziałem żołnierzy urodzonego, nam wiernie i uprzej-
mie miłego Jana Paska, towarzysza chorągwi wielmożnego
pana wojewody ruskiego, aby ich w karności wojskowej
do samego obozu, gdzie natenczas zostawać będzie, dopro-
wadził. Jako tedy pomienionemu towarzyszewi, tak i żoł-
nierzom w jego zostającym kommandzie, aby wszędzie nie-
zbrojne było, ile potrzeba, pożywienie, rozkazujemy i tak
mieć chcemy pod winami, na sprzeciwiających się woli na-
szej królewskiej opisanemi. Na co dla lepszej wiary pie-
częć przycisnąć kazaliśmy i ręką własną podpisujemy się.

„Dan w Nowymdworze dnia 28. miesiąca Grudnia, r.
p. 1661, panowania królestw naszych polskiego i szwedz-
kiego roku dwunastego.

„(L. S.) JAN KAZIMIERZ, król.“

Listy zaś dwa, w których mię rekomenduje wojewo-
dzie, te i teraz mam, same oryginały, bom ich po prze-
czytaniu odebrał od pisarza pana wojewody, ale nie razem
pisane, bo się nie zgadzają datą.

„JAN KAZIMIERZ, z bożej łaski król polski, wielki książę
litewski, ruski, pruski, mazowiecki, inflancki, kijowski,
wołyński, żmudzki, smoleński, czerniechowski, a szwe-
dzki, gotski, wandalski, dziedziczny król.

„Wielmożny, uprzejmie nam miły!

„Iżesmy z udania mieli w podejrzeniu oddawcę listu
tego, jakoby miał jechać do wojska wielkiego księstwa li-
tewskiego od wojska koronnego, w związku zostającego,
a że jednak widocznie wywiódł się, że do uprzejmości Wa-
szej prostą kierował drogę, tém chętniej go do uprzejmości

Waszój odsyłamy, zalecając, abyś go chciał, jako człowieka w dziele rycerskim tylekroć doświadczonego i w terażniejszych ciężkich okazyach do nas się garnącego, ochotą swoją przyjąć. Kozaka posłanego od uprzejmości Waszój, oraz i urodzonego Wolskiego, który od chana jegomości przed kilku dniami powrócił, zatrzymamy aż do konkluzji narady walnej, którą z panami senatorami koronnymi i w. ks. litewskiego w Bielsku 5. dnia Stycznia r. p. zaczniemy. Cokolwiek tam postanowi się, o wszystkiem od nas i od wielbnego w Bogu jnci księdza kanclerza koronnego dostateczną będziesz miał wiadomość i o dalszych rzeczach rzetelną informacją przez tegoż Ur. Wolskiego, albo kozaka dobrego. Zatem uprzejmości Waszój życzymy od Pana Boga zdrowia i pomyślności.

„Dan w Nowymdworze dnia 17. miesiąca Grudnia r. p. 1661, panowania królestw naszych polskiego i szwedzkiego roku dwunastego i t. d.

„JAN KAZIMIERZ, król.“

Nie wiem tedy, czemu nie jeden list, ale dwa pisano, a ten ostatniejszy już trochę szczerzej pisany i pod inszą datą. Lubo mi je razem oddano, jednak tak domyślam się, że mi to zrazu nie ufali, a potem się namyślili zaufać mi i pisać przezemnie skrytsze rzeczy, już mi ufając doskonale na słowo podobno księdza Piekarskiego. Piszę zatem król drugi list taki:

„JAN KAZIMIERZ, z bożej łaski, i t. d.

„Wielmożny, uprzejmie nam miły!

„Zastanowiwszy się, żeby to było nieprzyjemnie uprzejmości Waszój, nie wiedzieć w tej chwili, co urodzony Wolski u chana jnci sprawił, zdało się nam w drugim tym liście uwiadomić uprzejmość Waszój pokrótce. Z wielkiem tedy ukontentowaniem deklarował mi ochotę, a osobliwie chana jnci i sułtanów obudwóch, obiecując od nich, że zaraz na wiosnę wystawią 60,000 ordy; Prusaków zaś będziemy mieli najmniej 12,000; przyłączywszy do tego inne, na jakie się zdobyć będziemy mogli, wojsko, przy nadziei bożej możemy sobie słusznie formować wojsko, a jeżeli konfederacya nie ustanie, obejdziemy się bez tych buntowników. O funduszu zaś na radzie walnej nie omieszkamy

postanowić, żeby zwołać sejm i żeby ten interes innych jego nie zatrudniał materyj. Resztę obszerniej przez urodzonego Wolskiego. A teraz powtórnie polecamy pana Paska uprzejmości Waszój, aby jako wodza i rotmistrza swego wszelkie uznawał respekty, jako ten, którego w przeszłych wszystkich okazjach wiadome są uprzejmości Waszój znaczne odwagi i męstwo. Nam też od ludzi opowiedziane już są wiadome i jawne jego czyny, a osobliwie w obecnym stanie, ojczyźnie i majestatowi naszemu wyświadczyć więcej nie mógł, i w kołach jeneralnych jako stawał za słusnością, już nam wiadomo; która jego poczciwość powinna mu być od nas zawdzięczona, chyba, żeby nam Bóg ujął zdrowia. Wypada więc, aby to i inni wiedzieli, jaką się nagradza wdzięcznością tym, którzy są dobrzy. Życzymy zarazem uprzejmości Waszój od Pana Boga zdrowia dobrego i wszelkich pomyślności.

„Dan w Nowymdworze dnia 11. miesiąca Stycznia r. p. 1662, panowania królestw naszych polskiego i szwedzkiego roku trzynastego.

„JAN KAZIMIERZ, król“

Odebrawszy ekspedycją i żegnając króla, znowu mię ten ścisnął za głowę, mówiąc: „Już nam przebaczcie, a bądźcie na sejmie z panem wojewodą i pokażcie się nam; będziemy przecie o was pamiętali.“ Ordynowałem zaraz owych ludzi, żeby poszli tym traktem ku Lidzie, a prosto jako sierpem cisnął, żebym ich mógł jednym dniem dogonić, choćbym za nimi w tydzień wyjechał. Posłałem z nimi czeladź i konie swoje, co mi były niepotrzebne, a wróciłem się samotrzeć nazad do pana Tyszkiewicza, bom mu był dał słowo. Przyjechawszy tam, byłem wdzięcznym gościem; była ochota i wielka pijatyka. Bawiłem tam tydzień. Po tygodniu chcę jechać; nie puszczają; aby jednak owi ludzie mieli wiadomość o mnie, posłałem ordynans, żeby oni, przeszedłszy na tamtą stronę Białogrodu, wlekli się powolój, póki ja ich nie dogonię; aby mi w Lidzie i Oszmianie zostawili o sobie wiadomość. W owój konwersacyi milój, w owych komplementach nawzajem, obiecując mi różne promocye, ofiarując mi swoją siostrzenicę, pannę Rudominównę, dziedziczkę, która miała substancyi lepiej niżeli na

100,000, tylko że dopiero dziewiąty rok była zaczęła; z owych tedy nieodmiennych affektów upewnieniem, z owemi exekracjami, ktoby słowa nie dotrzymał, rozjechalimy się. Owe zaś wszystkie mowy, jak do senatorów, tak i te, przy jego bytności, do króla, kazał mi sobie komunikować, przepisać i zostawić; nawet i owę kołową od księdza Piekarskiego przepisał ręką swoją i schował, okrutnie delectując się tém, choć nie było czém, tak dalece, iż rzekł: „Choćbyś nic więcéj nie miał substancyi nad tę, która w głowie, wielka to jest dosyć substancya, na którą ja dam ci siostrzenicę moje.“ Pojechałem więc, pożegnawszy się w przepelnieniu owych szczerych i nieodmiennych affektów, wyjeżdżając, to się znowu wracając, jak to zwyczajnie w dobrej przyjaźni bywa. Przyjechałem do Oszmiany; jeszcze nie zastał swoich ludzi i wiadomości o nich; domyśliłem się jednak, że na żółwiu jadą, będąc ordynansowi aż nazbyt posłuszni. Trzeciego dnia po mnie przyjechał wachmistrz samotrzeć, nibyto pisać gospody; postrzegłszy ich z daleka, kazałem wrot przywrzeć, aby o mnie niewiedzieli. Zajechali do burmistrza; fukają, powiadając, że 100 koni pod chorągwią; pokazują list królewski, mnie dany, gdzie piszą, że dajemy pod komendę jego ludzi, a nie specyfikują, jak wiele. Mieszczanie w zgodę, bo téż o nich już od tygodnia słyszeli, że się włóczyli po wioskach; dali im złot. 70, piwa beczkę, chleba, mięsa i t. d. Kazałem gospodarzowi pilnować, kiedy będą liczyć pieniądze i żeby mi dał znać. W skok tedy zawinęli się i już prowiant na saniach (bo miał minąć miasto, wstydząc się za swoje wojsko). Aż téż i pieniądze mieszczanie składają na stole, a wachmistrz na drugim końcu stołu pisze do mnie, dając o sobie wiadomość, którą tam miał zostawić u burmistrza, a ja w tém we drzwi. Obaczywszy mię, do czapek. Mieszczanie patrzą, dziwiają się, już mię tu trzeci dzień w mieście widzą, co to jest? Pytam się wachmistrza: „co to za pieniądze liczą?“ Odpowiada: „Nam téż to na podkowy panowie mieszczanie ofiarowali z łaski.“ Mieszczanie nic niemówią, ale myślą, że to zła taka łaska, kiedy komu obuchem do karku przymierzą. Pytam burmistrza: „Nacoście się zgodzili?“ Odpowiada: „że na 70 zł., piwa beczkę, chleba, mięsa; oto

już prowiant stoi na saniach.“ Dopiero rzekę: „Prowiant nasz, pieniądze wasze; schowajcie, jak swoje. Nie masz teraz gołoledzi; ani grudy; nie podbije się koń, bo śnieg po tebinki, droga miękka, nie trzeba podków.“ Mieszczanie za pieniądze, do worka z niemi, a pan fircyk nos zwiesił. Mieszczanie mi do nóg, co mię przedtém nie znali; ani wiązki siana nie przyniesiono, bom téż o to i nie mówił. Nuż tu mieszczanie w skok składać się, nuż znosić różnych rzeczy, alem tego nie chciał, i, konie tylko nakarmiwszy, pojechałem, a oni jednakże z własnej ochoty wstawili na sanie baryłkę gorzalki z sześciu garcy. Poszedłem z ludźmi powoli, konie dobrze popasając po wsiach, po miastach. Wszędzie dawano jeść i pić, ale pieniędzy, Panie zachowaj! nigdzie brać nie kazałem. Tak idąc aż pod Lepel, zażywalimy zapewne dobrego bytu, bo gdyby był każdy podobno miał i dziesięć brzuchów, to było co jeść i pić; o to tylko na mnie narzekał ów oficer, że pieniędzy nigdzie nie dał brać, mówiąc, że za tym listem mógłbym być wziąć z kilka tysięcy, póki nie dojdziemy do obozu i namawiał mię na to, pokazując pożytek, alem ja nie pozwolił, bo chodziło o moją reputacyą. Mieli przecie draby swoje sposoby do nabycia pieniędzy, nabrawszy bowiem leguminy w jedném miejscu, to ją w drugim przedawali ludziom. Jedziemy raz puszczą wielką, aż tu między lasem duża wieś i słyhać krzyk i hałas. Wdowa mieszkała we dworze, nie pomnę, jak ją zwano. Przyjeżdżamy bliżej, aż tu dwór rabują, a ślachcianka chodzi i załamuje ręce. Tu jedni troczą na konie wieprze sprawne, polcie, drudzy znoszą fanty, inni bydło na powrozach prowadzą z obory. Rozumiałem, że to jaka exekucya; nie mieszam się, pomijam wrota, a miałem téż już w tej wsi i stanąć, bo noc zachodziła. Aż owa ślachcianka postrzegłszy mnie, wypada i wóła: „Zmiłuj się mości panie, rabują mię ubogą sierotę, gorsi od Tatarów, gorsi od nieprzyjaciela.“ Pytam, co są za ludzie? Powiada, że wolontarze pana Muraszki. Wracam się tedy na podwórze i mówię: „Panowie, nie boicie wy się Boga; dworowi ślacheckiemu taki gwałt czynicie!“ Oni odpowiadają: „A waści co do tego?“ Rzekłem: „Do tego, bom i ja ślachcie.“ Potém do niej mówię: „Mościa

pani, każ to waść odbierać.“ Owi na to: „Nie będziesz odbierał, nie.“ Pani kazała chłopom brać, a oni porwali się do szabel i do strzelby. My też nawzajem. Nuż po sobie. Wyparowaliśmy ich z podwórza; dostało się i temu i owemu po troszę; pod jednym tylko konia zabito, jak dragon między nich strzelił; i z naszych też jednego konia po boku postrzelono, ale nie bardzo. Owę zdobycz wszystkę a wszystkę porzucili; chłopci im wzięli kilka koni, alem je kazał wygnać za nimi. Poczęła ślachećniczka bardzo dziękować, wołając: „Święty półk Czarnieckiego, a przeklęty sapieżyński.“ Na nocleg stanęliśmy w tójże wsi w jednej gospodzie, bom wiedział, że oni stoją o dwie mile, a z hultajstwem zła sprawa, żeby się mścić nie chcieli. A jeszcze wtenczas związkowym byliśmy tak mili, jako jęz psu, co go chce zjeść, a ukąsić go nie może. Kilku ich wzięło paragrafy słuszne; wnosilem zaraz, że będą myśleli coś o zemście, i tak się też stało. Wdówka nieboga przysłała, co dom miał, gorzałek i piw. Pili tedy dragoni, a my z wachmistrem, który był w saniach, gdy zapał kur drugi daliśmy im straż. Aż owi idą w 300 koni; obaczył ich żołnierz na straży będący zdaleka po śniegu i zakolatał zaraz w okno, wołając: „Wstawajcie waść, mamy gości!“ Ci przymknęli się bliżej, a żołnierz woła: „Kto tam?“ Odpowiadają: „Będziesz miał wnet kto tam z kurwy synu.“ Nie mieli dragoni prochu, dałem im go i kazałem zaraz ponabijać muszkiety, aż tu kul znowu nie było; ja miałem ich trochę, te wbiły się w swoją strzelbę, i owym też udzieliłem ile mogłem. Gdy się coraz bardziej zbliżają, woła straż: „Nie następuj, bo strzelę.“ Wyszedł wachmistrz i pyta: „Czego chcecie?“ Odpowiadają: „Trzebaby nam się uskarżyć o wczorajszy exces, co tu naszych pobito. Kto tu jest starszym?“ „Ja starszy,“ odpowiedział wachmistrz, „bo mi już lat 45, a inni wszyscy młodszy.“ „To żart,“ odpowiedzą, „ale kto tu ma kommandę?“ Odpowiada im, że ten jest w izbie. Rzeką: „Puścisz nas tam do niego.“ Powiada: „Puszczę, ale nie kupą, bo na skargę nie tak jeżdżą.“ „Puścicież nas z 10 koni?“ Odpowiada: „By i dwadzieścia.“ Przyjechało ich tedy 15 koni; pistolety mieli jedne za pasem, drugie w olstrzach. Zaraz jak wjechali, ka-

załem moim stanąć we wrotach, drudzy w paradzie u drzwi stoją, a konie już mają okulbaczone. Wchodzą do izby: „czołem.“ „Czołem.“ Pyta mię tedy jmc pan pólkownik: „Dowiaduję się, co to są za ludzie, skąd i dokąd idą, i dla czego wczora porabowali i posiekli żołnierzy mego pólku?“ „Ja go pytam: „Niechże wprzód wiem, który jmc pan pólkownik?“ Odpowiedział: „Jmc pan Muraszka;“ a drudzy sapia, zgrzytają zębami, wasy ciągną i gryzą. Wtém 300 koni do koła chałupę obskoczyli, wołając: „Stójcie tylko regalistowie, wnet tu was powiążemy jak baranów.“ Odpowiadam tedy: „Czując się być żołnierzem w służbie rzeczywospolitéj i w kompucie wojska zostającym, nie bardzoby mi należało wywodzić się jmc panu pólkownikowi, jako do tych rzeczy mniej należącemu, skąd i dokąd idę; ale żem się nie powinien wstydzic za moje czyny i przed całym światem, z téj przyczyny i dziadowi w imię boże biorącemu, powiedzieć pytającemu i sprawić się dokąd idę, nie gotówem denegare (odmówic). Pogotowiuz waćpanom, jako zacnym żołnierzom, których równo z nami w przeszłych okazyach będących widziałem, gotówem to uczynic.“ Żem to wymówił jedno słowo łacińskie, denegare, odezwał się jeden: „Mości panie, nie po łacińsku jeno z nami, bo to tu z prostymi żołnierzami sprawa.“ Odpowiem: „Widzę ja, żeś waść prosty żołnierz, ale ja wywiodeę się i prostemu po prostu, i krzywemu jako będzie chciał.“ Tymczasem rzekłem do wachmistrza: „Dajcie panie tamten papier, co go macie przy sobie.“ Ten dobywszy go z kieszeni, dał mi go, a ja podałem pólkownikowi, który przeczytawszy go, pyta: „A na cóście poszarpali naszą czatę i kilku towarzyszków pocięli?“ Odpowiem: „Bo to nie moda, w swojej ojczyźnie, a osobliwie stojąc na konsystencyi, dwory rabować; co my widząc, rozumieliśmy, że to nieprzyjaciele czynili. Gdym się ja sprawił, tego téż i pó was potrzebuje; niech wiem, co za interes, albo raczej pretensją macie do rzeczywospolitéj, będąc wolontarzami, żadnych u niej zasług nie mając, a poszliście do konfederacyi i jeszcze dwory słacheckie najeżdżacie i podobno rabować chcecie.“ Rzekł tenże starszy: „Boś tego godzien.“ Ja téż zrozumiawszy, że tu już pokorą nic nie wskóramy, ale racyami że-

laznemi nadrabiać trzeba, jakem trzymał obuch w rękach, tak go też zaraz nim mocno przeżegnałem w piersi, że upadł pod lawę. W tymże zaraz momencie dali dwaj ognia z pistoletów do nas z wachmistrzem. Przestrzelili wachmistrzowi suknię, a mnie Pan Bóg zachował, a podobno z tej racy, że się schylił po pistolet na ziemię, który mi upadł z zapasa wtenczas, kiedy owego uderzyłem wolontarza. Dopieroż w nich w bożą godzinę; połowa ich została w izbie, a połowa wypadła do sieni; dopieroż rozdawać przysmaczki my w izbie tym, a tamtym zaś drudzy w sieni. Jeden dragon miał okrutny berdysz moskiewski; tym berdyszem owych, co z izby uciekali, tego płał. Jak prędko skoczyli obces na chałupę, dali ognia do siebie, który nasi we wrotach wytrzymali. Trzej tylko dragoni strzelili; spadło tamtych z koni dwóch; naszego też jednego postrzelono w szyję. My też tu owych uspokoiwszy, przywarliśmy ich w izbie. Ci też, którzy byli w sieni, oberwawszy, co kto mógł dostać, chyłkiem po zapłociu pouciekali od koni, a owa kupa odsunawszy się lepij jak na stajan, poczną wołać: „sam jeno, sam, w pole jeno, w pole.“ Ozwę się: „poczekajcie, i to być może.“ Wróciwszy się do izby, kazałem owych powiązać i oddałem ich gospodarzowi; oddałem i dwoje sani, przykazawszy: „wara chłopie, szyja twoja w tém, jak tu co zginie, bo tu skarb królewski na tych jest saniach, gdyż pieniądze dla wojska wiozę.“ Owi się modlą, narzekają: „Bóg nas skarał; posłano nas kogo wiazać, a nas samych krępują.“ Wyjdę na podwórze i myślę, co czynić, czy wyjechać do nich lub nie? Jedni radzą, drudzy odwodzą, a najbardziej krewny mój Chlebowski, że to kupa wielka, więc nie wytrzymamy. Wachmistrz zaś mówi: „Wyglądam, czy nam też da jaki sukurs ta pani, cośmy się za jój krzywdę ujeli, albo chłopom każe, lecz nic nie widać.“ Jużesmy się tedy mieli oganiać odpornie od owéj chałupy, ale gdy widzę, że snopy zwożą, zapalają i już je ciskać chcą na chałupę, zawołałem: „Nie turbujcie się odważni kawalerowie, będziecie nas tam wnet mieli; dla nas zatém nie czynicie ludziom szkody.“ Już też dzień zaczęło; wymunderowawszy się tedy dragoni, na ich dobre konie powsiadali, swoje podlejsze na podwórzu zostawili,

nabili muszkiety, czém kto mógł, kamykami, hufnalami, bo kul nie było, i u owych tylko kilku powiązanych pożywili się w ładunki, które w ładownicach znaleźli. Ów postrzelony jęczy przed wroty, przewraca się, bo go w kolano niejaki Jankowski, dragon, postrzelił hufnalami, a drugiego wtenczas postrzelonego uprowadziła z sobą owa kupa. Wołam tedy: „Ej panowie, jedźcie sobie, zaniechajcie nas!“ Ci odpowiadają: „To ty z kurwy synu jeszcze nam grozisz; poczekaj, nie wymkniesz nam się na sucho, wykurzymy cię stąd jak jaźwca z jamy.“ Na to odzywa się wachmistrz: „Jak nas będziecie napastować, to pierwój wam poćinamy tych, co sam leżą związani.“ Odpowiadają: „Już my tamtych odżałowali, ale i ty nie ujdiesz pogański synu.“ Zaraz potem poczęli się oni pomykać z ogniem ku chałupie, wołając: „wychodźcież pogańscy synowie, bo się dla was dostanie i ludziom ubogim.“ Odpowiadam im: „Zaraz, zaraz, moi panowie.“ Jedziemy tedy, w tropie dwudziestu kilku ludzi rachując i z swoją czeladzią, kolano z kolaniem, a kazalem, jeżeliby nas obtoczyli, obrócić się zaraz zadniemu szeregowi frontem do nich, a plecami do przedniego szeregu, a nie strzelać tylko po dwóch, po trzech, kiedy ja każę albo wachmistrz, który zadnim szeregiem dowodził, a ja pierwszym. Wachmistrz siedzi na szumnym dereszowatym kałnuku, od nich zdobycznym, który rzuca się pod nim jak koza, a swego oddał pod dragona; strzelby mamy dosyć, bo i od owych więźniów nabraliśmy. Cośmy tylko odeszli od owój gospody, nie było stajana, umknęli się nam zrazu, a potem tak się stało, jakem był mówił; poczęli nas miesiącem zajeżdżać, dla tego, żeby nam tył wziąć. Gdy już blisko byli, zawolałem na swoich: „stójcie!“ Obrócił się zaraz szereg plecami do przedniego. Wtém owi okrzyk zrobiwszy, skoczą na nas po nieprzyjacielsku, dadzą ognia gęsto z pistoletów i bandoletów, i natrą blisko szereg na szereg, a ja tuż z obudwu pistoletów razem dam ognia, mając trzeci za pasem; moi też dragoni z trzech lub czterech pistoletów razem dali ognia z ramienia mego; dali też i z muszkietów. Ten zaś, co się ze mną zwał, uchwycił się lęku, znać, że był postrzelony; wysunawszy się mój dragon, ciął go szablą w kark tak, że ten z konia spadł:

(powiadali, że to był znaczny Litwin, Szemiot niejaki, paniątko, którego ojciec gniewał się na niego, iż z wolontarzami służył), a mój też jeden dragon z przedniego szeregu o ziemię, bo konia pod nim zabito. Skorom zobaczył, że dragon wstaje, odsunąłem się trochę rzędem, a potem znowu ich popstrzyłem, i jaki taki stęknął. Tam też od tylnego szeregu wzięto ich kilku. Gdy widzą, że nas rozrwać nie mogą, poczną wołać: „wróćcie nam naszych, jechał was pies z ostatkiem.“ Odpowiada wachmistrz: „cóż wam po nich, kiedy już głów nie mają.“ Skoczyli więc na nas po raz trzeci, ale już z daleka poczęli strzelać, nie nacierając blisko; my też radzi postąpiwszy ku nim, dawaliśmy ognia po dwóch, a drudzy nabijali; oni zaś ustępowali po troszę; nagnaliśmy ich na ogrody i płoty gęste; nuż się łamać; my też natarli. Przełamawszy oni jeden płot do drugiego, uciekali po nich do lasa, który był zaraz za ogrodem, a konie zostawili. Dopieroto nasza dobra; nie kazałem ich gonić, tylko na płotach złapano kilku, którzy zostali postrzeleni, a dwóch zabito. Naszych też dragonów trzech postrzelono, czeladnika mego i mnie trochę służem w lewy ud, alem tego nie czuł, aż dopiero po wszystkim; koni jednak naszych postrzelono 6, zabito 2, ale na to miejsce było w czém wybrać. Przylazło potem urzędniczysko owój pani z muszkieciskiem, co sarny strzela, i dał mi na drogę pęcherzynę prochu i kuł. Owych tedy powiązanych trzech starszych wzięwszy, kazałem drugich kańczugami ociąć, żeby pamiętali Czarniecczyków, a przytém dragoni porozbierali ich do naga i pognali do lasa za drugimi w śnieg srogi. Przebrakowawszy tedy koni 40 co lepszych i owych trzech wzięwszy z sobą, poszedłem. Nabrali też nasi kulbak i strzelby tyle, że aż saniom ciężko było. Inne konie, i te nasze, cośmy na miejsce lepszych zostawili na rubaszyństwo, oddałem urzędnikowi i chłopom, i owe, co się po ogrodach poniewierały, kazałem urzędnikowi, aby pobrał, (bo ich nie bardzo wiele na koniach uszło), ażeby na nasz karb kto inny ich nie pochwytał. Poszedłem więc z ludźmi i nie popasałem aż w Zodnikach. Że zaś owych koni i na powód nasi nie brali, a drugi dragon i trzech i czterech prowadził, namyśliłem się, że to trzeba oddać, bo

lubo to nieprzyjaciel, ale nie obcy nieprzyjaciel. Wachmistrz mówił, żeby nie oddawać, alem ja powiedział, że o moją chodzi reputacją i że to być nie może. Postanowiliśmy więc, żeby sobie co najlepsze dragoni pobrali, a swoje na to miejsce oddali; moja czeladź także dwa wzięła, a swoje w komput. Gdy zaś grodowego miasta nie było, bo do Oszmiany nazad trzeba się było wracać, oddaliśmy je w Merezcu przed księgami miejskimi, protestowawszy się, że nam hultaje jacyś zastąpili i rozbić chcieli, a z których trzech tu prezentujemy. Oni także prosili i przysięgali, że się tego nikt upominać nie będzie, biorąc to na się, i u ksiąg zeznali, jak na dobrowolnych zeznaniach, że tak jest, że nas najechali, zrabować i powiązać chcieli, które ich ustne wyznanie z pieczęcia miejską i poświadczeniami burmistrzów i całego urzędu wzięłem, a ich zaś przy owém stadzie koni zostawiłem, popoiwszy ich dobrze na rozjezdnie i konie własne, o które prosili, im oddawszy. Było téż jeszcze w czém wybrać, a wachmistrz wziął jednak owego dęresa i sprzedał go potem kapitanowi Goczkowskiemu za bezcen, bo za 340 zł.; powiadano, że to był koń od nieprzyjaciela zdobyczny. Poszedłem potem prosto, (nie zbaczając nigdzie) ku Lepłowi, gdzie stał obozem wojewoda. Żem zaś powolój szedł i ówdzie u Tyszkiewicza zabawiłem się dwie niedziele, wyprawił król do wojewody księdza Piekarskiego, co miał Wolskiego wyprawić, bo Wolskiego znowu był na odwód posłał do chana. Ksiądz mię wyminął, i pierwój, niżeli ja, przyjechał do wojewody. Wojewoda list królewski przeczytawszy, w którym piszą: „że jakośmy w tamtym liście przez pana Paska pisanym namienili,“ rzekł: „a jam pana Paska i na oko nie widział.“ Ksiądz w strach: „Dla Boga, pojechał tu tak dawno i ludzi mu dał król w kommendę tych a tych.“ (W trwogę znowu o mnie i drugie podejrzenie). „To właśnie zdrajca do związku pojechał dla téj urazy, która go tam spotkała. Będą tam mieli co w związku czytać, a osobliwie co sam król pisał swoją ręką. Jakie ja oczy królowi pokaże.“ Z kłopotu i spać ksiądz nie mógł. Skoro nazajutrz jeno co wstał od obiadu wojewoda z Małczyńskim, Mężyńskim i Niezabitowskim, odezwał się do nich: „Ej przecież on

tego nie uczynił, ponieważ już do mnie się zapuścił, wzgardziwszy dobrowolnie związkiem; zapewne mają się dobrze, konie pasą, idą powoli, i wszędzie im dają chleba za listem królewskim.“ Wtém ja wchodzę we drzwi. Dopiero radość i wołanie: „otóż jest!“ Obejrzy się wojewoda, a ścisnąwszy mię za ramiona, rzecze: „Witajże pożądaný; umorzylbyś był frasunkiem wujaszka, gdybyś jeszcze dziś nie był przyjechał; dziękuję ci za miłość, którąś wyświadczył ojczyźnie i mnie też tobie życzliwemu. Odwdzięczymy to sobie. Milszy mi teraz jeden towarzysz, który przy mnie stawia, niżeli cała chorągiew. A ludzie kędy?“ Powiedziałem, że tu są. Wyszedł wojewoda za drzwi, a spójrzawszy na konie, pyta: „a to co? gdzie tak dobrych koni nabraliście?“ Powiadam zrazu, że spotkałem się z Chowańskim, daliśmy mu pole, znieśliśmy go i mamy tę zdołbycz; później jednakże i prawdę powiedziałem, tak jak właśnie było. Z początku nie podobne mu się rzeczy widziały, ale jakim pokazał owe ich zeznania i dowody autentyczne, że sami przyznali, iż ich 300 koni było, dziwował się nad wielkim cudem, że kilkunastu ludzi wytrzymało tak wielkiej kupie. Mnie dziękował, a do wachmistrza rzekł: „Kazałbym was był powiesić za to, żeście w Mścikowie narobili hałasów, ale wam teraz odpuszczam winę dla téj okazji, żeście się nie dali pokonać, ale to podobno bardziej przywódczą się stało, niżeli waszą odwagą, ale żeście na dobrych koniach przyjechali, pierwój was też barwa dójdzie, niżeli innych.“

Gdy zaś sejm warszawski następował, pisał król przez księdza Piekarskiego, żeby się wojewoda pomknął z ludźmi ku granicy polskiej, co gdy uczynić zamierzył i już się ruszył z pod Lepla, aż tu na trzecim, zda mi się, noclegu, przychodzi do niego od cara posłanik, taką oznajmując chęć: „że car chce posłać na sejm posłów swoich względem traktatów, tylko że się ich boi wysłać za granicę, żeby ich jaka niespotkała napaść od wojska polskiego, teraz w nieposłuszeństwie będącego; prosi zatem wojewody, aby przystawa swego posłał za granicę, któryby ich prowadził aż do boku króla jmcí.“ Wojewoda posyła tedy *ipo* mnie i mówi: „Panie bracie, pisał król jmcí do mnie i w pier-

wszych i w powtórnych listach, ażebym tu waści wyświadczył wdzięczność, w czém i ja sam postrzegam się, że za taki uczynek należy wszelka nagroda, o czém bardziejby należało było pomyśleć królowi jegomości, bo ja takięj nagrody uczynić niemogę, co król. Starostwa niedam, ani tenuty, bo to nie w mojej dyspozycyi, ale jednak czém będę mógł zawdzięczyć, tego niezaniebam. Teraz oto, naprędce, co może być z honorem i z jakimkolwiek pożytkiem dla waści, tylko się waść niewymawiaj; przysłał bowiem do mnie car jegomość, żebym posłał przystawa mego za granicę posłom jego na sejm jadącym, życząc więc, abyś się waść tego podjął, ale trzeba ci aż do Wiazmy jechać.“ Odpowiadam: „Mój dobrodzieju, jwm. pana rzeczą jest rozkazać, moją zaś wypełnić każde jwm. pana, jako szafarza krwi mojej, rozkazanie; nietylko zatem do Wiazmy, ale i do Astrachanu gotów jestem jechać za rozkazem jwm. pana i dobrodzieja; dalsza była podróż za bałtyckie morze, a po staremu i stamtąd wróciłem się z łaski bożej zdrowo, za szczęśliwą jwm. pana dyrekcją.“ Rzecze wojewoda: „Dobrze, dam waści Semenów kilkadziesiąt i każę napisać ekspedycją; jedźże waść z Panem Bogiem jutro jak najraniej.“ Zawoławszy Piwnickiego, kazał mu ekspedycją pisać. Poszedłem ja do czeladzi, i mówię: „Karmcie konie dobrze, bo jutro pójdą w drogę, niedaleko, tylko do Moskwy.“ A czeladnik rzecze: „toć już po chwili pojedziemy i do Rzymu.“ Oporządzamy się, aż tu bieży Wilkowski, pokojowy, i mówi: „Jmć pan wojewoda prosi.“ „Przyjdę.“ Tu wojewoda mówi: „Panie bracie, miałem tu wielkie modlitwy o tę funkcją; byli tu u mnie pan Żerosławski i pan Niegoszewski, prosząc mnie o to, żebym ich tam posłał; przyczyniał się za nimi pan Niezabitowski; nie zdało mi się zatem drażnić starych żołnierzy, alem powiedział, że m to już deklarował panu Paskowi i nie godzi mi się słowa odmieniać, bo i król za nim już dwa razy pisał, żeby go tu honorować za jego poczciwość, ale jeżeli tego dobrowolnie ustąpi, to dobrze.“ Odpowiedziałem: „Ja wolą waszmość pana dobrodzieja pełnić gotów, której trzymając się, nie zda mi się w tém pierwszeństwa szukać. Mogę i ja też tak dobrze piastować honor jwm. pana dobrodzieja, jako i naj-

starszy żołnierz.“ Wojewoda rzekł: „Dobrze.“ Posłał do Piwnickiego, żeby jako najprędzej ekspedycyą podał do podpisu, a ja poszedłem do koni. Tam zastałem owych konkurentów; nuż oni że mną w układ, żebym tego ustąpił targiem; Żerosławski daje tedy 100 bitych talarów. Pozwoliłem. Poszli owi po pieniądze. Ja myślę sobie, że to i droga daleka i trudna musi być funkcyą; nie wiadomo mi téż jest, co to może uczynić za pożytek, a to dobra kaczka, nie brodząc, wziąć 100 talarków za nią. Myślę znowu, że to jednak nie musi być coś złego, kiedy się tego tak bardzo napierają i dokupują. Idę do Piwnickiego i powiadam mu to. A Piwnicki mówi: „Czy waść żartujesz? dyć to ta funkcyą tysiącami pachnie, i z wielką jest sławą; nie czyni waszcę tego, bo i wojewodzie nie będzie miło, kiedy waść jego pogardzisz promocyą.“ Ja téż prosiwszy Piwnickiego, żeby co prędzej skończył ekspedycyą i zaniósł do podpisu, schowałem się owym konkurentom. Ci przyszli z pieniędzmi i pytają, gdzie pan? Chłopiec odpowiada: „nie wiem; poszedł z jakimś kapitanem.“ Szukają mnie po chorągwiach, nie masz. Wieczorem przychodzę do Piwnickiego, a ten powiada, że już popodpisywał wojewoda i ma to tam u siebie, że tam znowu byli u wojewody konkurenci i że pan Tetwin i pan Niezabitowski za nimi przyczyniali się, ale wojewoda powiedział, że już oddał waści ekspedycyą, podpisawszy ją. Idę do wojewody, a przodem posłałem chłopca, jeżeli ich tam niemasz, żeby mię już nie turbowali. Wnijdę, a wojewoda już tylko w kaftaniku i pyta: „kto tam?“ Powiedziano mu. Rzekł: „A gdzieżto waść bywasz? Posyłałem tam do waści, a nie zastano.“ Powiadam mu to, co i Piwnicki, a wtém oddał mi owe papiery. Jeden był przejeździ za granicę, kiedym po posłówjechał; drugi, pod tąż datą, żebym pokazaował, wprowadziwszy już posłów w kraje rzeczypospolitój, a tamten, który należał za granicę, żebym chował, które obadwa mam doład. Pierwszy jest téj osnowy:

„*Stefan* na Czarnój i Tykocinie *Czarniecki*, wojewoda ziem ruskich, generał wojska jego król. mości, piotrkowski, kowelski i rafański starosta.

„Wiadomo czynię, komuby to wiedzieć należało, mia-

nowicie ichmościom stanu rycerskiego, któregokolwiek narodu i jakiegokolwiek preminencyi i godności, albo urzędu będącym, ww. panom i braci, zaleciwszy usługi moje, tudzież w miastach, miasteczkach, burmistrzom, wójtom, rajcom i wszystkiemu pospółstwu; iż stósując się do żądań cara jnci, posyłam naprzeciw do króla jegomości i rzeczypospolitej wyprawionym posłannikom konwój i przystawa towarzysza wojska półku mego, pana Paska, który gdziekolwiek z pomienionymi cara jnci spotka się posłannikami, owych jako najprościejszym traktem do wojska mego półku przyprowadzić ma, skąd albo tenże potwierdzony, albo in-szy przystaw do samego miejsca przydany im będzie. Aby tedy jak ci niebronnie mieli sobie pożywienie, tak téż, aby i dla posłanników (granicę przeszedłszy) dostarczano według zwyczaju podwojdy, sama tego rzeczypospolitej wy-ciąga potrzeba i moja instancya. Na dowód czego skrypt ten własnej ręki podpisem i pieczęci przyciśnieniem stwierdzam.

„Dan w Kajdanowie dnia 1. Lutego 1662 roku.

„(L. S.) *Stefan Czarniecki*, wojewoda ruski.“

List ten za powróceniem nazad za granicę z posłami kazał mi zaraz schować, a pokazywać drugi, (który niżej przytoczę), a to dla tego, że chodziło o urazę hetmanów i narodu litewskiego, do którychto z prawa należy przyjmować i prowadzić posłów moskiewskich aż do Narwy, a od Narwy dopiero ich koronny przystaw powinien odbierać. Tak tedy rzeczy urządził, aby to się znaczyło, że ich przyjmował nie z umysłu, ale z frasunku, spotkawszy się z nimi w drodze. Piszę więc drugi list w ten sens:

„*Stefan na Czarnéj i Tykocinie Czarniecki*, wojewoda ziem ruskich, generał wojska jego król. mości, piotrkowski, kowelski i ratyński starosta.

„Wiadomo czynię, komuby to wiedzieć należało, mianowicie ichmościom stanu rycerskiego, jakiegokolwiek preminencyi i godności, albo urzędu będącym, ww. panom i braci, zaleciwszy usługi moje; tudzież w miastach, miasteczkach, burmistrzom, wójtom, rajcom i wszystkiemu pospółstwu: iż gdy posłannikowie carscy, Ofanazy Iwanowicz Nesterów i Iwan Polikarpowicz Dyak, jadą wyprawieni do jego król. mci. w pilnych potrzebach i sprawach, aby się

tém prędzej w swojej drodze pospieszali, przydałem konwój i przystawa towarzysza wojskowego, pana Paska; aby więc tak ci mieli niebronne sobie pożywienie, jak i dla tych posłanników dostarczane były podwozy, sama rzeczpospolitej wyciąga potrzeba. Na co skrypt ten własnej ręki podpisem i pieczęci przyciśnieniem stwierdzam.

„Dan w Kajdanowie dnia 12. Lutego 1662 roku.

„(L. S.) *Stefan Czarniecki*, wojewoda ruski.“

Żeby jednak hetmanowi należytą uczynił ceremonią, daje mi list do niego, w któryto pisze, że na trakcie spotkał tych posłów i przystawa przydał, a innego ze Szklowa nazad odprawił, któryto przystaw nie był i oni w Szklowie nie byli, byleto tylko ceremonią zachować, a informował mię, żeby mi listu tego nie oddawał, choćbyto nawet o niego dopytywał się, w której majątności głębokiej Litwy, albo w Lachowicach, albo gdzie bądź, ale dopiero gdzie blisko Narwy, w którejkolwiek jego majątności, abym oddał list podstaroście, lub ekonomowi, byle go tylko kiedykolwiek doszedł, a któryto list pisany jest w te słowa:

„Jaśnie wielmożny mości panie wojewodo wileński, mój wielce mości panie i bracie!

W mińskim trakcie z posłannikiem carskim, z listem do jego królewskiej mości, pana naszego, wyprawionym, Ofanazym Iwanowiczem, zjechawszy się, konwój z Szklowa przydany i przystawa nazad expedyowałem; ażeby zaś tém prędzej do jego królewskiej mości pospieszył, przydałem mu półku mojego towarzysza, pana Paska, przez którego to moje jw. panu prezentuję odezwanie, nie chcąc w tém ubliżyć funkcyi hetmańskiej i powadze jw. pana, abym nie miał tego oznajmić, gdyż każdego posłannika, w państwa rzeczypospolitej wchodzącego, przechód, powinien być wiadomy jw. panu. Jeżeli tedy wzmiankowany odemnie żołnierz od naznaczonego przez samą jego król. mości osobę miejsca temu posłannikowi ma towarzyszyć, albo nowy od jw. pana będzie przydany przystaw, zależy to od samego jw. pana woli. Białoruskie kraje, z nieprzyjacielem graniczące, że są od wojsk w. ks. litewskiego opuszczone, trzeba, abyś wmpan raczył radzić, jakoby w nich (gdyż się już począł wzmacniać nieprzyjaciół) oprzeć się

nieprzyjacielskiej sile. Ja z piechotą w polu, bez kawalerii, nic począć nie mogąc, od téj, którą serio myślałem, odstąpię imprezy, lubo z wojskiem jego król. mości w kraj nieprzyjacielski wniść życzylem, aż oto wszelkiej pomocy pozbawiony zostałem i sukursu spodziewam się od jw. pana w ochoczej mojej dla rzeczypospolitej intencji. To tedy doniósłszy jw. panu, samego siebie z moją usługą jw. pana natenczas oddaję łasce. — W Kajdanowie.

„JW. pana cale życzliwy brat i sługa powolny.

„*Stefan Czarniecki, wojewoda ruski.*“

List zatem do hetmana pisany, tak mi się zdarzyło, żem samemu oddał hetmanowi, ale już blisko Narwy, czyli Bugu, 7 tylko mil. Wdzięcznie to przyjął, na list odpisał, mnie częstował, (o czém będzie niżej). O ten zaś list, który był do Czarnieckiego, prosiłem, żeby mi go kazał oddać, powiadając, że te i podobne okazye chowam sobie, aby pozostały dla potomności jako świadectwo mego życia. Kazał hetman zawołać zaraz pisarza i list mi oddał, pytając: „to waść i ten odemnie respons schowasz?“ Odpowiedziałem: „pewnie tak będzie, bo ten mam zwyczaj, aby synkowie wiedzieli, (jeżeli mi ich Pan Bóg obiecał), żem kwiat wieku nie na próżnowaniu strawił i w tych bywałem, jako ślachecowi należy, okazjach,“ (o czém niżej).

Teraz wracam się do tego terminu, od którego, dla tych listów treści, odstąpiłem rzeczy. Skoro mi już wojewoda oddał papiery, rzekł: „Jużem ja waści 40 dobrych ludzi naznaczył; jedź waść jak najraniiej, a nie daj się ujmować błażństwem, bo waść przy téj funkcyi możesz więcej wziąć, niżelibys był wziął w związku. A sława sama za co stoi, a król co powie, kiedy mu waść będziesz często stał na oczach; musi sobie przypominać, co waści winien za wdzięczność. I ja też kołatać nie zaniedbam, jak, da Pan Bóg, przyjadę do Warszawy, a teraz waść idź spać, lecz napij się waść wprzód; co waść wolisz, wino, czy miód dobry?“ Powiedziałem, że wolę miód, bom wiedział, iż bardzo dobry. Wojewoda rzekł: „Dobrze. I ja też miód piję, bo mi się bardzo udał.“ Pił więc do mnie, wypilem, i informuje mię: „tak więc postępuj,“ i rzekł dalej: „wypijże i trzeci na owę kukłę koldyngską,“ którą mi

zawsze przypominał. Powiedział mu tedy »dobranoc,« a on rzecze: »nie jedliście panie bracie, bo po wieczeryście przyszli.« Odpowiadam: »będę jadł u siebie.« Poszedłem, aż tu Żerosławski siedzi u mnie i talarów worek leży przed nim. Obaczywszy go, uczyniłem się pijanym, lubom ci był i trochę podpił, bom wypił trzy kufle srebrne, a było w jednym więcej niż kwarta, miód zaś był smaczny. Pocznie do mnie mówić w wiadomój materyi, a ja mówię: »radem ci.« On mówi: »nie według słowa przyszedłem z pieniędzmi,« a ja mówię do chłopca: »nałój.« On mówi: »każ waść odliczyć pieniądze,« a ja mówię: »dobre zdrowie.« Skosztował miodu i pyta: »skąd ten miód,« powiadam: »z beczki.« On pyta: »a wojewodzin to miód?« powiadam: »mój i twój, bo go pijemy.« Pyta: »już waść odebrał ekspedycyą?« ja mówię: »proszę za mną,« a do chłopca mówię: »dawaj jeść.« Widzi, że sprawy ze mną nie dojdzie i rzecze: »toć to już podobno do jutra odwlecze się ta sprawa.« Nuż pić. Upił się tak ówym garncem miodu, że tylko na ramionach czeladzi wisiał, idąc odemnie. Ja także sobie folgowałem, a on też temu się nie przeciwiał, sądząc mię być bardzo pijanym. Nazajutrz wstałem raniusieńko, konie pokulbaczone, i pojechałem do wojewody, który mię lepij informował. Semenowie także przyjechali. Wojewoda przykazuje im, żeby mię słuchali, żeby trzeźwo się zachowali i nie robili hałasów. Jużem się więc pożegnał i wsiadłem na konia, a tu Żerosławski tak leci, że się aż zadyszał, i mówi do mnie: »ustąpże tego, wszak przyrzekłeś słowem, i bierz sto bitych talarków.« Odpowiadam mu: »Mój panie bracie, nie czyniże mię waść blaźnem; już ci z konia zsiadać nie będę.« On mówi: »dam się pociągnąć.« Ja na to: »choćbyś się waść kazał nietylko ciągnąć, ale i na dwoje rozerwać, to z tego nic nie będzie.« Pojechałem tedy traktem, a stanąwszy w Wiazmie, dano mi stancyą piękną u Moskala majątnego; gospodarz sam tylko sporządza i uwija się; gospodyni nie obaczysz; jeść gotują, żywności dają dosyć i z ryb i z mięsa. Mieszkałem tam 4 dni, póki postłowie nie nadjechali, a gospodyni nie widziałem, bo tam oni żony tak chowają, że jój słouć nie dojdzie; wielką tam niewolę cierpią żony i ustawiczne

więzienie. Przyjechali nareszcie posłowie porządkiem dobrym i pięknie, to jest: Ofanazy Iwanowicz Nesterów, wielki stolnik carski, człowiek familii stariej moskiewskiej; drugi z nim, nibyto sekretarz poselstwa, Iwan Polikarpowicz Dyak; syn tego stolnika, młody Michajło; bojarów kilkunastu i innych drobniejszych, wszystkich było ich coś, oprócz wozowych ludzi, wozów sannych z leguminą i towarami, około 40. Powitaliśmy się tedy z wielką wdzięcznością; nazajutrz miał być bankiet carski; przyszedł do mnie wieczorem Michajło, syn wyżej wspomnianego stolnika, i drugi z nim bojarzyn z oracyą, w której mię imieniem cara na kolano zapraszał. Nie znając ja tej ich polityki, markotno mi było; myślę sobie, co za moda, zapraszać kogo na kolano, a jeszcze nie wiedząc, co to jest; jużem chciał wymówić: niechże to sam zje, ale się wstrzymałem i odpowiedziałem: „że jestem wdzięczen za tę cara jmcı łaskę, iż mię do bankietu swego wezwać raczył, tylko że ja, jako prosty żołnierz, nie rad się specyałami pasę; lubo się stawię, to dla tego tylko, że się spodziewam znaleźć tam i co innego do zjedzenia, bo te specyały tak znamienite zlecam panom posłom.“ Tłumacz postrzeglszy, żem się ja na to zmarszczył, rzekł: „Waćpan się o to nie turbuj, bo to jest taki zwyczaj narodu naszego, że jak u waszmościów zapraszają na sztukę mięsa, choć tam bywa i jarząbek i różna zwierzyna, tak u nas na kolano i łabędzie, choć będzie przytém i wiele innych potraw, a kiedy już wymienią kolano, toto znaczy walny bankiet.“ Spytałem tedy: „cóżto ma znaczyć to specyalne kolano?“ Powiedział: „Jestto ryba wielka z rzeki, która ma w sobie jedno miejsce przy skrzeli tak dobrego smaku, jako żadna inna ryba nie jest smaczna; sama zaś jest tego smaku, co jesiotr; a że ta sztuka, którą z ryby wyrzynają, jest okrągła i tak ją dają na stół, dla tego ją nazwano kolaniem.“ Pytałem i o to, „czemu na kolano zapraszają, a czemu nie na głowę, albo na skrzydło lub na piersi.“ Powiedział: „bo ta sztuka jest najsmaczniejsza.“ Ja zaś na to odpowiedziałem: „że lepiej już na całą rybę zapraszać, niżeli na samo kolano; i u nas dosyć téż jest smaku w kuprze tłustego kapłona, a przecie na kuper nie zapraszamy

się, tylko na kapłona.“ Powiedział: „że to już taki obyczaj.“ Byłemci tedy na owym bankiecie, na który znowu zapraszano takąż, jak i wczora, oracyą. Zaraz mi też przyniesiono tytuły carskie, żeby się ich nauczyć i wiedzieć, jak mówić, pijąc za zdrowie tak wielkiego monarchy, bo, Panie zachowaj, omylić się, albo którykolwiek tytuł przestąpić; wielka to zaraz wzgarda imienia carskiego i wszystka owa ochota byłaby za nic. Dano zatém jeść siła, ale źle i niesmaczno; ptastwo tylko i piecyste było grunt. Kiedy pili za zdrowie carskie, tom ja owe tytuły musiał wymieniać z karty, bo tych było z pół arkusza, a trudne bardzo i niezwyčajne; kiedy zaś pito za zdrowie króla naszego, to sam tylko stolnik umiał je na pamięć, a wszyscy inni z karty czytali, bo jak się w czém bynajmniej omylisz, to znowu wszystkie na nowo zaczynać trzeba, choćbyś już był u końca. Pili i za zdrowie hetmanów, wodzów i Czarnieckiego, bo bardzo byli wtenczas korni. Ja też chcąc nagrodzić ludzkość ludzkością, piłem za zdrowie Dołgorukiego, Chowańskiego, Szeremeta. Oni to sobie wzięli za urazę; nic mi prawda wtenczas nie mówili, ale zabrawszy później konfidencyą, wymawiali mi to: „tós nam uczynił na afront.“ Ja rzekłem: „sąto tacy hetmani, jako i nasi, których zdrowia i wy nie zapomnieliście.“ Odpowiedział stolnik: „że nie godni, aby nawet pies pił pomyje za ich zdrowie, bo ludzi marnie potracili.“ Bawili się tedy w Wiazmie tydzień, niżeli się wymundurowali. Potém udaliśmy się traktem ku granicy na Drohobusz, Smoleńsk. Tu odesłali nazad swoje konie, a ja musiałem się starać o podwody, bo tylko 4 mile za granicę swemi końmi wozy prowadzili, a ty panie przystaw staraj się, żeby było co zaprządź, bo taki zwyczaj; o byłoż mi to zrazu ciężko w owym spustoszonym kraju starać się o podwody do tak wielu wozów, aleć przecie Pan Bóg dopomógł. Poszliśmy traktem mińskim na Tułoczyn, Jabłoniec, Ojczyce, do Mikołajowczyc. Już też co dalej, to mi łacniej o podwody, ale zrazu jużem był począł żalować, żem się téj funkcji podjął. Posłowie moskiewscy bardzo się cieszyli, że im to mnie za przystawa dano, mówiąc: „Kakże Hospodar Boh poblahosławił: perwoj wodil nas stary Pas, teraz

budie nas wodit mołody Pasek.“ Dawniej bowiem zawsze ich wodził mój stryj, sędzia smoleński, i kommissarzem do nich bywał; już go tam w stolicy i dzieci prawie znały, i mają tam wszyscy jego słodkie wspomnienie. Nawet gdy im powiadałem o swoim nieszczęściu, że mię już był wziął Moskal w okazji z Dołgorukim, to mówili: „Byłbyś miał w stolicy wszelkie poszanowanie, a na twoję imię i zasługi narodowi naszemu, pewno wdzięcznie wyszedłbyś był z niewoli i bez okupu.“ Alem ja rzekł: „Dziękuję uniżenie.“ Szliśmy zrazu wielkimi pochodami, żeby z owych pustyń wymknąć się co prędzej. Skoro przyszedłem w zaludniony kraj, już mi wszystko szło łatwiej, o podwody nie trudno było i szukać ich nie potrzebowałem, bo tam ludzie wiedzą swój zwyczaj, miasta znoszą się z sobą, wiedząc o pośle jadącym, że to koniecznie trzeba podwody dawać, bo gdy ten stanie w mieście, to mu powinni jeść i pić dawać póty, póki nie wystawią podwód tyle, ile ich potrzeba, i każdy też natenczas stara się, ażeby gościa prędzej pozbyć. Zajeżdżali mi drogę mieszczanie z miast o kilka mil, pókim ich nie minął, nawet i z boków, choć z miast nie na trakcie położonych, choć tam w nich nie miałem woli być, o drugich zaś i nigdy nie słyszałem, a przyjechawszy, godzili się i prosili, żeby ich minąć i żeby wolni byli od podwód; ten przywiózł zł. 300, ten 200, ten 100, według dostatku i ubóstwa. Zastałem więc wojewodę w Kajdanowie, lubo się ze mną tak pożegnał, że się nie spodziewał, żebym z za Dniepru tak prędko powrócił, i dał mi był doskonałą we wszystkiém informacją i dobrą expedycją, położywszy w listach pośredniejszą, niżeli była, datę, a to z pewnych względów. Sam też nie miał woli tak długo bawić w tém miejscu, ale stanąwszy w dobrém miejscu, od dnia do dnia nie chciało mu się stamtąd wychodzić, ażeby był wojsko odżywił i podskrobał spiżarni panom związkowym litewskim, gdyż taka była myśl i hetmana litewskiego Sapiehy. Posłałem tedy przodem do wojewody z zapytaniem: „jeżeli się każe posłom sobie prezentować, czyli też minąć,“ o co i sami posłowie prosili, żeby się mogli widzieć z Czarnieckim. Rozkazał zatem, żeby nie mijać. Tam tedy oddawali mu posłowie wizytę, wjeżdżali na saniach, leżąc w po-

ścieli jako na łożku, bo u nich jest zwyczaj taki, że sani nie wyscielają do siedzenia tak, jak u nas, i nie siedzi na nich, ale leży w piernatach jak długi, jeno mu brodę widać; tak i ubożsi czynią, bo rozesałwszy lada gunkę, to sobie leży a pojeżdża, byle tylko modę swoją zachować. Po audyencyi prosił ich wojewoda na obozowy obiad. Byli więc na nim i tęgo zapijali, chwając sobie, że smaczno i dobrze jedli. Aż ja mówię: „To widzicie, że to mój hetman nie zapraszał was na kolano jako wy mnie, a przecie mieliście się dobrze i chwaliście sobie.“

Gorzałczyśko u Moskali im bardziej śmierdzi, wтім większej jest cenie. Ową prostuchę brzydką, którą źle nie tylko powąchać a dopiero pić, piją oni z takim gustem, jako największy specyał, jeszcze sobie smakując i pokłaskiwając. Mają tam przy stolicy jedno miasto, w którym sami tylko mieszkają Anglicy. Ci, jako ludzie polityczni, mają wszelkie likwory dobre. Gdy więc Moskale w poselstwie jadą, to u nich nabiorą tych trunków, to jest różnych wódek, porteru (który oni zowią Romania), i różnych win, ale ich sami nie piją, tylko niemi inszych częstują. Tak i ten pan stolnik czynił; zawsze sobie z inszej flaszki nalewał wódki, a mnie też z innej. Rozumiałem ja zrazu, że on pije lepszą, nie mówiłem nic, tylko pomyślałem: o jakie to grubijaństwo! Gdy już też do konfidencyi ze mną byli przyszli, trafiło się, iż pewnego czasu pan stolnik nalał sobie i wypił; bierze z pośrodku inną flaszkę i nalewa dla mnie, a ja tymczasem porwałem za owę, z której on sam pił; ten skoczy do mnie i chce mi wydierać, a ja też tymczasem pochylę do gęby, aż tu owa śmierdziucha brzydka. Dopiero rzeknę: „Rozumiałemci, że sam lepszą pijesz, ale teraz mam cię za polityka, kiedy mi lepszej, niżeli sobie, nalewasz.“ Wstydzil się bardzo, że go w tém poszlakowano, ale też już od tego czasu nie wystrzegal się, lubo się przedtém wstydzil, że taką prostuchę pił, bo już lada kiedy to zawołał na chłopca: „Mitiuszka, dawaj winka hossudarskiego!“ i łyk czarkę jedną i drugą, aż się pomusnął po piersiach, a to przysmak taki, że koza wrzeszczałaby, gdyby jej gwałtem w gardło lał.

Potém tedy, jakeśmy się z wojskiem rozeszli, szedłem hetmańskimi majątnościami, ale mając to zalecone od wojewody, żeby się w nich nic nie naprzykrzać, wszędzie opowiedziałem się tylko administratorom, iż czynię ten respekt, że mijam; to po staremu przysłano trunków, zwierzyn i t. d. Przyszedłem do Chorostowy, potem do Nowogródka. Wchodząc, markotno mi było, że to do mnie nie wysłali mieszczanie, wiedząc o posłach, a dalsze za niemi miasta wysyłały wcześniej i onych przejeżdżających do siebie inwitowały, a którzyto mi powiedzieli, że nikt dwom panom służyć nie może, i że mają też teraz swoich panów, którym się wysługują, bo stał tam litewski półk. Posłałem tedy do nich przodem, żeby było koni półtorasta do wozów poselskich i prowiant. Oni powiedzieli, „że z tego nic nie będzie, bo my tu mamy kogo prowiantować,“ i po staremu nie wysłali nikogo; nie tuszyli bowiem, żebym się odważył natrzeć na miasto, gdzie stoi kupa konfederatów. Ja jednak rzekę do posłów: „Panowie, kaźcież przy mnie stanąć i swoim ludziom, bo to tu chodzi o wzgardę i mego króla i waszego cara, jeżeliby nas tu niewdzięcznością nakarmiono.“ Posłowie na to: „bardzo dobrze.“ Nie tylko tedy ludziom kazali, ale i sami powsiadali na konie. Uszykowałem ich tedy tak: Semenów 40 i moję czeladź wprzód; strzelców moskiewskich, co od wozów, 15; po obudwu skrzydłach piechotę z długą strzelbą, a Moskali konnych dopiero za nami; sam jechałem przed tymi wszystkimi, a strzelcy piechotni blisko mnie. Było nas przecie 100 koni z okładem. Wchodzę w miasto, nie masz żadnej przeszkody. Jużem w pół ulicy, aż dopiero bieży dwóch towarzyszków, a czeladzi kilkadziesiąt z bandoletami. Stanęli tedy i nic nie rzekli; my też ich pominęli. A potem za nimi przybywa po trzech, czterech ze strzelbą. Oni podejmowali czapki, my też. Stoją oni, rozumiejąc, że to ja tylko przechodzę przez miasto. Aż ja dopiero upodobawszy sobie miejsce takie, gdzie były domy budowane porządnie, stanąłem, i pokazuję posłom: „Mości panowie, tu gospoda waszmościów,“ a sam po téj ręce od rynku stanąłem. Oni obaczywszy, że z koni zsiadamy, chyżo pśpieszywszy, przypadli, i jeden z nich mówi: „A waśc to

następujesz na nasze kwatery?" Ja odpowiadam: „A wasciowie następujecie na powagę majestatów dwóch monarchów, polskiego i moskiewskiego, kiedy przeciw prawu narodów zabraniecie mieszczanom czynić zadosyć prawu i zwyczajowi.“ Ów mówi: „a tu cała chorągiew stoi w tej ulicy, i te gospody są towarzyskie, gdzie waszmość stawacie.“ Pytam go znowu: „jeżeli to ludzie pod tą chorągwią?“ Powiada: „pewno, że ludzie.“ Ja rzekłem: „choćby też byli i diabli, to ja się ich nie boję. A zresztą, zaniechajcie mię, bo ja z wami sprawy nie mam, tylko z miastem królewskim, któremu w tém przysłużycie się, że burmistrzom szyje pospadają za tę wzdardę i nieposłuszeństwo królowi panu.“ Już się ich naschodziło z 300 lub więcej. „Nie będziesz tu stał.“ Odpowiadam: „już stoję.“ „Nie osiedzisz się tu.“ Rzekę: „pewno tu osiadać nie myślę, bo mam pilną drogę. Ale też, bądźcie pewni, że stąd niepójde, póki mi się zadosyć niestanie, a krótko mówiąc, idźcie sobie, bo każę cynglów ruszyć.“ A Semenowie i Moskale trzymają muszkiety jak na widelkach, i mówię: namysł się jeno, jeżeli niemasz tego rozumu, albo każ się komu nauczyć, co to jest za powaga, którą na sobie każdy poseł nosi, że to jest osoba publiczna, że to dwóch majestatów i dwóch monarchów godność w swojej reprezentuje osobie tego, od kogo jedzie.“ Oni też nagadawszy się do woli, poszli. Kazałem więc konie powyganiać na ulicę, a swoje powprowadzać; wozy także nadeszły; stanęliśmy, aż tu jaki taki łap za kulbaki, za rządziki, za strzelbę z kolków. Posłałem do burmistrza z oświadczeniem, że jeżeli nie brał mieczem po szyi, to go pewnie teraz nie minie, i mandat najdalej tygodnia będzie miał z całym miastem, jeżeli mi nie będzie wygoda z koźmi, także i podwody. Aż tu nie wyszło pół godziny, idą burmistrze i kłaniają się. Pytam ich, przy którym prezydencya. Wskaże jeden, że on sam jest. Wyciąłem go obuchem, aż padł; kazałem go potem związać i wziąć pod wartę. „Pojedziesz ze mną do Warszawy,“ rzekłem, „a wy idźcie, starajcie się, żeby mi była wygoda i na jutro podwody, bo ja stąd nie wyjdę, póki tego nie będzie.“ Tu odzywają się Moskale: „Oj mileńki przystaw, umieju korolewskie i czarskie zderzat wielicze-

stwo.“ Potem zaś idzie poruczników dwóch, którzy pogadawszy sobie, mówią: „Jużże się waść nie turbujcie, my każemy miastu, żeby dało prowiant, ale podwoły nie mogą być stąd.“ Tymczasem kazałem zaraz przy nich zawołać podwoźników, którzy dopiero dwie mile odprowadzili wozy, i mówię im: „Nu dziatki, za to, że prawu i zwyczajowi dosyć czyniąc, szliście ochotnie, dla tego mając wzgląd, żeście z ubożego miasta, czynię wam w tém folgę, że was niedaleko ciągnę, ale przyszedłszy tu do wielkiego miasta, już tu znajdę w potrzebach moich wygodę, a was wolnymi czynię; powracajcie sobie z Panem Bogiem do domów.“ Skoczą do nóg moich podwoźnicy, poczną dziękować, a potem do koni biegną. Tu mieszczanie dowiedziawszy się o tém, proszą: „zmiłuj się, zgodzimy się na pieniądze, a tych ludzi pociągnij z sobą jeszcze dalej;“ dają 200, dają 300; nic; dają nareszcie i 400 zł., a tu podwoźnicy, kto tylko może konia dopaść, w nogi z miasta; drugi i szlij odbieżeć. Dopiero ja rzekłem do jednego z czeladzi, jakbym niewiedział, że ich już niemasz: „idź, niech się trochę zatrzymają ci podwoźnicy.“ Ten powiada: „już ich nie masz, tylko jeden, co mu koń zachorował.“ Teraz mieszczanie w strach i proszą, żeby ich pogodzić. Jam tego nie chciałem uczynić. Proszą mię także porucznicy, żebym kazał burmistrza wypuścić. Deklarowałem: „że go wtenczas dopiero wypuszczę, kiedy zaspokojony będę zupełnie tak w prowiancie, jak i w podwozach; jeżeli mi zaś w czémkolwiek nie będzie wygoda, pewno pojedzie ze mną do Warszawy i weźmie kajdanki na nogi.“ Dają mi racye; ja też daję. Mówią dalej: że tu podwód tak wiele być nie może; a ja odpowiadam: że trzeba, aby były i być muszą. Powiadają sposób, to jest, żebym posłał do poblizszych miast, aby się też do tego przyłożyły. Ja mówię: „dajecie mi radę, o którą nie proszę.“ Rozgniewali się, mówiąc: „Ej, toś waść nie użyty!“ Ja też im na to: „Ej, toś waść nie zbyty.“ Poszli więc i zakazali, żeby się mieszczanie nie ważyli dawać tak prowiantów, jako i podwód. Przyszedł Sawasz i powiedział to, oraz i to: „chcą waćpana wygnać z miasta, biorąc ten kłopot na siebie.“ Czy to jego była życzliwość, czyli też mię tak probując, kazali to powiedzieć, ja tém

jednak nie dałem się ustraszyć, lecz kazałem natychmiast owę ulicę zatarasować wozami tak jak szeroka, to jest wóz podle woza, i od rynku i od przyjazdu, że już nawet i konny przejechać nie mógł. O prowiant nie proszę, bo stoję w ulicy najzamożniejszej, w której wszystko być musi. Tymczasem wołam kowala, których było kilku w tej ulicy, i kazałem burmistrzowi włożyć dwoje kajdan na nogi. Semenowie stoją w paradzie, Moskale wszyscy uzbrojeni i bez rusznicy żaden nie stąpi; niechże mię teraz wyganiają. Piwa jest dostatek po gospodach, moi ludzie dobrze szynkują. Pytam gospodarza: „Jest tu miód gdzie blisko?“ On, dla swojej folgi, żeby mu piwa mniej wyszło, rzekł: „jest mości panie, tylko proszę mię nie wydawać, tam a tam.“ Stało bojarów sześciu w tamtej gospodzie; kazałem, żeby sobie uprosili cicho garniec miodu za pieniądze; tak się też stało; wypiwszy ten, poszła szynkarka do piwnicy po drugi, a moich też kilku za nią i dali znać, że jest miodu 6 beczek. Kazałem więc nabrać i mówię do nich: „pijcie, a podpiwszy zapalcie ogień na ulicach.“ Takeśmy całą noc przepędzili. Zaraz nazajutrz nawieziono do gumien, które były za naszymi stajniami, zboża w snopach i siana co potrzeba. Kiedy widzą, że to mię nie ustraszą; widzą, że o nic nie proszę i mam wszystkiego dosyć, bo nabito wieprzów karmnych, gęsi i kur; aż znowu idą wczorajsi porucznicy i kilku towarzyszów, między którymi mój znajomy, pan Tryzna. Nuż w targ, powiadając, że tu mieszczańie chcą przyjść, ale się boją, prosimy więc za nimi. Ja odpowiadam: „Samiście ich na tę hardość wsadzili, teraz znowu za nimi prosicie. Niech to tłumaczy, kto rozum ma. Ja lichy człowiek, jako wczorajszy tuman o wyganianiu zrozumiałem, tak i teraz ich okoliczności przezieram potroszę. Jakom tedy wczoraj powiedział, tak mówię i teraz: ja z miastem mam sprawę, nie z żołnierzami. Tę zniewagę uczynić chcecie nie mnie, ale dwom monarchom, a Pan Bóg wie, jeżeli jeno nie sobie, bo ja się tu wam wygnać nie dam, takićj bądźcie nadziei, choćby miał paść jeden na drugim, a nie wyjadę, póki mi się nie stanie zadosyć. Jeżeli mi zaś będzie ciężko, nie masz sto mil do Kajdanowa, a już też podobno i bliżej musiało się wojsko przymknąć, obaczę na-

tenczas komu tu będzie ciasno.“ Nadeszli mieszczanie; żona też owego burmistrza okowanego już tu była od poranku, przyszedłszy z dziećmi, z wódkami i trzecim płaczem. Dopieroż mieszczanie zaczęła traktować i obiecują koni 40. Odpowiadam: „nawet i 60 być nie może.“ Musieli tedy dać 130 koni, które aż od żołnierzy wynajęli, bo im nie dostawało. Że więc nie wygotowali się, a już był wieczór blisko, nie ruszyłem się ku nocy. Nuż znowu pić, czyniąc to na złość owym hardym ludziom, bo ta fantazyja już się ze mną urodziła, że zawsze przykrość za przykrość, choćby się nadsadzić, dobrocią zaś dobroć odplacać, choćby z swoją szkodą. Tak tedy, dla owych żołnierzy instancyi, już natenczas pokorniejszej niż wczoraj, a osobliwie dla Tryzny, towarzysza, któryto był mój znajomek i człowiek bardzo grzeczny, a do tego i krewny, kazałem burmistrza uwolnić z owych okowin, mówiąc mu: „znajże na drugi raz, jak sobie postąpić w podobnych okazyach; że cię to i żołnierz, co u ciebie stoi, nie zastąpi w tym terminie, a choćby zasłonił, na prostaka przystawa trafiwszy, toby tój zasłony było tylko na czas, a potemby się na tobie zemszczono, bo dłużej klasztoru, niżeli przeora.“ Zapijaliśmy tedy, a Litwinów się też naszło. Ów pan Tryzna, kogo rozumiał z swoich, pozapraszał, tak, że przyszło, rozochociwszy się, i baranie flaki rozdrażnić. Posel był wesół i kazał dawać wina z wozów, wprzód podpiwszy miodem. Ja nie mieszałem, ale Litwini mieszawszy, nie jeden zaś z nich pozbył pasa, czapki, szabli i pieniędzy z mieszkciem. Nazajutrz rano sprowadzono konie do podwód, nasze też konie wytchnęły i podkarmily się dosyć dobrze, bo zrazu i z folwarków nabrano co potrzeba, a potem i owsów namiesiono. Kazałem się gotować do ruszenia. Przyszli tedy owi wczorajsi panowie doboszańci i jaki taki do siebie prosi. Pułkownik przysłał, aby mu ten honor dać przynajmniej na godzinę, a ja już obiecałem się był Tryznie i mówię zatem do niego: „Panie bracie, mamli bytnością moją u ciebie, u innych podpadać naganie grubiaństwa, muszę już u ciebie nie być.“ Prosił bardzo o słowo, lecz nie chciałem i nie byłem, na odjezdnem jednak znowuśmy po troszę podpiłi na fantazyją, gdzie mi zarzucal, skacząc i płacząc,

niedotrzymanie słowa, mówiąc, że to jednak trzeba było dotrzymać. Otrzymawszy resztę prowiantów, pożegnałem się z kompanią i ruszyłem ku Mossom, za miasto. Wyjechawszy, wróciłem czeladnika do burmistrza, opowiadając, żeby prowiant dostateczny dali swoim podwodnikom, gdyż nie odprawię ich aż z Warszawy, albo najmniej od Narwi. Zasmucili się mieszczanie bardzo, a osobliwie żołnierze, od których ponajmowali konie. We trzy mile dogнали mię dwaj mieszczanie, i nuż w prośby. „Nie uczynię,” rzekłem; „jak wy ze mną, tak ja z wami postępuję; na noclegu nie może być.“ Pobiegli tedy oni, gdzie stał marszałek związkowy, Żyromski, starosta opiski i czeczerski, (byłto człowiek grzeczny, poważny, urody bardzo pięknej, wzrostu średniego, młody, w lat niedoszłych czterdziestu, broda do pasa, czerniusieńka, podobien bardziej do poważnego senatora, niż do żołnierza), żeby im w tém dał radę i pomoc. Odpowiedział im: „Pomocy wam nie mogę dać, bo to nie z myślą igrać; wiem, że tam są ludzie z dobrą fantazyą, i nie byłoby bez rozlania krwi; a gdyby do tego przyszło, byłaby to sprawa gardłowa. Daję wam jednak radę taką: jeżeli macie dobry worek, biegajcież, a ten będzie między wami pośrednikiem.“ Powiedzieli: „mamy złotych 100.“ Odpowiedział: „na to tam i nie wejrzą.“ Przychodzą więc znowu do mnie i ponawiają swe prośby i targ. Stanęło na złot. 600, ale ich nie mieli. Dają mi kartę, że do Warszawy pieniądze odwiozą. Ja mówię: „nie może być.“ Oni mówią: „cóż mamy z tém czynić!“ Odpowiadam: „mnie nic do tego.“ Jednakże, natrwożwszy ich nie mało, puściłem podwodników z pierwszej stacyi do domu. Po kilku dniach podróży przybyłem do rezydencyi hetmana w. ks. litewskiego i mówiłem mu, żeby innego przystawa posłom wyznaczył, ale on tego uczynić nie chciał i rzekł: „List pana wojewody ruskiego tak wiele mi dobrego o waszności deklarował, że nietylkobym miał odmieniać, ale owszem przy téj funkeji potwierdzam go. Bo i ja mam waść za swego, gdyż i u nas, tu w Litwie, są panowie Paskowie, i podobno téż to był stryj twój horodniczy smoleński, który ich przedtém wodził, i ze mną ich dwóch zostaje tegoż tytułu, a podobno i to krewni twoi.

A druga, wszak już i Narew nie daleko, na cóżby się to więc przydało inszego dawać przystawa. Jakoś ich tedy prowadził przez świat i jako mi się dało słyszeć, z utrzymaniem swego i wodza honoru, jużże ich doprowadzi i do boku króla jnci.“ Był mi potem rad, bez obiadu nie puścił, rozmawiał, pił za zdrowie pana wojewody i przypominał w przeszłym roku otrzymane zwycięstwa. Pytał potem: „cóż tam za towarzysza u króla jnci był w podejrzeniu?“ Powiedziałem, że ja. Rzekł: „dla tego też pytam, bom słyszał, że tego nazwiska, ale masz tu na całą Litwę dobre imię za twoją fantazyą, jakoś tam stawał.“ Dopiero to pił i żołnierzom pić kazał za zdrowie, a potem z wielką mię wdzięcznością ekspedyował i oddał mi odpowiedź na list pana wojewody ruskiego w ten sens:

„Jaśnie wielmożny mości panie wojewodo ziem ruskich! Mój wiece mości panie i bracie!

„Że jest w respekcie u jw. pana urzędu mego hetmańskiego prerogatywa, sprawuje to wrodzony, jako i we wszystkich innych akcyach jw. pana, rozum i łaska, za co uniżenie jw. panu dziękuję, oraz moje zawzięte odnawiam postanowienie, że wszelki jw. pana krok w takim jest u mnie poważaniu, że cokolwiek jw. panu podoba się, mnie nie może się nie podobać. Jmć pana Paska, jw. pana tak poważnego znaku towarzysza, za przystawa przydanego, nie tylko żebym miał odmieniać, ale i owszem stósuję się w tém do woli jw. pana, oraz przy tej włożonej od jw. pana na osobę jego funkcyi potwierdzam, i to deklaruję, że lepszego nie mogę dać przystawa, któryby tak zřęcznie swoją i wodza swego umiał utrzymać sławę. Wiadoma mi jest jego skromność przy prowadzeniu tych ludzi, wiadome z ochraniania miast i miasteczek nieuprzykrzone postępowanie, wiadoma oraz i należyta tam, gdzie ją pokazać trzeba, wspaniałomyślność. Co zaś do osierocenia krajów białoruskich z wojska, każdy przyznać musi sprawiedliwy żal jw. pana, który i moje nie mniej przeszywa serce, ale cóż z tém czynić, kiedy ojczyzna na taką przychodzi nieszczęśliwość; ja z prywatną moją assistencyą, choćbym miał, pewnie nie wydołam; przyznawam i to, iż nazbyt długo i z wielkiem niebezpieczeństwem, z tak małą garstką

ludzi, dawałeś jw. pan tamtym krajom protekcyą. Teraz nie nasza wina; kto jest sprawcą złego, ten Bogu odda rachunek. Gdyby nam przynajmniej pozwolił nieprzyjacieli czasu, żebyśmy zjechawszy się na sejm, mogli o tém radzić, żeby jak najprędzej tamtym krajom obmyślić zasłonę, toby było jakokolwiek, ale o tém wątpię. Jw. pana, z wojskiem przechodzącego, przyjmować będą z prośbą moją, abys jw. pan do domu mego na krótki czas raczył zbroczyć, jeżeli pierwój zabiegną jw. panu drogę, abym mógł cokolwiek z jw. panem pomówić o dalszej obronie osierconej ojczyzny, w czém nie powątpiewając, siebie natenczas jw. pana zwykłej zalecam lasce, jako cale życzliwy jw. pana brat i powolny sługa

Paweł Sapicha, wojewoda wileński, hetman w. ks. litewskiego.

Tę odebrawszy expedycyą, poszedłem ku Narwi, i dopiero na ostatku dni Bachusowych stanąłem w Bereniczu. Wieś to jest, ale nam też nie trzeba było miasta, kiedy na niczém nie schodziło, bo mieliśmy w wozach wszystko od trunków dobrych, mięs, zwierzyn i t. d. Takeśmy sobie byli radzi przy ruskich duchach, i po staremu, choć przy krótkiej znajomości, i my na kuliki jeździli i kulikan-tów u siebie mieliśmy, że było z kim i w taniec obrócić.

W wstępną środę ruszyłem się ku Narwi. Posłowie mieli ryb siła, owój wyzyny, billugów też okrutne połcie, a oprócz tego i świeżych tam nie było skąpo, bo ich zewsząd zwożono, ponieważ gdzieś posłał dla podwód, to przywieźli i ryb. Przyszedszy do Narwy, już dalej litewskich podwód ciągnąć nie było można, bo takie prawo, że choćby były o milę dopiero wzięte, to zaraz o inne trzeba się było starać. Poszedłem tedy przez Narew, przeszedlszy na Bielsko, Siemiatycze, Drohicz, przez Bug do Liwa, aż do Warszawy. Z ostatniego jednak noclegu pojechałem przodem do króla, oznajmując ó posłach, a pytając się o dalszą ich dyspozycyą, jako ich i gdzie przypro-wadzić. Obaczywszy mię król, przyjął wdzięcznie, i poznał mię zaraz i wiedział już przez pocztę od wojewody, że ich prowadzę. Już wtenczas król miał iść na sessyą, kiedym wszedł. Było w pokoju senatorów i posłów siła,

moich znajomych i nieznanym także. Obaczywszy mnie król, rzekł: „a witaj panie konfederacie, ale mniemany.“ Ukłoniwszy się, odpowiedziałem: „Już teraz ujdę takiego mniemania, kiedy jadę od Smoleńska, nie od Kielc.“ Król rzekł: „ba, teraz to tém bardziej może ci kto zadać, żeś tam od Moskali spraktykowany.“ Ja odpowiadam: Niechże zdrów zadaje, a wasza król. mość, pan mój miłościwy, znowu mi to zapłacisz.“ Rozśmiał się król i ścisnął mię za głowę, mówiąc: „Już tego nigdy nie będziemy rozumienia, choćby i anioł powiadał;“ a potem rzekł do senatorów: „muszę się trochę wrócić; możecie waszmość tym czasem zasiadać.“ Mnie zaś kazał iść za sobą. Poszedł do pokoju sypialnego; dopiero mię pytał o wszystko. „Z jakim dziełem jadą posłowie?“ Powiedziałem: „chęć pokoju.“ Pytał potem: „jeżeli miał od Litwinów związkowych jakiej przeszkody w prowadzeniu.“ Powiedziałem okazyją nowogrodzką. Rzecz król: „pisał mi też o tém pan wojewoda, ale dziękuję za dobrą fantazyą, której widzę umiesz zażyć w przeciwności i pomyślności, z zachowaniem naszej powagi.“ Potem zawoławszy podkomorzego koronnego, rzecze: „rozmówże się waść z Szelingiem, gdzieby tamtych hossudarów postawić,“ a sam z godzinę ze mną pogadawszy, wstał i poszedł do senatu. Wyszedszy z pokoju, aż mię opadli moi rawscy i łęczyccy posłowie, pytając: „A zkądże to z królem taka konfidencya? Cóż to, jakoż to?“ Powiedziałem. Dopiero powinszowania. Wyszedłem z izby senatorskiej, byłem u Szelinga, jadłem z nim, posłowie też tymczasem przyjechali na Pragę. Że więc gospody były pozastępowane, nie mogli mieć stancyi. Wszedłem do senatu i stanąłem w oczach królowi, który zawoławszy mię, spytał: „a cóż tam?“ Powiadam, „że już przyjechali, ale gospody nie mogą mieć.“ Kazał tedy król Scypionowi iść ze mną, żeby kilku rugować z gospód, i tam na Pradze stanąć posłom do dalszej dyspozycyi. Tak się też stało. Nazajutrz posłano po nich karetę królewską i dali nam stancyą we dworku jednego Francuza, i takeśmy stali. Mnie zaś król na każdy dzień kazał bywać u siebie dla konferencyi i pieniędzy też na życie dawał. Nie skąpo mi było pieniędzy, bo i z Danii miałem i od króla nieda-

wno wziąłem 500 czerw. złotych i posłów prowadząc wziąłem 17,000; a że to łatwo przyszło, nie bardzo się też ich i szanowało. Napawaliśmy się często z dworskimi, jako to przy Warszawie prędko dostanie kompanii i znajomości. Mazeppa już też był króla przeprosił o owe szalbierstwo grodzieńskie i znowu przyjechał do dworu; chodziliśmy bok w bok, jeden wedle drugiego, bo lubo to jedno oskarżenie nie uczyniło mi nic złego i owszem nabawiło mię chleba i dobrej sławy, czego i sami związkowi zazdrościli, drudzy też winszowali, ale przecie na niego mrużno mi bywało, a zwłaszcza podpilemu, bo wtenczas, jak to zwyczajnie, najbardziej na oczy leżą wszystkie urazy. Jednego czasu przyszedłem przed pokój, przed ten ostatni, gdzie król był; zastałem tam Mazeppę; nie było tylko kilku dworskich; przyszedłem wtedy dobrze podpiły i mówię do niego: „czołem panie assawuło!“ On też zaraz, jako to była sztuka napuszysta, odpowie: „czołem panie kapral!“ (z téj racyi, że mię to Niemcy wartowali w Grodnie), a ja nie wiele myśląc, wyciąłem go pięścią w gębę, a potem odskoczyłem zaraz; on się porwał za rękojeść, ja też także; dworscy skoczyli i wołają: „stój, stój! bo król tu za drzwiami.“ Żaden dworski przy nim nie stanął, bo go też nie bardzo nawidzili, że to był trochę szalbierz, a do tego kozak nie dawno nobilitowany. Moję też widzieli słuszną do niego urazę i respektowali mię, bom się już był z nimi pokumał i nie kurczyłem się też dla nich w każdym posiedzeniu. Uczynił się tedy rozruch, wszedł jeden do pokoju króla i mówi: „Mości królu! pan Pasek dał w gębę Mazeppie.“ A król go też zaraz w gębę, mówiąc: „nie prawda czego, kiedy cię nie pytają.“ Biskup się zdumiał, widząc, że to kryminal wielki, i spodziewał się, że mnie spotka jaka wielka kara, więc, przystąpiwszy do mnie, rzekł: „nie znam waści, ale dla Boga życzę, uchodź waść, bo to kryminal wielki, w pokoju królewskim dworzaninowi króla dać w gębę.“ Ja odpowiadam: „Waćpan nie wiesz, co mi ten zdrajca winien.“ Znowu biskup: „jakożkolwiek bądź, ale na tém miejscu nie godzi się porywać; uchodź waść, póki jest czas, i póki się król nie dowie.“ Ja mówię: „nie pójdę.“ Mazeppa poszedł z pokoju ledwie nie z płaczem,

bo nie tak go bolało uderzenie, jak to, że się za nim, jako za kolegą, dworscy nie ujeli. Powiadam tedy biskupowi powód urazy, aż tu wyszedł podkomorzy koronny, dając znać biskupowi, że już może wniknąć do króla, a idąc pogroził mi palcem po nosie; jam się domyślił, że to tam już wiedzą. Weszli oni do króla, a ja też poszedłem do gospody. Nazajutrz, byłto dzień sobotni, nie poszedłem do zamku; bałem się przecie, a zwłaszcza po trzeźwości inna już w człowieku uwaga. Pytam się zdaleka, jeżeli się do króla nie doniosło; powiadają mi, że król wie o tém, ale się nie gniewa i owszem uderzył po gębie pazia, co mu o tém doniósł, mówiąc: „naże też i ty, kiedy ci się tam nie dostało; nie powiadaj mi lada czego.“ W niedzielę poszedłem do podkomorzego i pytam, jeżeli się tam królowi mogę pokazać. Powiedział, że król o gniewie i nie myśli, i owszem mówił: „nie dziwuję mu się, bo to potwarz bardziej boli, niżeli rana; jeszcze dobrze, że się gdzie w drodze nie spotkali. Dobrze też, że Mazeppa tém tego zbył, niech na drugi raz wie, jako to źle fałszywe udawać rzeczy.“ Ja wszedłem właśnie, kiedy królestwo jedli. Obaczywszy mię król, rzekł: „daj go Bogu, spyznieliście coś; już was czwarty dzień nie widzę; trzeba was będzie wraz z panami posłami cienko chować, to wy się często będziecie prezentowali w pokoju.“ Odpowiadam: „i tak już miłościwy królu narzekają posłowie, choć mają dosyć ludzkości i traktamentu waszój król. mości; gdyby ich zaś miano subtelniej chować, nie osiedziałbym ci się tu z nimi.“ Potém w inszych materyach dyszkurował król z różnymi osobami. Ja byłem rad, że się na mnie i nie zamarszczył o owego Mazeppę. Stało posłów i żołnierzy siła. Wtém dano wety. A był tam niedźwiadek, inaczej w postaci niedźwiedziej człowiek, około lat 14 mający, którego Marcin Ogiński w Litwie, stawiając parkany, kazał osacznikom żywcem do sieci nagnać i złapać, z wielką jednakże strzelców szkodą, bo go niedźwiedzie srogo broniły, osobliwie jedna wielka niedźwiedzica najbardziej broniła, znać, że to była jego matka; tę skoro osacznicy położyli, zaraz też i chłopca złapano, który był właśnie taki, jak człowiek być powinien, nawet u rąk i nóg nie pazury niedźwiedzie, ale

człowiecze paznogie były; tém się on tylko od człowieka różnił, że był wszystek długimi, tak jak niedźwiedz, obrośły włosami, nawet i twarz cała, oczy mu się tylko świeciły, a o którym różni rozmaicie sądzili; jedni, że to był mieszaniec, drudzy zaś mówili, że to znać niedźwiedzica porwała gdzieś dziecko bardzo młode i wychowała, które, że jój pierś ssało, dla tego téż owo podobieństwo zwierzęcia przybrało. Nie miało to chłopczyśko ani mowy, ani obyczajów ludzkich, tylko zwierzęce. W tymżeto czasie podała mu królowa łupinę z gruszki, pocukrowawszy ją; on z wielką ochotą włożył to do gęby, a posmakowawszy, wyplunął na rękę i z ślinami cisnął królowej między oczy; król począł się śmiać okrutnie, królowa rzekła coś po francusku, a król jeszcze bardziej w śmiech. Ludwika, jak to była gniewliwa, poszła od stołu; król téż, na ową furę, kazał nam wszystkim dać wina, kazał pić, muzyce grać, damom dworu przyjść, i nuż się ochocić. Dopiero przy téj okazji kazał Mazepę zawołać, kazał się nam obłapić i przeprosić, mówiąc: „odpuście sobie z serca; boście już teraz obadwa sobie winni;“ i takci dopiero nastąpiła zgoda i siadaliśmy potem z sobą i pijali, aleć, po staremu, Mazepa z konfuzją wyszedł z Polski w drugim roku, a to z téj przyczyny: Na Wołyniu miał wioskę w sąsiedztwie z Falibowskim, któremu znęcił się był do domu, nie wiem po co; że zaś tam przebywał często, kiedy Falibowski wyjechał, dopowiedzieli o tém panu domownicy, ci osobliwie, co karty zapraszające nosili i byli świadomi owych konwersacyj. Pewnego czasu założył sobie Falibowski drogę jakąś daleką, pożegnał się z żoną i wyjechał. Stanął zaś na tym trakcie, którądy Mazepa przejeżdżał, aż tu bieży z kartą ten, co zawsze zwykł bywać posłańcem i sam o tém panu powiedział. Falibowski wziął kartę, przeczytał, jako się tam zapraszają na ochotę, obznajmując zarazem, że jegomość wyjechał w drogę i t. d. Oddawszy Falibowski tę kartę owemu tajemnemu sekretarzowi, rzekł: „jedź, a proś go o odpis, mówiąc, żeć jójmość prędko kazała.“ Tak uczynił, a pan go czekał, póki nie powrócił z odpowiedzią, bo dwie mili było biegać. Skoro go tam tedy wyexpedyowano, skoczył przodem i oddał panu kartę,

w której Mazeppa deklaruje swoją gotowość do usług i obiecuje się zaraz stawić. Jakoż po chwili jedzie Mazeppa; potkawszy się czoło z czołem, pyta pan Falibowski: „dokąd jedziesz?” Powiedział, że gdzieindziej. Falibowski: „proszę na wstę.” Wymawia się Mazeppa, że pilną ma drogę, i pyta: „waćpan też widzę gdzieś jedziesz?” Falibowski: „o, nie może być;” a wtém cap go za kark, pytając: „a to co za karta?” Mazeppa zdechł ze strachu; nuż prosić, że to pierwszy raz dopiero jedzie i że tam nigdy nie postął. Falibowski woła owego sekretarza i pyta: „chłopie, siła razy tam był w mojej niebytności?” Odpowiada: „ile włosów na mej głowie.” Dopiero Falibowski kazał Mazeppę wziąć, a jadąc, mówił do niego: „obieraj śmierć.” Prosił, żeby go nie zabijać i przyznał się do wszystkiego. Takci Falibowski nacudował się nad nim i namęczył, a rozebrawszy go do naga, przywiązał go na własnym jego koniu, zdiąwszy kulbakę, i obrócił twarzą do ogona, a tyłem do głowy, ręce opak związał, nogi koniowi pod brzuch podwiązał, a potem bachmata, dosyć z przyrodzenia bystrego, potężnie zhukano, kańczugami osieczono, a jeszcze mu nadgłówek ze łba zerwawszy, kilka razy nad nim strzelono. Tak tedy ów bachmat jako szalony skoczył ku domowi, dokąd trzeba było jechać gęstemi chróstami, przez głóg, leszczynę, gruszczynę i ciernie, a nie drogą przestronną, lecz ścieżkami, któredy koń drogę do domu pamiętał, bo często tamtędy chodził, jak to zwyczajnie na czaty, nie gościńcem, ale manowcami jeżdżą, i trzeba się tam bardzo często uchylać, choć cugle w rękę trzymając, mijać złe i gęste miejsca, a po staremu, czasem i po głowie gałąź dała i suknie rozdarła, a tu dopiero nagiemu, tyłem go głowy siedzącemu, na tak bystrym i zhukanym koniu, który od strachu i bólu oślep jechał, gdzie go nogi niosły, ileż się tam nie dostało specyałów, dopóki owych szerokich chróstów nie przejechał, snadnie domyślić się można, a do tego miał i assistencyą z dwóch, czy trzech ludzi, aby go nie puszczono i żeby się kto nad nim nie zlitował. Przypadłszy tedy przed swe wrota ledwie żyw, woła stróża; stróż poznał głos i otwiera, lecz obaczywszy straszydło, co tchu zamknął i uciekł. Wywołał wszystkich ze dworu; ci za-

glądają drzwiami i żegnają się; on się zwierza, że jest ich pan prawdziwy; oni nie wierzą; gdy już jednak mało co rzec mógł, będąc zbity i zziębły, puścili go. Falibowski zaś przyjechawszy do żony, wiedział już wszystkie sposoby; zakolatał więc w to okno, którędy Mazeppa wchodził; otworzono i przyjęto jako wdzięcznego gościa; ale co za to ucierpiała, tego nie godzi się tu opisywać. Mazeppa ledwie też nie zdechł, a wysmarowawszy się należycie, z samego wstydu wyjechał z Polski. Tak tedy dwóch znacznych dworzaninów królewskich namieniwszy, kozak uciekł z Polski, niedźwiedź zaś nie wiem w co się obrócił, czy z niego był człowiek lub nie był, to tylko wiem, że go było oddano na naukę do Francuzów i począł się już był mowy dobrze uczyć.

Wracam się teraz do materji przedsięwziętej. Sprawowałem ja przyzwoicie mój urząd, czego mi winszowali bracia moi, którzy natenczas byli w Warszawie. Agitowała się materja zapłaty wojsku, oraz obrona granic. Bywałem u króla często. Ta jedna tylko była zawada, że skarb był bardzo spustoszał i wakans też nie trafił się, a ja naturalnie nie miałem ambicyi i małą rzeczą kontentowałem się. Prosiłem się potem, żebym mógł do domu odjechać na święta wielkanocne, mił 12 od Warszawy, powiadając, że obiecał ślubem uroczystym, za morzem będąc, chwałę Bogu oddać za dobrodziejswa w tamtych okazjach. Pozwolił mi król, przydawszy Scypiona, chorążego, dworzanina swego pokojowego, na moje miejsce za przystawa posłom moskiewskim. Przyjechawszy do rodziców, było dosyć wesołości po owych, które słyszeli, lubo nierychło, grodzieńskich okazjach; nazjeżdżało się krewnych, sąsiadów i dobrych przyjaciół dosyć. Byliśmy sobie radzi. Odpocząwszy w domu, postanowiłem spełnić ślub; wybraliśmy się więc do Częstochowy tak, żeby na Boże Wniebowstąpienie tam stanąć. Matka jechała, ja szedłem pieszo, a konie za mną prowadzono, na których miałem nazad powracać. Gorąca były srogie. Nazad powracając, spadły śniegi i szkody poczyniły wielkie, bo żyta już natenczas kwitnęły. Śniegi upadły po kolana koniowi, kwiat powarzyły, sady i inne drzewa owocowe popsowały, bo leżały tydzień, i tak

nie było w tym roku żadnego albo mało co z żyta pożytku, i inne zboża znacznie nadweryżyły. Kara za grzech w tym roku, że i Pan Bóg i ludzie dużo chleba ojczyźnie ujęli, z czego nastąpiła potem wielka drogość zbóż i ścisk na ludzi. Spowiadałem się też w Częstochowie za tą bytnością i prosiłem rozgrzeszenia z uczynionej obietnicy ślubu (jakom wyżej wypisał) z pewną damą, który niedoszedł, a po prostu mówiąc, wyniknął z zakochania; rozgrzeszonoc mnie wprawdzie, ale pamiętam i długo pamiętać będę zadana pokutę i exortę, którą usłyszałem i dziesiątego nauczyłbym umiał, jak to źle jest wyrywać się z temi słówkami: ożenię się z tobą.

Powróciwszy z Częstochowy, przyjechałem do Warszawy, gdzie zastałem hałasy wielkie, bo zgody nie było, sejm chciano rwać, wojsko poczęło się pomykać pod Warszawę, deklarowawszy nikogo nie wypuszczać, aż dopiero po skończonym sejmie; posłuchy były na szlakach, i tak prawie, jak w oblężeniu, kończyli sejm, odłożywszy ostatek do kommissyi względem ujęcia wojska i obmyślenia mu zapłaty. Ja też przy dokończeniu sejmu starałem się, żeby mi przecie za moją pracę dano co ze skarbu gotowizną, ponieważ mi się nie dostało obiecanego wakansu, i nie miałem natenczas szczęścia do upatrzonego, lubo król mówił mi kilka razy: „upatrzcie sobie.“ Dawano mi urzędy, a ja widziałem, że mi chleba potrzeba było, gardząc tytułem, a sposobu do życia życząc sobie, i tak przez cały sejm nie przyszło mi poszczuć upatrzonego, którego przypadkiem prędzej upatrzysz, niżeli wtenczas, kiedy go umyślnie szukasz. Lubo o tém była mowa i sam król przypominał, mówiąc: „jestem twym dłużnikiem, i jakbyś mi za uchem wołał, kiedy cię zobaczę, choć mi jednak nic nie mówisz, bo wiem, że ci powinien;“ a na to szczęście nic się dobrego nie trafiło, w skarbie też pieniędzy niebyło, bo król Kazimierz, lubo był pan dobry, - ale nigdy nie miał szczęścia do pieniędzy, po prostu mówiąc, nie chciały go się trzymać. Stanęło więc na tém, że mi dali assygnacyą do skarbu litewskiego na 6,000 złotych, z przyczyny, że mi odbywał urząd księstwa litewskiego, bo Litwin powinien być przystawem, nie koronny, a może też bardziej

w tym celu, żeby mi oczy zamydlić i zbyć mię naprędce owę mniemaną zaspokojenia nadzieją, ponieważ i w tamtym skarbie toż się działo, co i w naszym, i sam Gąsiewski, podskarbi litewski i hetman polny, wtenczas téż dopiero z niewoli wyszedł, który był od Chowańskiego pojmany przed tém, póki my z Czarnieckim do Litwy nie przyszli; z brodą i z kudłami jeszcze i natenczas chodził, dla czego musiał być nie bogaty, wyszedłszy świeżo z więzienia. Udałem się więc do niego z ową assygnacją, na którą on spojrzawszy, rzekł: „a dla Boga, dyć król jmc wie, że ja przez te lata pieniędzy nie zbierał, i w skarbie są pustki. Darmo to waszeci tą intencją zaprzątniono, bo tu waść tymczasem nie wziąć nie możesz, chybaby tam jakoś po związku, ponieważ teraz choćby i było co dać, to niepodobna to uczynić; nie miej więc waść nadziei, niech waści król skąd inąd obmyśli.“ Poszedłem ja tedy do króla, powiadając mu to i oddając assygnację. Król rzecze: „niech się ja z nim obaczę, a będzie to inaczej.“ Tak się téż stało. Już podskarbi obiecał dać pieniądze, ale mi kazal jechać po nie do Wilna na kommissyą. Król téż do mnie rzekł: „po obietnicę, powiadają, trzeba konia rączego; życzymy, żebyście jechali zaraz na początek kommissyi, bo tam pan podskarbi ma zastać coś gotowych pieniędzy i obiecuje wam z tych zaraz wyliczyć, a powracajcie prędko, żebyście znowu tych hossudarów odprowadzili. My jednak czém lepszym nie zapomnimy was opatrzeć w szczęśliwszych czasach.“ Pożegnawszy więc króla, po skończonym sejmie pojechałem do domu, gdzie mało co odpocząwszy, wyjechałem do Wilna, dokąd przyjechawszy, zastałem rzeczy w odmęcie, bo zaraz od zaczęcia kommissyi, na którą wojskowych najeżdżało się siła, każda sessya, każde kolatanie, nie było bez wrzawy, tumultów i porywania się do szabel. O gospody bardzo było trudno przy owém wielkiem ludzi zgromadzeniu, musiałem tedy stanąć w domu pustym, nowozacętym, jeszcze nie skończonym, bo sam tylko zrab izby, bez drzwi, stał, i wartować się kazałem przy owych nocnych i dziennych kradzieżach i rozbojach, co mi było bardzo ciężko między ludźmi obcymi; ale i w tych pustkach nie byłem wolny od napastników, (o czem niżej).

Skoro nadeszły pieniądze z jakiegoś tam dochodu, zaraz mi dano assygnacyą do pisarza skarbowego, któremu ja pokazywałem assygnacyą, zaraz się zajął liczeniem pieniędzy, zawarłszy się ze mną w jednym bardzo ciemnym sklepiku, bo o jedném tylko okienku, na zamku, w tyle Ś. Kazimierza; liczyliśmy zatem jako ukradkiem prawie, a że mi dał jedną część w dobrej monecie, drugą zaś część w szelągach rygskich, co owo bywały cienkie a posrebrzane, niepodobna ich było zabrać jednemu wyrostkowi, który tylko sam był ze mną, gdyż inni musieli wartować w owych pustkach; dał mi tedy dwóch hajduków ze straży, którzy owe pieniądze na noszach do gospody zanieśli. Przychodzę do gospody, aż mi czeladź powiada, „że tu był towarzysz, który twierdził, iż to jego kwatera, i ma za urazę, że nie radząc się go, stanąłem tam, i już konie chciał wyganiać, ale drugi, co z nim przyszedł, odwiódł go od tego; obiecał on znowu tu przyjść, kazawszy sobie dać znać, jak waść powrócisz.“ Jenom tedy owych odprawił hajduków, aż ów idzie samo siedm, i gospodarz, inaczej dziedzic tych pustek, w których ja stałem, a wszyscy pijani. Pyta mię: „a ty za czyjém tu pozwoleniem i ordynansem stoisz?“ Odpowiem: „kto mi pozwolił żyć i chodzić.“ Rzekł: „ale to moja kwatera?“ Odpowiadam: „toś ty zły ogrodnik, kiedy kwaterze tej daleś ostem i pokrzywami zarósł.“ On znowu rzecze: „to jest gospoda moja.“ Odpowiadam: „nie chwalebny z ciebie gospodarz, kiedy nie masz w domu pieca, okien i drzwi.“ On: „a na cóżes tu stanął?“ Odpowiadam: „bom do tatarskiego rządu przyjechał, nie zaś do narodu, który powinien być polityczny, i w tém się postrzegający, żeby dla gościa wolne zostawiać gospody.“ Tu odzywa się mieszczanin, tych pustek pan: „Ej mości panie, każ mu waść konie wygnać na ulicę, bo jeszcze widzę przedrzwiewa z waści.“ Ów woła: „wyganiaj,“ a ja: „nie wyganiaj,“ (a działo się to w izbie między końmi); porwie się ów mieszczanin, gospodarz, odwiązywać konie, a mój czeladnik obuchem go w piersi, aż padł; nuż do szabel. Gdy się stał tumult, miałem wołoszyna kasztanowatego, nader bystrego; w tém zamieszaniu gdy skoczył z przecięcia jeden Litwin między konie, mój kasztanowaty jak go

tęż ciał nogami, padł i ten, a więc już dwaj leżą. Wytoczyła się ta sprawa w sposób appellacyi z izby między pokrzywy; tamto dopiero po sobie; mój wyrostek pilnował mi tyłu, dwóch zaś czeladzi tuż podle mnie. Jakoś tam wyrostka odemnie odsaczyli i ciał mię jeden z tyłu, ale przecie nie bardzo, i zaraz na stronę odskoczył; w tym także razie i pan gospodarz powalił się w pokrzywy; skoczyła do niego czeladź z szablami, ale mu się jeszcze nie wiele dostało, bo wstał i sunął do mnie prosto, ciąwszy mię z mocy; wytrzymałem, a potem odłożywszy, ciałem go przez puls: nic to; dalej po sobie; mój też czeladnik jęgo pacholka tak palnął w głowę, że padł. Jegomość znowu natarł na mnie, a ja go też znowu przez palce tak, że upuścił szablę i w nogi; mój wyrostek za nim; powalił się znowu w owych chwastach; nuż go wyrostek okładać, ażem zawołał: „stój!“ Reszta napastników poszła dróżką, a ja do izby do swoich koni. Ów obuchem uderzony już też był wylazł i uciekł, a ten od konia uderzony leżał we mdłości; rozumiałem, że już nie żywy, i kazałem go za nogi wywlec, aż ów stęknął; dopiero rzekną: „żyje, żyje;“ nuż go trzeźwić; obaczył się, wstał i poszedł, a owych też w pokrzywach pozabierano i poprowadzono, łając i grożąc. Myślę zatem, co tu czynić; zamknąć się, nie ma czém; aż tu godzina w noc idzie kupa ludzi z 50 albo 60. Czładnik mój woła: „nie przystępujcie, bo strzelę; czego potrzebujecie?“ Stanęli, a potem rzekli: „a o coście skurwysynowie pokalęczyli ludzi?“ Ja im odpowiadam: „kto guza szuka, snadno go znajdzie; nie my to kalęczyli, ale niewinność nasza zawojowała ich.“ Rzecze znowu: „noga was tu nie ujdzie, hultaje.“ Odpowiadam: „porachuj się, kto ma być hultajem nazwany, czy ten, kto kogo po nocy nachodzi, czy też ten, kto sobie spokojnie siedzi, nikomu nie dając okazji.“ Ów rzecze: „jakkolwiek bądź, po staremu, wy tu musicie krew rozlać, jakoście braci naszych rozlali.“ Odpowiadam: „jeżeliś po moję przyszedł głowę, podobnoś i swoję przyniósł; jeżeli moja poleże, i twojéj się zapewne dostanie; ustąpcieź, bo ruszymy cyngłów.“ Dopiero jeden jakiś uważny rzekł: „dajcie pokój; a mnie jednemu wolnoż tam przystąpić?“ Powiadam: „wolno.“ Przyszedł tedy i

pyta: „ktoś ty jest i po coś przyjechał do Wilna?“ Mnie nie godziło się powiedzieć, że przyjechał za assygnacją; nie godziło się powiedzieć, kom jest, żeby ująć kłopotu, gdyby tam który z nich umarł, ale wiedziałem, że Dąbrowski, pułkownik z wojska litewskiego, miał kilku siostrzeńców rodzonych na Podlasiu, którzy pod różnemi chorągwiemi w wojsku naszym służyli, i powiedziałem, „żem jest Żebrowski, przyjechałem do wuja mego Dąbrowskiego, stanąłem w pustkach, nie mogąc innej znaleźć gospody, a, po staremu, i tu od napaści nie jestem wolny.“ Rzekł mi: „a wszak czeladź twoja powiadała, kiedy ją pytano, że się Paskiem zowiesz.“ Odpowiadam: „tak jest, bo mam dwa nazwiska, Pasek i Żebrowski.“ Pyta: „a nasz pan kanclerz co ci jest?“ Powiedziałem: „że herbowny tylko, ale nie krewny, bo on jest Pasek Gosławski, a ja Pasek Żebrowski.“ (W takiej bowiem okazji już się i swego tytułu i krewności musiałem zaprzecć). Rzekł znowu: „a nie tyś bywał u pana pułkownika w Warszawie?“ Odpowiadam: „nie ja, ale rodzony mój, bom ja w Warszawie nie był na sejmie.“ Potem mówi: „to się tedy znajdziemy zawsze, kiedy potrzeba będzie.“ Odpowiedziałem, „że się i ja sprawię na każdym miejscu, ale i mnie także każdy sprawić się musi, kto mię rozbójniczym sposobem nachodzi, bom ja nikomu nic nie winien, anim okazji dał, spokojnie w tych pustkach stoję, nikomu za szeląg szkody nie robię; jutro pokażę, kto będzie karany.“ On rzekł: „wątpię, żebyś jutra dostawał, bo ten jeden nie wiem czy żyje do tego czasu.“ Powiedziałem: „gdyby byli i wszyscy na miejscu padli, tobym się tego nie lękał, bo mam prawo po sobie, że jest wolna obrona, i że napastnik sam się zabija.“ Powiedział: „dobra noc.“ Ja mu także: „dobra noc.“ I poszli. Mówiłem prawdą, że się nie boję, alem jednak inaczej myślał, bo strzeż Boże któremu umrzeć, luboby mię uwolniono, ale samo zatrudnienie, prawując się, inkwizycyę wywodząc, koszt łożąc, i t. d., dużo czasu by zabrało; rozmyślałem więc, jakby z tamtego miejsca umknąć, bo mię raz doświadczenie nauczyło, że lepiej z lasa, niżeli z tarasa. Przychodzi mi na pamięć owo moje kozieradzkie doświadczenie, gdzie żałowałem, że nie uchodził, mając czas, ufa-

jąc w niewinność, co lubo się dobrze skończyło, ale jednak mieszek bardzo na to stękał; ja też z Panem Bogiem począłem się układać, a to bardzo cicho. Kiedyśmy już byli gotowi, pobraliśmy konie w ręce i takeśmy je piechotą za sobą prowadzili owemi srogimi pokrzywami. Gdy zaś po spaleniu moskiewskiém piwniczyska po przedmieściach pozarastały były pokrzywami, a do tego noc była ciemna, to raz po raz w owe doły albo koń, albo czeladnik który, albo ja sam wpadł, tośmy się jednak ratowali, i nareszcie cichaczem dosięgliśmy pola, gdzie powsiadawszy na konie, już też świtało, gdyśmy wyszli z owych piwnic pustych, i nie pamiętam przez cały wiek mój, żebym miał tak wiele piwnic wizytować, jak przez tę jedną noc w Wilnie, a w żadnej nie było czém się posilić, choć nie jeden z nas słusznie się natrzęsnał. Jużbym był jechał prosto w moję drogę, ale mi Gąsiewski, hetnan i podskarki litewski, kazał być u siebie po odebraniu pieniędzy, że miał pisać do króla; stanąłem więc u jednego rzeźnika w szopie, gdzie bijał woły, których i natenczas kilka wisiało; konie najmniejszej rzeczy jeść nie chciały, tylko chrapały na ów smród surowizny. Poszedłem sam do miasta, przebrawszy się w kontusz, w którym mię nie widziano. Przyszedłem do brata, powiedziałem co się stało. Brat mi radził, żebym odjechał, i zaraz poszedł ze mną do hetmana, dla prędszej ekspedycyi. Wychodząc, spotkaliśmy się na schodach z owymi ludźmi, którzy spostrzegłszy, że mię nie masz w tamtéj gospodzie, a już też wiedzieli, ktom jest, przyszli do brata opowiedzieć, co się stało, i pytać się o mnie. Poznałem zaraz jednego i trąciłem brata, mówiąc: „a otóż są.“ Brat tedy niby to mnie tylko wyprowadzał i wrócił się z nimi, a jam poszedł do hetmana, podziękowałem za łaskę, listu zaś do króla nie chciałem czekać, powiedziawszy, co się stało; on też nie nalegał i owszém rzekł: „jedź z Panem Bogiem, bo to tu u nas sprawa kozacka.“ Poszedłem do aptekarza, stamtąd posłałem do brata, prosząc go do siebie, bom już nie śmiał do niego pójść, żeby mnie kto nie poznał. Przyszedł tedy brat do mnie i tuśmy sobie w spokojném miejscu usiedli i rozmówili. Powiedział mi, jako się o mnie pytali, „czym jest krewny, lub nie.“ On im

odpowiedział: „stryjeczny to mój.“ Rzekli na to: „a czemuż się powiedział do innego domu należącym.“ Odpowiedział brat: „temu, żeby się waszej zbył napasći, bo jest na urządzie i nie ma tu czasu z wami prawem rozpierać się, ale deklaruje wam przezemnie w każdym sądzie sprawić się i prawem i lewem, oraz o jego urządzie powiadam wam, że służy z wojewodą ruskim, i tam go szukać wolno, kto chce.“ Rzekli: „ale podobno trzech z owych poranionych żyć nie będzie, a najbardziej nas też to boli, że, opuszczając gospodę, napisał na ścianie wiersze, które narodowi naszemu hańbę czynią.“ Brat na to odpowiedział: „odpiszcie mu także wiersze, a jeżeli się czujecie być niewinnymi, będą kiedykolwiek wojska w kupie, natenczas upomnijcie się tego.“ Taką więc relacją o ich mowach brat mi uczyniwszy, pożegnał się ze mną. Poszedłem do gospody, alem, po staremu, prędzej nie wyjeżdżał, aż się dobrze zmierzchło, uchodząc jakiej napasći, i już nie jechałem grodzieńskim traktem, jako mi należało, ku Polsce, ale puściłem się ku Uciany i tam wykierowałem ku Podlasiu, przejechawszy bezpiecznie. Jakem zaś potem słyszał, szukali mię po tych szlakach, które prowadzą ku Polsce, chcąc się koniecznie zemścić, ale ich Pan Bóg nie pocieszył, a owi też porąbani, z łaski bożej, wylęczyli się, i poszło to w zapomnienie. Już do Warszawy nie jeździłem, bom się w drodze dowiedział, że król pojechał do Lwowa na kommissyą, i że już i posła moskiewskiego wyprawiono, dawszy mu innego przystawę. Przyjechałem tedy do domu. Jaki taki upomina się futer, com obiecał w Wilnie nakupić; wszyscy się zawiedli, bo i sobie nic nie kupiłem i sam ledwie com zdrowo wyjechał, nie spodziewając się, żeby mię miał taki napasć kłopot od owych pijaków. Po wyjeździe moim z Wilna, dopadli jakoś owi pijacy ksiąg skarbowych, w których ja kwitowałem z odebranych 6,000 złotych. i podpisałem się; rozumieli oni, że to mój stryjeczny, który u nich był kanclerzem i także mu imię Jan z Gosławic, i chwycili się tego mocno, że to już jakąś odebrał nagrodę za jakieś machinacye i fakcy, jako urzędnik wojskowy. Uczynili tedy w kole wielki rozruch, że tu są tacy, którym najbardziej naszych zwierzamy się sekretów, a już nas znać chcą prze-

dać, kiedy biorą prywatne korrupcyje, już to nie darmo. Stała się tedy sroga wrzawa i trzaskanie szablami, pytając się: „kto taki? podajcie go nam, zaraz go tu będziemy bi-gosowali.“ Na takie domaganie się, musiał to powiedzieć ów, co w kole rozsiały, i rzekł: „pan kanclerz wziął ze skarbu 6,000 złotych, zapewne nie darmo; widziałem jego kwit w księgach z odebrania summy,“ (a nie znał prostak jego charakteru, tylko wiedział imię i skąd się pisze). Mówią mu: „dowiedziesz tego?“ „Dowiodę.“ Hukną tedy jedni: „bij!“ drudzy: „niech da o sobie sprawę!“ Krewni i kolegaci jego z matki, zdechli od strachu, bojąc się, żeby mu nie dowiódł; on zaś nic się nie turbuje, bo nie termin, tylko mówi: „Moi moiści panowie! poczuwam się ja, w jakim stopniu usługi u ww. panów jestem umieszczony, że wszyskie, najmniejsze nawet, tajemnice, dochodzą mojej wiadomości, i tak sądzę, żebym wiele mógł zaszkodzić, gdyby mię moja nie rządziła poczciwość, i ta, którąście mi ww. panowie po bratersku zawierzyli, niepoślakowana wiara. Gdybym się jednak w tém, co mi zadają, uznał być winnym, tobym sam na siebie ochotnie jak najokropniejszy dekret śmierci napisał, i teraz mówię, jeżeli wziął te 6,000 zł., choćbym przytém nic złego nie zrobił, niech już będę za zdrajcę poczytany i już jako zdrajca karany, ale niech mi wpierv dowiodą.“ Ów się też sierdzi: „dowiodę, tylko proszę jmc pana podkanclerzego, żeby kazał księgi przynieść, te, którem ja tam już naznaczył.“ Podskarbi tedy posłał, żeby pisarz przyszedł z księgami i powiedział im, co to jest. Dopierożto w nich duch wstąpił, bo przecie o tém rozmyślali, jakby krewnego bronić i siebie nie wdać w konfuzyą. Owi ludzie, godni familianci tameczni, Bier-naccy, Sokolniccy, Chreptowiczowie i inni tam jego kolegaci, jak to usłyszeli, zaraz ich kilku stanęło blisko owego, co zadał, ażeby się nie skrył. Wtém przyniesiono księgi i dają mu ją w ręce, mówiąc: „szukajże, gdzie to widział.“ Znalazł do razu i niesie z radością do marszałka. Brat rzekł: „proszę o tę księgę,“ jakoby to nie wiedział, co tam w niej jest, a obaczywszy, mówi: „Mości panowie! jakom ja raz deklarował ochotnie z rąk ww. panów ponosić karę, tak też i teraz potwierdzam, jeżeli się to na mnie pokaże,

co mi zadano; jeżeli się nie pokaże, proszę wzajemnie, żeby pokutował ten, kto zadaje, a nie dowodzi, ponieważ kto mi bierze dobrą sławę, bierze mi razem i życie. Rozumiem też, że nie wiele się takich znajdzie w wojsku, którzyby nie znali charakteru tego, którym ja we wszystkich expedycjach służę ww. panom. Jest sam kwit, że wzięto 6,000 zł., ale jeżeli ja wziął i jeżeli winnie ponoszę taką potwarz, kładę to pod rozwagę ww. panów.“ Jaki taki obaczy i rzeknie: „nie jego podpis.“ Pytają więc: „co to jest, że imię i nazwisko takie, tylko charakter inny.“ Brat odpowiada: „wziął stryjeczny mój, z wojska koronnego, za taką a taką usługę, za assygnacją króla.“ Tu dopiero owe wszystkie obelgi, które miotano na brata, obróciły się na donosiciela. Wtedy to zawołają jedni: „sądzić go!“ drudzy: „bić pogańskiego syna, który takie plotki do koła rycerskiego przynosi.“ Ów chciał się trochę umknąć, a Sokolnicki, porucznik, jak go uderzy obuchem w kark, padł na ziemię; dopieroż go tu młócić, bić i deptać, że go ledwo marszałek Żyromski żywo ochronił. Ale, po staremu, zaraz od tego czasu nieborakowi Gąsiewskiemu począł się pogrzeb gotować, i ta była najpierwsza okazyja podejrzenia na niego, bo zaraz krzyknęli: „A wierzymy mości panie hetmanie, dla wojska to pieniędzy nie ma, a za lada assygnacją króla zaraz się znajdują. Nie podobnieć by się to zatrzymać tym assygnacyom do szczęśliwszych czasów, a teraz nasze zaspokoić pretensye. Dobrze, dobrze, byleby to tylko komu nie zaszkodziło.“ Tłómaczył się hetman, że to musiał uczynić za gorącą instancją króla, na którą i z swojej szkatuły musiałby był wyliczyć,“ ale na te wymówki nie zważano, i od tego czasu już coraz bardziej nie ufali mu, i coraz większe w kołach bywały tumulty, bo też wojskowi w coraz większe wdawali się pijaństwo, z czego trudno się było spodziewać statku i powagi, chyba hultajskich postępków, co się w krótkim czasie sprawdziło, kiedy swego marszałka, Kazimierza Żyromskiego, starostę czerskiego, człowieka wielce zacnego, rozsiekali, a potem i Gąsiewskiego, hetmana polnego i podskarbiego litewskiego, kazawszy mu się dysponować, rozstrzelali, a to z jednego tylko małego podobieństwa i fałszywego udania; nazabijano

także w tym rozruchu i wielu żołnierzy. Tracono później kilku pułkowników, o ten postępek obwinionych, i okrutną ćwiertowaną śmiercią, w Warszawie na przyszłym sejmie, jako to: Niewiarowskiego, Jastrzębskiego i innych. Na drugich, których nie można było pochwytać, stanęła infamia. Stryjeczny zaś mój krewny musiał wchodzić w radę tego okrutnego zabójstwa, jako ich konsyliarz i kanclerz, poradził sobie jednak, że i śmierci i infamii uszedł, a to takim sposobem: Uchodząc przed tymi, którzy z inną, to jest hetmana polnego, dywizyi byli, owych zabójców łapali, i jego w trop dojeżdżali, przybieżał na rzekę Berezynę, natenczas zamarzłą, a była płonia niezamarzła na środku rzeki, gdzie on z konia zsiadłszy, obrąbał obuchem lód nad ową płonią, który był cienki, i oberwał się z lodem uchodząc nocą, płoni niebezpiecznej nie postrzegłszy, na brzegu zaś lodu, nad płonią, śnieg potarzał, niby to ratując się, czapkę na samym brzegu lodu porzucił i pokrowiec od pistoletu na wodę cisnął, który po wierzchu pływał, a sam tymże tropem wrócił się, wsiadł na konia, skoczył z szlaku w puszcę samowtór tylko, którato puszcza ciągnie się nad brzegiem Berezyny bardzo gęsto, i uszedł aż do Smoleńska, do brata swego rodzonego, pana Piotra, który pod carem moskiewskim poddaństwo przyjął i dobra wszystkie w smoleńszczyźnie, od Moskali zawojowane, trzymał, i stamtąd nie wyjeżdżał, aż po amnestyi.

Wracam się do spraw tego roku. Kiedy w Wilnie odprawuje się kommissya z takimi wrzaskami i tumultami, we Lwowie zaś odbywa się trochę skromniej i polityczniej, niżeli w Litwie, i z lepszym skutkiem, bo z łaski bożej znalazł się sposób zaspokojenia wojska; szelągi i tynfy kazano klepać; srebra, w których tylko za 18 groszy, kazano brać po złotemu, dawszy im taką wartość, i już odtąd wszystka moneta srebrna i złota w górę u nas w Polsce poszła. Wtenczas przez inwencyą niektórych subjektów polskich, szelągi wołoskie wprowadzono do Polski, a srebrnej i złotój monety wydano za nią tak wiele za granicę, za którą niecnotę niegodni są ciż wynalazcy tytułować się imieniem narodu polskiego i znaczny Bogu oddać muszą rachunek, bo te wołoskie szelągi siła bardzo narobiły ubó-

stwa, rozpaczy i srogięgo zabójstwa między ludźmi, gdyż począwszy od Lwowa, zabijano się o nie na jarmarkach, aleć przecie ustąpiły z Małéjpolski i założyły sobie wszystkie stolicę w Wielkiéjpolsee, nie oparłszy się aż o rzekę Odre i morze bałtyckie, jako owa okrutna szarańcza. Skończyła się tedy kommissya lwowska, gdzie poległ Paweł Borzęcki, zastępca związkowy, kawaler wielki, nie bez podejrzenia, że był otruty, jak udawano, »bo tak należało,« mówiono, »żeby tę świeczkę zgasić, która całej konfederacyi świeciła, aby się był jaki większy z téj jasności nie rozniecił płomień,« gdyż nad tego człowieka w całym związku większego nie było.

R o k 1663.

Po rozwiązanym związku, pomieszało się wojsko, chorągwie pozwijano, do których większe miano urazy; nie wiedzieć, gdzie się kto rozstrzelił; niektórzy w domach posiadali, pożenili się, widząc niewdzięczność; inni, co byli dobrzy żołnierze, zniewieścili, porozpijali się, aż strach. Poszedł już tedy król w swojej osobie za Dniepr, już fortuna inna, serce inne i dyspozycya inna, nie ta, co przed związkiem. Nieprzyjaciel się wzmocnił, niceśmy dobrego nie sprawili, okurzywwszy tylko kilka kurników, którebyśmy byli przed związkiem całkiem zjedli, kompanii zaczęj pod nimi natraciwszy, wróciliśmy się do domu z niczém, a tak, uznawszy znaczną fortuny rewolucyą, albo raczej mówiąc, umknienie oczywistęj łaski bożęj od naszych czynności, skończyliśmy ten rok.

R o k 1664.

Była i okazyja stawiska, ale o téj niemasz co pisać i niemasz téż w niej co godnego chwalić. Uprzykrzyła się nam wojna z nieprzyjacielem, zacheiało się nam probować samym z sobą, a podobno w tym celu, żebyśmy przy téj okazyi znowu zaciągnęli na związek, bo już w nas pierwszego związku sytość była zetlała i życzyliśmy znowu innym chlebami, pierwszym podobnemi, brzuchy naładować.

Uczyniwszy pokój z Moskwą mizernemi kondycjami i dawszy im rześisty bassarunek za to, żeśmy ich potłukli, nie tylko ich własności nie naruszywszy, i swęgo od nich, co nam przedtém pobrali, nie odzyskawszy, ale jeszcze im przyczyniwszy i znaczne prowincye przywłaszczywszy, zaczynamy szczęśliwie wojnę domową, która jest złem najgorszym ze wszystkich. Złożono sejm, na którym wniesiono materyą, aby sądzić Jerzego Lubomirskiego, hetmana, oraz i wielkiego marszałka, o to, że myśli się ubiegać na królestwo po śmierci króla panującego. Mówił do niego wprzód sam król te słowa: „Panie marszałku, dochodzi nas wieść, jakobyście sobie życzyli korony.“ Ten odpowiedział: „Któżby sobie nie życzył dobrego? Powiem waszj królew. mości jedną historyą, którą słyshałem o panu kasztelanie wojnickim, że gdy go jego hajducy z zamku przynieśli i postawili z krzesłem w pokoju, spytał swęgo Węgrzyna: „kochany Andryś, co téż tam między wami słyhać o naszym sejmie?“ Powiada: „ot miłostywy pane, kedyśmy twoju pańsku miłost na zamok prynieśli, wsi hajducy, bratia naszy, howoryli tak: ot twemu było panu byt korolem pòlskim, szczo hożych pacholków derzyt pry sobie.“ Za ową nowinę dał 10 bitych talarów na przepicie. Uważajcie wasza król. mość, jeżeli takiemu kalece, który się i na łóźku swoją mocą przewrócić nie może, miło jest słyhać, kiedy mu prawią o królowaniu, a pogotowiuz mnie, co jeszcze z łaski boskiej konia dosiadę bez pomocy, gdyby kto dobrowolnie kazał nad sobą królować, nie bardzo by mię to mierziło. Zaczém, jeżeliby po śmierci waszj król. mości, któremu zdrowia i długiego panowania życzę, tacy odzywali się do berła konkurenci, jak pan kasztelan wojnicki, jak pan kasztelan gnieźniński i inni tym podobni, a to téż i ja konkurent między nimi; ale jeżeli tacy, jako to: car moskiewski, król szwedzki, król francuski, to ja zaraz konkurencyi mojej gotów odstąpić.“ Rozśmiałci się król wprawdzie na tę odpowiedź, ale już miał w sercu uprzedzenie i nienawiść, które mu ufundowały ku niemu podszepty ludzi, osobliwie jednak P..... ślepego, arcybiskupa gnieźnińskiego; ten zdrajca najpierswszy był téj wojny podniętą, który postępek że się same-

mu nie podobał niebu i oczywisty na ojczyznę naszą zasięgnął gniew boży, bo zaraz jak o tém poczęto traktować, pokazał się na niebie straszny i wielki kometa, który przez kilka miesięcy trwając, oczom ludzkim swoją groził srogością, i im dłużej trwał, tém bardziej serca struchlałe tworzył, wróżąc niedobre skutki, które potem nastąpiły dla zawziętości i fakcyi ludzi złych, którzy swoje promowując interessa, ojczyznę w niwecz obrócili, bardziej niżeli nieprzyjaciele. Bo prawda to jest, że Lubomirski podniósł rękosz, widząc pana bez następcy, widząc w królu ostatniego potomka krwi Jagiellońskiej, widząc zawziętość i praktyki Ludwika królowej, rodem Francuzki, że koniecznie nam do wolności naszych chce wprowadzić gallicyzm, przez wprowadzenie na królestwo jakiegoś fircyka francuskiego; widząc, że już i króla ujęto za nos, kiedy pozwolił wydawać z kancelaryi uniwersały na sejmiki przedsejmowe do województw, proponując nowy obiór za swego życia; Francuzów w Warszawie więcej, niżeli owych, którzy Cerberowe rozdymają ognie; pieniądze sypią, praktyki czynią, a najbardziej szkodliwe wolności; w Warszawie wielką powagę mają, wielkie tryumfy publiczne sprawują z otrzymanych zwycięstw, choć też nie za prawdziwe, to jednak za zmyślane. Do pokoju królewskiego wniknąć zawsze wolno Francuzowi, a Polak musi i pół dnia stać u drzwi, zgoła, sroga i zbyt uczona powaga. I to między innymi ich wolnościami przypomnieć muszę. Pozwolono im na teatrze publicznym w Warszawie tryumf czynić z otrzymanego nad cesarzem zwycięstwa. Kiedy wprowadzono osoby na teatr, muzykę i ogień do tryumfu, zeszło się ludzi kupa i na koniach pojeżdżało, na owo tak cudowne widowisko; jedni z Warszawy wyjeżdżają, drudzy przyjeżdżają; kto obaćzył, to się też zatrzymał na owo widowisko, choć mu pilno było, i ja też tam byłem, bom wyjeżdżał z Warszawy, a wyjechawszy z gospody, stanąłem też tak z czeladzią na koniach, na owe patrząc dziwy. Stali tedy około tego widowiska ludzie różnego stanu i różnej fantazyi. Kiedy już insze odprawiły się indukcyje, to jest, jako się potykali, jako się piechoty zwieraly, jako kummunik, jako strona stronie z placu ustępowała, jako

brano więźniów niemieckich, szyje ucinano, jako do fortec szturmowano i one odbierano, zgoła, z wielkim kosztem i okazalnością te rzeczy odprawiały się. Skoro już, jakoby po zniesieniu wojska i położeniu nieprzyjaciela na placu, prowadzą w łańcuchu cesarza w ubiorze cesarskim, koronę cesarską już nie na głowie mającego, ale w rękach niosącego, i w ręce królowi francuskiemu onę oddającego; wiedzieli tedy, że to był Francuz znaczny, który osobę cesarską, w łańcuchu idącą, reprezentował, i potrafił twarz jego i wargę tak też jako cesarz wywracać, począł jeden z Polaków konnych wołać na Francuzów: „zabijcie tego skurwysyna, kiedyście go już porwali; nie żywcie go, bo jak go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył, będzie krew ludzką rozlewał, a tak nie będzie miał świat nigdy pokoju. Gdy zaś go zabijecie, król francuski osiągnie cesarstwo, będzie cesarzem, będzie, da Pan Bóg, i naszym królem polskim. Naostatek, jeżeli wy go nie zabijecie, to ja go zabiję.“ Porwie się do łuku, a nałożywszy strzałę, jak utnie pana cesarza w bok, to aż drugim bokiem żelazo wyleciało, i zabił. Drudzy Polacy także do łuków; kiedy wezmą szyc w owę kupę; naszpikowano Francuzów dużo, a nawet i tego, co siedział w osobie króla, postrzelono naostatek w głowę, aż z majestatu spadł pod teatr i z innymi Francuzami uciekł. Stał się natenczas po Warszawie wielki rozruch. Ci, co strzelali, pojechał każdy w swą stronę; ja sam wyjechałem zaraz, abym nie miał jakiej napaści, żem też to tam stał w owęj kupie. Pół mili za Warszawę wyjechawszy, ku Tarczynowi, zostawiłem u pana Łączyńskiego łuk, żebym uszedł podobieństwa i jechałem powoli, wzięwszy na się karabinek, bom się spodziewał pogoni, jakoż i była, bo królowa Ludwika, lubo była dumna niewiasta, złożywszy hardość z serca, padła królowi do nóg, prosząc, żeby gonić i łapać kazał. Rozkazał tedy król skoczyć na gościńce, kto tylko mógł przyjąć na prędce do sprawy, aleć bezskutecznie, bo kogo tylko dogoniono i spytano: „skąd idziesz, nie tyś cesarza zabił i króla francuskiego postrzelil?“ gdy odpowiedział: „nie ja,“ dano mu pokój; którego też pytania dostało się i mnie, ale aż nazajutrz. Wstąpiłem do pana Okunia; rad

mi; powiadam mu o tój tragedyi, aż tu ich przyjechało kilkanaście koni na wieś, i pytają: „jechał tu kto od Warszawy?“ Powiadają im: „jechał, ale nie wiedzą kto, samosześć, i wstąpił do naszego pana, tu do dworu.“ Przyjechali oni i weszli do izby: „służba.“ „Służba.“ Gospodarz prosił ich siedzieć. Pytają mię tedy: „waść skąd jedziesz?“ Powiadam: „z Warszawy.“ Pytają: „kiedyś waść wyjechał?“ Powiadam: „po śmierci cesarza chrześciańskiego i króla francuskiego.“ Pytają: „patrzałeś waść na to, kiedy się to działo?“ Powiadam: „patrzałem.“ Pytają: „co za osoba był, który najpierw do cesarza strzelił?“ Powiedziałem: „taki jako waść i jako ja.“ Pyta, śmiejąc się: „czy nie waść sam?“ Odpowiadam: „wszak tam strzelono z łuku, a jam tu bez niego przyjechał.“ Ów rzekł: „a choćby i waść i ktokolwiek inny to uczynił, ten ma od Pana Boga odpust za to, że się ujął o takie srogie zgorzenie; i król w oczy tylko królowej żal czyni, a w sercu z tego się śmieje.“ Naśmiawszy się i nacieszywszy tedy z owego dyalogu, wypili beczkę jedną i drugą piwa gospodarzowi, i pojechali. Takąto Francuzi w Polsce mieli powagę za Ludwiki, że im pozwolono, co tylko zamyśleli. Przyszedłszy na pałac do pokojów królewskich, rzadko obaczyć było czuprynę, tylko głowy jako pudło największe, które aż jasność okien zasłaniały. Ci, którzy to wiedzieli, sarkali na to bardzo, że się tak dwór rozmiłował w tym narodzie i już nawet ministrowie podrygali na śpiew francuski, sama tylko wolność polska nie miała w tём upodobania i wszystkiём tём pogardzała. Widząc tedy pan Lubomirski, na co się rzeczy zanoszą, wniósł takie kroki, któremi nie wszystkim musiał się podobać; sam zaś miał wielką popularność u wojska i u ziemianów, choć się o to nie starał; nie raz go przyjęto z ludzkością, a jak to zwykle bywa w komplementach od żołnierców doboszujących, i takie spotykały go słowa: „tobie zacny panie trzeba u nas być królem polskim,“ a on tecz uważając swoją godność i zasługi w ojczyźnie, mawiał: „w waszych to rękach, moi drodzy bracia,“ i nie dziwować się, bo to każdy swego losu jest kowalem, i nie czytałem tego przykładu, żeby się kto wyłamywał z sposobności panowania. Z tych więc przyczyn

wpadł u ludzi w podobieństwo, że sobie życzy wielkiej królewskiej powagi, co choćby był jawnie pokazał i wdał się w konkurencyą, nie było go o co sądzić, bo zwyczajnie każdy sobie życzy, i po staremu, nie obralibyśmy na królestwo anioła, tylko człowieka, nie obralibyśmy królewicza, ale słalcica polskiego, a na poparcie mego sentymentu i to przypomnę, żeśmy mianowali za kandydata Polanowskiego, natenczas porucznika, a przedtém pod Lubomirskiego dyrekcją powolnego towarzysza. Jeżeli tedy wolno było do téj godności wołać Wiszniowieckiego, Polanowskiego, toć nie było się o co gniewać, choćby téż przy wolnym obiorze wołano i Lubomirskiego, ponieważ Duch ś. gdzie chce natchnie, Pan Bóg zaś serca nakieruje, i woli jego boskiej jest to dzieło, ale cóż ma robić zazdrość? bo jak to mówią: „gdy konia kują, żaba téż podnosi nogę.“ Owi doradzczy, którzyto zawsze źle panu radzili, tak mu rozdrażnili serce do Lubomirskiego, iż królowa widząc, żeby impreza jég upadła w promowaniu Francuza, gdyby Polak został obrany, tém bardziej intrygowała sama i przez rozmaite osoby, z których jedne chciały się w tém królowi przysłużyć, żeby pokazawszy swoją życzliwość i pieczołowitość, tém bardziej kożę francuzką doić; drugie téż pod pozorem dworskiej affektacyi i swoję mieli przed oczami prywatę, myśląc sobie: a kto wie, jeżeli i mnie nie zawołają do korony. Król téż zawsze, jako chwiejący się, do czego go przywodzono, to czynił, a osobliwie w radę ślepego doradzczy tak wierzył, że choćby najgorzej radził, zawsze z ust tego Apollina zdrowa była rada, choćby to nawet miało być z zgubą ojczyzny, i to niekiedy się jemu podobało. Postanowiono tedy sądzić pana Lubomirskiego; zwodzą na niego świadków i przekupują, żeby na niego świadczyli. Posłowie niektórzy ziemscy, jako poczciwi, którzy brali rzeczy dalej, co za konsekwencya z tego być może, bronili tego najmocniej, ale trudno było przemódz; wrzawa i rozruchy wielkie w Warszawie, a tym czasem Ukraina téż cała znowu w buncie, a przecie nie możemy się postrzedz, co to za gas na nas. Stał więc dekret infamii, wygnania i pozbawienia urzędów; ucieszyli się źli ludzie, ale ojczyzna na to stękała, czując, co miała ucier-

pieć z tój okazji. Po sejmikach, po posiedzeniach, jedni to chwałą, drudzy ganią; w wojsku już także o związku poczynają szeptać, a nawet samo niebo grubemi nieszcześliwości pokryło się chmurami, tak, iż nikt nie rzekł, aby na wiosnę mogło być dobrze w ojczyźnie naszój, i nie trzeba było astronomów do wytłómaczenia, co w przyszłym roku nastąpi, kiedy i ojczyzna zrujnowana i krwi niewinnój tak wiele się wylało.

R o k 1665.

W roku tym roznieciła się wojna domowa, z przyczyny, że obywatel został uciemiężony. Poszło wojsko do związku, obrawszy sobie marszałkiem Ostrzyckiego, a zastępcą Borka; weszło tedy do związku chorągwi 40 dobrych, osobliwie te, które miały z jmc panem Lubomirskim wielkie związki, jakoto jego własne, braterskie, synowskie, szwagierskie i niektórych koligatów i dobrych przyjaciół, część króla chorągwi tóż poszła, 60 i coś, półki zaś wszystkie wojewoda ruski utrzymał na rzecz króla i ruszył się z nini od Białej cerkwi ku Zaslawiu. Związkowi zaś poszli ku Lwowu, potem ku Samborzu, tam siedlisko wojny chcąc założyć. Nam tedy, cośmy do związku nie poszli, kazano się zmykać ku Lwowu, Kozaków zaciągnięto 12,000, tych, co cnotliwszych. Ukraina zaś wszystka poszła w srogi bunt, widząc, że mają czas po temu. Otóż nadaremne rozlanie krwi naszój koło odzyskania Ukrainy, dla ludzi niecnotliwych!

Do hordy tatarskiej posłano, zapraszając ich na tę wojnę. Obiecał się zrazu chan wyjść we sto tysięcy, ale potem oznajmił, że tego nie uczyni, obiecując to nagrodzić na inną usługę, ale nie na tę wojnę, gdzie brat na brata szablę dobywa. Litewskie wojsko król wyprowadził porządne i dobre, którzy, jakoby ich z dziesięciu chlewów wywarł, tak głodni i tak siła jedli, rabunki wielkie czynili, ale tóż tego pod Częstochową przyplacili, bo na tém miejscu, na którym inni ludzie dostępują łask i odpustów, oni karę ponieśli. Województwa podzieliły się, jedne były przy królu, drugie przy Lubomirskim, województwo kra-

kowskie przy królu i kasztelan krakowski, Warszycki, osobiście; województwo poznańskie, sandomierskie, kaliskie, sieradzkie, łęczyckie, stanęły pod bronią po stronie Lubomirskiego. Te zaś drugie chciały toż samo uczynić, ale nie śmiały, z przyczyny, że bliższe sąsiedztwa boku królewskiego, ale je też, po staremu, król nie wokował do udziału w wojnie, bo jedno, że im nie ufał, drugie, że ufał w siły, które miał, i tuszył sobie powiązać tych wszystkich, co przy Lubomirskim byli, i nawet jego samego, bo mu tak ślepy doradca obiecywał. Ale nie wiedziałeś podobno ślepiu, że to ślepa fortuna więcej może, niżeli ty, i nie uważa, kto mocniejszy, ale temu służy, do czyjéj niewinności Bóg ją w pomoc wysyła. Na wojnę wołasz, a nie wiesz, co to wojna. Przynajmniej stąd mógłbyś brać miarę, że to choć palcem oko wykoła, to, po staremu, łechtliwo, jako je tobie wyklął brat twój rodzony, powadziwszy się z tobą w szkołach o kielbaskę. Wyprowadził król wojsko w pole dosyć dobre i porządne, i ja też musiałem być, choć mi się nie chciało, regalistą, bo chorągiew w tém tam była wojsku, ale, po staremu, chociażmy tu byli, tośmy tamtéj stronie bardziej wygranéj życzyli, widząc krzywdę Lubomirskiego, a w jego osobie krzywdę całej ślachty, bo ta wszystka na niego wywarta furia o nic innego nie była, tylko żeby jako możny orężem i radą nie przeszkadzał obraniu Kondeusza, którego królowa Ludwika wszelkimi sposobami na królestwo prowadziła, ale i sam król francuski szczerze do tego dopomagał, z przyczyny, że go z Francyi radby pozbyć, gdyż był bardzo wielki intrygant i bogaty, i większą prawie we Francyi miał popularność, niżeli król; bał się także, żeby się za jaką fortuny rewolucyą, nie przekierowały do niego chęci ludu; a druga przyczyna, żeby było za tą okazyą króla Francuza w Polsce dławić między sobą cesarza i wydrżać mu koronę cesarską, dla tego sypano pieniędzmi w Polsce, żeby dopiąć swego.

Zkupilo się tedy wojsko w rawskiém i mazowieckiém województwie, bo też już o panu Lubomirskim było słychać koło Krzepic, po wyjściu z wygnania wrocławskiego. Miał król wojsko dosyć piękne, ale cóż, kiedy wszystkie

jego nadzieje upadły przez śmierć Czarnieckiego, któremu był dał buławę polną i przez niego spodziewał się wszystkiego dokazać, jakoż mógłby był tego dokazać, żeby Lubomirskiego przywiódł do pokory i poddania się, bo Czarniecki, jako wielki wojownik, byłby wiedział, co z tém czynić, ale Kondusza wprowadzić przez promocją Czarnieckiego, tegoby byli nigdy nie dokazali, bo ja wiem, co on o tém obiorze sądził.

Wybrał się tedy król szczęśliwie z królową, z damami dworu i z całym dworem z Warszawy na tę wojnę. I tak właśnie należało, żeby goniono tańca, były w pogotowiu i damy, bo to nie wojna była, ale właśnie goniony taniec, bośmy ustawicznie z miejsca na miejsce gonili, nie goniąc, a oni też przed nami uciekali, nie uciekając. Dobrze o tém gonieniu jedna ślachcianka w województwie sieradzkiem królowi powiedziała, kiedy jęj krzywdę wielką poczyniono i przysłała do króla na skargę. Król ukontentowawszy ją jakimś tam datkiem, mówi do niej: „Przebaczcie pani, tak to wojna umie, a oto gonimy tego zdrajcę i ucieka nam.“ Aż ślachcianka rzecze: „Miłościwy królu, zaprawdę dziwne to jest gonienie, mogąc dogonić a nie dogonić; dyć ja to stara baba, a jeszczebym się go dziś dogonić podjęła.“ Król się zawstydzil, a potém kazał jęj coś więcej dać. Stał obóz między Rawą a między Głuchówkiem, dziedziczną wsią Sułkowskiego, królestwo zaś stali w kolegium u Jezuitów. Uteknęło się też królowi na miejscu i mówi do swoich: „nie byłoby też tu gdzie przejechać się do ślachcica którego, bo już mi się uprzykrzyło na jedném miejscu kilka niedziel siedzieć.“ Rają mu to tu, to ówdzie, to do tego, to do owego, o dwie, o trzy mile od miejsca. Król rzekł: „ale ja chcę blisko kędy, żeby powrócić na wieczrę.“ Ozwie się ktoś: „jest tu miłościwy królu ślachcie polityczny, pan Sułkowski, zaraz pod obozem mieszka, będzie rad waszjej królewskiej mości.“ Kazał się tedy król nagotować i pojechał z królową. Nie wiemy o niczém, pijemy piwko, gramy w karty, (bom i ja był u pana Sułkowskiego, gdyż to dobry przyjaciel ojca mego i mój, i żołnierzy też kilkunastu), aż tu wchodzi sługa i mówi: „królestwo ichmość do pana jadą, i pytają, jeżeli w czém nie przeszkodzą?“

Porwie się gospodarz: „będę rad panu memu miłościwemu, proszę i z ochotą czekam.“ Słyszę jednak, że sama pani rzekła: „będę ja tobie rada; diabeł w tobie; poczekaj jeno!“ ale nie wiedziałem na co to mówiła. Powypadali tedy wszyscy, a król jeszcze był opodal. Skoro już wjeżdża we wrota konno, a królowa jeszcze karetą na zadzie była, aż mię pyta Sułkowska: mój złoty, pokażże mi, któryto tu król, bo ja go jeszcze nie znam; wiem, że po niemiecku chodzi, ale to tu kilku Niemców, nie wiem więc który?“ Ja tedy nie wiedząc, dla czego pyta, powiadam jej, że ten oto, co między tymi dwoma na takim koniu. Dopiero owa zbliżywszy się przeciwko niemu, klęknie, a ręce złożywszy i ku niebu podniosłszy, mówi: „Panie Boże sprawiedliwy!“ (Król, co już miał zsiadać z konia, zatrzymał się), „jeżeliś kiedykolwiek różnemi plagami karał złych i niesprawiedliwych królów, wydzierców, szarpaczów, krwi ludzkiej niewinnej rozlewców, dziś pokaż sprawiedliwość twoją nad królem Janem Kazimierzem, ażeby pioruny na niego z jasnego nieba trzaskały, żeby go ziemia żywo pożarła, żeby go pierwsza kula nie minęła, żeby wszystkie owe plagi, które dopuściłeś na Faraona, dotknęły go za te wszystkie krzywdy, które my ubodzy ludzie i całe królestwo cierpimy.“ Mąż jej gębę zatyka, a ona témbardziej krzyczy; król nazad do wrót; gospodarz skoczy, prosi, strzemięcia się chwyta, a król mówi: „żadnym sposobem; złą macie, panie, żonę; nie chcę, nie chcę.“ Pojechał, a spotkawszy się z królową, rzekł: „nawracaj, nie tu po nas.“ Gdy królestwo przyjechali do Rawy, król w śmiech, królowa zaś w gniew, mówiąc: „oj kazałabym ją tak,“ król rzekł: „nie trzeba tak, niech się ukrzywdzony przynajmniej tém ucieszy, że się nagada; ale, dla Boga, niech kto oznajmi Lubomirskiemu, żeby się z nami przeprosił, boć nas już o tę wojnę i baby konfudują.“ Owa tedy baba była taka rezolutka, że naajawszy królowi, przyjechała do niego nazajutrz i prosiła o posłuchanie, kazawszy o sobie powiedzieć: „że ta ślachcianka, do której domu król nie chciał z konia zsiść, prosi, żeby się mogła pokłonić.“ Król był tak dobry, że ją zaraz kazał puścić. Omówiła się, że to musiała uczynić z żalu, mając szkody poczynione, ale naj-

bardziej żaliła się o brzezinę, którą sobie miała za wirydarz zaraz pode dworem, a wycięto ją na szalasy do obozu. Dopiero król rzecze, „a otóż ja wam dam, moja pani, przywilój taki, że wam koniecznie za 6 lub 7 lat wróci się taka druga brzezina, a teraz ją wam każe zapłacić, tylko nie bądźcie tak złą.“ Kazał więc babie dać 2,000 zlot., a onaby za tę brzezinę, choćby ją w Rawie na targu przedała, ledwie 50 zlot. była wzięła, bo to tam nie wielki tego był wicherek. Ale dawszy pokój i tym przypadkom, które się pod czas téj wojny trąfiały, przystępuję do rzeczy: A gdy się wojska już zeszy blisko, posłano kilka tysięcy koronnego wojska i litewskie wojsko, oprócz hussarskich, w sposób mocnego podjazdu, zetknęli się z sobą pod Częstochową; tam na tym odpuscie jak się ofiarować poczeli, Litwini niebożęta w tak gorące wdali się kontemplacye, że się krwawym potem pocili, i tak wielkie zostawili wota, iż się prawie ze wszystkiego ogołocili. Strojno na tamto miejsce, bo konno i rżądno, przyjechawszy, poszli do domu piechotą i prawie nago, chyba że kto miał bardzo złą suknię, albo bóty, to ich od niego na ofiarę nie przyjęto. Tak to ten naród litewski jest bardzo nabożny! Ale nie mówiąc pod postaciami, jak wsiedli na Litwinów Lubomirczykowie, bo na nich mieli wielki apetyt o to, że wyszli na tę wojnę domową, tak się ani złożyć nie dali, aż ich nacięto, nabito; chcieli do klasztoru uciekać, ale mnichy zamknęli bramy, o co zaś król gniewał się. Nie wiele ich przecie na śmierć zginęło, oprócz tych, co w pierwszym spotkaniu, póki ich nie przełamali, ale nasieczono gwałt, z koni pospychano, z sukien, z pancerczów poobdzierano na sromotę, drugich kańczugami cięto, i tak z nich piechotę uczyniono i wolno do króla puszczano, starszyzną jednak, rotmistrzów i pułkowników, pobrano, czego winszując panu Lubomirskiemu frant jeden, towarzysz Młoszowski, tak mówi: „miłościwy dobrodzieju, więcej nam Pan Bóg daje nad to, niżeliśmy go prosili.“ Spytał Lubomirski: „jakże to?“ Odpowie ów: „oto prosiliśmy zawsze da pacem Domine, da pacem Domine, my prosili o jednego, a Pan Bóg nam dał pięciu Paców.“ (Bo między więźniami pięciu samych Paców było, a wszystko oficerów

znaczących, ponieważ natenczas był Pac kanclerz, Pac hetman i Pacowie biskupi). Chorągwie, kotły, pobrano, drudzy też chorążowie na mury mnichom chorągwie podawali, a potem je nazajutrz wykupywali. Tak tedy po owej chłości i bitwie, którą związkowi dali Litwiom, wybiwszy nas znowu zdrajcy, poczęli uciekać, a my ich znowu gonić, a tu woły, krowy ryczą, snopy, kopy lecą. Udali się ku Wielkiej Polsce, a my też radzi. Postój złodzieju! napędzimy cię teraz w kąt, już się nam nie wymkniesz, albo pewnie przez bałtyckie morze musisz pływać do Szwecyi, a my przy tej okazji zażyjemy wielkopolskich agnuszaków i tłustych gomólek. Kiedy już z dobrą nadzieją dogrzewamy im, i spodziewamy się tu gdzie koło Odry, albo koło bałtyckiego morza związać ich, aż się oni jakoś wymknęli bokiem. Przyszła wiadomość, że już Lubomirski z związkowymi w tyle; dopieroż my zdesperowawszy, że ich już dogonić nie podobna, nuż z nimi traktować o pokój, a po staremu, goniliśmy się i traktowali. Właśnie to tak, jak ów rybak, który nałowiwszy się po morzu, nic nie mógł dostać, a zmordowany usiadł nad brzegiem, wziął piszczałkę, począł bardzo pięknie grać, tuszając sobie, że na owę jego melodyą wyjdą ryby na piasek i nałapie ich sobie, co potrzeba; odpocząwszy sobie, już przed samym wieczorem zarzucił znowu sieci; ryby też podobno z innych miejsc przybyły i wyciągnął ryb dostatek, które skoro poczęły według swego zwyczaju w sieci skakać, on wziąwszy kija, jak je bije, tak bije, mówiąc: „wszak ja wam pięknie grał, a nie wyszłyście na taniec, a terazście się rozskakały, kiedy wam nie grają;“ pobił je więc, potłukł i w wór potkał. Tak też właśnie i pan Lubomirski z swymi związkowymi. Pozwolili oni na te traktaty i nazwali je palczyńskimi, ale nie dowierzając tej piszczałce i widząc, że to melodye podejrzane, odstąpili ich, bojąc się, żeby w matni nie być. Goniłszy tedy, póki nam pory stawało, potem rozeszliśmy się na stanowiska, aby się na przyszłą kampanią lepij przygotować.

Rok 1666.

W tym roku sejm złożono na uspokojenie téj burzy strasznej, ale trudnoto zapal ugasić, kiedy już płomień na dachu. Byłem na tym sejmie umyślnie, swoim własnym kosztem, żeby téż przysłuchać się rzeczom i widzieć co się dzieje. Napatrzałem się, o Boże, fakcyj wymyślnych i wykrętnych i téj i owéj strony, takich, żeby trzeba całą księgę napisać, ktoby chciał materyą tego sejmu wypisać doskonale. Kładę tedy na tém miejscu przestrogę dla młodych ludzi, którzy to po mnie czytać będą, żeby każdy, z szkół wyszedłszy, starał się o to pilnie, aby się rzeczom przysłuchał i przypatrzył na sejmach, gdzie jeżeli nie może być o swoim koszcie, niech przystanie do posła albo do panieńcia którego, byleby przecie być na jednym i na drugim sejmie, albo téż, choćbyś już był żołnierzem, to podczas hibernowego stanowiska jedź na sejm z hetmanem, albo z rotmistrzem swoim, jakom ja czynił kilka razy, aby przecie koniecznie być, nieomieszkiwać sessyi, i pilnie słuchać. A skoro już na górę, na poselską izbę pójdiesz, gdzie to czasem bywają narady, to wołają: „ustępujcie, kto nie poseł!“ to staraj się o znajomość u którego z marszałków, choćby u jednego, jakem ja czynił, żem przy instancyach wielkich ludzi, kłaniał się o to, żeby mię z izby nie wyrugowano, gdyż przyjechałem tu umyślnie, abym téż mógł w tym zawodzie cokolwiek skorzystać, sekretu zaś żadnego nie wydam. To bywało, marszałek: „bardzo dobrze, chwałę słachecką chęć.“ Jak już wyganiano z izby, to ja marszałkowi tylkom się pokłonił, a drudzy na głowie utykając, uciekali za drzwi, gdzie im się czasem i po karku laską dostało; to się kompani dziwowali, mówiąc: „co ty masz za szczęście, jam się skrył za piec, i musiałem ustąpić, a tyś się osiedział. A nie wiedzieli, co się dzieje, żem sobie wyjednał. Będąc tam, tom tak słuchał pilnie, że się i jeść nie zachciało. A kiedy owo na dokończeniu sejmu po całej nocy siadają, to téż i ja siedziałem. Powiadam więc każdemu, że wszystkie na świecie publiki, ciej to jest przeciwko sejmom. Nauczysz się polityki, nauczysz prawa, nauczysz się tego, o czém w szkołach jako żyw nie sły-

szaleś; życzę tedy każdemu tak czynić. Sejmowali więc przez całą zimę z wielkim kosztem, z wielkim hałasem, a po staremu, nic dobrego nie usejmowali, tylko większą przeciwko sobie zawziętość i rozdrażnienie.

Po wielkiójnocy, w poniedziałek, były przenosiny pana Krasieńskiego, syna podskarbiego koronnego, który się ożenił z Chodkiewiczową, do pałacu pana koniuszego koronnego Lubomirskiego; był i król na nich. Zachorowała bardzo królowa (bo i w poście jeszcze chorowała). Dają znać królowi, że królowa jéjmość bardzo się ma nie dobrze. Król wesoly, podpiły, rzecze: „nie będzie jéj nic.“ Przychodzą znowu, donosząc, że królowa kona. Król pokojowego w gębę, mówiąc: „nie powiadaj mi plotek, kiedy ja wesół.“ Stało nas żołnierzy i ludzi dworskich wielka kupa przy królu, gdy się to działo, i słyszeliśmy owe słowa. Poczęli szemrać między sobą: „jak słyszemy, toby ten nasz pan rad się téż pozbył tego mola, który mu głowę suszy.“ A właśnie tak było w samej rzeczy: król był wesół, tańczył noc całą, bo rzadko się zasmucił, i w szczęściu i nieszczęściu zawsze był jednakowy. Na podskarbiego wołał: „gospodarzu, czyń przynukę żołnierzom; bądź im rad; niech pamiętają twoję ochotę.“ Nas zaś zachęcał: „pijcie u skąpca.“ Piliśmy tedy na fantazyą, tańczyliśmy, jedném słowem, byliśmy weseli. Królowa Ludwika zaś, pani uwzięta i w swojej fantazyi mocno dopinająca, widząc, że nie tak jéj rzeczy idą, jako sobie obiecywała w obiorze Francuza, koszt na to wielki wydawszy, skarb swój wyniszczyła, zdrowia przy owych pracach i turbacyach nadweryżyła, siadając za kratką w senatorskiej izbie po całym dniu i nocy, żeby widziała i słyszała, jak téż stawają ci, którzy gębę swoję do promowania fakcyi najęli, wpadła w wielką aprensyą, zachorowała jakoś po białej niedzieli, przez wielką niedzielę ledwo przeżyła, a potém i umarła, przez której zejście wielki filar Francuzom upadł, a tym, którzy się temu przeciwili, przybyło fantazyi. Zaraz téż Kondusza promocya zaczęła upadać, bo ci, którzy to całém gardłem popierali, zawiedli się na swojej imprezie, i ów ślepy, tak jak królowa, śmierć podjął, a Pan Bóg obrócił wszystko, jako się jego świętej zdało woli.

Do wypadku jednak wojny domowej obracam pióro. Jak z początku, tak i do końca Pan Bóg przy niewinności stawał. Wyszły wojska w pole, ustępował Lubomirski jako panu, królowi, ale się przecie bronił, kiedy bardzo nacierano; my też gonili, gdy przed nami uciekał. Na Montwach zeszyły się wojska, stacyi od siebie było przez przeprawę więcej, niżeli mila. Nazajutrz kazał król przeprowiać się na tamtą stronę. Przeprowiały się dragonie konnego wojska; część Litwinów miała się już przeprowiać, aż tu leci kominik Lubomirskiego, już nie sprawą, nie chorągiewami, ale tak modą tatarską. Wsiedli zrazu na chorągiew naszą, rozumiejąc, że Litwini; zerwą się zrazu potężnie, poczną z koni lecieć, aż dopiero pomiarkowawszy się, że tu jeden brat, tam drugi; tu syn, tam ojciec, dali sobie pokój. Całą potęgą suną się na prawe skrzydło, gdzie stały dragonie i kozacy pod dowództwem pułkownika Czopa; tam dopiero wytrzymawszy ogień, wzięli na szable, i jak tną, tak tną; tu z za przeprowy zaś dają ognia z armaty; nic to jednakże nie przeszkodziło, i nie wyszło półtoręj godziny, jak wycięto owych ludzi. Naginęło także oficerów znacznych, a nadewszystko owi zacni ludzie półku Czarnieckiego, kawalerowie tacy, dawni żołnierze, którzy w Danii, w moskiewskich, kozackich i węgierskich okazyach dokazywali cudów i bywali zawsze nieprzełamani, na domowej wojnie wszyscy zginęli, których nie tylko król, ale i całe wojsko żalowało, osobliwie z naszej dywizyi, cośmy na ich odwagę patrzyli. Pan Bóg też na nas za nasze niezgody dopuścił, że nam odebrał kwiat kawalerów dobrych, którzy wytrzymywali zawsze cały ciężar nieprzyjaciół naszych. Była ta potrzeba wielce pomieszana, gdzie trudno było rozróżnić, kto nieprzyjaciel i kogo uderzyć, bo jeździli między sobą, a nie znali się; który którego napadł, to się wprzód pytali: „ty z którego wojska?“ „A ty z którego?“ Jeżeli przeciwnicy, to; „bijmy się.“ „Jedź do diabła.“ „Jedź też ty do dwóch.“ I tak sobie dali pokój. A jeżeli znajomy na znajomego napadł, to się powitali i rozjechali; było bowiem tak, że jeden brat zostawał przy królu, a drugi przy Lubomirskim; ojciec tam, syn tu; nie wiedziano zatem, jak się bić; prawda, że oni

mieli znaki, to jest lewą rękę chustką związaną, aleśmy to nierychło postrzegli. Ja też, skoro poczęto bardzo golić, przewiązałem sobie rękę nad łokciem i nie bardzo od nich stroniłem. Poznali mię z daleka i wołają: „a nasz, czy nie nasz?“ Podniosłem rękę z chustką i mówię: „wasz!“ Oni rzekli: „o francie! nie nasz; jedź sobie, albo sprzedaj się do nas.“ Ale po wszystkićj okazji przyjechał z boku towarzysz z tamtego wojska, a Czop, pułkownik kozacki, stoi na koniu i nie strzeże się go, rozumiejąc, że swój; ów pomalusienuk człapiąc, przyjechał do niego, strzelił mu w ucho z pistoletu i zabił. Taka wojna zdradliwa, kiedy to tenże sam strój i taż moda. Bogdajby do tego w naszćj Polsce więćj nie przyszło! Wyjechałem za przeprawę do naszych szyków, aż tu król stoi; obstąpiono go, a on ręce łamie i turbuje się. Już też wtenczas szczerze był fraso-bliwy. Posłał do Lubomirskiego, żeby mu dał pole wstępnyu bojem, ale Lubomirski odpowiedział na to, „że on tylko, jako ukrzywdzony, bronić się musi jak może; że tćj krwi niewinnćj, którą oplakiwać musi, nie on przyczyną, ale sam król jmc i ci dobrzy doradcy, którzy go do tego przywiedli, żeby zgubili ojczyznę matkę, ale jednak, dla dobra rzeczypospolitćj, pozwala na palczyński traktat, wyjąwszy niektóre punkta, króla przeprosi, lubo go nie rozgniewał, i pokuty gotów się podjąć, byle nie była szkodliwa jego i domu jego reputacyi.“ I tak właśnie, jakom już napisał, tym trybem znowu nam począł uciekać, a my znowu gonić do koła po Polsce. A wioski trzeszczą, ubodzy ludzie płaczą, aż nakoniec biskupi, senatorowie, perswadują królowi, żeby się użalił ojczyzny, widząc, że to snąć Bogu się nie podoba, kiedy szczęścia nie masz. Wysładzono tedy kommissarzów, wkroczo no w traktat, ale, po staremu, te rzeczy robiono goniąc się, aż dopiero dla dokończenia stanął król obozem pod Łęgonicami, w województwie rawskićm; tam kommissarze Lubomirskiego przyjechali do naszego obozu pod Łęgonice, i tam dopiero postanowiono kondycye i podpisano z obydwóch stron, jednak z wielkićm oburzeniem ludzi wielkich, na ten akt zgromadzonych, senatorów i różnyh ludzi godnyh. Ale wracam jeszcze do materyi o tćj nieszczęsnćj, już namienio-

nej, montewskiej wojnie. Nazajutrz po tej wojnie nieszczęsnej, poszedłem do namiotów królewskich, i stoimy, różnie gadając, aż król wyszedł z tego namiotu, który nazywali gabinetem. Skłoniliśmy się więc wszyscy jako panu, aż on do mnie rzekł: „nie masz twego rotmistrza (Czarnieckiego), bo byłoby tu wszystko inaczej.“ Ja odpowiadam: „miłościwy Panie, gdyby go nam Bóg nie był zabrał, nie tylko do tej nieszczęśliwości i tak niewinnej krwi rozlania, ale i do podniesienia szabel na karki swoje, nie byłoby przyszło Polakom.“ Rzuciły się lzy z oczów królowi, właśnie jak kiedy grochu spuszcza się ziarno po ziarnie; wrócił się nazad, skąd wyszedł, a książdz Wojnał, już ubrany, stał z godzinę, czekając go ze mszą, Król przez całą mszę nic nie mówił pacierza, tylko klęczał na wezgłowie aksamitnym i wzdychał. Żal mu było owych ludzi zginionych, gryzło go sumnienie, a oprócz tego konfuzya sama i ochota wszystkich przeciw jego królewskiej powadze. Widział pan, że przewrotna tych doradców rada, zły mu też skutek jego zawziętych przyniosła zamysłów, bo musiała go bardzo hańbić, bardziej niżeli wszystkie inne wojny i nieszczęśliwości, i to go do desperacyi, a potem i do abdykacyi przywiodło, ponieważ mawiał często: „już prędzej wolnej głowy mieć nie będę, aż ją kapturem nakryję.“ Kogo tylko zobaczył z żołnierzów Czarnieckiego, zaraz go wspominał, wzdychając. Jakoż był też to człowiek i senator zacny, prawdę mówiący, żołnierz nieoszacowany w okazyach i wódz szczęśliwy. Żałował go król i wojsko całe, a nawet ci sami, co z nami wojowali, i zazdrościli mu sławy. I do tej wojny domowej i krwi rozlania nie byłoby przyszło z wielu przyczyn, a nadewszystko, żeby się był Lubomirski na króla nie porwał, ale samą tylko nadrabiałby był pokorą. Jak go zaś Pan Bóg wziął, zaraz się wszystko zamieszało i w Ukrainie i w Polsce. Z jawną przeciwko samemu Bogu każdy taki wyuzdałby się niewdzięcznością, kto by między innymi dobroczynnymi faworami, tego też z osobliwem dziękczynieniem nie miał przyjmować, kiedy na zaszczyt takiego Bóg wzbudzi kawalera, za którego głową utrapiona ojczyzna na oba uszy zasypiać może, i swój, na którą przez wiele set lat pra-

cowicie robiła, zażywać swobody. Szczyciła się Italia swym Emiliuszem, że za całość jej zastawiając się odważnie na placu, został od Penów porażony. Z słońcem zrównała Grecya sławę Protessylausa swego, że podobnym, jako i tamten sposobem, nie żalując krwi i zdrowia swego, zabity został od wojska frygijskiego. Czémże my najbardziej mamy dziękować Bogu za naszego Czarnieckiego, któremu we wszystkich okazjach tak łaskawej użyzył protekcyi, że go z ciężkich terminów swoją zawsze dźwigał ręką, wielkie i znaczne, choć z małą garścią wojska, dając mu zwycięstwa nad nieprzyjacielem, a nadto, że go od śmiertelnego zachował szwanku, kiedy pełen dni, łagodną śmiercią z tego powołany świata. Niech czyje herbowne za rzeczpospolitą zastawiają się miecze, niech ostre kopije nieprzyjacielowi dają odpór, niech czule lwy strzegą ojczyzny, niech pilnują topory sprawiedliwości, niech depcą hardość rebeliantów podkowy, herbowna twoja nawa więcj zasłużyła się światu, niżeli owa, która Jazonowi złote z Kolchidy przyniosła runo. Ojczyzna nasza miała szczęśliwszego od Epaminondów i Scypionów wodza, bitniejszego i odważniejszego od Hektorów wojownika, Alexandrom równającego się zwycięzcę, i sprawiedliwie go nie odżałuje. Niech będzie z Kaukazu krzemieniste serce i rodopejskiej twardością równające się skale, kto na jego wojenne zapatrywał się czyny, nie podobna, aby teraz na wdzięczne jego nie miał zapłakać wspomnienie. Ja przyznam się, że bez mała zawziętej nie rzucam szarży, którą do śmierci pod dobrym wodzem kontynuować postanowiłem, bo nauczywszy się zwyciężać, ciężkibyto był termin, być zwyciężonym; nauczywszy się z młodości zawsze gonić, przykrochy to na starość było uciekać, a za straceniem dobrego wodza, za odmianą regimentarza, zwykło się już i szczęście mienić, jako już mamy próbę owego niezwyciężonego regimentu, który tak okrutne wytrzymując ognie, tak wielkie wygrywając okazyje, teraz na domowej wojnie jako bańka na wodzie zginął. Siła nas będzie takich, i podobno rzadko się kto z jego palestry obierze, ktoby nie wolał Bellonę pożegnać, a do Cerery się udać. Miłażto jest wojna pod dobrym wodzem, by i najcięższe ponosić prace i przykro-

ści; nie straszne są rzeczy ochotnemu sercu, przez ognie i miecze, przez srogie burze i nawałności, za dobrym przywódzcą piąć się ku celowi dobrej sławy. Przez to ma Scywola wielką u świata reputacyą, że z swojej własnej ręki czynił sprawiedliwość o to, że ojczystego nieprzyjaciela niedoskonałym umiarkowała sztychem; umiał ten wódz tak swoją ręką działać, że nigdy na karanie nie zarobiła, bo rzadko temu nieprzyjacielowi na zdrowie, którego ona swoim dosięgła żelazem. Już minęło tyle wieków, jako Cynogirus na owę zarobił sobie sławę, która i teraz w częstym u ludzi jest wspomnianiu, że nieprzyjacielską nawę zębami chwycił; nierównie świeższe tego zacnego rycerza widzi świat zasługi, kiedy nieprzyjacielskie strzały ustami odbierając, wystrzelone podniebienie srebrną do śmierci szpuntował blachą, gdyż inaczej, kiedy mu ją do przemycania wyjęto, słowa jednego przemówić nie mógł. O Boże, siłażby na to papieru nie wyszło, ktoby Czarnieckiego z młodych zaraz lat odwagi kawalerskie i dzieła chciał wypisać należycie! Czegom się sam oczyma swemi napatrzył, a o młodszych zaś jego latach od starych żołnierzy nasłuchał, że to i kilka razy na dzień temu polskiemu Hektorowi zginąć potrzeba było, bo jako bitnego Gradywa syn, zaraz z młodu nie jako Parys delikatnym złotym, ale marsowym twardym zdobił skronie szyszakiem; nie w syryjskim jedwabiu, albo w sydońskiej purpurze, ale w hartownym pancerzu swoje miał upodobanie; nie śmierć go, ale on ochotnie zawsze szukał śmierci, słuchając w tym perswazyi Seneki: „Ponieważ nie jest pewną rzeczą, w którym miejscu śmierć na cię czeka, ty oczekuj jój w każdym miejscu.“ Szukał jój z młodych zaraz lat w czeskich i niemieckich prowincyach, u rodzzonego swego brata chorągiew nosząc; szukał jój w tatarskich, wołoskich, multańskich, węgierskich, kozackich, moskiewskich, szwedzkich, pruskich, duńskich, olszackich państwach, i za Dnieprem, za Wołgą, za Odrą, za Elbą i za morzem, wszędzie ochotnie za całość ojczyzny swoje ofiarując zdrowie; a jednak śmierć nie porwie się na tego, kogo Bóg w swojej zachowuje protekcyi i do dalszej majestatu swego boskiego i ojczyzny usługi. Samę tylko szwedzką wojnę wzięwszy przed oczy, jako ją wła-

sném męstwem i radą utrzymał, kiedy w owych zdesperowanych okazyach na imię króla, pana swego, w małej garści wojska pokazał się nieprzyjacielowi na oko, ojczyźnie już konającej stał się pożądanym Bajardem i zbuntowanych szczęśliwie do posłuszeństwa panu przywrócił; tyrana szwedzkiego z ojczyzny wygnał, i jeszcze go za morzem w jego domu szukał. Odznaczył się także i w moskiewskich wyprawach, o których nie piszę, bo to nie kronika, ale tylko opis życia mego. Nigdy Czarniecki nie wynosił się z swoich czynów, ale te lasce Bogu i rządcy swemu im bardziej przypisywał, tém więcej od Boga pomyslnych odbierał szczęśliwości. Sławna jest Herkulesowa siła, ale piszą, że go Thetys w takich kąpała wódkach, aby mu żadne nie szkodziły oręże. Opisują historye Hektora, że w potrzebie ojczyzny swojej, rzeczypospolitej trojańskiej, tak potężnie stawał i zwyciężał. Nie może się Rzym nachwalić Scypionowego męstwa, że na rzecz rzeczypospolitej zawojuował Afrykę, ale to wtenczas było, kiedy żołnierze kamykami na siebie rzucali, teraz zaś tym samym sławnym nanczas wodzom, gdyby powstałi z martwych, podobnoby się przykrzejsza widziała wojowania maniera, kiedy to z kilkudziesiąt tysięcy samopalców zakurzą pod nos, kiedy to z kartanu jako cebrzyk kula zapruszy oczy, że i diabeł sam, choć jest ciekawy, nie ma czasu, jako zwykł, pokazać się człowiekowi przy śmierci, kiedy to owe petardy, owe bomby, owe kartacze i tak wiele innych na zgubę mizernego człowieka wymyślonych narzędzi, igrać poczną. Podobnoby i owi dawni sławni rycerze nie wyrównali terazniejszym. Kochany nasz wódz już z temi wszystkimi rozumiał się inwencyami, umiał zawsze zwyciężyć, umiał je konserwować, a choć też czasem i nadwerężył, umiał je naprawić i chlebem nakarmić. Już więc złote lata twardém przedzierzgnęły się żelazem, kiedy dom radości i nadziei naszych, w gorzkie obrócił się nam łzy, takiego postradawszy hetmana i senatora. Aleć imię wodza naszego żyje jako ozdoba świata enocie i wieczności, lubo zapłacił dług śmiertelności. Zbyliśmy kawalera takiego, jakiego podobno nie zaraz Polska obaczy. Płacze Polska senatora, Mars Hektora, wdzięczne tylko imienia jego w sercach naszych

pozostało wspomnienie i sława. || Wracam nareszcie zagnione za pochwałą Czarnieckiego pióro do traktatu legońskiego, który stanął taki:

„Deklaracya łaski jego królewskiej mości

tak obywatelom województw: krakowskiego, poznańskiego, sandomierskiego, kaliskiego, sieradzkiego i łęczyckiego, razem zgromadzonych, jako téż urodzonemu Jerzemu Lubomirskiemu, na Wiśniczu i Jarosławiu hrabiemu, dana, przez przewielebnych w Bogu, wielebnych, wielmożnych i urodzonych: „Andrzeja Trzebickiego, biskupa krakowskiego; Mikołaja na Prażmowie Prażmowskiego, nominata, arcybiskupa gnieźnieńskiego, łuckiego, kanclerza w. kor.; Leżeńskiego, biskupa chełmskiego; Stanisława Potockiego, wojewodę krakowskiego; Michała Stanisławskiego, wojewodę kijowskiego; Krzysztofa Żegockiego, wojewodę inowrocławskiego; Stanisława Jabłonowskiego, wojewodę ruskiego; Michała Kazimierza Paca, wojewodę smoleńskiego, hetmana polnego w. ks. litewskiego; Ludwika Alexandra Niezabitońskiego, sandeckiego, Piotra Przyjemskiego, śremskiego, Stanisława Jaskulskiego, sanockiego, Marcina z Rudek Jarzynę, sochaczewskiego, kasztelanów; Jana Sobieskiego, marszałka koronnego i hetmana polnego koronnego; Krzysztofa Paca, kanclerza w. ks. litewsk.; Jana Branickiego, marszałka nadwornego; Wacława Leszczyńskiego, krajczego koronnego; Jana Gnińskiego, podkomorzego pomorskiego; Jana Szumowskiego, starostę opoczyńskiego; kommissarzów jego królewskiej mości imieniem, zawarta roku pańsk. 1666.

„Chcąc i tego usilnie pragnąc jego królew. mość, aby dawna i z kluby swój wypadła wróciła się i wkorzeniła, tak jego król. mości ku wiernym poddanym swoim, jako téż i poddanych wzajemnie naprzeciwko jego królew. mości, miłość i podufałość, umyślił jego królew. mość z szczerego chrześciańskiego serca wszystkie przeciwko majestatu swemu do dnia dzisiejszego wynikłe urazy odpuścić, jakoż one miłościwie odpuszcza, i, dla dobra ojczyzny, daruje, i wieczną amnestyą, albo raczej niepamięcią, pokryć chce i pokrywa. Tenże swój ojcowski umysł przez prawa

na blisko-przyszłym sejmie wykonać chce, i jest gotów amnestyą, którać generalna i ogólna ma być i tak doskonała, jakoby wszystko w sobie zawierała, cokolwiek z obydwóch stron pretensyj wynikać mogło i do gruntownego uspokojenia należało, do czego, żeby z tego miejsca sposób się podał do doskonałego napisania i złożenia tych, nazywa jego królew. mość przewielebnych, wielebnych i urodzonych kommissarzów swoich, według których konceptu tu napisana, na blisko-przyszłym sejmie w zbiór praw wpisana być ma, i od stanów wszystkich przyjęta, tak jego król. mość starania przyłoży, jako téż i województwa, posłom od powiatów i ziem wyprawionym seryo przez artykuły sejmikowe zleca. Téż łaskawość swoją ojcowską wiernym poddanym swoim wyświadczyć usiłując, te ich próśby, które za słuszne uznał, do nich się przychyłając, taką na nie dać raczył przez przewielebnych, wielebnych i urodzonych kommissarzów swych deklaracją.

„Naprzód, po rozwiązanym według niżej opisanego związku i po wypełnieniu kondycyj w téj deklaracji swojej wyrażonych, wojska swoje tak koronne, jako i w. ks. litewsk., do granic, na zaszczyt ojczyzny, wyprawi jego królewska mość.

„Zalogi, wyjąwszy te, których miejsca same potrzebować będą (na których osiadłą szlachtę osadzać), z fortec sprowadzi, i krzywdy, jeżeli są jakie poczynione przez kommandantów, przy kommissarzach swych uzna i nagrodzi.

„Mennic obudwu, tak tynfowej srebrnej w koronie, jako i szelążnej w w. ks. litewskiém, do początku sejmu blisko-przyszłego, (który w ostatnich dniach Października, wyjąwszy, gdy pewna przeszkoda zajdzie, złożyć ma wolą) zawarcie odkłada, ażeby do słusznego waloru téż monety zredukowane były, naradzi się z rzeszapospolitą.

„Rozbieranie wojsk na placę województw na przyszłe sejmiki przedsejmowe, przykładem pierwszych instrukcyj podać rozkaże jego król. mość i w propozycjach na sejm zaleci, co i przewielebni, wielebni i urodzeni kommissarze wspólnie z województwy popierać będą. Dla czego wielmożni hetmani koronni przed decyzją sejmu, z rozdaniem hibernowego zatrzymają się i na werbunki patentów wydawać nie będą, pod obowiązkiem obecnego układu.

„Rotmistrzów zaś, szlachtę osiadłą w województwie i ziem, podawać będą jego królewskiej mości za rekomendacją województwa swego.

„Prawo o obrażeniu majestatu królewskiego, w czém się będzie zdało rzeczypospolitéj, poprawić jego król. mość pozwala.

„Pozwala także jego król. mość, aby na sejmie przyszłym kondemnaty w trybunalnych sądach, tak w koronie, to jest w Piotrkowie i Lublinie, jako téż w wielkiem księstwie litewskim, na kimkolwiek, także na wojskowych otrzymane prawem publiczném, były zniesione.

„To tak dla uspokojenia wspólnej ojczyzny poddanym swoim wyświadczywszy, żeby wzajem od pomienionych obywateli tąż miłością, którą zawsze te narody ku panom swoim sływały, został ubezpieczony i upewniony jego król. mość, jako wszystkie swoje dla dobra tej ojczyzny darować raczył urazy, tak miłociwie do przeproszenia swego wszystkich zgromadzonych urzędników i deputatów przypuścić ma.

„Przypuszcza do tegoż przeproszenia i urodzonego Jerzego Lubomirskiego, jako tego, który odstąpiwszy wszystkich pretensyj swoich, na łaskę się jego król. mości przez województwa pomienione i wojsko związkowe całe zdał, i odtąd w statecznej przeciwko jego król. mości wierności zostawać przyrzeka i w posłuszeństwie jego królew. mości, i którego wspomniona amnestya okrywa. A to przeproszenie uczynić będzie powinien publicznie, natenczas gdy mu król jegomość miejsce naznaczy.

„Za granicę, albo tam, gdzie wola jego król. mości będzie, do czasu, przez jego król. mość zamierzonego, wyjechać, i tam spokojnie zostawać ma, co sobie, jako i inne dobroczynności, do dalszego wyświadczenia temuż urodzonemu Lubomirskiemu jego król. mość w mocy swój zostawuje.

„Też łaskawość swoją jego król. mość wyświadczając wojsku, w związku będącemu, jak tylko związku się wyrzekną, spiski wszelkie, tak między samymi, jako téż urodzonym Lubomirskim i urodzonymi obywatelami województw zniweczą, do przeproszenia przez starszyzną do-

puścić obiecują, i do wypełnienia tego wszystkiego równo z obywatelami województw przysięgą się zobowiązają.

„Amnestya zaś i od wyliczenia trzech ćwierci zapewnienie, żeby temuż wojsku żadnej wątpliwości nie czyniła, nie będą powinni wielmożni hetmani koronni chorągwi żadnych, w służbie rzeczypospolitej zostających, zwijać póty, póki sejmu, da Pan Bóg, przyszłego, amnestya dana i zapłata na województwa podzielona nie będzie. Jako jednak wszystko wojsko pod władzę wielmożnych hetmanów swoich iść natychmiast po przeproszeniu jego król. mości obowiązuje się, tak chorągwie wszystkie do rotmistrzów i pułkowników swoich w tenże czas powrócić powinny będą. Miejsce zaś czekania wojsku wszystkiemu, już pod posłuszeństwo złąconemu, do wyliczenia trzech ćwierci, od województw assekurowanych, których płaca z sejmików dnia 16. Sierpnia złożonych, na dzień 15. Września wystawiona być powinna, w decyzji jego król. mości i w dyspozycyi wielm. hetmanów zostawać ma, przed których odebraniem ruszać ich z naznaczonego miejsca do prac wojennych nie będą, wyjąwszy w nagłej potrzebie, a deputatów swych do wyliczenia przerzeczonych ćwierci, za assygnacyami skarbowemi do województw, natychmiast zostawią, ostatek zapłaty za ćwierci, które wojsko likwiduje, do trzymania sejmowego jego król. mość zostawuje.“

(Potém nastąpiła powszechna amnestya, którą tu, że jest skąd inąd znana, opuszczam).

Po skończonym i podpisanym traktacie ruszyliśmy się z pod Łęgonic ku Radomiu, bo téż i Lubomirski był nad Wisłą. Przyszliśmy pod Jaroszyn; tam dopiero naznaczono miejsce panu Lubomirskiemu do przeproszenia i poprzysiężenia postanowionego traktatu. Przyjechał tedy w kilka set towarzystwa i starszyny do obozu. Dwie tylko chorągwie pancerne królewskie stały w placowej straży, a inne wojsko było po swoich szałasach; do namiotów jednak królewskich naschodziło się siła kompanij widzieć tę ceremonią. Gdy Lubomirski wszedł do namiotu, przemowę skończywszy, i już przysięgać miał, zaraz wszystkie płoty u namiotów opuszczono, aby wszyscy mogli widzieć. Po skończonej tedy ceremonii pojechał król do Warszawy,

a pan Lubomirski wybierał się do Janowca na owo wygnanie za granicę. Jednak tam nieszczęśliwie wyjechał, gdyż umarł w Wrocławiu, ale umarł dobrowolnie, na ból tylko głowy narzekając, i tak mówiąc: „kto głową robi, na głowę umierać musi.“ Tylko, że to był zamieształ rzeczpospolitę, dla tego jedni go żalowali, drudzy cieszyli się z jego śmierci. Aleć potem i hetman wielki Potocki podziękował temu światu, śnać, że to królowa Ludwika, jako pierwsza głowa owych wszystkich facyj Kondeuszowskich, potrzebowała na wjazd swój do nieba assystencyi, zaprosiwszy z sobą hetmanów, a potem nie zadługo i owego ślepego doradcę, najwierniejszego swoich facyj pomocnika; później i innych wielu powędrowało za królową, aby się sprawić na tantym strasznym trybunale.

Skończył się więc rok ten z wielką mizeryą i uciskiem ślachty i ubogiego poddaństwa, a oni się pogodzili między sobą, na wieczne milczenie, przez amnestyą i już nikt gęby nie śmiał rozdziawić o krzywdy poniesione, ani się do prawa udawać, bo zaraz oczy zarzucano amnestyą, że to już wszystko okrywać powinna. A czyż nie lepsza to rzecz była pogodzić się, nie rozlewając tak wiele krwi ludzkiej, nie pustosząc ubogiej ojczyzny, i moglibyśmy byli co dobrego zrobić z nieprzyjacielem koronnym i wiosek niebylibyśmy spustoszyli, i ci ludzie, których ta wojna strawiła, przygodziliby się byli na inną rzeczypospolitę potrzebę, a nadewszystko Pana Boga nie bylibyśmy rozgniewali.

R o k 1667.

Przyjechałem do rodziców, do Węgrzynowic, na całą zimę; tam obcowałem często z panem Lipskim, wojewodą rawskim, i z panem Śladkowskim, kasztelanem sochaczewskim, i tym obu panom tak skłoniłem do mnie serce, że obadwaj życzyli mię sobie postanowić w domu swoim. Wojewoda upodobał mię z jednéj mowy na sejmiku elekcyjnym podkomorzego i na jego samego wjeździe na województwo, i znowu potem, kiedym kilka razy marszałkował na sejmikach, stąd mi przyznawał jakąś czynność i kochał mię bardzo, bo przecie i w wojsku służąc, kiedym przy-

jechał do ojca, a sejmik nastąpił, nigdy tego nie omieszkałem, lecz owszem przysłużyłem się komu, i czasem kazali mi sobie marszałkować, a czasem też zdarzyła mi się ta usługa, która się ludziom podobała; z tej tedy racyi miałem u nich zachowanie. Na sejmiku przedsejmowym, podczas amnestyi pana Lubomirskiego w roku przeszłym, marszałkowałem; w tym znowu roku także na sejmiku przedsejmowym, który był w Lutym w Rawie, marszałkowałem, i koniecznie chcieli, żebym i posłował, alem się wymówił tém, że mi ojciec, (który też był na tym sejmiku), odmówił kosztu, a tam trzeba się było pokazać. Posłowali natenczas: Adam Nowomiejski, wice-instygator koronny, i Anzelm Piekarski, cześnik rawski, którym dałem instrukcyą z artykułami dosyć ostrożnemi i do materyi sejmu tego stosownemi. Główniejsze z tych artykułów były następujące: aby posłowie podziękowali najjaśniejszemu panu za jego troskliwość o rzeczpospolitą, iż po trzech zerwanych sejmach składa czwarty; aby wynaleźli sposób kończenia sejmów; aby na potrzeby rzeczypospolitej klejnoty koronne zastawione zostały; aby wojsku zaległy żołd oddano; że mennica, która już zawarta była, i znowu bez konsensu rzeczypospolitej otworzona, starać się będą posłowie, aby natychmiast zawarta była i stęple popsowane; dopominać się przytém posłowie będą, żeby posłów i rezydentów cudzoziemskich, którzy się u nas tak bardzo umieszkali, odwołano; posłów prywatnych, bez zezwolenia stanów, żeby do postronnych narodów nie posyłać, domówić się mają posłowie. Reszta wiadomą jest z akt publicznych.

Na kilka niedziel przed tym sejmikiem dali mi komornikostwo, którego ja nie akceptowałem, ale to we mnie wmówili wojewoda z wice-instygatorem koronnym, powiadając, że to jest wstęp do wyższych honorów, które mi w województwie obiecywali z przyrzeczeniem uroczystém, byłem tylko nie oddalał się od nich, a teraz, że dla samego głosu na sejmiku, żeby się go prędzej doczekać, niżeli ci, co bez urzędu są, bo oni mię chcieli bardzo dźwigać promocyami, takie swoje życzliwe przeciwko mnie powiadając chęci: że u nas urośniesz do trzech lat najdalej. Posyłali mię w poselstwie do króla, do arcybiskupa, do bi-

skupa kujawskiego, co zawsze było z dobrą reputacją i jużby mię byli do większych rzeczy zażywali. Chciał mię tedy wojewoda żenić z R.....ską, a Śładkowski zaś, chorąży natenczas rawski, potem kasztelan sochaczewski, gwałtem mię ciągnął do panny Śładkowskiej, dziedziczki i jedynaczki, która miała wieś, Bożawolą nazwaną, w ziemi sochaczewskiej, bez najmniejszego długu, za którą wieś dał ojciec jój 70,000 wtenczas, kiedy czerwone złote były po złotych 6, talary po 3. Obadwaj zatem psowali domowych konkurencyj fantazyą. Śładkowski powiadał na tamtę, »że miała matkę swawolną występnicę, więc i sama taką być może;« wojewoda zaś powiadał na Śładkowską: »cóżto, że ma siedmdziesiąt tysięcy, kiedy sama pauna ma niektóre wady, a osobliwie, zła jako jaszczurka, i bez mała nie podpija, a tobie trzeba upatrywać, żeby była z dobremi obyczajami; żalby się Boże ciebie tam! A to tak, jeźlić się R.....ska nie podoba, jeszcze ja z tobą rozmaicie o tém pomówię, a żenić ci się z Śładkowską nie dam.« Jam tych rzeczy słuchał właśnie tak, jak kiedy owo na dwa chóry muzyka gra, i ta pięknie, i ta pięknie, bardziej mi się jednak serce chwytalo Śładkowskiej, boto tam o jój wiosce powiadali, że nietylko pszenica, ale i cybula w polu na każdym zagonie, gdzie ją wsiejesz, urodzi się, a mnie téż bardziej apetyt pociągał do tłustej roli, niżeli do gołych pieniędzy. Już mię natenczas obadwa z oka nie spuścili; jak mię więc pochwycili, musiałem i po trzy i cztery niedziele mieszkać u nich. Jeźelim téż do rodziców przyjechał, to zaraz był poseł od tego, u którego dawniej byłem, bo publiczki żadnej bezemnie nie odprawiali. Wójewoda wydawał córkę do klasztoru w Warszawie, późniój wydawał drugą za Guzikowskiego, starościca warszawskiego, i tam ja musiałem być po weselach i przenosinach, bo prawie mię już miał za swego.

Podczas ostatków zapustnych wydawał pan Jan Patrykowski pasierbicę swoją za pana Macieja Patrykowskiego w Glinniku. Pan młody, że mi był krewny, prosił mię więc, abym mu družbił. Pojechałem tedy na owo wesele, a o tém nie wiedziałem, że ludzie mnie samemu wesele gotowali, a to takim sposobem: Pan Śładkowski, terazniejszy

kasztelan ziemi sochaczewskiej, nie mówiąc zemną o tém, sprowadza do siebie na ostatki pannę z matką i ojczymem, panem Wilkowskim; mnie tylko po prostu prosił, ażebym z nim zapust zakończył, o bytności panny i o swojej intencji nic mi nie powiadając. Ja prawda, żem się obiecał uczynić jego wolą, i musiałem przyzwolić na to, myśląc sobie, że zaś potém przeproszę Śladkowskiego o niedotrzymanie słowa. Pojechałem więc z nimi do Ossowa, a stamtąd na wesele. Pan Śladkowski, o tém nic nie wiedząc, spodziewał się, że będę. Posyła umyślnie do Glinnika z listem, prosząc mię, żebym przyjechał, a, po staremu, nie pisze o swojej intencji, że zaraz chce przyspieszyć mój ślub, że z matką już postanowił, i że ksiądz jest, co bez zapowiedzi miał dać ślub. Żadnym sposobem moi bracia Chociwscy nie dali słowa na to rzec, deklarując: »choćbyś się na nas porywał, to cię dziś nie puścimy, bośmy cię bliżsi, ale jutro pojedziesz, a dzisiejszy dzień daruj nam.« Nie mogło tedy być tylko tak, bo i konie i wszystko pochowano, a tu posel za posłem bieży, że i dzień zszedł. Samym wieczorem przyszedł list od pani Myszkowskiej do mnie, gdzie mi wypisuje samę rzecz szczerze i oznajmuje: »że mężowi na mnie gniewno, gdyż taką miał intencją, żeby cię w wstępną srodę panem młodym nazywano, a teraz żałośny, że jego affektem gardzisz.« On list pierwój Chociwscy odebrali, a obaczywszy białogłowski charakter, tém bardziej chcieli się dowiedzieć jakiej skrytości i odpieczętowali go, a przeczytawszy, rzecze Floryan Chociwski: »a już go téż teraz nie utrzymamy, ba, po prostu mówiąc, i zatrzymywać się go nie godzi w takich rzeczach, boto chodzi o przyjaźni zachowanie; zaledwie i sam z nim nie pojedę.« Takto u mnie fortuna jak as była chwytniwa i gorąca, że się temu i ludzie dziwili, a, po staremu, postanowienie nie mogło być ani lepsze, ani gorsze, jeno takie, jak Pan Bóg chciał. Nazajutrz, podziękowawszy wszystkim, już było popołudniu, gdy skoczyłem wielką rysią, a czasem i na cwał, widząc, że wieczór. Nie ujechałem i pół mili, a tu począł się kurzyć śnieg i potém się zmierzchno. Przyjechałem tedy, zsiadę z konia, aż już rybną wieczercę noszą i już świta; drudzy goście spali i pannin ojczym, pan

Wilkowski. Obaczą mnie oboje, gniewliwi; ja powiadam: »ta jest przyczyna, żeście mi w pierwszym liście nie wypisali szczerze, ostatni też list przejęto i nie oddano, aż już gdym wyjechał ze wsi.« Dopiero trochę ochłodli, bo zaraz uznali, że to nie uczynił na żadną wzgardę; miałem też z sobą gębę i konceptów podostatkiem, któremi ich ukontentowałem, i mówię: »Moje zacne państwo! łaska, którąście mi mieli dziś wyświadczyć, przygodzi mi się i jutro; wszakto nie nowalia i w wstępną środę wesele, a zwłaszcza kiedy mamy pralata nieskrupulata, który biskupa się nie boi.« Już była poczęła przypadać na to pani kasztelanowa, ba natenczas jeszcze chorążyna, ale sam deklarowałem, że to teraz być nie może i odłożyć to trzeba do Maja. Jakci odesłano do Maja, to się rozchwiało po gaju, bo znać, że tego Pan Bóg nie chciał, jak to zaś i sama dama wymówiła na pewnym weselu: »że lubo była wola boża, a przecie nie było woli bożej.« Skoro tedy przyszedł Maj, pan Śladkowski był posłem w Warszawie; matka też panie umarła, i tak się owa impreza zwlekła. »Człowiek proponuje, Bóg dysponuje.« Lubomirski potem umarł, hetman Potocki umarł, kommissya lwowska nastąpiła, a tymczasem, że owa impreza poszła w odwołkę, pan Jędrzej Remiszowski, mając za sobą Paskównę, siostrę moję stryjeczną, począł mi rać, (jako zwyczajnie swój swemu,) rodziną swoję, Remiszowską, z domu Stanisława Remiszowskiego córkę, i namawiał mię, żeby jechać w krakowskie, a potem dopiero, jeżeli się będzie zdała ta okazyja, o dalszych terminach radzić. Miałem to tedy na pamięci, a tymczasem skończyła się lwowska kommissya. Namówił mię, żeśmy pojechali w krakowskie. Pojechał pan Remiszowski do Olszówki, pod Włodzisław, do siostry swojój, ja zaś do wuja mego, pana Wojciecha Chociwskiego; stamtąd wzięwszy z sobą wuja i syna jego, umyśliłem sobie: »nie damy za to nic, choć téj wdowie przypatrzemy się; wszak mam inną okazyją gotową, jeżeli się ta nie będzie zdała, bo panny Śladkowskiej pewnie przedemną nikt nie weźmie.« Przyjechaliśmy do Olszówki w sam dzień Najświęt. Panny Maryi, zażywszy nabożeństwa u obrazu cudownego Najświętszj Panny. Przybyliśmy zaś bez muzyki, żeby się

to nie znaczyło, że w zaloty, aleć uznawszy szczerą inklinacją, i że strona gospodarza poczęła się przymawiać o muzykę, posłałem dopiero po muzykantów do Włodzisławia, których wnet przyprowadzono. Dopieroż w taniec. Pyta mię wuj: »a cóż, podobała ci się ta wdowa?« Odpowiedziałem: »bardzo mi się jój serce chwyciło; gdyby można mówić z nią dziś i wyrozumieć, jakim mi jest przyjacielem.« Odpowie wuj: »mówić z nią dziś nie jest moda, boto pierwszy dzień, ale co o przyjaźni, już ja zrozumiałem, że ci jest przyjacielem, bo ja białogłową zaraz zrozumieć, kogo upodoba, choćy do niego i słowa nie mówiła; możesz tu nie powątpiewać w tój okazji, jeżeli się samemu podoba; pewnie cię widzę nie minie; jakoż i gardzić nie masz czém, bo białogłowa poczciwa, gospodyni dobra, w domu porządek i dostatek wszelki; te wioski, coto trzyma, prawda, że to jest aręda, ale ona ma pieniądze i na Smogorzewie dożywocie. Luboć to tam uwięzili w rękach rodzonego dziecinnego stryja, u pana Jana Ł....., człowieka z głową niespokojną, ale ja o ciebie się nie frasuję, bo będziesz umiał z nim postąpić. Ponieważ ci tu Pan Bóg skłonił serce, to więc w tём jest święta wola jego, a jutro, da Pan Bóg doczekać, traktować o tём będę.« Po tych rozmowach poszedłem z nią do tańca, a przetańczywszy, usiadłem obok niój; już mi się też i podobała, a że to z młodu była gładka, mnie się też i natenczas jeszcze widziała młoda, i nigdybym nie rzekł, żeby miała 46 lat, czegom potem doszedł, gdym się z nią ożenił, a ja wnosiłem, że nie ma nad 30 lat; druga racya cieszyła mię, że widział córeczkę ostatnią, Marysię, we dwóch latach, i miałem nadzieję, że też jeszcze i dla mnie da Pan Bóg jakie chłopczysko, jakoż byłoby i było, gdyby nie ludzka złość, bo była wieść, że jój coś uczyniono, aby więcej nie miała potomstwa; znaleźliśmy nawet w łóżku różne rzeczy, i ja sam znalazłem kilka spruchniałych sztuk z trumny. Z mego własnego doświadczenia daję każdemu napomnienie, kto to czytać będzie, że gdy się z wdową ożeni, przedewszystkiém starać się o to powinien, aby żadnej białogłowy, krewnej dziecinnój, nie trzymać przy sobie, i owszem zaraz to z domu wyposażyć, bo u nas tego pełno było, i to nas też

zdradziło. Ale temu dawszy pokój i na Pana Boga się spuściwszy, wracam się do owego z wdową komplementu. Mówię do niej te słowa: »Moja mościa pani! Sam w domu waćpani prezentuję się komplementem, ale tylko za rekwizycją jmé pana rodzzonego waćpani wstąpiłem na czas krótki ukłonić się waćpani, aleć tak mi się tu upodobała pasza, żebym za jedną strawę przyjął służbę do gód, a za dobrém wynagrodzeniem i na dalsze nie wymówiłbym się czasy. Jeżeliby na cokolwiek przygodziła się usługa moja waćpani, sam się dobrowolnie z tą odzywam ochotą. Bo krwawemi Marsa nasyciwszy się zabawami, już téż potrzebniejszą ku starości radbym znalazł szarzę, tojest, chciałbym się uczyć ekonomiki przy dobrej jakiej gospodyni, przystawszy za parobka, albo, jak tu zowią, poganiacza. Wielmożna, moja wielce mościa pani! jeżeli nie masz kompletu sług sobie potrzebnych, a ja w kompucie życzliwych zmieścić się mogę, i jeżeli moją do twojej usługi ochotą gardzić lub akceptować będziesz, racz się namyślić; o zasługi zaś w żadną nie wchodzę ugodę. Z jakąż ta moja do przysługi waćpani opowiedziana ochota przyjęta będzie wdzięcznością?«

Odpowiada mi tedy tak: »Mój mości panie! prawdaćto, że tu u nas w tym kraju sług od gód tylko przyjmują, a kto zaś po Ś. Janie służbę obejmuje, już ten zasług nie może wziąć zupełnych, tylko co dyskrecya każe, ale to ma się rozumieć o podlejszych tylko sługach. Poważniejszy zaś sługa, kiedy przystaje, już się z nim nie jednamy do gód, ale do tego czasu, o którym przystaje; ja jednak z waćpanem w kontrakt ten wdawać się nie chcę, wiedząc, że waćpan, jako człowiek rycerski, wielkim nauczyłeś się żyć żołdem. Ja zaś, uboga ślachcianka, mogłabym się nie zdobyć na taką zapłatę. Ale tak, radabym ja wiedziała waćpana wolę, czémbyś się kontentował, a ja zaś obaczywszy, jeżeli temu wystarczyć będę mogła, deklaruję waćpanu i jutra nie czekając.«

Ja znowu mówię: »Moja mościa pani! wielka mię tu od waćpani potkała przymówka, ale nie tylko mnie, ale i cały stan rycerski, kiedy waćpani mizerny żołd nasz, za który trzeba krwi i życia każdej godziny nie żałować, tojest czterdzieści, a najwięcej sześćdziesiąt złotych, wielkim mianować raczysz żołdem, to waćpani racz téż

wiedzieć, że gdyby żołnierze z tego kontenci byli żołdu, każdy, i ja sam, do zgrzybiałej starości pewniehy go nie odstępował, ale ponieważ tamte rzeczy porzucam sam, dla terażniejszej szarzy, i waćpani życzliwe ofiaruję usługi, to snąć, że pożądanego spodziewam się żołdu, o który z waćpanią w targ wchodzić nie chcę, ale spuszczam się na respekt i tę, o której nie powątpiewam, dyskrecyą, czekając laskawej od waćpani deklaracyi.“ Ona odpowiada: „Mój mości panie! dyćto każdy, i waćpan sam podobno tak czynisz, że kiedy sługę przyjmujesz, sam z nim wręcz mówisz i opowiadasz mu przyszljej jego usługi powinności i kondycye, żeby wiedział, jak panu służyć i jakiej się téż za swoje usługi spodziewać ma wdzięczności. Podobno to więc i mnie ujdzie, gdy sama przez się rozmówię się o tém z waćpanem, oraz i deklaruję, że jeżeli waćpan tego sobie życzysz, to i dziś jeszcze, albo téż, dla większej powagi, to i jutro.“ Na co ja znowu mówię tak: „Nie damską, ale kawalerską przyznać waćpani w tém muszę uwagę i rozsądek, kiedy waćpani tę obserwujesz rzetelność, którą i moja zawsze rada widzi fantazyja, żeby w każdym terminie dobrze umyślona, prędkiem słowem deklarować intencyą; a to druga, że wdzięczniejsza jest zawsze z ust pańskich, niżeli przez kanclerzów, awizacya, której ja, jakakolwiek mię spotka, jako pożądanego od Boga wyglądam musztuku; jeżeli pocieszna, podziękuję; jeżeli przeciwna, za złe mię nie będę, bo snąć, że niebieska ordynacya nie inaczej każe.“ Na to mówi: „Zdobić to nikogo nie może, kto szczerą przyjaźń jawną oddaje niewdzięcznością. I ja musiałabym mieć w tém sumnienia skrupuł, gdybym widząc waćpana affekt szczerý, nie miała go podobnym oddawać affektem. Jeżeli więc w tém dobrego służy stateczna jest wola i umysł, znajdzie tu pana i miejsce; zasługi zaś, że są na dyskrecyą dane, dla tego téż osobliwego spodziewać się mogą respektu.“ Dopiero ja podziękowałem. Wypisywać, co się przy affektach mówiło, siłaby było. — Miałem wyrostka, Dziegielowskiego, co grał na skrzypcach i śpiewał ładnie; ka-
załem mu zaśpiewać:

„Niech komu nadzieja ściele

„Różnych fortun na myśl wiele

„Ja już będę tryumfował,

„Kiedym szczęśliwie stargował.“

Domyslili się po tój pieśni, co się dzieje. Przyszedł do nas brat jój rodzony i mówi: „a siostrzyczko, godziłoż się to, nie radząc się nas? ale dobrze i tak, chwała Bogu!“ Owa się omawia, „że wtém nic nie masz i że tylko pieśń śpiewają takiego textu,“ lecz oni gwałtem wmawiają: „jużś deklarowała,“ i piją za zdrowie vivat, a gdy obaczyli jój pierścień u mnie na palcu, tém bardziej poczęli tańczyć, podpijąc, jak to w takim razie bywać zwykło. Już tedy bez wszelkiej ceremonii poczęliśmy z sobą mówić o czasie ślubu; ona powiedziała: „choćby i jutro, gdyby nie piątek.“ Ja jednak podziękowawszy za prędki skutek deklaracji, mówię: „Moja mościa pani! ja mam rodziców, bez których błogosławieństwa odmieniać stanu nie mogę, bo takie od nich mam przykazanie. Z łaski waćpani dosyć mi się stało, kiedy mam słowo, którego, rozumiem, że mi waćpani dotrzymać raczysz; ja tóż pewno nie myślę być niestatkim, a w ostatku, niech to słowo będzie na papierze; ja za dwie niedziele drogę tę objadę, wolę rodziców uczyniwszy, krewnych tóż tu cokolwiek z sobą sprowadziwszy, będę kłaniał waćpani i w affekt danego słowa prosił.“ Ta rzekła: „Żadnym sposobem to być nie może, ale zaraz niech będzie, jeżeli co ma być.“ Już tóż i pan brat Jerzy przystąpił do tój rady i namawia, prosi, żeby nie odwłóczyć, obiecując wielkie uczynności i zapisy. Jak mi więc oboje poczęli głowę suszyć, (brat z siostrą), mówiąc: „jeno koniecznie, żeby to w niedzielę było; dalej nie odwłóczyć; pobłogosławią tobie rodzice i potém, a jeszcze to będzie ważniejsze, kiedy obojgu błogosławić będą.“ Już mi tóż i żal było owój kobiety, widząc jój wielki affekt, i mówię: „Życzysz więc waćpani żeby tak było?“ Odpowiada: „Życzę, Bóg widzi, bo ani wiem, czemu mi Bóg do ciebie skłonił serce.“ Dopiero deklarowałem: „niechże tak będzie, jak jest wola boska i wasza.“ W niedzielę pisałem list do pana Śladkowskiego, prosząc na wesele, oraz i o muzykę, a tymczasem pojechaliśmy do kościoła do Mironic. Jak tam przyjechał mój Orłowski, poszedł zaraz Śladkowski do żony, która jeszcze leżała i powiada jój to; ta porwała się z łóżka i wpadła do izby w koszuli, pytając Orłowskiego: „cóżto tam robicie w Olszówce? sento pewnie jakiś powiadasz, bo

ja temu nie wierzę.“ Orłowski powiada: „nie sen mościa pani, bo tam już do tego czasu, nie wiem, jeżeli do ślubu nie jechali.“ Ona to słysząc, wola: „mężu! co prędzej pisz list, a ty Orłowski bieź co tchu do pana i prosz, żeby się zatrzymał, aż my przyjedziemy; gdyby mi szyję stracić przyszło, to z tego nic nie będzie.“ Pobieżał Orłowski, list wzięwszy, a tu rozruch: „zaprzęgajcie, ubieraj się.“ Przybiega Orłowski. Już nas zastał w kościele. Przeczytałem list. Sama zaś kasztelanowa na końcu listu przypisała: „przez miłość boską proszę cię i zaklinam, zatrzymajże się z ślubem aż do mego przyjazdu; bądźzeto z twojém lepszém.“ Oddałem się więc Panu Bogu, prosząc: „Boże mój, w Trójcy świętej jedyny! proszę cię, Stwórcę swego, jeżeli jest z twoją przenajświętszą wolą to moje przyszłe postanowienie, racz łaską ducha swego przenajświętszego natchnąć serce moje, czy czekać lub nie.“ Skończyła się msza: mówię tedy do przyszłej mojej żony: „Mościa pani! cóż tu czynić, czekać lub nie czekać?“ Rzecz: „dla Boga, nie czekać, bo oni nam zatrudnią rzeczy.“ Poszliśmy więc do ołtarza, zagrano *Veni Creator* i wzięliśmy ślub. Idziemy już od ołtarza, aż tu wali się we drzwi pana Śladkowskiego kapella, mówiąc: „do usług waćpana.“ Ja rzekę: „jużeście się spóźnili do ołtarza, ale u stołu nam to nagrodzicie.“ Pojechaliśmy z gośćmi do domu, aż téż dopiero jadą owi państwo Śladkowscy, a stanąwszy, nuż się srodze na mię gniewać i zarzucać mi: „a takto miało być, a takieto słowo ślacheckie; przynajmniej nas było z ślubem poczekać.“ Ja im się omawiam, „że już list przyszedł po ślubie i pierwszy i terażniejszy;“ darmo. Odpowiadają: „czemuś do nas nie wstąpił, jadąc tu,“ i na nowo w gniew. Sam pan kasztelan jednak nie uważał już na to, a podpiszwszy sobie, był wesół, i żonie téż swojej mówił: „jużto temu dać pokój; znać, że to wola boska; niech mu Bóg błogostawi!“ Ale ona, gniewała się, jeść nie chciała, przemawiała i w taniec nie poszła, aż nazajutrz; a my, po staremu, byliśmy weseli, i tak się musiało stać, jak się Bogu podobało, nie jako ludziom, za co niech mu będzie wieczna cześć i chwala! a pewnobył był kontent z tego ożenienia, gdyby mi tylko Pan Bóg dał chłopca jednego z nią,

ale i tego nie ma i kłopoty wielkie ogarnęły mię dla jęj dziecinnych interessów (o czém będzie niżej). Zastałem w Olszówce urodzaje srogie wszelakich zbóż, ale cóż, kiedy zbyt uczna była taniać, aręda wychodziła, trudno było zatrzymać w gumnach, korzec zboża za nic, zgoła, trwoniło się tylko zboże. W tydzień po weselu jedzie pan Komorowski, podstarości nowomiejski, po ostatnią deklaracyą do mojęj pani, a prawie już i na wesele, i stanął z przyjaciółmi w Włodzisławiu, aż tu go Żyd, faktór jego, pyta: „mości panie! każeś wać mięsa kupić na obiad?“ Odpowiada: „nie każę, bo ja w Olszówce będę na obiedzie.“ Żyd rzekł: „jabym zaś życzył tu kazać jeść gotować, bo tam wać nie będziesz wdzięcznym gościem.“ Komorowski: „czemu?“ Żyd: „temu, że tam już teraz kto inny gospodarzem, bo już temu tydzień, jak za mąż poszła.“ Dopiero się Komorowski uchwycił za głowę, i takci tam najadłszy się i przenocowawszy, nazajutrz się rozjechali. Potem zaś sobie poodsyłali owe znaki przyjaźni, pierścienie; tylko jednęj poduszki nie chciał oddać. Jakaśmy się później poznali, wieszował mi: „że ci się to dostało, co się mnie było podobało, ale też za to poduszki nie wrócę, kiedy się tobie ta głowa dostała, co na nięj sypiała.“ Był mi jednak zawsze dobrym przyjacielem, ożenił się wkrótce potem, pojął wdowę, panią Brzezińską, ale tak złą kobietę, że się nieszczęśliwym nazywał, i przysiągł księdzem i umarł. Był też później pogrzeb królowej Ludwiki w Krakowie, na który pojechaliśmy z żoną, i zaraz tam poczyniliśmy sobie dożycie; zapisywać mi chciała w assystencyi braci reformacyą swoję, alem ja tego nie chciał, mówiąc: „że ja sobie urobię substancyą, byle tylko było na czém.“ Dziwili się ludzie temu bardzo, mówiąc, że to pierwszy przykład tych czasów, ażeby kto, wdowę biorąc, miał pogardzać jęj hojnością. Drudzy zaś to chwalili. Widziałem się w Krakowie podczas pogrzebu z wielu krewnymi; ci wszyscy nie kontenci byli z mego ożenienia, a to z tęg przyczyny, że daleko od nich. Tegoto roku pomarli hetmani Lubomirski i Potocki, tego roku była okazyja pod Podhajcami, a, po prostu, wojsko nasze z Sobieskim, hetmanem, w oblężeniu było od Kozaków i Tatarów, aleć przecie Pan Bóg naszych

wybawił; stanęli potem obozem pod Otyczą i tam odpornie przewlekli tę kampanią; później była kommissya. Na tym pierwszym wstępie panowie Krakowianie poczęli mnie lekce ważyć, nazywając mnie przybyszem. Dopiero tego w łeb, tego w nos, tego po plecach, i takci sobie uczynilem pokój, bo już mię więcej nie nazywali przybyszem.

R o k 1668.

Rok ten, daj Boże szczęście, zacząłem także w Olszówce, i Miłowczyce z Bugłowem skonstraktowałem z panem Stanisławem Szembekiem, burgrabią krakowskim, po 4 tysiące na rok, bo nam aręda w Olszówce wychodziła. Zaraz więc od trzech króli wywoziliśmy tam zboża, a objęliśmy, daj Boże szczęśliwie, od środopocia, alem trafił na lata bardzo tanie. Aręda była bardzo znaczna, bo i pietruszkę i kapustę, a nawet i jaję kokosze rachowano na intratę, dla tego musiało się stracić więcej niż dwa tysiące, a dwa lata tylko trzymał. Sprawilem też tam wesele piaserbicy mojej, pannie Jadwidze Łąckiej, za Samuela Dembowskiego, siostrzeńca mego, i mieszkali rok przy mnie. Dopiero potem dałem im część posagu. Puścił im rodzic mój Kamień, tanem ich osadził na pierwsze gospodarstwo, a rodziców wziąłem do siebie.

Nastąpił potem sejm, na którym król postanowił złożyć koronę, bo mu ślepy doradca ustawicznie gryzł głowę, prowadząc go wprawdzie do spokojnego życia w starości swojej, a w sercu mając to, żeby Francuza wprowadzić na królestwo, na co już sam król pozwalał, i dla tego z królestwa ustępował, ale przecie rzeczpospolita poczuwała się i starała, żeby z tego nic nie było. Widział arcybiskup, że podczas abdykacyi wszystek rząd w Polsce od niego zależeć będzie, dla tego też nalegał o abdykacyą, ażeby tém snadniej swojej dopinał imprezy, będąc w Polsce drugim królem, lecz Pan Bóg inaczej rozporządził. Perswadowały królowi wszystkie stany, żeby tego nie czynił. Przekładali przed oczy niegodność, przekładali ojczyzny wzgardę, taką, jaką od żadnego jeszcze nie poniosła monarchy; przekładali wyrzuty narodów, które nam dotąd nie

mogły oka zarzucić, żebyśmy którego z królów swoich mieli albo zabić, albo wygnać z państwa, aleśmy każdego, jakiego nam Pan Bóg dał, tak długo cierpieli, aż go znowu sam do siebie wziął, choć też miewaliśmy niektórych do nieukontentowania. Kiedy już wszystkie życzliwe perswazyje miejsca nie miały, wziął głos Oźga, podkomorzy lwowski, (blisko którego ja stałem i wszystko dobrze słyszałem). Począł ów starzec bielusieńki mówić gorliwie za ojczyzną i majestatem: „Nie czyni, miłościwy królu, tój konfuzyi i nam i sobie, naszej i swojej własnej ojczyźnie, która cię wychowała i na tym osadziła tronie. Z namiś się w tój ojczyźnie urodził, z namiś się wychował i lata przepędził; od nas wolnemi głosami wezwany, abys nam panował, nie odstępujże nas i t. d.“ Było wielu takich, i sam nawet król, co płakali, a naostatek, kiedy już żadne nie miały miejsca perswazyje i prośby, rzekł tenże Oźga, jakby z afektem: „Nu, miłościwy królu, ponieważ nie chcesz nam być królem, bądźże nam bratem!“ Potém zaś inne były żarty i śmiechy (z owój jego niby lekkomyślności, że się dał do tego przywieść), jak go będziemy nazywać? Nie królewicz, bo już był królem, ale niech będzie pan Snopkowski, z przyczyny, że ma snopek w herbie.

Król Kazimierz przyjechał po sejmie do Krakowa, stał w kamienicy pod Krysztofory i już począł żałować tego, co uczynił, ale, nie pokazując jednak po sobie, był wesół, pił i tańczył. Potém wyjechał do Francyi; tam zrazu uznał ochotę, ale po obiorze króla Michała jak przyszła wiadomość, że nie tak rzeczy idą, jak Francya sobie obiecywała, zaraz też stary król poszedł w lekką uwagę, wygodą już nie taka była, jak zrazu, gryzł się, mówiąc, „na złość mi to Polacy uczynili, że obrali królem chłopca mego,“ i żałował, narzekając na tych, co go do tego przywiedli; wspominał mowy życzliwych doradców, desperował, i już nie był tak wesolój fantazyi, jak przedtém, i nie długo potém umarł. Otóż masz, miłościwy królu, skutek niecnotliwych doradców, którzy nie twoje dobro, ale swoje prywatne upatrując interessa, do tego cię z swojemi przyprowadzili radami. Poosadzałeś nimi krzesła, podawaleś im najwyższe urzędy, poczyniłeś ich panami, tojest takich ludzi, u

których nie masz ani sumnienia, ani Boga w sercu, a gdzie Boga nie masz, tam darmo spodziewać się upamiętania. Taki człowiek, póki nie zginie, póty swoich dopina interesów; choć widzi, że grzeszy przeciwko Bogu i prawu, nie to, koloryzuje rzecz swoją i powiada, że to czyni dobrze; powiada, że to jest korzyścią dla Rzeczypospolitej; powiada, że interes kraju tak każe. Ale stójcie statystowie! obaczycie, jak tam statysta niebieski sędzić będzie ziemskich!

Ustały tedy według zwyczaju sądy po całej Polsce, zaczęły się kaptury, które żałobę Rzeczypospolitej oznaczają. Twórcy abdykacyi cieszą się, mając nadzieję, że już swojej dopną imprezy. Dyrektor jednooki (prymas P.....) tryumfuje; już koronie francuskiej i konkurentowi doskonałą i nieodmienną przez gazety czyni otuchę; widzi, że w rękach jego dyrekcyja królewska; pyszni się z tego, że z lichego plebana doczekał się być wice-królem; widzi, że ma po sobie wielu, którzy u tego, co i on, bywają żłobu; i już tak się cieszy, jakby wszystkiego dokażał, a Pan Bóg inaczej rzeczami kieruje.

R o k 1 6 6 9 .

W Miłowczycach mieszkając, i Smogorzew trzymając, poczęli mię ziemianie posponować, mówiąc, że to przybysz z innego województwa; znosiłem to cierpliwie, nie mając okazji do odwetu, a bardziej czasując rzeczy i uważając, że to tak zwyczajnie bywa, gdy kto z innego województwa wnijdzie między obcych. Jednego czasu przyjechali do mnie krewni matki żony mojej, pan Stanisław Szembek, burgrabia krakowski, i pan Żelecki Franciszek; przyprowadzili też z sobą jakiegoś Kardowskiego, swego krewnego, wielkiego pijaka. Byłem im rad, ale mi wielce gniewno było na owego pijusa, który ustawicznie przymawiał Mazurom, jako się ślepo rodzą, jako ciemną gwiazdę mają i t. d. Oni się tém srodze delektowali i przyświadcza mi też, chcąc mię skonfundować, i na to go też umyślnie zaciągęli. Przyniesiono na stół główkę cielęcą, powiedział na mię, że to mazowiecki papież. Obaczył ciasto żółte, kła-

dzione pod ciełecinę, powiedział, że to mazowieckie komunikanty. Zgoła, wielkie dawał okazy. Ja widząc, że to na mnie te przymówki, mówię mu: „Panie bracie, nie trzebaby ku nocy Mazurów wspominać, żeby się zaś nie przyśnili, a do tego, nie masz ich tu, alem ja jest mazowiecki sąsiad, i będę musiał za nich odpowiedzieć.“ On, po staremu, prawił swoje. Po wieczery poszedł Szembek w taniec; Żelecki mówi do mnie: „pójdźno mu służyć.“ Odpowiem: „dobrze.“ Tańczymy tedy, aż skoro już wielkiego poczęli tańczyć, ów stojąc na trakcie, począł śpiewać:

„Mazurowie nasi, po jaglanój kaszy

„Stone wasy mają, w piwie je maczają;“

i tak owę piosnkę kilka razy powtarza; mnie téż już gniewno się uczyniło; wezmę owego Żeleckiego na ręce, tak jako dzieci noszą, bo chłopek był mały, (goście rozumieli, że ja to czynię z kochania), i idę z nim, a pomijając Kardowskiego, śpiewającego tę piosnkę, uderzę go w piersi Żeleckim: ten padł w znak, a że był chłop srogi jako dąb, dosiagnął jakoś ławy głową, uderzył się w tył i zemdłał; Żelecki téż, bom nim o drugiego ze wszystkiej siły uderzył, nie mógł wstać. Potém do szabel. Było ich tylko kilku czeladzi w izbie, bo drudzy pijani już po kątach spali; wyparowałem ich z izby; wróciłem się do Szembeka; przyłożę mu szablę do tłustego brzucha, ten woła: „stój! com ci winien!“ a owi dwaj na ziemi leżą; dopiero mówię: „bodaj was zabito! czy na toście przyjechali, żebyście mię znieważali? już mi to przez tego pijaka cały dzień pod nos kurzycie, a ja cierpiałem; dłużej téż znieść tego nie mogę.“ Skoczyły kobiety i wołają: „stój, stój!“ Daliśmy sobie pokój. Dopieroż dalej pana Żeleckiego podnosić z ziemi, pana Kardowskiego trzeźwić, wódki w nos lać, zęby rozdzierać, a potém i po cyrulika biegać, bo sobie głowę rozciął o ławę. Poszedł tedy Szembek z Żeleckim spać, a ja piłem sobie na fantazyą i czeladzi swojej także hulać kazałem, którzy potém z ich pijanymi pacholkami cuda robili, to im w nosie papier zapalając, to wasy różnemi rzeczami smarując, (bo ci leżeli jako drwa po sieniach i lada gdzie), i jakie tylko mogli wymyślić psoty, takie im wyrządzali. Poprzedzaliśmy się nazajutrz, i potém, ile razy

ze mną siedzieli, to zawsze z powagą i w wielkiej skromności, wstydząc się tego, bo się to rozgłosiło między sąsiadami, ale nie wiedzieli co z tém czynić, lecz mnie już lepiej szanowali. Tam w Miłowczycach mieszkając, była aręda wyciągniona, lata tanie; straciłem na tój arzędzie więcej niż 2,000 złotych; z tegom tylko tam był kontent, że m liszek szczwał bardzo siła trojgiem chartów, bez gończych psów, a woziłem po trzy, po cztery na dzień.

Nastąpił potem obiór króla, wyszły od arcybiskupa uniwersały do województw, zagrzewając stany rzeczypo-spolitéj do obioru prędkiego, i życząc, żeby się ten akt przez deputatów mógł odprawić. Aleć województwa słowa na to nie dały rzeć, tylko żeby wszystkim wsiadać na koń, tak jako na wojnę; wiedzieli bowiem, co za ducha ma w sobie arcybiskup; wiedzieli, że on do śmierci praktyki francuskiej nie odstąpi; wiedzieli też i to, że wiele nowych do tój oblubienicy gotuje się konkurentów, jakoto: ksiązę Kondeusz, ksiązę neuburgski, ksiązę lotaryngski. Gromadzą się zatem województwa dobrym porządkiem, każde u siebie w domu, a potem ruszyły się ku Warszawie. Ja, że m się w krakowskiém ożenił, takżem też tam z nimi był pod chorągwią krakowskiego powiatu, gdzie Pisarski Achacy rotmistrzował. Poszliśmy tedy pod Wisimierzyce, i tam staliśmy więcej niżeli tydzień, potem stanęliśmy pod Warszawą pierwszych dni Lipca. Jako z rękawa wysypały się województwa, wojska wielkie, poczty pańskie, piechoty, zgoła, ludzi bardzo pięknych i wiele. Sam Radziwiłł Bogusław miał z sobą ludzi z ośm tysięcy, bardzo pięknych. Wtenczas najpierwszy raz w Polsce muzyka, którą zowią pruską, słyszaną była, ta, co ją to grają przed rajtaryą. Opuścił tedy arcybiskup uszy, powątpiewając o swoim zamiarze, ale, po staremu, nie ustaje w dopinaniu i ma nadzieję. Aleć jak się kołowanie zaczęło, różni różnie sądzą; to ten będzie królem, to ten będzie, a o tym nikt nie wspomni, którego sam Bóg obrał. Ci, co posłali swoich posłów, starają się o to, i mają nadzieję, że się podług ich stanie intencyi, a ten nie spodziewa się niczego, wiedząc, że do tego żadnego nie było i nie masz podobieństwa. Francuskie subjekta, jako shukane pracują skrycie, ale neuburg-

skiej i lotaryngskiej partyi jawnie. O polskim zaś konkurencie i wzmianki nawet żadnej nie masz. Tam dają, dają, sypią, leją, częstują, obiecują; ten nikomu nic nie daje, ani obiecuje, ani o to prosi, a jednak odnosi. Kiedy już po kilku sessyach i po odebranej od posłów cudzoziemskich legacyi i po deklarowanej każdego posła za swego pana dla rzeczypospolitej uczynności, najbardziej nam przypadł do serca Lotaryńczyk, z przyczyny, że to pan wojenny i młody, którego poseł powiedział też w swojej perorze na końcu te słowa: „ilukolwiek macie nieprzyjaciół, z wszystkimi walczyć będzie.“ Poczém salwowano do jutra sessyą.

Nazajutrz pojeżdżali się do szopy; wojska okryły pole; dopiero różni różne dają sentencye; ten tego, ten zaś innego chwając; ozwie się jeden ślachcic z województwa łęczyckiego, którzy zaraz nad kołem stali na koniach: „nie odzywajcie się Kondeuszowie, bo wam tu będą kule koło łba latały.“ Senator jeden odpowiedział mu coś przyostro. Kiedy to poczną ognia dawać; senatorowie z miejsc w nogi, kryjąc się to pod karety, to pod krzesła; rozruch, gwałt. Inne chorągwie skoczyły zaraz w drugą stronę potracąc i deptać piechotę; ta poszła w rozsypkę. Obstąpiono zewsząd koło. Kiedy to poczęto exorty prawić: „zdrajcy! wytniemy was, nie wypuścimy was stąd; darmo mieszacie rzeczypospolitę; innych senatorów postanowimy; z pośród nas króla sobie obierzemy, jakiego nam Pan Bóg poda do serc.“ Takci skończyła się owa sessya tragicznym widowiskiem. Chorągwie obróciły się w pole, a panowie biskupi i senatorowie powylazili wpół ledwie żywi z pod karek, z pod krzesel, i pojechali do gospód; drudzy zaś, co w polu stali, udali się do namiotów.

Nazajutrz nie było sessyi, bo się panowie po utrąśnieniu smarowali i olejek po przestrachu pili. Województwa też nie wychodziły w pole, ale stały w obozie.

Dnia 16. Lipca posyłają województwa do arcybiskupa, żeby wyjechał na sessyą i zagał według prawa dalszą elekcyą. Ten odpowiedział: „nie wyjadę, bo nie jestem pewien życia, i inni panowie senatorowie nie wyjadą.“ Posłano znowu, donosząc, „że już wojska pomykają się ku

szopie; kto więc enotliwy i senator, i kto chce, niech z nami wyjedzie; obierzemy sobie pana. Kto nie wyjedzie, tego będziemy mieli za zdrajcę ojczyzny, i jaki stąd będzie skutek, niech się każdy domyśli.“ Stały tedy województwa o pół ćwierci mili od szopy. Już więc senatorowie nie zjeżdżali się do szopy, ale do nas. Nasz kasztelan krakowski, Warszycycki, i inni senatorowie, przyjechali do nas. Dopieroż w radę o tém, co przeszło, i jak się komu podobają ten postępek. Pan kasztelan krakowski rzecze: „Imię jego święte! (boto jego przysłowie), chwałę ja ten postępek; w tém się ma pokazać polska wspaniałomyślność, żeto króla powinna obierać wszystka ślachta, nie zaś pewna liczba osób; nie mam ja o to urazy, lubo mi kule świstały nad głową, bo wiem, żeto u każdego ślacheica tkwi w sercu ta zła chęć ludzi, która się już wszystkiemu światu ogłosiła; i owszem, jeżeli pożyję, na tém będę stał, aby sejmy odprawiały się na koniach, bo inaczej nie upilnują nam posłowie tych naszych wolności, których przodkowie nasi tak krwawo nabyli.“ Dawał przykłady dawne, że póki Polacy tak czynili, póty kwitnęła téż złota wolność, i teraz trzeba się nam koniecznie ze snu porwać, odstąpiwszy choć na chwilę wczasów domowych. Wtém przysyłają do nas Wielkopolanie, zapytując: „cóż mamy czynić, ponieważ o nas nie dbają panowie senatorowie?“ Odpowiedzieliśmy im i zaraz swoich posłaliśmy posłów: „że my swoich mamy senatorów, ruszamy się do szopy i będziemy o sobie radzić.“ Potém na miejsce obioru ruszyły się województwa i stały. O! kiedy się to z Warszawy karety wysypią, jedni rysią, drudzy na cwał do koła co żywo spieszą, (bo się spodziewali, że ich województwa prosić będą i nie bez nich nie zaczną), a potém i arcybiskup przyjechał, i obaczył, że się nie kłaniają i za onegdajsze naprzytykanie przeproszać nie myślą. Zasiadli tedy, ale już nie tak licznie, jak przedtém, bo kto był tchórzem, ten uczynił się chorym, obawiając się takiego drugiego, albo gorszego huczku, a inni téż i prawdziwie w chorobę po wpadali z przełknięcia, albo téż brzuch tłusty utrzęsął im się. O jednym powiadali, że, uciekając, padł przez dyszel i ledwie szyi nie złamał, a jego właśni hajducy le-

dwie go z ziemi podnieśli i na nogach postawili. Zasiadłszy w kole, siedzą jakoby z choroby powstałi, nic nie mówiąc jeden do drugiego. Ozwał się ktoś tam z kupy: „Mości panowie! nie na próżnowanie tu przyjechalismy, bo milcząc i patrząc na siebie, nic tu nie spravimy; a oto, ponieważ ksiądz jegomość z Prażmowa, funkcyi, urzędowi swojemu należytej, nie czyni dosyć, więc prosimy jmc pana kasztelana krakowskiego, jako pierwszego w królestwie senatora, aby nam był dyrektorem; wszakżeto nie papieża obierają, możemy się zatem obejść bez księdza.“ Dopiero się arcybiskup porwie i rzecze: „A moi mości panowie, pókim ja żyw, to w tych wszystkich okazjach, które do mojego obowiązku należą, ojczyźnie i każdemu z waćpanów służyć nie przestanę. Teraz zaczynamy szczęśliwie, a Bóg nam pobłogosławi, o co dnia dzisiejszego z całym duchowieństwem jego świętego prosiłem majestatu, aby łaską ducha świętego raczył nakłonić serca nas wszystkich, co by mogło być z jego świętą chwałą, a z dobrem ojczyzny naszej. Waćpanowie mianujecie, który się z tak wielu zacnych podoba konkurentów, a ja starszy brat i sługa waćpanów do gotowego.“ Brali inni glosy za i przeciw; my też tu już zacinamy się przyczynami: „ja tego,“ „ja też tego życzę;“ „mnie się podoba ten,“ „a mnie też ten.“ Racya tego taka, owego też taka. To gdy się dzieje, Wielkopoleanie już krzyczą: Vivat Rex! Skoczyło kilku od nas do nich, pytając: „na kogo wolają?“ i przynieśli tę nowinę, „że na Lotaryńczyka.“ W łęczyckim zaś i w brzeskokujawskim województwie wnieśli to: „nam nie potrzeba bogatego pana, bo on będzie bogatym, gdy zostanie królem polskim; nie trzeba nam z innymi spokrewnionego monarchami, boto jest niebezpieczeństwem wolności, ale nam trzeba męża dzielnego, męża walecznego; gdybyśmy byli mieli Czarnieckiego, pewnoby był usiadł na tronie, a że nam go Pan Bóg wziął, obierzmy jego ucznia, obierzmy Polanowskiego.“ To gdy się dzieje, ja z ciekawości skoczyłem do Sandomierzanów, którzy najbliżej nas stali, aż tam trafilem na tę materyą, że życzą sobie Piasta, mówiąc: „Nie trzeba nam daleko szukać króla, mamy go między sobą, wspomniawszy na cnotę i poczeiwość i dla ojczyzny

wielkie zasługi ś. p. księcia Jeremiego Wiśniowieckiego; słusznaby rzecz była zawdzięczyć to jego potomstwu. Owo jest książe jmc Michał, czemuż go nie mamy mianować, alboż nie z dawniej wielkich książąt familii, alboż nie godzien korony?“ A on siedzi między ślachtą pokorniusieński, skurczony i nic nie mówi. Skoczę ja znowu do swoich i powiadam: „Mości panowie, już w kilku województwach zanoszą się na Piasta.“ Pyta mnie pán kasztelan krakowski: „a na któregoż?“ Powiadam: „tam na Polanowskiego, a tu na Wiśniowieckiego.“ Tymczasem hukną Sandomierzanie: Vivat Piast! Dębicki, podkomorzy, ciska czapkę do góry i wrzeszczy na wszystkich głos: Vivat Piast, vivat król Michał! a tu też nasi Krakowianie wołają: „Vivat Piast! Rozbież się nas kilku między inne województwa z musztukiem, wołając: Vivat Piast! Łęczycanie i Kujawianie rozumiejąc, że na Polanowskiego, poczęli też zaraz wołać, inne województwa także. Wróć się nazad do swoich, a tu już go biorą pod ręce i prowadzą do koła. Starszyna nasza krakowska nie chce go i przeciwi się temu, (bo od innych pieniędzy dużo nabrali i obietnice mieli wielkie), osobliwie Pisarski i Lipski, mówiąc: „dla Boga! co czynimy? czy nas szaleństwo ogarnęło? stójmy! tak być nie może!“ Pan kasztelan krakowski już od nas odstąpił, boto jego był krewny, i tam jest przy nominacie. Innych też senatorów idzie wiele; jedni powtarzają: vivat! drudzy też milczą. Rzecz do mnie Pisarski (bo on przecię miał mię w powadze): „Mości panie bracie! co w tym terminie rozumiesz?“ Odpowiem: „to rozumiem, co mi Bóg do serca podał: Vivat król Michał!“ Zaraz potem wyjechałem z szeregu i skoczyłem za Sandomierzanami; chorągowie z chorągwiami co żywo za mną, a Pisarski, czapką tylko o głowę uderzywszy, pojechał na stronę. — Wprowadziliśmy tedy nominata do koła szczęśliwie! tam dopiero winszowania, tam dopiero radość dobrych, a smutek złych. Czyniełci arcybiskup te ceremonie, które do jego urzędu należały, ale z jakim sercem, z jaką ochotą? oto właśnie tak, jak kiedy owo wilka zaprzęgą do pługa i kazą mu gwałtem orać. Co potem wybuchnęło na jaw, co z dobrym panem robili za dziwy, o tém niżej będzie.

Zaraz nazajutrz był król kilku milionami droższy, tak wiele mu nadano podarunków, tojest: karet, cugów, obiciów, sreber i różnych kosztowności. Nawet sami posłowie tych książąt, którzy o koronę konkurowali, dawali mu podarunki. Dosyć na tém, że tak Pan Bóg ku niemu skłonił serca ludzkie, iż kto tylko miał co najspeycyalniejszego, to mu niósł i oddawał, nietylko z koni, pięknych rumaków, ale nawet i z ryszunków, choć téż i parę pistoletów w heban lub sloniową kość oprawnych.

Rozjechała się nareszcie szlachta do domów, już jednakże nie pod chorągwiami, ale każdy osobno. Ja téż u moich Rawianinów pobawiwszy, pojechałem do domu.

Dnia 29. Września była koronacya w Krakowie wśród wielkiego różnych ludzi tłumu i sejm koronacyjny zaraz się zaczął, ale z złym skutkiem, bo rozerwany przez Olizara, posła województwa kijowskiego, któreto postępowanie już było w praktyce. Wojsko natenczas stało pod Bochryniem, ale żadnego z nieprzyjacielem nie uczyniło doświadczenia.

Wyprawiono przecież po tym zerwanym sejmie księdza Andrzeja Olszowskiego, biskupa chełmińskiego, do cesarza jmci, prosząc siostrę jego w małżeństwo królowi. Wszystko to otrzymał snadno, bo cesarz tego sobie życzył, i sam się z tém odezwał.

R o k 1670.

Rok ten zacząłem w Miłowczycach, alem się od środoposcia wyprowadził do Smogorzewa, bom nie był konwent z téj dzierzawy.

Wesele królewskie odprawiło się w Częstochowie w wielkim tłumie naszych Polaków, ale Niemcy nie suto pokazali się i pannę młodą wyprawiono jako nie cesarską córkę.

Ja téż mieszkając w Smogorzewie, najpierwszy raz puściłem się na flis. Będąc frycem, trzymałem się starszych szyprów, którzy mi grozili, że mię tam miano podgolić na mieszku, jakto fryca, aleć, z łaski bożej, sprzedałem drożej od nich, bo 40 złotych wyżej, a to tym sposobem: Sta-

rosta ujski, Pieglowski, i cześnik warszawski, Opacki, pogniwiali na się kupców, którzy obesłali się, żeby na złość nie kupować, mnie zaś, com był w ich kolei, zapłacili pszenicę po 150 złotych onym na złość; kupił u mnie pan Jarlach, a oni aż prosili, żeby od nich kupiono; zapłacono im tedy 110 zł., i tak co mnie grozili podgoleniem, to ich samych podgolono.

Rok 1671.

Rok ten zacząłem w Smogorzewie, alem się przeprowadził od środoposcia do Skrzypiowa, dawszy na te dobra i na Zakrzew panu kasztelanowi bełskiemu, Myszkowskiemu, złotych 10,000, a Smogorzew puściłem na rok w arędę panu Trębickiemu, który przedtém Skrzypiów trzymał, bo się nie miał gdzie podzić. W tymże roku pan Myszkowski spisał ze mną kontrakt arędy Olszówki i Brześcia, ale że tych dóbr nie mógł z rąk panów Chełmskich windykować, dla tego musiałem ich czekać w Skrzypowie lat 6, lubom na nie wyliczył, na spłacenie różnych długów, z dóbr ordynackich zł. 21,000; com zaś koło tych dóbr zażył kłopotu i kosztu, o tém niżej będzie.

W Skrzypowie dobrze mi się powodziło i byłem kontent z tej dzierzawy. I w tym roku byłem w Gdańsku i sprzedałem zboże Wandernemu, bardzo poczciwemu kupcowi.

W tym roku stało wojsko pod Trębowłą, pod Kalnikiem; orde mocno bito. Potém nastąpiła inna okazyja.

Znosząc długi ordynackie za jmc pana Myszkowskiego, dałem jmci panu Sendorawskiemu, rotmistrzowi, 4,000 złotych; jmc pani Miklaszowskiej 3,000 zł.; ksiązęciu jmci Ostrogskiemu, Alexandrowi 3,000 zł.; samemu jmci panu podkomorzemu bełskiemu, na wyprawę ludzi do obozu, 3,000 złotych.

Sejmiki przedsejmowe były w Listopadzie, sejm zaś warszawski był w Styczniu.

R o k 1672.

W tym roku mieszkałem w Skrzypowie, bo żona moja nigdy nie chciała w Smogorzewie mieszkać, z przyczyny, że tam powiadali, iż to miejsce fatalne i że panowie albo panie umierały; przeciwnie ja tam często przemieszkowałem, a Pan Bóg mię zachował, choć tam byłem panem przez lat 20.

Wyszły wicie na pospolite ruszenie. Turcy z wielką potęgą przeszli przez Dniestr. Wojsko nasze zostawało pod kommandą pana kasztelana podlaskiego.

Ślepe oczko nie przestaje swoich facyj, chcąc drugiego króla z tronu, na którym go sam Pan Bóg posadził, strącić. Zgoła, wielkie i straszne rozruchy wewnątrz kraju.

W Rączkach przypadła w tym roku sukcesya na domy panów Łąckich, gdzie ja odebrałem przez exdywizyą część dziedziczną, drugą kupiłem u panów współsukcesorów, i puściłem te obiedwie części córce żony mojej, Jadwidze, która była za siostrzeńcem moim, Dembowskiem Samuelem; puściłem im to z łaski, nie biorąc od nich z tego nic; lubom na to kosztu wielełożył przez kilka lat, a co turbacyi, przejazdów, zwady, bitwy, pojedynków, tego nie rachuję. Smogorzew puściłem przez arzędę na rok pani Gołuchowskiej Wojciechowej, wdowie grzecznej, i tam poszła za mąż za pana Tomasza Olszanowskiego.

Wyjechałem z domu do obozu i stanąłem pod Kosiną, gdzie się województwo krakowskie gromadziło; stamtąd poszliśmy pod Gołąb; król także przybył do obozu i wszystkie województwa skupiły się. Turcy już byli wzięli Kamieniec, ale, prawdziwiej powiem, nie wzięli, lecz go sobie kupili u zdrajców ojczyzny naszej, i całe Podole i Ukrainę zawojowali, szabli nie dobywając. Lipkowie, albo raczej Czemerysi, Tatarowie litewscy, nasi wychowawcy, z Krzyżynskim, wodzem swoim, zdradzili nas i wszyscy do Turków poszli. Po wzięciu Kamieńca zapuścili Tatarowie zagony głęboko, aleć się im, z łaski bożej, nie poszczęściło, bo wojsko nasze, na imię króla pobożnego, wszędzie ich potężnie biło; pod Niemierowem pod Komarnem, pod Kajuszą, naginęło tego jak psów, a w lasach po błotach naj-

więcej tego nabili chłopci. My zaś z królem stojąc pod Gołębiem, trudno było dalej postąpić i łączyć się z wojskiem kwarcianym, bośmy mu nie ufali, widząc, jakie spiski zachodzą przeciw ukoronowanej głowie, żeby byli radzi króla wydali na sztych nieprzyjacielowi. Wtenczas kiedy orda była koło Komarna, posłano na podjazd kommenderowanych z pospolitego ruszenia, ludzi wybierając, i na koniach dobrych rozdzielono nas na dwie części. Dano nad jedną częścią komendę Kalinowskiemu, nad drugą zaś mnie. Poszliśmy dwiema szlakami nocą. Ja tedy wiedząc dobrze tryb podjazdowy, poszedłem na Bełżyce, wszystko manowcami a lasami. Nie zdało się to panom pospolitakom, poczęli narzekać, żeto nie bitym gościńcem, żeto czasem koń usterknał się o pniak i gałązka przez twarz zacięła. Nadedniem stanąłem pod Bełżycami, u brzegu lasa, i, żeby koniom trochę odpocząć, paśliśmy je, trzymając w rękach cugle. Jak świtać poczęło, rzekę: „Mości panowie! trzeba się wywiedzieć, co się dzieje w mieście; jeżelibyśmy tu kogo nie napadli po swoich plecach, bo psy słyhać szczekające, a ludzi nic, zaczem pojechać trzeba w kilka koni i nam dać znać, albo téż, jeżeliby was postrzeżono, to ich wywabić w pole, żebyśmy zagonionych mogli obskoczyć i dostać języka.“ Z ochoty nie porywa się nikt; gniewno mi okrutnie i mówię tak: „Jak nie będziecie słyhać, mości panowie, gdy pojedziemy dalej, to nic tu po mojem starszeństwie, kiedy takie będzie posłuszeństwo; pojedę ja sam, a wy przynajmniej bądźcie pogotowiu, jeżelibym wam tu przyprowadził gości.“ Potrwożyli się wielce, bo także była wieść, że Tatarowie już są około Bełżyc, jakoż i byli koło południa wczorajszego, ale coś nie wiele. Rzecze Chociwski: „jadę ja z waścią;“ Sieklicki mówi: „i ja także;“ bo ci jakoby moi byli, jeden brat, a drugi wielki przyjaciel. S..... młody rzecze: „kiedy waść sam jedziesz, to i ja jadę, ale z kim innym nie pojedę.“ Pojechaliśmy tedy. Przyjeżdżamy pod miasto; nie słyhać nic; wjeżdżamy w miasto, nic, tylko znowu się psy podrażniły, co już były trochę umilkły. Dalej my do domów ludzi szukać, ale i człeczka nie masz, bo co żywe, to w lasach. Wyjechaliśmy znowu pocichu z miasta i stanęliśmy między folwarkami. Już téż

oświłto, a tu chłop wyrzał z stodoły przez poszycie, snopka podniosłszy. Dalej my do owéj stodoły wołać go i szukać, ale żadnym sposobem znaleźć go nie mogliśmy, bo stodoła była pełna zboża; dopieroż ja pocznę wołać: „chłopie; a toż ty twojéj zguby pragniesz, i co się kryjesz przed Tatarami, od chrześcian zginiesz, bo mnie tu nic więcéj nie trzeba, tylko wypytać się, co się dzieje, bom ja od króla, a tam w całym miasteczku nie mogę znaleźć człowieka, a ty się nie pokażesz, choceśmy cię widzieli; nie możemy się więc inaczej nad tobą zemścić, tylko cię tu zapalimy.“ Aż dopiero chłop odzywa się: „mości panie! już wyłażę.“ Wyłażł więc. Pytamy go: „byli tu Tatarowie? Odpowiada: „byli wczora w południe, gonili dwóch chłopów, ale im uciekli w las; oni téż zaraz stanęli u brzegu lasa, i jednego chłopą postrzelili z łuku po plecach, kiedy już wpadał w las. Znowu zaś pred samym wieczorem widzieliśmy ze trzydziestu konnych, ale nie wiem kto to byli, bo zdaleka.“ Posłałem ja tedy po owych swoich ludzi; ci jak przyszli, nuż radzić, a tymczasem po snopie zboża koniom położono. Jedni mówią: „iść dalej,“ drudzy: „nie iść, wrócić się, pogubisz nas; dość na tém, żeśmy tu dotarli, nie wódz nas dalej.“ Przemógłem przecież, że poszliśmy dalej. Jedziemy milę i drugą; już ślady tatarskie, bo niektóre rzeczy pogubili, niektóre téż i porzucali, kiedy im się co lepszego trafiło. Moich tchórz oblatuje, a ja cieszę się, że to owi ludzie, uciekając, pogubili. Nic jednak nie widać, aż wtém ślachcic wyjechał do nas z lasa, i ten dopiero prawi: „mile stąd pojechawszy, nabierzemy Tatarów, co chcemy, bo się włóczą po wsiach, i nie trudno będzie o języka; jam wczoraj jeździł między nimi, a nie śmieli się na mnie porwać, tak są obciążeni i konie mają pomordowane; sam was poprowadzę ścieżkami i chróstami.“ Po téj jego powieści, chwyciło się mnie tego serce bardzo, i mówię: „Nu, mości panowie, teraz nam trzeba pokazać, że nas Bóg i przyrodzenie ludźmi, nie grzybami, utworzyło; będziemy mieli pierwszeństwo nad innych, gdy się z tém popiszemy królowi, że przyprowadzimy języka; samto Bóg podaje nam tę okazję, tak snadną do nabycia dobrej reputacyi; pokażmy, żeśmy ludzie.“ O Boże! kiedyto krzykną na mnie:

„Alboż my to kwarcianni? alboż my to wołosza, lub ludzie służebni? mamy my wojsko kwarcianne, któremu płacimy, żeby się za nas biło; nie posłano nas tu dla języka, tylko dla wiadomości, którą już wzięwszy, nie pojedziemy stąd dalej; mam ja żonę, mam ja dzieci, i nie będę się tak szarzał, jak się komu podoba, bom nie powinien.“ Perswaduję, jak mogę, „żeto i my ludzie jako i kwarcianni; nie bądźmy jerozolimską, ale polską szlachtą; pamiętajmy na Boga i ojczyznę; wstydzmy się przynajmniej słońca tego, które nam świeci, gdy się ludzi nie wstydzimy.“ Jakby groch o ścianę rzucał; oni swoje prowadzą: „że nie powinniśmy i nie pójdziemy.“ Pytam: „kiedyście z domu wyjeżdżali, w jakiej chęci wyjeżdżaliście? czy jak na wojnę, czy też jak na wesele.“ Żadnym jednak sposobem nie wyperswadowałem. Uczyniwszy ślub i wymówiwszy: „że, póki żyw będę, nigdy się już takiej kommendy nie podejmę, i wołałbym paść świnię, niżeli z pospolitego ruszenia kommenderowanych prowadzić na podjazd,“ wróciliśmy się nazad z owęj wojny. Miałem wyrostka, Leśniewicza, co mi konia wodził, a był frant wielki, i mówię mu: „miły bracie, każ od siebie konia wziąć innemu, a ty wynajdź sposób, żebyś nam jaką uczynił trwogę.“ Pojechał więc i uczynić deklarował, a tymczasem powiedziałem niektórym konfidentom, że tu wnet będziemy mieli trwogę: „tylko nie mówcie; doświadczymy tu wnet dobrych pacholków.“ Przyjeżdżamy już wieczorem przed wioskę, aż ów wyrostek zapalił kopę konopi, ułożonych w ogrodzie, jak to zwyczajnie w jesieni układają o podał od chałup. Gdy to hukło, dopieroż moi w strach, rozumiejąc, że to Tatarzy, a we wsi uczynił się także rozruch. Ja mówię do nich: „Mości panowie!“ a mości panowie co żywo w nogi, każdy w swoją drogę, wołając na mnie: „Mości panie kommandancie! lepiej uchodzić, bo nas zgubisz, i wojsko i króla zawiedziesz, kiedy na siebie sprowadzimy nieprzyjaciela.“ Ja, po staremu, mówię: „Ej co tam! nie wytrzymam; muszę skoczyć do ognia i dowiedzieć się, co się dzieje.“ Owi też, już świadomi tego terminu, mówią: „jedźmy, skoczmy; dyć nas całkiem nie polkną.“ Skoczyliśmy tedy pod wieś, a drudzy ichmościowie w dalszą udali się

drogę. Powrócimy nazad; nie masz nikogo; ponajdowali-
 śmy tylko to, czego poodbiegali, to jest, sakwy z sucharami,
 z wędzonkami, z sérem, oponcze, kańczugi i inne drobia-
 zgi. Między inszemi rzeczami, została także cynowa ludo-
 wnica na rzemiennym pasie i w skórę powleczonea, pełna
 gorzalki wybornéj, której było ze dwa garce, a za nią tak
 się wstydzili, że się nikt do niéj przyznać nie chciał, choć
 ją na wysokiéj tyce uwiązano i o właściciela pytano. Po-
 wróciwszy zatém i rozmaicie myśląc, mówię do drugich:
 „nie dobrześmy jednak uczynili, a gdy téż owi tchórze
 tam przybieżą i wojsko potrwożą?“ Jaki taki rzecze: „pra-
 wda, prawda, ale cóż tu czynić?“ Ja mówię: „posłać trzeba
 takiego, coby wszystkich wyminął, i tam, jeżeliby który
 tchórz co powiedział, żeby świadczył, aby mu niewierzono.“
 Rzecze pan Adam Sieklicki: „niech jedzie mój Wilczopol-
 ski, który z koniem mi służy; przykażę mu, żeby go nie
 żałował.“ W lot tedy stało się tak. Daliśmy mu łyknąć
 owéj gorzalicy i mówię mu: „nie żałujcież panie konia,
 choćby miał i zdechnąć, bo tu o wielką rzecz chodzi;
 strzeż Boże, potrwożyć wojsko i króla dla naszych żartów,
 to natenczas i twoja szyja byłaby w strachu.“ Oni jakoś
 nieochotnie podejmuje się, bojąc się, jakto chudy pachol-
 lek, o konia. Dopieroż ja rzekę: „wsiadajże na mego, a
 swego oddaj pod mego czeladnika.“ Taktéż uczynił. Po-
 doganiał ich, powymijał, i owszem, doganiając, bardziej
 powystraszał, powiadając: „oto i ja już nie na swoim ko-
 niu siedzę, bom go stracił i musiałem na cudzego wsiadać.“
 Skoro już wszystkich wyminął, jechał sobie powoli z przo-
 downikami; dopiero kiedy już wydrapali się z lasów i tylko
 polami jechać było potrzeba, namawiał ich, żeby się gdzie
 na paszy zabawili, mówiąc: „nasi panowie są tam na ob-
 wodzie, i gdyby im ciężko było, jużbyśmy ich tu za nami
 widzieli.“ Owi téż uważając, żeby to ich wielka była sro-
 mota, gdyby bez kommandanta i z innéj kompanii powró-
 cili, zatrzymali się już o milę tylko od obozu. Nadrapa-
 wszy się po onych lasach i na łbie utykawszy, drugi i do
 tygodnia nie mógł przyjść do siebie, pijąc oliwę i boki
 smarując. My zaś na owém koczowisku zanocowaliśmy.
 i tak my jak i konie mieliśmy się dobrze. Gdy świtać po-

częło, ruszyliśmy się za nimi powoli, człapiąc i zbierając po szlaku czapki, kańczugi i t. p. Wyjeżdżamy z lasa, aż też oni nas obaczywszy, biorą się do koni i wsiadają. Mówię do nich, przyjechawszy: „A mości panowie, trzeba się wstydzic Boga i ludzi; opuściliśmy, dla nieposłuszeństwa, okazyą taką, w którejbyśmy byli i języków nabrali i dobrą sławę otrzymali, a oto było kilkunastu Tatarów, którzy nam uciekli, że nie miał kto wioski obskoczyć; nas było mało, sprawa nocna, nie mogliśmy zatém sami temu wydolać, a przecie, gdyby nas kilka set ludzi było, pewnieby był żaden z nich nie uszedł.“ Nie wierzyli zrazu, mówiąc, iż tak ich tylko łudzę, ale jak obaczyli szkapę, którą wziął jeden pacholek w krzakach, co téżto od niej ktoś był uciekł, dopieroć uwierzyli, (bo to szkapsko było podobne do bachmatka, i łączek na nim był goły, skórą tylko powleczony, naksztalt mody tatarskiej), i poczęli prosić, żeby nie powiadać, i żeśmy Tatarów nie widzieli, bo by ta cała wina i sromota na nich przyszła. Staliśmy na tym trakcie z godzinę w polu, odetchnawszy, czeladz na stronę odesławszy, których potém informowano, ażeby także powiedzieli, że Tatarów nie widzieli. Nakoniec przyobiecalem im, z wielkiem ich ukontentowaniem, że nie będę powiadał, mówiąc: „wy Pana Boga nie obrażacie nieprawdą, powiadając, żeście Tatarów nie widzieli, ale uważajcie, jakato jest infamia i obelga narodu, kiedyśmy ludzie bez serca; po sejmikach, po kołach jeneralnych siła mówimy, hałasy robimy, a kiedy przyjdzie do czego, to nic nie umiemy.“ I później zawsze im to wymawiałem na każdym posiedzeniu, chwając ich niby: „toto współzłożnierz mój! odprawiliśmy z sobą podjazdy, bywaliśmy w okazyach, stawaliśmy tak i owak.“ Kto to wiedział, ten się tylko śmiał. Zabieramy się potém ku obozowi, aż też Kalinowski z swoją partją idzie; złączyliśmy się tedy. Pyta: „jak mi się powodziło?“ Powiadam mu: „że wołałbym był świnię paść przez ten czas, póki się podjazd nie powróci, niżeli nad takimi ludźmi mieć kommendę.“ On téż podobnie powiadał, i tak przez całą drogę, (stroną sobie jadąc), pókiśmy nie wjechali w majdan, o tém był dyskurs. Powróciwszy do obozu, kazano nam iść do króla z relacją. Nie chcia-

łem ja iść, czyniąc się chorym, ale Kalinowski przyszedł do mnie i rzekł: „pójdź waść, bo będą rozumieć, że waści ta praca osłabiła.“ Ja mówię: „nie chce mi się i wstyd mi tam pójść, bo nie mam królowi co powiedzieć, a łąać też nie umiem.“ Rzecz Kalinowski: „a toż ja będę relacją czynił, byleś tylko waść był zemną jako kommandant drugiej dywizyi podjazdowej.“ Poszedłem więc z nim do namiotów królewskich; zastaliśmy tam różnych senatorów i panów. Czyni tedy Kalinowski relacją, prawi jak na mękach, koloryzuje, i powiada na ostatku, żeśmy się dusznie starali o języka, ale dostać żadną miarą nie mogli, bo już były zaciekle czambuły do kosza poschodziły. A on z swoją dywizją i w pół téj drogi nie dotarł, gdzie ja, i szlaku tatarskiego nawet nie powąchał, bo go także nie słuchali. Gdy on skończył, rzekł do mnie pisarz polny, Czarniecki Stefan: „a waść z swymi ludźmi na innym szlaku byleś?“ Powiadam: „tak jest!“ „Więc trzeba osobną relacją uczynić z swojej przystugi.“ Rzekli i inni senatorowie: „tak, tak, i bardzo trzeba.“ Dopiero ja mówię: „Powinność to jest nasza poddańska, wykonać rozkazy waszój królewskiej mości, pana mego miłościwego, natenczas wielkiego wodza i szafarza krwi naszej, którą że ochnie każdy z wiernych poddanych nieść i łożyć powinien, o tém sędzę; jakim umysłem zaś i z jaką gotowością w terażniejszej okoliczności należyta za dostojenstwo majestatu waszój królew. mości, pana mego miłościwego, kto niósł ofiarę, nie szperam; moje zaś i współżołnierzy moich czyny, choćby najlepsze, chwalić nie wypada; gani się zaś, jeżeli się nikczemne chwali. Nie wiem, czy złe oko zajrzało, żeśmy, dotarłszy szlaku nieprzyjacielskiego, widząc ognie i tumany, pewnym językiem nie mogli się przysłużyć waszój król. mości, panu memu miłościwemu. Relacji jnci pana łowczego podlaskiego, mego pana i brata, taki jest sens: „chciałem, lecz nie mogłem.“ Ja zaś, mamli dwojako Pana Boga obrażać, i lenistwem i nieprawdą, wolę się przyznać, mówiąc prawdę: „mogłem, lecz nie chciałem,“ wielkiego monarchy słów zażywszy: „przyszedłem, widziałem, lecz nie zwyciężyłem.“ Nakoniec, jeżeliby się waszój królewskiej mości, pana mego miłościwego, na podobną im-

prezę moja zejść będzie mogła usługa, wołę z kilku słuchających mnie podjąć się tego obowiązku, niżeli ze stem jednym i drugim panów, swojemi sentymentami rzeczy wojenne dyrygujących. O to upraszam pokornie majestatu waszjej król. mości, pana mego miłościwego.“ Spojrzą po sobie senatorowie i poczną się okrutnie śmiać. Potocki Szczesny, wojewoda sieradzki, rzecze do króla: „Jeszcze nie widział tak prawdziwej pochwały.“ Odpowie Czarniecki, starosta kaniowski, pisarz polny: „Nie dziwować się, nauczył się w dobrym porządku wojować.“ Gdy się to rozgłosiło, gniewano się o to bardzo, stary Missowski mówił przed niektórymi: „nieurośnie u nas w województwie pan Pasek za takie braci naszych shańbienie.“ Ja zaś mówilem: „oni sami na takie zarobili shańbienie, i zawsze im to na oczy wyrzucać będę.“ Przysłałci zaś był potem pan Sobieski, hetman i marszałek koronny, kilku Tatarów, ale i na tego zgrzytano zęboma, że go to wieść uczyniła drugim po arcybiskupie malkontentem. Poczęto też zaraz traktować, albo raczej praktykować konfederacją, żeby się sprzysiaż jednomyślnie i króla do gardła nie odstępować, bo miał wielką popularność i u wszystkich stanów miłość. Z tej racyi oburzano się bardzo na wszystkich malkontentów. Ruszyliśmy więc pod Lublin, a tam stanawszy, mówiliśmy o sposobie narad: „jakże to chrzcic, czy sejmem koronnym, czy konwokacją, czy kołem generalnym?“ Uradzono tedy, „że nie może być konwokacya, bo tu przez pewną liczbę osób odprawuje się; nie sejm, bo ten przez posłów się odbywa, a tutaj rzeczpospolita cała i każdy sobie jest posłem; ale musi być koło generalne, ponieważ rzeczpospolita składa się z wszystkich.“ Obraliśmy zatem marszałkiem Stefana Czarnieckiego, pisarza polnego, starostę kaniowskiego, człowieka czynnego, który tak umiał rzeczy akkomodować, żeby wszystko przyprowadzić do tego końca, przez któryby rzeczpospolita nie była na szwańk wystawiona. Santo śnać Bóg natchnął serca ludzkie, żeby obrać tego, któryby nietylko na przednie, ale i na ostatnie miał wzgląd koła, bo gdyby był kto inny z tych, co sobie tego życzyli, dostał pomienionej godności, zamieszałiby byli niezawodnie rzeczpospolitą tak, jako

nigdy bardziej, ponieważ jedni zbyt byli gorliwi za głową koronowaną i obrazę jej zakładali za podstawę i kamień węgielny, i radzili, żeby się tego upomnieć i przy tém stawać; drudzy zaś uważali na przeszłość, żeto trafiały się podobne okazy, do jednej tylko osoby odnoszące się, a czego w ojczyźnie narobili, do jakiegoto przyprowadzili krwi rozlania. Uważali, że to wielkie za sobą pociągnąć musi krwi rozlanie i zamieszanie, a Bóg wie, jeżeli nie ostatnią zgubę nietylko tego jednego królestwa, które jest przedmurzem chrześcijaństwa, ale i wszystkich innych monarchij chrześcijańskich, a śnać, że to sama wola boska walczy za nami, bo się nam wszystkie rzeczy dobrze kleiły. Tamci zaś cholerycy pragnęli miecza i krwi rozlania wołali, pretendując, że nie może być dobrze w Polsce, póki przewrotne głowy (które z dobrym panem nie dadzą nam spokojnie zażyć swobód naszych) nie wezmą swego karania. Jak tedy stanął szczęśliwie elektem na marszałkostwo Stefan Czarniecki, zaraz przytém postanowiono, aby kołowanie odprawiło się z powiatów, a do dla lepszego porządku; aby sami tylko deputaci z marszałkiem zasiadając na sessyach, traktowali o lepszym biegu narad publicznych; żeby głosami czasu nie zabierać i prędszą w każdej materji imieniem powiatu swego dać deklaracyą. Nie zagradzając jednak drogi przymówienia się każdemu ślachcicowi, choć nie deputatowi, i uprosiwszy sobie głosu u marszałka do materji, o której powinien był wprzód mieć dobrą od deputata swego informacyą, poobierano nareszcie w partykularnych kołach po dwóch deputatów z każdego powiatu, gdzie téż i mnie z powiatu lelowskiego kazali ichmość sobie służyć i stanąłem deputatem z panem Wojciechem Giebuttowskim. Zasiedliśmy tedy pospołu przed namiotami królewskimi, koło wielkie założywszy, a około nas zawsze kilka i czasem kilkanaście tysięcy arbitrów konnych, jednych trzeźwych, drugich pijanych. Zagaił marszałek wymowną mową. Nastąpiły powinszowania od króla i od senatu, życzące pomyslnego skutku. Każdemu marszałek odpowiedział w formie najzupełniejszej. Proponowano materje narad, ale osobliwie punkta kardynalne, to jest obronę oczyzny i należyty potędze tureckiej odpór, a drugi, straż przyboczna króla

pana i ubezpieczenie go od zasadzek malkontentów. Od czego najpierw zacząć, żądał rady marszałek od koła. Poczęli zabierać głosy, wywodząc, że to oboje jest potrzebne, ale staranie o zdrowie jego król. mości, pana naszego miłościwego, ma być w tém u nas poszanowaniu, żeby przede wszystkim był obmyślony majestatowi zaszczyt, a potem od innych radzić materyach. Taką miał miłość ten pan, że wszyscy jednomyślnym głosem na to się zgadzali, żeby zaraz w obozie zaciągnąć i zostawić do boku jego piętnaście tysięcy wojska, i pospolite ruszenie, za pierwszemi zaraz wiciami, aby w pole wychodziło, dobrowolnie deklarowali, i nie wzięła ta materya więcej czasu nad 3 godziny. O sposobie jednak zebrania pieniędzy na tę wyprawę, zgodzić się nie mogli po kołach partykularnych kilka dni, bo niektórzy chcieli przez pobory, drudzy przez podymne i t. d. A że nie rychłoby na owę zabrało się wyprawę, gdyby czekać wybrania owych podatków, tedy i w tém nie mniejsza poddanych przeciwko panu pokazała się miłość, że kto miał leżące po depozytach i w domu pieniądze, dobrowolnie odzywał się z swoją ochotą temi słowy: „ja województwu memu pożyczę 50 tysięcy;“ „ja 60,“ „ja 10,“ „ja 16,“ „ja 15,“ „ja 20,“ i t. p., i tak wnet summy były i nadto. Sami więc swoich summ poborcami byli, sami je za assignacyami rotmistrzom wydawali, którychto rotmistrzów województwa sobie obierały. Drudzy też, co byli bliżsi, zaraz do obozu pozwozili pieniądze, i tak w lot zaszczyt panu obmyślony, co wszystko sprawiła miłość prawdziwa poddanych ku królowi, któremu właśnie trzeba było powagi, bo już wojsku tamtemu, pod hetmanami będącemu, nie panował. Z strony zaś oparcia się potędze tureckiej, ta była uwaga, że to, cokolwiek my teraz czynimy dla króla, jest dobrem wielkiem, bo kiedy króla będziemy mieli mocnego, nie tak się o niego obetrą te zawzięte impety. Obmyślili tedy obronę i dopiero wkroczo no w materyą, żeby sądzić tych, którzy niewinnie powstają przeciwko panu, i wydać im mandat. Mówią inni, perswadują, osobliwie marszałek, „żeto podczas strasznej wojny nietylko nie trzeba drażnić, ale i owszem zamilczeć swojej krzywdy należy; król jmc, jako pan miłościwy, nie żąda tego, dla dobra

pokoju, jeżeliby się kto taki znajdował, będzie na to czas, uspokoiwszy, da Pan Bóg, wojnę, tak straszną turecką.“ A, po staremu, darmo, a po staremu, wołają: „sądzić!“ Co którego z magnatów spomną, to nie rzeką, tylko: „zdrajca, katowskiego godny miecza, i t. d.; długoż ci zdrajcy swymi niepokoić nas będą przewrotnościami; zły im był król Kazimierz, nie przestali go kusić, aż go do wiecznej niesławy przyprowadzili; dał nam Bóg terażniejszego ojca, nie pana, już się im i ten nie podoba. Trzeba się nam otrząsnąć tym rektorom, coto nami tak się opiekują, bo inaczej nigdy nie będziemy mieli uspokojenia.“ To się tu w kole dzieje i tu deputat deputatowi odpowiada dowodnie, a tam od owych stojących na okół z lada słowa stanie się huczek, o lada słówko trzaskanie szablami, obuchami kiwanie i do pistoletów się porywanie; tu zaś deputaci wstają z miejsc swoich ujmować każdy swego, (bo takie było ustanowienie porządku, żeby każdy, kto przyjechał lub przyszedł do koła, nie żądał miejsca innego, tylko za swoimi deputatami); tu wre jako w garnku; to lada materyjka, choć lekka, zabiera czasu godzinę i drugą. Ale bywało to często nawet i po partykularnych kołach, które się przed sessją pod chorągwiami odprawiały, bo nie bywało i tu bez wielkich tumultów; dosyć na tém, że szkoda było nietylko co wymówić, ale nawet i mruknąć przeciwko królowi, tak sobie ujął serca wszystkich ludzi, którzy mówili: „to król nasz, krew nasza, kość z kości naszych; dawno już nie cieszyliśmy się królem swego narodu.“ Nie wielkie rzeczy rzekł pisarz ziemi bielskiej w kole jeneralném, kiedy starosta średzki gorliwie mówił przeciwko małkontentom, a na ostatku próbował pismem. Ten pisarz ziemi bielskiej, człowiek biały jako gołąb, żołnierz wielki, poseł na każdym sejmie podlaskim, to tylko wyrzekł: „pane starosto, ne zderzysz!“ (gdyż tak był deputatem jako i starosta). O Boże! kiedy to powstanie rozruch i wołanie: „Jakto, pogański synu! nie zderzy, ale my zderzyna; nie odstępimy się, choćby jeden na drugim upadł. Podobnośto i ty ich duch; weźcie go, bijcie, podajcie go nam sam za koło, pošlemy głowę w podarunku panu Sobieskiemu.“ Już go poczęli siekać. Skoczył dziad jak sarna pod marszałka. Marszałek woła:

„piechoty, piechoty!“ Tu piechoty zaraz 600 za marszałkiem stawa, którym muszkiety w rękę drżą. Oficerowie mówią: „jak my się tu porywać mamy.“ Skoczyli biskupi i senatorowie, i ledwo ich ujęto. My też w kole ścisnęliśmy się tak, żeby się do niego nie przedarli, bo koniecznie napierali się nam, chcąc go wywlec z koła i rozsiekać. Ci też, o których było to rozumienie, że są tegoż ducha, (bo panowie malkontenci byli natenczas niektórzy u koła generalnego), gdy się wszczął rozruch, puciekali do namiotów, nie ufając swojej sprawiedliwości, osobliwie rotmistrze niektórzy nasi krakowscy. Kilka już razy zanosilo się na krwi rozlanie, i, po staremu, przyszło też do tego, bo w kilka dni potem stało się widowisko tragiczne, kiedy niejaki Firlej Broniowski, przyjechawszy do koła pijany, stanął na koniu jako najpierwszy za nami, to jest za deputatami województwa krakowskiego, i począł wołać, krzyczeć i wyrywać się w głosy. Ja rozumiałem, że który podgórzanin, aż kolegowie moi mówią: „nie z naszego województwa to człowiek.“ Potem wziął coraz to bardziej wrzeszczeć. Ja mu mówię: „panie bracie, nie potrzebujemy tu waćpana; jest to tu miejsce województwa krakowskiego; więc albo waść spokojnie stój, albo ustąp.“ Usunął się i na mnie począł fukać temi słowy: „wolno mi stanąć, gdzie się podoba.“ Porwą się tedy kolegowie moi i rzeką mu: „nie wolno; alboż nie wiesz ustanowienia, że każdy za deputatami swego województwa stać powinien; ustępujże, bodaj cię zabito! czyż się wstydzisz za twoje województwo?“ Nasi też konni, co między nimi stał, wołają: „ustąp waść, bracie, do swego województwa!“ i wypchnęli go. Pojechał na drugą stronę i znowu tam począł hałasować, a wiedziano, że też i on jest malkontentem, i mówi mu tam ktoś: „ej panie bracie, ostróżnie, żebyś waść na co złego nie zarobił!“ on jednakże tém bardziej wrzeszczał, i potem rzekł jeszcze coś przeciwko królowi. Do szabel na niego. Począł uciekać między szalasy województwa belskiego; stamtąd go wygnali, i dopiero w polu rozsiekali go okrutnie. My tu w kole nie wiemy, co się tam stało; aż tu oni wleką go do koła i wołają: „ustępujcie tam!“ Przywlekli go tedy dwaj pacholcy w turkusowej barwie za nogi o jednym bócie i rzu-

cili go w środek koła, mówiąc: „otoż macie pierwszego malkontenta; tak i drugim będzie!“ Jakoż stał się żal wielki na sercu i okropność, patrząc na owego rozsiekacza. Ci zaś, co się poczuli być malkontentami, byli w pół obumarli od strachu, widząc leżacego w krwi swojej jako bydlę jakie zarżnięte. Tak więc posiedziawszy z pół godziny, odłożył marszałek sessyą i rozeszliśmy się. Nastąpił potem jesienne sloty, śniegi, mrozy, tak, że drugi, rano wstawszy, swego konia nie poznał, kiedy go śnieg przywiał. Jużesmy odtąd mieszkali w namiotach, dla owój niepogody. Ślacha zaczęła się rozjeżdżać do domów, i my tylko deputaci z marszałkiem musieliśmy kawęczyć do końca. Przed dokończeniem koła, o mało nie zabito Zamojskiego, hetmana, w sposób taki jak Broniowskiego. Pewien ślachcic zadał mu, że on miał o królu tak mówić: „podobniejszy on mydło z krupką po Zamościu nosić, niżeli królować.“ O włoski mało go nie rozsiekano, a on ukląkł, ręce złożył i przysięgał, że tego nie mówił. Prosił za nim marszałek temi słowy: „dla Boga, mości panowie, dosyć już téj krwi; król przysłał, że choćby i to i co większego mówił, odpuszcza mu i prosi za nim.“ Dalić mu pokój. Skończyliśmy koło generalne 10. Listopada, którego akta podpisaliśmy wszyscy deputaci i królaśmy pożegnali. Marszałek miał imieniem wszystkich mowę, bardzo wyborną wymową, której wymowy nie wiele ludzi do niego wiedziało, i dopiero tém marszałkostwem wślawił się, że jest wielki mówca. Porozjeżdżaliśmy się tedy szczęśliwie. Przyjechałem do domu 16. Listopada; trafilem na żałobę po matce mojej kochanej, która w wigilią Ś. Szymona Judy Panu Bogu ducha oddała. Oby w świątyni pokoju spoczywała! Pochowaliśmy ją w stopnickim kościele u ojców Reformatów.

Rok 1673.

Rok ten zacząłem, daj Panie Boże szczęśliwie! w Skrzypowie, i odebrałem z Smogorzewa aręde roczną od pani Olszanowskiej, która tam poszła za mąż.

Sejm warszawski nastąpił, podczas którego arcybiskup P....., snem śmiertelnym zawarł oko, bo nie miał tylko

jedno, które jednak siła widziało i siła zlego narobiło. Umarł w Ujazdowie, zapewne z aprensyi, że nie mógł dopiąć interesów francuskich. Po nim został prymasem książę Czartoryjski, zacny wielce pan i świętobliwości wielkiej senator.

Na tę zimę Turcy nie schodzili z pola, ale okopali się pod Chocimem i stali obozem.

Nasi panowie hetmani mieli wojska porządne, litewskie i koronne; wyprawa téż była dymowa z województw i chorągwie pancerne bardzo dobre. Chcieli nasi dać Turkom pole, ale oni wyjść nie chcieli, żeto już Tatarzy poszli byli od nich. Nasi tedy niesłychanym przykładem postanowili do nich szturmować; poszli więc pod okopy; obstąpili obóz naokoł; piechoty, podsadziwszy się, rozwały wały w kilku miejscach, bez żadnego oporu, bo i razu z armaty nie strzelono, choć mieli dział tak wiele. Pan Bóg podobno zaślepił był poganów i serce odjął, że tak skromnie przyjmowali do siebie naszych dobywających się, właśnie kiedy owo gość jaki przychodzi, a nie nieprzyjaciel. Stali tylko na koniach, wielkich wałachach, w okopach, aż do nich powchodziły nasze chorągwie owemi dziurami, w wałach poczynionemi; dopiero tam w okopach uderzyli na naszych, ale nie mogli długo wytrzymać i zaraz poczęli uciekać do mostu, który mieli na Dniestrze ku Kamieńcowi; tam ich dopiero nasi cięli; a że tłumem wielkim cisnęli się na most, ten się załamał, i tak jedni potonęli, drugich wycięto, innych znowu nagnano na skałę, z której wraz z końmi na łeb pospadali. Zdobył nasi wzięli wielką w rzędach, w śrebrach, i namiotach bogatych; owe zaś kosztowności wyborne, które na sto tysięcy można było rachować; owe szable bogate, owe janczarki, wszystko to dostało się naszym. Naprowadzono także do Polski wielbłądów siła, tak, że dostał jednego i za podjezka. Ale téż to jeden syn osobliwie ucieszył ojca zdobyczą; był on rotmistrzem dymowskim i miał kilka wielbłądów zdobycznych. Przyjeżdżając zatem do domu, chciał się téżto pokazać ojcu na powitanie w stroju tureckim i ubrał się w ubiór wszystek i zawój turecki wdział na głowę, wsiadł na wielbłąda, kazawszy czeladzi zatrzymać się na wsi i pojechał przodem do dworu. Ojciec, staruszek, idzie przez podwórze z laską do jakie-

goś gospodarstwa, a owo straszycło wjeżdża we wrota, co starzec obaczywszy, okrutnie począł uciekać, żegnając się. Syn widząc, że się ojciec przelał, bieży za nim, wołając: „stój dobrodzieju! jato, syn twój!“ a ojciec tém bardziej w nogi. Zachorował potem z przełknięcia i umarł. — Nasiało się wtenczas po całej Polsce rozmaitych rzeczy turceckich, owych haftowanych rzeczy ślicznych, koni pięknych, ubiorów bogatych i innych różnych osobliwości. Dał Bóg narodowi naszemu cudowne zwycięstwo, a najbardziej z tój okazji cudowne, że się i bronieć zapomnieli; bo kiedy wprzód brano obozy wołoskie i multzańskie, nie przyszli ich Turcy bronieć, a potem i sami się nie bronili, aż dopiero wtenczas, gdy ich nasi wyparli z obozu. Podostało się także i naszym, bo Pisarski, starosta wolbromski, rotmistrz, zginął wraz z swoim porucznikiem; także i Żelecki, starosta bydgoski, i inni.

Wojsko nasze miało pójść na wiosnę podo Lwów, wzięwszy go, dalej w Polskę. Jużemy się prosili i przyjąc chcieli poddaństwo, bośmy nie mieli nikogo, kto by się zastawił. Prosili Turczyna, „żeby nas tak zastawił, jako Wołochów i Multanów, i żeby nam wiary nie psował.“ „Nie może to być,“ mówił Turczyn; „Wołosi i Multani dobrowolnie się poddali, a wyście zawojowani.“ Prawda, że to jeszcze posłów z tém nie posłano, ale przez chana krymskiego już o tém poczęto traktować. Zgoła, strach był wielki, trwoga wielka, aż Pan Bóg wnet to przemienił, dawszy zwycięstwo chocimskie, bo zaraz Turcy spuścili nos, zgubiwszy to wojsko, które mieli za najlepsze; zaraz pozwolili na pokój i ukontentowali się samym Podolem, co byli na całe królestwo gębę rozwarli, i mówili podolskiej ślachcie: „wy nie możecie u nas uprosić takiej wolności, jaką mają Wołochowie, boście wy swawolni, ale was rozbroimy i będziemy was tylko do robót zażywać,“ aż tu Pan Bóg inaczej zrządził, nie dając swym świątyniom i nam też upadać. To zwycięstwo stanęło na imie króla pobożnego, Michała, który zaraz po niém umarł. Różni różnie uważali, jakoby miało być jakieś podejrzenie otrucia w cyrance, którą król bardzo rad jadał. Nie posądzam, ale to tylko piszę, o czém ludzie gadali.

Rok 1674.

Rok ten zacząłem, daj Boże szczęśliwie! w Skrzypowie! Było bezkrólewie i sądy kapturowe. Przejeżdżałem się często do Radomia z strony Rączek. Obiór nowego króla złożono pod Warszawą w Maju, ale już nie tak wielkiem zgromadzeniem, jak Michałowski, i tam, po staremu, było wiele konkurencyj, ale, po staremu, dał nam Pan Bóg Piasta, kość z kości naszych, tojest Jana Sobieskiego, hetmana i marszałka wielkiego koronnego, który obrany został dnia 19. Maja, i ogłoszony dnia 21. tegoż miesiąca, nam dziś szczęśliwie panujący, który oby najdłużej panował na chwałę bożą i dla dobra Rzeczypospolitej chrześcijańskiej, ażeby Bóg jego plemię rozkrzewił, jak niegdyś Abrahamowe, i żeby korona z głowy potomstwa jego nie schodziła, jak w familii austryackiej, tego wszyscy życzymy. Nie była jednak koronacya, aż dopiero w trzecim roku, bo nastąpiły wojny wielkie od Turków, Tatarów i Kozaków, którzy się poddali Turczynowi, zapraszając go na wojnę przeciwko nam, i chcąc nas przez jego potęgę zniszczyć. Ale sami zdrajcy, imię swoją tém bardziej zniszczyli i ostatek potęgi swojej zgubili, o czém niżej będzie. Żałując Turcy przeszłorocznej ludzi straty, snadno bardzo dali się namówić Kozakom na wojnę do Polski i przyjąć ich protekcyą. Wyszły zatem wojska wielkie; młody Chmielnicko został w Stambule zastawnikiem. Jużto impreza na nas była z połączonemi siłami, aleć ich Pan Bóg tak poróżnił, że się sami z sobą wadzili i bili, a nam dali pokój. Pobrali Turcy miasta Ładyszyn, Human i inne szturmem. Po wszystkich prawda miastach, ale osobliwie w Humaniu, stało się tak wielkie krwi rozlanie, że tam więcej niż dwakroć stotysięcy kozactwa zginęło, ale i Turków w szturmie naginęło bardzo wiele. Tak tedy, co się na naszą krew grozili, swojej się do woli napili.

Rok 1675.

Jakem osiadł w Skrzypowie, nie robiłem nic, tylkom sprawiał obłóczyny professyi, bo cztery pasierbice moje:

Maryanna, Alexandra, Barbara i druga Maryanna, najmłodsza, zostały Bernardynkami. Te panny nie z żadnego przymuszenia, albo z jakiej potrzeby zostały zakonnicami (bo dziatki były urodziwe i z posagami), ale z samego boskiego natchnienia. Koszt jednak na to wielki łożyłem, gdyż to nierównie więcej kosztuje, niżeli wydając pannę za mąż. Kto tego nie świadom, ten powie: „coto za koszt?“ ale, po staremu, tak jest, bo nie dosyć, że już wyprawę dasz i postanowisz, musisz jeszcze zawsze dawać do klasztoru.

Do Gdańska także w tym roku jeździłem i sprzedałem pszenicę panu Wilhelmowi Braunowi.

Turcy z wielkimi ordami wpadli, popłądrowali i spalili Podhajec i Zbaraż, koło Wiśniowca, i wiele innych szkód narobili. Nasz obrany król, jak mógł, tak się tym zdracom oganiał.

Rok 1676.

I tego roku w Skrzypowie mieszkałem. Do Krakowa przywieziono ciało króla Michała; przywieziono też i Kazimierza z Francji, choć z nami nie chciał życia swego kończyć, a, po staremu, po śmierci do nas przyjechał. Miły królu! to widzisz, żeto przecie ojczyzna, słodkie miejsce; wzgardziłeś dobrowolnie ojczyznę, która cię wychowała i dotrzymywała zawsze miłości i wiary, a kości twoje pragnęły, żeby się do niej powróciły i w niej spróchniały! Wielkiej więc nowalii doczekał się Kraków, bo trzech razem królów polskich w murach swoich przyjmował, tojest dwóch razem i na jednym katafalku, a trzeciego widział na majestacie, ponieważ nasz elekt, Jan III., ognawszy po części ściany ojczyzny od nieprzyjaciół koronnych i widząc, że też już deklarowaną od rzeczypospolitęj koronę zasłużył, wjeżdża do Krakowa dnia 29. Stycznia, z wielkimi oklaskami i radością przyjęty, bo nawet i ci, co przeciwko tej ojczyźnie mówili, uznali taką serc swoich przemianę, że się wszyscy cieszyli z jego panowania, widząc, że pan rozumny, dobry, wojenny, pracowity i szczęśliwy; nie było też tedy malkontentów, tak jak za Michała, co sam Pan Bóg zdarzył. Był więc pogrzeb obudwu królów razem na

zamku krakowskim dnia 13. Stycznia, obudwu trumny podle siebie stały, na jednym wozie wieziono ich, obudwu ceremonie wspólnie odprawiono i na jednym katafalku podle siebie postawiono. Król Jan III. wszystkim ceremoniom assystował z wielkiem nabożeństwem. Nie w jednym jednak chowano ich grobie, bo Kazimierza w kaplicy Zygmunta, ojca jego, Michała zaś w kącie, po prawej ręce wchodząc w kościół, w kaplicy nie wiem którego króla. Po ceremoniach pogrzebowych, dnia trzeciego, tojest 2. Lutego, w dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, była koronacja króla jnci, Jana III. Oby jak najszczęśliwiej i jak najdłużej panował na chwałę majestatu polskiego i obrony Rzeczypospolitej chrześcijańskiej! Czwartego Lutego zaczął się sejm koronacyjny, przez który, ledwo nie przez wszystkich, musiałem się bawić w Krakowie, mając sprawę z Niemcami o gwałty poczynione w Smogorzewie. Otrzymałem karę na Chrzanowskim kapitanie, i Demeku, poruczniku, którzy w kajdanach chodzili. Wakanse porozdawano, buławę wielką księciu Dymitrowi Wiśniowieckiemu, małą zaś Jabłonowskiemu, pieczęć małą biskupowi warmińskiemu, lauskę mniejszą Sieniawskiemu.

Pod Wojniłowem była potrzeba z ordą, potem obóz pod Żurawnem od Turków i ordy w oblężeniu; nakoniec nasi, radzi nie radzi, musieli zacząć układy z nieprzyjacielem. Stanęły tedy traktaty z Turkami; pozwolono im Podole i Ukrainę, aleć te traktaty nie były długo-wieczne z nieprzyjacielem takim, który zawsze chciwy apetyt miał na pożarcie ubogiej ojczyzny naszej.

Rok 1677.

W tym roku, daj Panie Boże szczęśliwie! objąłem Olszówkę i Brzeście w dzierżawę na lat 7, ale dobra spisałem i pieniądze wyliczyłem przed sześciu laty. Pan Chełmski, oboźny koronny, nie chciał tego natenczas ustąpić, (lubo była umowa z bratem jego Krzysztofem uczyniona, że tak miało być), aż dopiero po wyjściu lat kontraktem wyrażonych; skoro zaś lata wyszły, począł mi odpowiadać, żeby mię był odstraszył od tego kontraktu. Ja tedy układałem

się z panem kasztelanem belskim, odjeżdżającym na sejm do Warszawy, żeby on rozkazał, aby mi dobra, jak dzień expiracyi kontraktu przyjdzie, oddane były. On więc zaleca, odjeżdżając, żeby, jak czas przyjdzie, żona jego zjechała i mnie dobra oddała. Tak się też stało. Lubo wrota zamykano, upilnowaliśmy jednak tak, że kiedy chłopów puszczano do młócki, skoczyło kilku konnych i przytrzymali wrót, ażeśmy powjeżdżali, i tym sposobem oddano mi dobra i gromady. Ale dawszy temu pokój, wracam się do wypadków w tym roku.

Sejm warszawski nazaczył posłem do Turcyi pana Gnińskiego, wojewodę chełmińskiego. Kommissya odprawiała się w Sandomierzu, obóz zaś stał pod Trębowlą bardzo wygodnie, i żołnierze dobrze sobie gospodarowali, bo siali, orali, łąki kosili, a w zimie taką wygodę mieli jak w domu, i na bazarze tanięj wszystko było, niżeli po miastach, ponieważ w obozie piwa i miody warzono, i wozy tak szły na targi w majdan, jak przed laty do Kazimierza. Ordynacya wojska bardzo dobra. Lepiejby było, gdyby tak zawsze wojsko stało, niżeli się po Polsce włóczyło z stanowiska na stanowisko i konie w niwecz obracało.

Do Gdańska tego roku puściłem się dnia 7. Lipca, a stanąłem tam dnia 16. Sierpnia.

Tego roku rodzic mój kochany umarł w Grudniu z jak największą skrucą i właśnie po chrześcijańsku, bo w wigilią Ś. Barbary, do której on miał wielkie nabożeństwo. Z wielką pamięcią i dyspozycją umierał, bo nie w gorączce, ale tak prawie usypiał. Pochowałem go w Krakowie u Karmelitów na Piasku. Niech mu Bóg da wieczne odpocznienie w królestwie swoim niebieskim!

R o k 1678.

Rok ten zacząłem, oby szczęśliwie! w Olszówce. Spokładała mię w tym roku szkoda nie mała, a to z tej okazji: Jmć pan Belski prosił mię na zgodę z jmć panem Czernym, starostą parnawskim, o defalkę kozubowską, gdzie pojechawszy, wziąłem z sobą suknie i futra, bo zaraz stamtąd miałem jechać na kommandy pana Łąckiego Floryana, pod-

stolego malborskiego, do Kielczyna, do panny Borowskiej. Dano mi tedy gospodę w karczmie. Karczma się zapaliła, a mnie, we dworze bawiącemu, zgorzały moje suknie, lub je téż ukradziono, i miałem najmniej na cztery tysiące szkody. Takato przyjacielska usługa! A co te przyjacielskie usługi w mojem życiu mnie kosztują, o tém sam tylko Pan Bóg wie! Tak tedy mówię i mówić będę; że ci tylko przyjaciele, którym ty służysz w jakiej okazyi; prawda, że się oni za tę twoją usługę odsługiwać ofiarują, ale prędko tego zapominają. Rzadko się kto znajdzie, żeby do trzech lat pamiętał, dobrodziejstwo, a kiedy ty potrzebujesz jego usługi, to albo nie chce, albo choćby chciał, nie umie; gdy zaś on potrzebuje przyjaciela, to cię znajdzie, a kiedy zaś ty go potrzebujesz, to go musisz z świecą szukać, bo są inni, co się nie aplikują, choćby téż i mogli; są inni, co im Pan Bóg tego nie dał, żeby umieli zażyć nauki, lubo ję mają dosyć, a tak, choć ludzi jest gwałt, jednak o człowieka czasem jest trudno. Bo téż drugi grzyb obleży się w domu, i już o niczem na świecie, ani o publice, nie myśli, ani nawet o tém, żeby imię jego znano, ale tylko zanurzywszy się w domowe wczasy, na nic się nikomu nie przygodzi, tak jakoby téż nie żył, nie uważając na przeznaczenie nasze, że to nie dla siebie tylko rodzimy się, jak owo mówią:

- »Kto przy mnie za łeb pójdzie, pieniędzy pożyczę,
- »Poradzi, a gdy jechać, siła mił, nie liczy,
- »To mi prawy przyjaciel, takiego szanuję,
- »Tym czworgiem niech mi służy, ostatkiem daruje.«

A znajdziesz takich braci naszych, co w żadnej z tych okazyj nie użyjesz go, a każdy ślachcic przynajmniej jedną z tych czterech cnót powinien mieć w sobie koniecznie, a jeżeli nie ma, to téż jak owo Mazurowie śpiewają:

- »Cztery dzieweczki,
- »Za korzec sieczki.«

Albo ich téż tak drogo poprzedać, jak owo tam pisze historia o żydach, że ich tam kiedyś w majdanie wojska rzymskiego trzydziestu za pieniądz przedawano.

Ale uczyniwszy to zboczenie, wracam się do materyi, żem ten rok cały prawie strawił na usługach przyjacielskich

po ugodach, kondescensach, lokacyach, kompromissach, aktach weselnych, pogrzebowych i t. d.

W tym roku Turcy zrujnowali Międzybórz, Niemirów, Kalnik i innych wiele miast i wsi.

Rok 1679.

Rok ten zacząłem, daj Boże szczęście! w Olszówce, który, z łaski bożej, był spokojny, ale bardzo nieurodzajny i nieplewny, a, po staremu, taniość wielka na arędarzów, i powietrze też było miejscami. Tegoż roku najpierwszy sejm w Litwie odprawił się w Grodnie. Panowie Litwini to na nas wysmażyli, że musiała stanąć konstytucya, aby dwa sejmy odprawiły się po sobie w koronie, a trzeci w Litwie, co było bardzo z uciążeniem naszym tam jeździć, a gdy wpadło w zwyczaj, już też bywało na zawsze. Wojsko nasze tego roku stojąc obozem pod Trębowłą w lecie i zimie, nie żołnierzami, ale gospodarzami było, bo tak ekonomikę traktowali, siejąc, orząc i wszystkiego dostatek mając, właśnie jak w domu, tylko że im żonek niedostawało.

Rok 1680.

Zacząłem i ten rok, daj Boże szczęśliwie! w Olszówce. Zaraz na początku tego roku doczekaliśmy się nowych rzeczy, bo zima, która już była gruntownie stanęła, zginęła, i stało się tak ciepło, tak pogodno, że bydło poszło w pole, puściły się kwiatki i trawę ziemia wydawała, orano i siano. Jam jednak długo namyślał się z siewem, ale widząc, że ludzie już wół pozasiewali jarzyny, ja też natenczas począłem siał. Gdym jeździł w zapusty z ludźmi po koumendach, po weselach, to takie były gorąca, że trudno było zażyć sukni futrzanej, tylko letniej, jako w Sierpniu. Już wtedy zimy nie było nic, tylko dęszczyki przechodziły. Owe tedy zboża w Styczniu siane, wyrosły tak przed wielkanocą, że aż na nich bydło pasano, a tak tej zimy bydło mało co słomy zażyło, mając bardzo dobre pożywienie w polu.

Przysłał do mnie król jmc pana Straszewskiego, sługę swego, z listami, prosząc uroczyście o darowanie wydry, którą chowaną miałem, tak rokoszną, że wolałbym być częścią majątku mego dać, niżeli onę, bom ją tak kochał. A najpierw król dowiedział się tam od kogoś o tej wydrze, że jest z temi a temi przymiotami wydra u jednego słachcica w województwie krakowskim, ale nie wiedziano, jak mię zowią i do kogo owe prośby posłać. Najpierw tedy pan koniuszy koronny pisał do pana Bełchackiego, który potem został wice regentem krakowskim, żeby się dowiedział, u kogo się taka znajduje wydra i jak go zowią. Że zaś wydra ta na całe województwo krakowskie była sławna, a potem i na całą Polskę, wywiadził się o tém pan Bełchacki i dał wiadomość, że u mnie jest. Dopieroż tedy król ucieszył się nadzieją, mówiąc: „mnie pan Pasek dawno znajomy, i wiem, że mi jęj nie odmówi,“ i przysłała pana Straszewskiego z listem. Pisze oraz pan koniuszy koronny, pisze pan Pisarski Adryan, krewny mój, dworzanin królewski, prosząc, żebym tego podarunku królowi nie odmawiał, gdyż się to nagrodzi wszelką łaską i respektem króla jnci. Przeczytawszy listy, zacudowałem się: ktoto tam o tém zwiastował? i pytam: „dla Boga! cóżto królowi jnci po tej wydrze?“ Powiedział poseł: „bardzo król jmc żąda i prosi.“ Ja na to: „nie masz tej rzeczy u mnie, coby miała być odmówiona królowi jnci.“ Ale mi było tak miło, jakby mię ostrém grzeblęm po gołej skórze drapał. Posłałem więc do browarnego arędarza, żeby mi przysłał wydrzanego rękawa, który, gdy przyniesiono, kładę mu na stół, i mówię: „a otóż waść masz prędką expedycją.“ Ów patrzy i mówi: „ale żywa i pieszczona ma być ta wydra, o którą król jmc uprasza.“ Ja tak pożartowawszy, musiałem ją nareszcie prezentować, a że jęj nie było w domu i tam się gdzieś włóczyła po stawach, zatem, napiwszy się wódki, wyszliśmy na łąki; począłem ją wołać jęj przezwiskiem, bo się Robakiem nazywała; wyszła mokra z trzciny, poczęła się koło mnie łasić, a potem i poszła za nami do izby. Zdumiał się Straszewski i mówi: „a dla Boga! jakżeto król niema tego kochać, kiedy to tak łaskliwe.“ Odpowiadam: „to waść tylko samę

łaskliwość widzisz i chwalisz, ale zapewne bardziej chwalić będziesz, gdy obaczysz jęj cnoty.“ Poszliśmy więc nad staw; a stanęwszy na grobli, mówię: „Robak! trzeba mi ryb dla gości, hul w wodę.“ Wydra poszła, wyniosła najpierw płocicę; drugi raz kazałem, wyniosła szczupaka małego; trzeci raz, wyniosła półmiskowego szczupaka, trochę go tylko na karku raziwszy. Straszewski się za głowę porwał, mówiąc: „dla Boga, co jato widzę!“ Mówię tedy: „kazesz waść więcej nosić? bo ona póty będzie nosiła, póki mi nie będzie dosyć; trzeba ryb cebra, nanosi ona, bo ją sieć nic nie kosztuje.“ Straszewski rzecze: „wierzę, bo widzę, gdyby mi zaś kto powiadał, nie wierzyłbym.“ Chwycił się bardzo Straszewski tego, widząc, że to z mniejszym jego nierównie będzie kłopotem, żeby królowi umiał opowiedzieć jęj przymioty. Póki nie odjechał, pokazałem mu wszystkie jęj umiejętności, które były takie: Najpierw, sypiała ze mną w pościeli, a była tak ochędożna, że nie tylko w pościeli źle nieuczyniła, ale nawet i pod łóżkiem, lecz poszła do jednego miejsca, gdzie jęj stawiono skorupkę, i tam dopiero odprawiła swój wczas. Podrugie, stróż z nięj taki: w nocy, panie zachowaj, do łóżka mego przystąpić; chłopcu ledwie pozwoliła z bótów mię zzuć, a potem już się nieukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, że się musiałem obudzić, choćem najtężej spał; a kiedym był pijany, to po piersiach deptała, wrzeszcząc tak długo, aż mię obudziła, gdy się kto koło łóżka przechodził; w dzień zaś rozwaliwszy się gdziekolwiek bądź, tak spała, że choć ją na ręce wziął, to oczów nie otworzyła. Tak bestya zawstydziała człowieka! Surowęj ryby, surowego mięsa, nie chciała jeść; nawet kiedy w piątek albo post uwarzono jęj kurczę lub gołębia, a niewłożono pietruszki, (tak jakby wiedziała co należy), nie chciała jeść. Rozumiała też tak, jak owo i pies: nie daj ruszać. Kiedy mnie kto poszarpał za suknię, a rzekłem: rusza, to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknie, za nogi, równo ze psem, którego też jednego kochała, a który zwał się Kapral i był kosmaty, i od niego wszystkiego się nauczyła i wiele innych sztuk; z tym psem tylko miała swoje towarzystwo, żeto był izdebny i bywał z nią wspólnie w drodze. In-

ných psów nie lubiła; jak który przyszedł do izby, zaraz go łapką wycięła, choćby był i najroślejszy chart. Przyjechał do mnie Ożarowski Stanisław, ba po prostu, współ ze mną jadąc, wstąpił do mnie. Byłem mu rad; wydra zaś, że mnie trzy dni nie widziała, przyszła do mnie, niemogąc się nacieszyć i naigrać. Miał z sobą gość charcicę piękną i rzecze do syna: „Samuelu, trzymaj tę charcicę, żeby tój wydry niejadła!“ Ja mówię: „nieturbuj się waść, nieda sobie to zwierzątko, choć małe, krzywdy uczynić.“ Aż on rzecze: „co, waść żartujesz, ta charcica wilka się chwytą, lizka jój tylko raz ziewnie.“ Poradówawszy się mnie wydra, obaczyła psa niedomowego; przyjdzie do owéj charcicy i patrzy jój w oczy; charcica téż na nią patrzy; obeszła ją do koła i powąchała ją w nogę zadnią. Odstąpiła się od niéj i poszła. Ja myślę: „toć jej już nic nie będzie czyniła.“ Jeno cośmy o czémsié poczéli mówić, aż wydra znowu wstała, co mi się układała była pod nogami; idzie cicho po podławiu, i zaszła charcicy znowu z tyłu; kiedy ją wytnie przez łytkę, charcica skoczy do drzwi, wydra za nią; charcica za piec, wydra za nią; gdy już widzi, że nie ma gdzie uciec, skoczyła na stół, chcąc w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi. Dwa jednak kieliszki szlifowane z winem stłukła, a potém, jak ją wypuszczono, nie pokazała się do pana, choć nie pojechał, aż nazajutrz po obiedzie, bo się tak wydry bała; ale i w drodze jeno jój pies powąchał, a ona krzeknęła przeraźliwie, to pies zaraz uciekł. W drodze wielka była z nią wygoda. Kiedy w post, (bo jakto u nas, osobliwie w tym kraju bywa, że przyjedziesz do miasteczka i spytasz: „do stanie tu ryb kupić?“ to się jeszcze dziwuje: „a skądżeby się tu wzięły; nawet ich nieznamy;“ to jadąc gdziekolwiek mimo rzeki, stawu, a wydra była i sieci nietrzeba, więc zsiadłszy trochę z woza i zawoławszy: „Robak, hul, hul!“ to robak poszedł, wyniósł ryby, jakie ta woda miała, jedną po drugiej, aż było dosyć; jużem tam nie przebierał jak w domowym stawie, ale co przyniosła, to bierz, oprócz jednéj żaby, bo i tę często nosiła, gdyż, jakem już napisał, ona tam nie brakowała, ale co napadła to wzięła. Natenczas i ja i czeladź mieliśmy się dobrze, a czasem i gość

pożywił się, jak się to trafia, stojąc w jednej gospodzie z kilkoma gości. Nie raz goście dziwili się, mówiąc: „a jam kazał ryb szukać w tém a w tém mieście, a nie można nic dostać; gdzież waćpan dostał takich ryb zacnych.“ Tom ja powiedział: „w wodzie.“ Nawet i w mięsny dzień czasem, to czeladź rzekła: „oj dobrodzieju, rzucają się tu ryby w tym stawie; niech wydra idzie.“ Tom poszedł z nią, bo ona za nikim, oprócz mnie, nie chciała iść. Dalej ona znowu ryby wynosić; jeżeli dobra ryba, jako to szczupak, okoń rosły, tom i ja sam jadł, nietylko czeladź, bo ja najlepszej mięsnej potrawy gotów odstąpić dla dobrej ryby. Takie z nią w drodze było tylko uprzykrzenie, że gdzieś jechał, wszędzie się dziwiono i ludzie kupami schadzali się, właśnie, jakby to było co z Indyi przywiezionego, i nigdy asystencyi nie było skąpo, a osobliwie téż w Krakowie kiedy jechałem przez ulicę, różnych ludzi kupa wyprowadziła mię z Krakowa. Pewnego czasu byłem u mego wujecznego, pana Szczesnego Chociwskiego; był także u niego ksiądz Śrebieński i usiadł podle mnie za stołem, a wydra, objadłszy się, leżała podle mnie na ławie i spała w znak rozwaliwszy się, boto jój najmilszy był zwyczaj w znak leżeć. Ksiądz posiedziawszy, obaczył wydrę, a rozumiejąc, że to rękaw, porwie ją, chcąc obejrzyć; wydra przebudzona, okrutnie zaskrzeczała, uchwyciła go za rękę i ukąsiła; ksiądz z bólu i z przestachu zemdłał, i ledwie się go dotrzeźwiono. — Gdy już Straszewski widział owę wydry przymioty, obaczył téż i inne myślistwo moje, jakoto: zwierzyniec ptaszy, który miałem zbudowany, kratami drutowemi nakryty, a w nim ptastwo wszelkiego rodzaju, jakie tylko w Polsce mogło się znajdować, gniazda robiło i legło się na drzewkach tam posadzonych, a nietylko to ptastwo, co może być w Polsce, ale i inne cudzoziemskie, cokolwiek mógłem przybrać i skądkolwiek zaciągnąć. Straszewski był téż natenczas, kiedy ptaszki siedziały na gniazdach i gdy się legły; widział że się na gniazdzie da pogłaskać; widział kuropatwy tam wyleżone i stadami swoje potomstwo wodzące, i na zawołanie, tak jako kurczęta, do sypania ziarn idące. Pojechał Straszewski do króla, i wszystko to, co widział, opowiedział. Ledwo co Straszewski przyjechał i

uczynił relacją, wzięła króla taka chętka, iż rzekł do niego: „nie może być; tylko jedź znowu i przywieź już jakikolwiek bądź sposobem, byłem tylko miał wydrę.“ Znowu więc listy do mnie popisano, pytając: „co sobie za nią każe dać.“ Pan koniuszy koronny, pan Piekarski, pisał, prosząc: „dla Boga, jużże się nie wymawiaj, lepiej daj i zbyj kłopotu, bo pokoju nie będziesz miał, gdyż król jedząc, chodząc i śpiąc, tylko o tój wydrze myśli, która żeby nie miała żadnej przeszkody, darował swego kochanego rysia panu wojewodzie malborskiemu, ptaka zaś kazuara odesłał do Jaworowa, aby już tylko z samą wydrą się cieszył.“ Przyjechał więc znowu na odwrót Straszewski, listy oddał, i powiada, jako król wdzięczen obietnicy, bez której tęskni i prosi, mówiąc: „kto prędko daje, dwa razy daje;“ w listach piszą obietnice srogo; Straszewski mi powiada, że król chciał posłać pieniędzmi ukontentowanie, ale pan Piekarski powiedział: „Miłościwy królu! darmo tam pieniądze posyłać, bo ich nie weźmie; u tamtego ślacheica fantazyja dobra i pewnie tego nie uczyni, ale takby co posłać, cobyto polityczniej wziąć.“ Posłał tedy król do Jaworowa po dwa konie tureckie, żeby mi je przyprowadzono, (a konie tam bardzo piękne), i kazał je oddać wraz z bogatém wsiadaniem. Ja zaś powiedziałem, że nietylko pieniędzy, ale i koni nie wezmę, bohym się tego wstydział, za tak nikczemny podarunek takie odbierać honorarya. Wyprawilem tedy wydrę na nową służbę; bardzo niewdzięcznie przyjęła tę wyprawę na nową służbę, bo piszcząc i wrzeszcząc w klatce, kiedy przez wieś jechali, ażem poszedł do izby, nie chcąc słuchać tego, bo mi jój żal było; w drodze jadąc, gdzie upatrzyli wodę na równinie, żeby się nie skryła, wypuszczali ją kilka razy do wody, dla ochłodzenia i ucieszenia swojej natury, ale, po staremu, i to nie pomogło, bo jednak było pisku i wrzasku podostatek. Stęskniło się i znikczemniało to zwierzątko, i przywieziono je królowi tak jako sowę odętą. Niezmiernie król był rad, widząc wydrę, i rzekł: „stęskniło się to zwierzątko, ale się to obaczy.“ Komu ją każe poglaskać, to go wydra za rękę. Król rzecze: Marysienku! odważę się ja poglaskać ją.“ Królowa perswaduje, żeby niechał, aby nie ukąsiła; on prze-

cie, usiadłszy podle niej, jak ją na łóżku posadzono, sięga do niej powoli ręką, mówiąc: „jeżeli mię nie ukąsi, to sobie będę miał za dobry znak; jeżeli też ukąsi, o to mniejsza; pisać tego nie będą po gazetach.“ Poglaskał ją tedy; wydra jeszcze mu się przychyliła. Król bardzo się tém ucieszył i więcej ją począł głaskać, a potem jeść kazał przynieść i dawał jej po kawałku, a ona jadła nie jedząc na owém złotogłowie. Już tam chodziła po pokojach, gdzie chciała, coraz swobodniej, i była tedy dwa dni; postawiono jej wody w naczyniach, napuszczono tam rybek i raków, to się cieszyła i wynosiła. Król rzecze do królowej: „Marysiemku! nie będę jadł jutro innéj ryby, tylko tę, którą mi ta wydra ułowi; pojedziemy jutro, da Pan Bóg, do Wilanowa, i tam ją będziemy próbować, jeżeli się pozna z rybami.“ Posyłając królowi wydrę, napisałem téż informacyi arkuszu, jak z nią mają postępować, i to także napisałem, żeby jej nigdy nie wiązać za obrączkę, ale podle obrączki za szyję, dla tego, że u wydry grubsza jest szyja, niżeli głowa, bo choćby najciaśniejsza obrączka, to się zaraz przez głowę zdejmie. Tak się téż stało; uwiązali ją za obrączkę; wydra zdarła z siebie obrączkę z dzwoneczkami, wyszła, laziła po schodach przez noc i wyszła jakoś i na dwór, jakto w tęskności, bo nauczyła się u mnie chodzić, gdzie chciała, bobrować sobie po stawach, po rzekach, póki się jej podobało, według swojej natury, i przyjść według zwyczaju do domu. Ścieszkami zatém gdzieś poszedłszy, błąkała się owa wydra, nie wiedząc, gdzie się obrócić. Skoro rano spotkał ją dragan, a nie wiedząc co to, czy chowane, czy dzikie, uderzył berdyszem i zabił. Wstana w zamku, wydry nie masz, krzyk, skweres srogi; rozesłano po mieście i z prośbą i z groźbą, ktoby się ważył, znalazłszy, nie oddać. Aż tu idzie żyd podróżny pinczowski, a dragan tuż za nim po zapłatę za skórę zabitéj wydry. „Co to masz żydzie?“ pyta go szwajcar. (A żyd w kieszeni trzyma rękę). Zajrzy mu szwajcar pod suknię, aż tu skórka słomą napchana. Wzięto zaraz i żyda i dragana, i przyprowadzono przed króla. Spojrzy król na skórę, zatka oczy jedną ręką, a drugą ręką porwie się za czuprynę i pocznie wołać: „bij, kto cnotliwy! bij, kto

w Boga wierzy!“ Wrzucono obudwu do wieży i ukarano według przestępstwa, i postanowiono, żeby dragana rozstrzelać kazano. Przyszli jednak do króla księża spowiednicy, biskupi, perswadując i prosząc, że nie zasłużył śmierci i niewiadomością tylko zgrzeszył; ledwoć okazali, iż go nie kazano rozstrzelać, i skończyło się na tém, że mu w skórę dano. Tak więc owe srogie pociechy obróciły się w wielki smutek, bo król przez cały dzień nie jadł i nie gadał z nikim, a cały dwór był jak powarzony. Tacy i mnie pozabawili tak kochanego zwierzęcia, i sami się nie nacieszyli, i jeszcze sobie turbacyi przyczynili.

Bywało też to u mnie myślistwo z podziwieniem ludzkim, bo począwszy od ptaków, zawsze miałem bardzo dobre sokoły, jastrzębie, drzemliki, kobusy, kruki, które do berła chodziły i kuropatwy pod nimi ulegały, a zająca zalatywały jako raróg; wszystko to ptastwo czyniło swoją powinność. Miałem raz jastrzębia takiego, który był zbyt rośli, i tak rączy, że każdego ptaka uganiał, i do najmniejszej ptaszyny nie lenił się, okroczywszy go owemi srogimi szponami, i zawszem żywusieńkiego ptaka od niego odebrał. Rzuciwszy go też do największego ptaka, i tego się nie bał; gęsi, kaczki, czaple, kanie, kruki uganiał, tak jako przepiórki, bo ich na dzień kilka ugonił. Był zaś tak mocny, że z zającem starym związawszy się i udusiwszy go, to czasem poprawił go sobie i na drugi zagon podlatując z nim, podnosił go od ziemi jak kuropatwę. Miałem go ośm lat, póki mi nie zdechł. Do myślistwa zaś z charty, rozmnożyłem był sobie guiazdo chartów od brata mego, pana Stanisława Paska, z ziemi sochaczewskiej, które charty były i piękne i rosłe, a przytém tak rączne, że nie trzeba było nigdy zmykać do zająca i do liszki, tylko jedno którekolwiek, jednak do każdego zająca insze, a nigdy zając nie uciekł; do wilka, to już pospolitém ruszeniem, i takięto bywało przysłowie u myśliwych sąsiadów moich: „żeto nieszczęśliwy zwierz, który się z panem Paskiem spotka, bo mu się już nie dostanie uciec.“ W tém zaś osobliwie miałem upodobanie, żem zwierzę tak ćwiczył, że to i laskawe było, że psy przestawało i równo ze psy swego dzikiego brata gonilo. Przyjechał kto do mnie, to liszka po podwó-

rze z chartami igrała; wnijdzie do izby, to szpyc pod sto-
 lem leży, a zając na nim siedzi. Spotkał mię kto niezna-
 jomy na polowanie jadącego, i obaczył, że tu idzie kilkoro
 chartów pięknych i wyźłów kilka, a tu między nimi liszka,
 kuna, jaźwiec, wydra, zając téż ze dzwonkami za koniem
 podskakuje, jastrząb u myśliwca na ręce, kruk nad psami
 lata, czasem téż padnie na charta i tak się powozi, to się
 ów tylko żegnał, mówiąc: „dla Boga, czarnoksiężnik! oto
 zwierz wszelaki między psy chodzi; czego szuka? czemu
 tych nie szczuje, co za nim chodzą?“ Porwał ci się téż
 zając, to wszyscy za nim, nawet i ten chowany, gdy wi-
 dział, iż psy skoczyły, to téż i on za nimi poskoczył, ale
 jak się już tam zając począł modlić, to wychowaniec ucie-
 kał nazad do konia, jakby mu oczy wylupił. Rozsławili
 ludzie to moje myślistwo na całą Polskę, naprzykładawszy
 wiele innych rzeczy. Ale zaniechując opisu tego myślistwa,
 wracam się do biegu spraw w tym roku.

W tym roku stanęło z Turkami rozgraniczenie nie-
 szczęśliwe o Podole. Wojsko tego roku stało pod Miku-
 lenicami. Do Gdańska jeździłem dwiema skutami; staną-
 lem tam dziewiątego dnia, bo woda była donośna i cicha;
 sprzedałem jmcii panu Tynfowi pszenicę po zł. 160. Ja po-
 wróciłem łądem, a statki stanęły w kilka niedziel na po-
 wrót. Tegóż roku, 17. Października, samym wieczorem
 zgorzały gumna smogorzewskie, a była taniość zbytnia i dla
 tego nie sprzedawałem nic w Gdańsku; nie płaciło téż żadne
 zboże, tylko jedna pszenica, a mam przez to szkody, lekko
 rachując, na 20,000 złotych. Przyczynę ognia włożyli chłopi
 z nienawiści na karbowego, jakoby miał ogień zapuścić,
 idąc z światłem do wieprza swego. Kazałem go wprowa-
 dzić, pociągnąć, prawo sprowadziwszy. Nie przyznał się,
 bo nie był winien, a zdrajcy chłopi z nienawiści podali go
 i mnie do grzechu przywiedli i gospodarza mię dohrego
 pozbawili, gdyż mi zaraz obmierzył, żeto już był u kata
 w rękę, i kazałem mu iść precz, a potem żałowałem tego,
 dowiedziawszy się, że mię z innej strony ta szkoda spo-
 tkala, bo u kowala zapaliło się, a wiatr wtenczas był srogi
 i prosto na gumno, z czego podobieństwo, gdyż się stodoła
 poczęła palić nie z środka, ale zewnątrz, a potem się i dru-

gie stodoły, sterty, stogi, brogi zapaliły, a co się stało z woli Pana Boga, bo on dał i on też wziął.

Rok 1681.

Zacząłem ten rok, daj Panie Boże szczęśliwie! w Olszówce. W ostatki zapustne żeniłem jnci pana Alexandra Tomickiego w Krakowie z jmc panią Makowiecką, wdową, z domu Gołuchowską. W Czerwcu, to jest dnia 21., chorowałem bardzo niebezpiecznie i ledwie się od fórtki wróciłem, za co niech będzie imię boskie pochwalone! i niech mię Bóg miłosierny zachowa od takiej drugiey okazji! W Sierpniu jeździłem do Gdańska; z łaski bożej przedałem i powróciłem szczęśliwie. Powróciwszy, zawarłem ugodę między jncią panem Trzemeskim, bratem moim, a jncią panem Kielczowskim, o Klimontów. Byłem zaraz potém na weselu jmc panny Tomickiey, kasztelanki wieluńskiej, w Pinczowie, którą za pana Walewskiego wydano; wesele było bardzo zacne i zjazd wielki. Z tego wesela jechaliśmy wszyscy do Krakowa na wjazd księdza biskupa krakowskiego, Jana Małachowskiego, na biskupstwo krakowskie. Była też tamże konsekracya na arcybiskupstwo lwowskie jnci księdza Konstantego Lipskiego. Jeżeli wjazd biskupi pięknie się odprawił, nierównie pięknie i konsekracya, a częstowanie było dostatnie i bogate. Byłem potém na pogrzebie mego wielkiego nieprzyjaciela w Stobnicy, a na lat dwa przed śmiercią mego nieodmiennego przyjaciela, Alexandra Komornickiego, rotmistrza, który na moich rękach umierał i zapraszałem na chleb żałobny z ukontentowaniem. Tego roku pokazał się kometa ku zachodowi. Książę Dymitry, hetman wielki koronny, umarł. Wojsko stało obozem pod Trębowlą, nie było na polu bitwy w tym roku, tylko leżeli, jedli, pili, i, po staremu, pieniądze brali.

Rok 1682.

Zacząłem ten rok, daj Panie Boże szczęśliwie! w Olszówce. Zima tego roku była właśnie włoska, bo wcale bez śniegu i mrozu, na saniach nic nie jeźdzono, rzeki nie

stawały, trawy były zielone, listki na drzewie i kwiatki przez całą zimę, ludzie orali i siali wtenczas, kiedy najcięższe bywają mrozy; nawet Marzec był tak ciepły, suchy i wesoły, że prawie przeciwko swojej naturze. Dopiero w Kwietniu nastaly śniegi i mrozy, a na same święta wielkanocne spadł śnieg, i miejscami jarzyny, osobliwie grochy, powarzył, które już były poschodziły. W przewodni tydzień był mróz i śnieg tak wielki, że mógł saniami jechać, a panowie minuciarze nic o tém nie napisali; wiedzą biedę, co się w niebie dzieje, albo raczej napisano, podobniéjby mu wiedzieć, kiedy żona do kogo innego kartki pisze, a on o tém nie wie, i dopiero się dowiedział, kiedy przestrzeżony faktórkę złapał i kartkę jój wydarłszy, przeczytał.

Tego roku wojska nasze nic nie robiły, tylko na miejscu stały. Buławę wielką dano panu Jabłonowskiemu, a pełną panu Sieniawskiemu.

Rok 1683.

Rok ten, daj Panie Boże szczęście! zacząłem tamże w Olszówce. Rozpoczął się ten rok weselem jmci pana margrabi z jmci panną Branicką, i, daj Boże! żeby cały był wesoły aż do końca.

W tym roku sejm warszawski nastąpił, na którym połączenie wojska, z wielkim zgiełkiem i naradami stanęło, to jest rzeczypospolitéj i rzeszy niemieckiej, przeciw potędze ottomańskiej. Niechże Bóg pobłogosławi te pobożne intencye monarchów chrześcijańskich i całego chrześcijaństwa! Wiedeń w wielkiej od Turków opressyi, wojska cesarskie już go odstąpiły, nie mogąc wytrzymać, bo zaraz za pierwszym napadem dużo Niemców nacięto, nabrano i z pola zegnano. Wiedeń atakowano, dziury w murach porobiono, szanice minami porozrywano, miny pod miejskie bramy zaprowadzano, tak, że już Wiedeń ledwie, ledwie oddychał; właśnie, kiedy owo mocny słabego nasiądzie i gardło ściśnie, już ów nie myśli, żeby mu się wydarł, ale tylko żeby u niego uprosił miłosierdzie. Była prawda w Wiedniu załoga wielka, kommandant dobry kawaler, (generał Staremberg), armat i prochu w podostatku, prowiantów też

dosyć, ale cóż, kiedyto przeciw terażniejszym sposobom dobywania już nie masz i jednej pod słońcem fortecy, żeby własnym męstwem wytrzymać miała; inaczej to bywało owych lat, gdy kamykami i szczepami do siebie ciskali, taranami mury tłukąc, a inaczej teraz, kiedyto granaty, bomby i kartacze wypuszczą: kiedy z okrutnych kartanów jako cebry kule wylecą, kiedy uczynią dęszcz ognisty, i przez pancerz, przez łosią skórę i przez wszystkie ubiory, ciało aż do kości przenikające i jak świderkiem wierzące; kiedy wyrzucą ogień, okrutnemi fetorami lud zarażające, mortyfikujące i prawie powietrze morowe robiące; kiedy posła inne narzędzia, wody do użytku potrzebne trujące; kiedy naostatek rozumiesz, że bezpiecznie stoisz na ziemi, od Boga i natury mocno ugruntowanej, a nie wiesz, co się pod tobą dzieje, że w tej minucie wraz z miejscem, na którym stoisz, belluardami i kamienicami potężnie wymurowanemi, jako mucha wylecisz z dymem pod obłoki. Już teraz forteca na to tylko potrzebna, żeby furman nie wyjechał przed dniem z miasta, nie zapłaciwszy wprzód w gospodzie siana, albo żeby wilk pana burmistrza nie porwał śpiącego, ale żeby miała która wytrzymać dobywanie inwencyj terażniejszych, takiej nie masz. Tak i wiedeńska forteca, Któżby bowiem, spojrzawszy na piękność i fortyfikacyą jej, nie pomyślał, że dziełu takiemu chyba boska, nie ludzka, dokuczyć może ręka; patrzcie, przez krótkie, bo dwumiesięczne, oblężenie, jaką poniosła szkodę, kiedy zewsząd ściśniona upadała już na swoich siłach i już od pana i narodu swego pozbawiona była wszelkiej pomocy, (bo tak naród ten był shukany i serce stracił, żeby się samym Tatarom, a cóż dopiero Turkom, oprzeć nie umiał.) Rąbano w każdym spotkaniu Niemców nieboraków, jako drwa w lesie. Wiednia tedy, jak mówią, nie już nie trzymało, tylko jedna nadzieja pomocy wojska polskiego, o którym przecie miewał wiadomość Staremberg przez skrytych szpiegów, od cesarza posyłanych. Już więc niebożęta owe dziury powybijane i prochami powysadzane, piersiami tylko swemi zastawiali, a poddanie i warunki poddania, już dawno postanowione, odwłóczyli od dnia do dnia. Wiedzielić i Turcy, że Polacy idą na pomoc, albo raczej na odsiecz, ale temu

nie wierzyli, żeby sam król w swojej osobie i żeby całe szło wojsko, jeno wnosili, że pewna część wojska, dla tego powoli sobie poczynali, i nie bardzo przyspieszali wzięcia tej fortecy, mniej się obawiając tych posiłków i biorąc miarę: „jeżeli tak wielkie wojska niemieckie pierwszego zaraz impetu wytrzymać nam nie mogły, i teraz w oczy zajrzeć nie śmieją, choć im o stolicę państwa ich chodzi, choć przy swoich śmieciach, pewnie i ta garść wojska polskiego nie zawojuje nas.“ Już tam był u cesarza kawaler Lubomirski wraz z tymi Polakami, których za cesarskie pieniądze zaciągano, i dobrze tam stawali, luboć też tak było, że i młotyszku nazaciągano, bo lada pokojowy, to pan rotmistrz, to pan porucznik; lada pacholec przyszedł piechotą na zaciąg, kupiono mu konia, to pan towarzysz. A po staremu Niemcy dali już dobre słowo, ale się to działo pod dobrymi wodzami. Kiedy wówczas król wybierał się na tę kampanię, była ochota we wszystkich ludziach taka, że duszno im było i ptakiem jak najprędzej przelecieć. A znak to już był przyszłej fortuny, gdyż nawet sam król z taką jechał fantazją, właśnie jak po pewne i nieomyłne zwycięstwo, bo zaraz i historyków, żeby jego i narodu polskiego dzieła pisali i głosili, zaciągał z sobą; i Kochowskiego nie inną intencją zaprosił na tę wojnę, tylko żeby przypatrzył się i umiał godnie opisać zwycięstwo. Nawet w ten dzień, kiedy już w Krakowie miał król wsiadać na koń, słyszałem z ust jego te słowa: „Proszę Boga, żebym ich tam tylko zastał, a nie trudno będzie w Polsce o tureckie konie.“ Tak mi to dziwno było, usłyszawszy potem o zwycięstwie, jak to on prorockim duchem mówił, co się wkrótce stało. Niektórzy natenczas szemrali przeciwko tym słowom, mówiąc: „dla Boga! żeby go Pan Bóg nie skarał, jeżeli to z hardości mówi, boto przecie z potężnym i zwycięskim ludem sprawa.“ Ale śnać, że to mówił z ufności wielkiej w Boga, kiedy się tak stało. Oczekiwał król długo na wojsko litewskie, a tu lecą od cesarza posel za posłem, prosząc na Boga, żeby pospieszyć, bo Wiedeń ginie. Już tedy Litwinów doczekać się nie mogąc, poszedł król, śluby uroczyste Bogu uczyniwszy, pilnowanie krajów ruskich Potockiemu, kasztelanowi krakowskiemu, zleciwszy, a królowę zaś

w Krakowie osadziwszy. Jak król wszedł za granicę, prowianty wielkie dla wojska dawano i wygody czyniono. Szedł jednak król z wojskiem wielkimi pochodami, obawiając się, żeby Wiedniowi nie było jak umarłemu kadzidło, któremu już téż natenczas Turcy, gdy się dowiedzieli o zbliżającym się wojsku polskiem, mocno poczęli dogrzewać, bo dowiedziawszy się cesarz turecki o połączeniu, i obawiając się przecie téj, która go nie minęła, konfuzyi, posłał emirów do wezyra pod Wiedeń i zarazem posłał mu postronek, upewniając go: „nie minie cię ten postronek na szyję, jeżeli w tych dniach Wiednia nie weźmiesz, bo tobie zachciało się téj wojny, tobie téż za to odpowiadać należy, jeżeli zły wypadek będzie.“ To ten zdrajca jańczarów przekupował, poił, ażeby odważnie stawali, a niewolników gnał przodem przed jańczarami do szturmów; sam zaś jako wściekły latał, ten postronek włożywszy sobie na szyję, i zachęcał, prosił przez wielkiego proroka Mahometa, „aby pamiętali na sławę niezwyciężonego narodu swego; aby mieli wzgląd na jego zgubę, której nie minie przez ten powróż, jaki na szyi nosi, jeżeli Wiednia nie dostanie.“ To pogaństwo na oslep w ogień lazło, a jako snopy padały, kiedy już król z wojskiem szedł do Wiednia, wtenczas oni najpotężniejsze szturmy czynili. Nawet choć już stanęło nasze wojsko i już się nasze pólki i regimenty niemieckie pokazały, przecie on jańczarom szturm poprzestać nie kazał, a konne wojsko Spahierów, Tatarów i Węgrów Tekielego, na nas obrócił. Uderzyli Tatarowie raz i drugi na naszych, potem stanęli sobie osobno. Posłał wezyr po chana, i pytał go: „cóż ty rozumiesz, jestże tu król polski?“ Chan odpowiedział: „tak rozumiem i widzę, że jest, bo kiedy są ci drążnicy, toć i król być musi.“ Rzecz wezyr: „radź o mnie.“ Chan odpowiedział: „radź ty sam o sobie, a ja téż o sobie; wszak ja tobie dawno radziłem, żebyś odstąpił od Wiednia, nie czekając na Polaków.“ Skoczywszy chan od wezyra do swoich, zawołał: „allah, allah!“ Zaraz jakby piłką rzucił poszli Tatarowie, Turcy téż poczęli słabnąć, a potem w nogi. Dopieroż ich przerzynać, siec, gonić; z miasta téż obleżnicy widząc, że już uciekają, wypadli na owych, co u szturmie byli, i nuż ich kosić.

Ległóżto tedy tego pogaństwa mostem, a żywcem gnano ich stadami do Wiednia, żeby naprawiali za pokutę te dziury, co je w murach i wałach porobili. Armaty zostały wszystkie, obóz także został ze wszystkimi bogactwami. Złota, koni, wielbłądów, bawołów, bydeł, owiec stadami, pełno koło obozu. Owych namiotów ślicznych, bogatych; owych sepetów z różnemi specyałami ku ochłodstwu, nawet pieniędzy nie zdążyli pobrać, bo tych po wszystkich namiotach dosyć zostawili; wezyrskie namioty tak wielkie, jak jest cała Warszawa w swoim obwodzie. Króla naszego ubieżono ze wszystkimi dostatkami; nawet worki Tatarów wielkimi stósami na ziemi leżały; dywanami złotemi i srebrnemi ziemia usłana; łóżko z pościelą, które kilkadziesiąt tysięcy talarów szacowano. Pokoiki w tych namiotach tak skryte, że ledwie trzeciego dnia znaleziono utajoną jakąś wezyrską kochankę, a drugą, strojną bardzo, ściętą, przed namiotem leżącą zastano; powiadano, że ją sam ściał wezyr, ażeby się w ręce nieprzyjacielskie nie dostała. Stały drugie namioty i tydzień i dwie niedziele, bo tego i przebrać nie można. Nasi téż Polacy, co tego byli nabrali, to znowu, jak kazano iść do Węgier, powyrzucali z wozów, albo lada gdzie na przeprawie, gdy konie uwięzły w błocie, to podesłali pod konie ów namiot, który był wart tysiąc i więcéj, żeby prędzej wóz wyciągnęły. Powiadali nasi, jakieto tam Turcy mieli wygody w tych swoich namiotach, żeto i wanny i łaźnie ze wszystkiém jako w miastach, i zaraz przy nich śliczne cębrowane; mydła perfumowane, po lisztwach stosami leżące; wódki pachnące w baniach; aptyczki znowu osobne z różnemi balsamami, wódkami i innemi należytościami; srebrne naczynia do wody; nalówki i miednice do umywania takież, noże, kindziały, rubinami i dyamentami nasadzone; zegarki kosztowne, na złotych obiciach wiszące; pacierze albo szafirowe, albo, jeżeli koralowe, rubinami lub jakim drogim kamieniem nasadzone. Nawet pieniądze, albo stósami w workach na ziemi leżały, lub téż tak goło na ziemi w namiocie na kupach posypane, a nigdzie w szkatułkach, chyba u tych mniej dostatnich, to w mantelzaku zasznurowane, bo tam nie masz zwyczaju, żeby miał jeden drugiemu ukraść, i zło-

dzieja téż między Turkami nie znajdzie. Znaleziono i wiktuały różne specyalne, od ryżów, mięs, chlebów, mąki, masel, cukrów, oliw i innych. Cóż tedy obóz dokuczy w takim porządku? Ale to wszystko dostatek, jakto mówią, czyni statek. Nie dziwować się, bo są łupieżcami całego świata i panami czterdziestu królestw. Miłą więc i ochotną każdemu być musi wojna z Turczyinem; nie żal i skóry szczerze nadstawić, kiedy wiem, że zwyciężywszy, będzie za co plasterek kupić, i czém ranę owinąć. Koniom także u nich wielka jest wygoda, bo nie spluszczeje, gdyż nie pod gołym niebem, ale pod namiotem sucho i pięknie stoi. Chodzą, nakrywają je derami ciepłymi, i prześcieradłami jedwabiem i złotem szytymi. Zgoła, co tylko tkniesz, to wszystko specyał, i słusznie każdemu trzeba mieć ochotę do wojny przeciwko Turczyinowi, bo się tém i Bogu przysłużyć można, wojując z nim. Jest téż to naród delikatny, nie tak pracowity, jak przedtém bywał. Te zatém bogactwa i dostatki zatopiły ich w delicyach i zniewieściałymi zrobiły. Oni tylko Tatarami i brańcami, których z inszych narodów biorąc, sposobią do wojny, czyniąc z nich jańczarów i spahierów, walki staczają, ale sami już zdelikatnieli, i ta miękkość prędką im téż podobno przyniesie zgubę, jakto mamy z doświadczenia, że i innym narodom, z zbytnej miękkości i roskoszy, tak się stało, a które przedtém rej wodziły i całemu światu straszne bywały. Dobreto już teraz na zawojowanie Turczyina początki, kiedy Bóg takie na zniszczenie jego i odzyskanie tak wielu królestw i świątnic, podał sposoby. Stańło to zwycięstwo szczęśliwie dnia 12. Września, i rozweseliło całe chrześcijaństwo, rozweseliło cesarza zdesperowanego, Bogu się tylko w opiekę oddającego, rozweseliło całą rzeszę niemiecką, a osobliwie mieszkańców miasta Wiednia, których grzbiec najbliższy był téj dyscypliny. Narodowi naszemu zjednało zwycięstwo to wieczystą sławę, gdyż i teraz przyznają to narody. Słyszałem z ust jednego godnego pana francuskiego, który mówił, „że Polacy są zbawcami Niemiec,“ boto jest rzecz pewna, że jużby Wiedeń więcej jak trzy dni nie był się trzymał, który gdyby był zginął, zginęłyby i wszystkie posiadłości cesarza, a następnie i drugie chrześcijańskie

państwa. Królowi, panu naszemu, jest za co dziękować, że sam w swojej osobie na tę nie chronił się wojnę, bo ta jego ochota wiele chrześcijaństwu uczyniła dobrego, osobliwie jednak te pożytki przyniosła, że każdy z paniań i z panów polskich sam osobiście poszedł na wojnę, chcąc się przypodobać królowi jmei, przeczco owemi assystencyami uczyniło się wojsko nierównie większe i okazalsze; drugi pożytek, że większy strach ogarnął nieprzyjaciela i skonfundował, dowiedziawszy się, że sam król jest swoją osobą; wiedząc o nim, że jest pan wojenny i szczęśliwy, i nie zapomniawszy jeszcze łaźni, którą im w roku 1673. sprawił pod Chocimem nad Dniestrem.

Wszyscy tedy katolickiej religii ludzie byli i są kon-tenci z tej króla, pana naszego, rezolucyi, oprócz Lutera-nów i Kalwinów, bo oni tę wojnę za swoją mieli i Pana Boga prosili, żeby Turcy zwyciężyli, mówiąc, „że to na korzyść ich, ujmując się za prześladowaniem Tekielego i wszystkich Dyssydentów.“ Byłem wtenczas w Gdańsku, gdzie Pana Boga proszono po zborach, żeby dał zwycięstwo Turkom nad cesarzem. Jak zaś już z gazet cokolwiek doczytali się, że się Tekielemu poszczęściło, że tam gdzieś na podjeździe udławił kilku Niemców, to zaraz tryumfy, zaraz dziękczynienia: „Ach Herr Gott, ach lieber Gott!“ Obrazy Tekielego na koniu w zbroi przedawano; niektórzy wiersze drukowane przedawali i zaraz je też śpie-wali. Idę, a tu jeden podpiły trochę śpiewa; pytam: „co takiego śpiewa, że tak z pilnością słuchają?“ Powiadają, „żeto nowiny o panu Tekielim, jako cesarza szczęśliwie zwycięża.“ Usłyszawszy ów, co je śpiewał, że się o tém pytam, pokazuje mi po niemiecku pisane wiersze i mówi: „Ja, ja, mospau, kupić, kupić!“ Pytam: „co za nie?“ Od-powie: „grosz.“ Dałem mu, aż tu za mną idzie chłopów kupa do gospody, com im miał dawać pieniądze. Był mię-dzy nimi frant jeden i mówię mu: „miły bracie! będziesz miał tynfa, gdy wrzucisz tę kartę w Motławę.“ Jakoż ci-snął ją do Motławy. Widząc to Niemcy i Niemki, poczęli mruzczeć i szemrać, a jam poszedł; katolicy zaś i ci, co z okrętów na to patrzyli, okrutnie się śmiali. Kiedym zaś to powiedział katolikom mieszczanom, także Dominikanom

i Jezuitom, to mówili: „szczęście, że nie było rozruchu, bo oni tu Tekielego ledwie nie jak bożka czczą.“ — Razono mi konie kupić na nowych ogrodach u kupca, (bo tanto ku Oliwie przedmieście zowią nowe ogrody); poszedłem tam w niedzielę na odwieczerszu, wtenczas, kiedy wszystkie prawie lud z Gdańska wychodzi i wyjeżdża na przechadzkę. Idąc już nazad od owego kupca, począł dęszcz padać, a żem w pogodę wyszedł i nie wziąłem opończy, wstąpiłem do austeryi, chcąc przeczekać ów dęszcz. Owi też spacernicy, gdzie który mógł, to uciekał pod dach; wpadło ich tedy kilku i do téj izby, gdzie ja siedziałem; posiadli u stolów i poczęli sobie o wojnie dyszkurować. Jam niektóre tylko słowa rozumiał. (A dęszcz wielki leje i woda rynsztokami jako rzeka płynie). Patrząc oknem na owę wodę, rzecze jeden: „Daj Boże! żeby tam pod Wiedniem katolicka krew takimi strumieniami płynęła, jak ta woda.“ Rzecze drugi: „nadzieja w Bogu!“ A jeden Niemiec, osobno od nich siedzący, ściśnie ramionami, zwróci oczy w niebo i obejrzy się na mnie, nic nie mówiąc, tylko głową ruszał; ja to widzę, ale nie wiem, na co on to czyni, i owych też słów nie rozumiałem, co ci tam wymówili; nie pytam go też, bo człowieka nie znam i konfidency; z nim nie mam. Owi znowu mówią na naszego króla te słowa: „ale ten świnia karmna, po co on tam poszedł? co tam po nim było? bodajże tam obadwaj z cesarzem doczekali kajdankami brząkać!“ A tymczasem ów, co osobno siedział, nie mógł już wytrzymać, bo był katolik (zwał się Balański, był Niemiec, ale Gdańszczanin, z któregoś pruskiego miasta i bawił się faktorowaniem przy kupcach), ozwie się do nich po niemiecku, ale tak żebym ja zrozumiał po polsku, i mówi te słowa: „rozumiałem, że siedzę z chrześcianinami, a ja siedzę z poganami; rozumiałem, że z ludźmi, ale widzę, z bestyami; a godzi się to takie zbrodnie mówić? bodajże was zabito!“ A oni do szpad; on tylko miał trzcinkę; chciał go jeden uderzyć płazem, czyli też ciąć, zastawił mu się laską; ów raził go trochę, ten woła na mnie: „mospaanie! przeciwko królowi mówią.“ Ja do szabli, Niemcy z izby. Trudno już było za nimi wypadać w Gdańsk. Dopiero mi rzetelniej opowiedział, co mówili. Ja mówię:

„pójdź ze mną do prezydenta.“ „Pójdę.“ „Zeznasz to?“ „Zznam.“ Poszliśmy, a natenczas był prezydentem niejaki Szumann, człowiek grzeczny i rozumny; przyszedłszy, nie zastaliśmy go; odjechał do majątności. Poszedł znowu ze mną ten człowiek do gospody. Przed samym wieczorem posłałem znowu do prezydenta. Przyjechał, ale się już położył sturbowany, nie jedząc i wieszery. Miał tedy na zajutrz rano do mnie przyjść pan Balański i pójść ze mną do prezydenta. Nie widać go jednak dzień jeden, drugi i trzeci, a onego już zaspokojono i dla tego stronił odemnie. Pytam się jednak o niego inszych faktorów, meklerów, jak ich tam zowią. Powiedział mi Felski, faktór, „że siedzi w komorze u Kąpki.“ Poszedłem tam, zastałem go i mówię: „kędy?“ Pocznie wykręcać: „nie znam ich, nie wiem, nie znam ich, nie wiem jak się zowią, skarżyć, nie wiedzieć na kogo.“ Jam zrazu miał sprawę i mówię: „przefakcyonowano cię nieboże, ale wiedz o tém, żebyto więcej uczyniło, gdybyś chciał popierać takiego kryminału; jestto zbrodnia obrażonego majestatu, a do tego wielkie przeciwko Bogu bluźnierstwo.“ Przyznał się, że mu zapłacono, żeby milczał. Prosiłem go, żeby mi przynajmniej powiedział, jak się zowią, bobym ich był pewno aresztował u magistratu, a potem miastu mandat przysłał, ale i tego nie chciał uczynić, wymawiając się: „to panięta, ludzie znaczni, a ja tu służę, Gdańskiem żyję; musiałbym się tu nie zostać.“ I tak przepadło; tego mi tylko żal było, że w niebytności prezydenta do inszych z magistratu osób nie przeszedłem się i nie oświadczyłem się zaraz za świeżego prawa, bo jużby się był trudno mógł zaprzec słów swoich, raz zeznawszy, choćby mu było i najwięcej dawano. Takiegoto téj wojnie i sami chrześciance życzli sukcesu, jedni dobrego, drudzy złego. A Pan Bóg z tymi, którzy przecie byli za dobrą stroną, dał zwycięstwo szczęśliwe, dał zawziąć serce i siły dobrym chrześcianom, a skonfundował sektarzów i ich protektora.

Po oném szczęśliwém zwycięstwie skoro się zjechali monarchowie, aby się wzajemnie uściskać, cesarz chrześciański Leopold z królem polskim, Janem Trzecim, jakie tam były pociechy, jakie gratulacye, jak księżęta rzeszy

pozjeżdżawszy się, to jest, ksiązę lotaryngski, ksiązę bawarski, ksiązę badeński i inni, jako mile króla witali, jako wdzięcznie tę przysługę przyjmowali, będą o tém obszernie pisać historye. Jechał potem król oglądać Wiedeń i spustoszenie jego; tam go zaprosił Staremburg i u niego jadł. Kiedy jechał przez miasto, tak wielka była ciżba, jakiej podobno podczas bronienia szturmów nie było, bo każdy chciał widzieć króla polskiego; ludzie niebożęta z wielkiej radości płakali, ręce do nieba wznosili, błogosławieństwa i zapłaty od Boga wołali, króla zbawicielem swoim nazywali, aż uszy zatykał; od żołnierzy po gospodach zapłaty za wina i za inne rzeczy brać nie chcieli; tylko grubianie brali.

Poszły potem wojska cesarskie i polskie do Węgier szukać Turków i niektóre atakować fortece, a pominawszy Komorę, fortecę cesarską, która jeszcze w pogańskich nie była rękach, lubo dalsze za nią pobrano fortece i nowe zamki pobudowali Turcy, a przyszedłszy ku Strygonii, zastały pod Parkany wojsko tureckie, o którym lubo nasi wiedzieli, ale rozumieli, że to tam tego coś nie wiele, i nieostróżnie téż postąpili sobie w przedniej straży. Turcy jak wsiedli na naszych, nie przyszło im i ognia dawać; zupełny regiment dragonii strażnika koronnego Bidzieńskiego wycięto w pień, i inszej dragonii, którą do przedniej straży przyprowadzano, wycięto wiele; sam strażnik ledwie uciekł, a zgubił ludzi więcej niż dwa tysiące; oficerów młodych, ślachty, krewnych swoich, wiele pogubił; tak zaś cicho i prędko to się stało, że wojsko, nie daleko za pagórkami będące, nie wiedziało o tém. Przyszedłszy tedy król z wojskiem nad owe trupy, zaraz naszym serce upadło; a wtém Turcy skończą obces na naszych; poczęli się im zrazu trochę opierać, ale potem jak wzięli tył chorągwi wojewody ruskiego, hetmana koronnego, zaraz chorągiew hussarska poczęła uciekać, druga za nią, trzecia za nią, nareszcie całe wojsko w nogi, i król i hetmani, wszyscy z wielką hańbą i pośmiewiskiem Niemców milę wielką sromotnie uciekali, aż się o cesarskie wojsko oparło. Wojewoda malborski, Dönhoff, człowiek bardzo tłusty, zginął; Siemionowski, porucznik, także; kompanij siła nagięło; chorągwie, kopije i kotły precz porzucali. Pod królem już się koń począł był roz-

pierać, aleć go z obu boków polechtano płazami, żeć przecie poniósł pana, dalej. I tak wiedeńskiego zwycięstwa niewypowiedzianą sławę, zmazalibyśmy byli wiecznie czwartkowej ucieczki hańbą, gdyby był Pan Bóg nie pogłaskał jój znowu sobotniem, jeszcze większém, niżeli pod Wiedniem, zwycięstwem. Podobnośmyto już byli podnieśli serce w pychę, słysząc owe pochlebstwa fortuny z ust ludu, tojest słowa: zbawco, zbawicielu nasz! Podobnośmy z owym pysznym zwycięzcą pomyśleli sobie: „Któż jest, coby tego z rąk moich mógł wydrzeć?“ Położył trupem przed oczyma naszymi kilka tysięcy dobrej kawaleryi, żebyśmy widzieli, że jako tych pomostem leżących, tak i nasze zdrowie w jego świętej jest dyspozycyi; żebyśmy widzieli, że nie wielkość, ani moc wojska, ale niebieskie potęgi biją nieprzyjaciół; żebyśmy widzieli, że nie rozum, ani doświadczenie nasze, ale ręka boska daje nad nieprzyjacielem i przynosi zwycięstwa. Wzięliśmy chłostę we czwartek, żalujmy za grzech i upokorzymy się Bogu w piątek, a znowu Bóg nas podniesie i da się zemścić w sobotę, wierząc z psalmistą: „że kogo dziś zafrasuje, tego jutro umiłuje.“ Basza tedy sylistryjski zwyciężywszy za wolą boską naszych i spędziwszy z pola, pozbiarał z pobojowiska owe porzucone kopije, kotły, bębny i chorągwie, i posłał to wraz z więźniami pod Budę seraskierowi, opowiadając, że zniósł całe wojsko polskie; posłał potém i głowę wojewody malborskiego, Dönhoffa, twierdząc za pewne, że to jest głowa królewska, i żeby ją zaraz sultanowi odesłał, obiecując, że jutro znowu tak będzie i wojsku niemieckiemu, gdyż są już prawie jak w saku. Seraskier ucieszył się tém zwycięstwem, i do rozpoznania owej głowy zwołał ludzi, którzy króla dobrze znali; różni różnie twierdzili.

Nastąpiła zatem w sobotę bitwa pod Parkanami, która się szczęśliwie dla oręża chrześcijańskiego skończyła. Tam w Parkanach kto we czwartek zgubił swoją chorągiew, kotły, zaraz to znalazł i wziął jak swoje, bez oporu pana baszy sylistryjskiego; nawet i więźniów żywcem wziętych tam zastano, bo kilku tylko posłał był seraskierowi przy głowie wojewody malborskiego, a z tych byli niektórzy blaznowie, co króla dobrze nie znali, i mówili, że to kró-

lewska głowa, bo téż wojewoda malborski był podobny cokolwiek do króla, a zupełnie tak tłusty jak król. Le-gło tedy owo mnóstwo ludzi, którzy się mieli za zwycięz-ców we czwartek, ci w sobotę zwyciężeni; którzy we czwartek gonili, ci w sobotę uciekali; którzy we czwartek cudze głowy sięgali, swoje przed szablą polską umknąć nie mogli; którzy chrześcijańskiej krwi z wielkim apetytem we czwartek pragnęli, swojej się w sobotę podostałkiem nasy-cili. A otóż ze wszystkim dostałkiem wzięto baszów sze-ściu, zabito dwóch, żywcem wzięto baszę Alepu i baszę sylistryjskiego, najwyższego nad nimi regimentarza. Cesar-scy uprzedzili naszych do zrabowania obozu tureckiego, bo nasi na czele potykając się, już szli naprzód, mszcząc się czwartkowej hańby i krwi braci swoich, i już się na ra-bunki nie oglądali, ale i Niemcy nie tak się z bogacili jak pod Wiedniem, boto tam byli ci ludzie, co z pod Wie-dnia uciekli i już pod Wiedniem swoje skarby zostawili, chyba kto co stamtąd uprowadził, ten pod Parkany to utra-cił, a przytém i życie. Jaka wszystkiemu rycerstwu nie-wymowna pociecha, kiedy Ojciec łaskawy pogroziwszy nam, znowu obejrzał się okiem miłosierdzia swego, przywrócił po trzech dniach narodu polskiego sławę, dał się zemścić do woli krwi braterskiej, usłał sownice pola i bystre nurty i bezbrodne Dunaju głębokości trupem ottomańskim. Nie nowina to Bogu, mieć pieczę nad ludem zostającym w jego świętej opiece. Jakież tam wdzięczne było widowisko chrze-ścijaństwa, nabić się do woli boskich i swoich głównych nieprzyjaciół, aż ręce ustawały, a przytém i oczy udelekt-ować zgubą potłumionych ręką boską. Kiedy to ten się tego chwycił, ten tego topił; jedni długo pływali, salwując się, drudzy zaś jako kamień do dna lecieli, a zawoje jako stada kaczek pływały po Dunaju. Ów hardy sylistryjski basza, od towarzysza nie bardzo poczesnego do hetmana za kark przyprowadzony; drugi, basza Alepu, jako gołąb siwy, te-muż hetmanowi koronnemu, Jabłonowskiemu, przyprowa-dzony, oplakiwał swoją w niewolę zabraną sędziwość. Kie-dy tak wielu inszych i znaczniejszych prezentowano kró-lowi i hetmanom brańców; kiedy lada łóżny pacholek, w szu-bie i zawoju turekim, na owych gładkich arabskich pre-

zentuje się skoczkach; zgoła, dość szczęśliwości i wielkiej swój łaski pokazał Bóg, kiedy owę czwartkową hańbę tak znaczném zaraz i świeżém nagroził zwycięstwem. Niemcy zaś żywcem nic nie brali, ale zabijali okrutnie. Nawet i po śmierci cuda z nimi robili, bo włóczyli, pasy z nich darli, rzemień na potrzeby z tych pasów wykręcali, a trzeciego dnia po bitwie z trudnością już było obaczyć Turczyna na pobojowisku z całemi plecami, nawet kiedy który z naszych nieostróżnie prowadził więźnia, a wjechał między Niemców, to mu go w rękach zabili. Synowiec mój, Stanisław Pasek, prowadził jakiegoś znacznego Turczyna, bo strojno i na pięknym koniu siedział, już go rozbroił, i tylko tak konia pod nim za cugle prowadził, aż tu nadjechał Niemiec, a zrównawszy się z Turczynem, pchnął go szpadą; Turczyn tylko stęknął; synowiec się obejrzy, a on już tylko ziewa i z konia leci, a Niemiec skoczył zaraz na stronę. Pocznie go synowiec łajac: „a szoldra, skurwysynie, zabiłeś mi niewolnika, a godzi się to?“ Niemiec się tylko śmieje, i mówi: „ja pan brat, pan Polak; szkoda tego poganina żywić.“ Ów łaje: „tyś szelma, nie kawaler, kiedy w rękach niewolnika zabijasz!“ Niemiec się tylko umyka a śmieje, mówiąc: „cóż czynić dalej?“ Niemcy mieli bowiem wielkie na Turków zajątrzenie, z przyczyny, że im tak wiele podobierali państw, prowincyj i fortec, a do tego, że ich we wszystkich okazjach bijali Turcy, i całe z nimi nigdzie szczęścia nie mieli, bo gdziekolwiek się porwali, to jak na nich wsiedli Turcy z szablami, jako bydło ich rznęli, i w tej nawet okazji, kiedy wielki wezyr przystępował do oblężenia Wiednia, nigdzie mu się nie śmieli stawić zaczepnie, póki jeszcze Polaków nie było, ale tylko zasłaniali się odpornie przy fortecach, kiedy już przeszedł wezyr przez całe państwo, nie dobywając nawet szabli, bo nie miał na kogo. Posłał najpierw Tatarów pod Wiedeń, którzy sami, bez Turków, przypadłszy na wojsko niemieckie, tak na nich wsiedli rezolutnie, że kilka regimentów ognistych ledwie nie w pół wycięli, wszyscy zaś Niemcy sromotnie za mosty ustąpili, które na Dunaju kosztem wielkim pobudowali i sami spalili, wolny przystęp do Wiednia nieprzyjacielowi zostawiwszy. Poznali panowie Niemcy w tych i inszych

dawniejszych okazyach, coto Tatarzy umieją i jaka z nimi wojna, a co przedtém z nas urągali się i wiele razy szydzili Niemcy: „że z narodem gołym, nieorężnym, z ludem do uciekania gotowym, z ludem oto takim wojujemy, których sto przed jedną rurą ucieka.“ Aleć spróbowali, kiedy to te ich ogniste rury szabli tatarskiej wytrzymać nie mogły, i wielka broń była za nic. Ja zaś tak mówię, że nie tylko ten wojownik, który wytrzyma impet tatarski, ale i tego nie trzeba lekce ważyć, który choć trochę z placu ustąpi, znowu wraca się i bije; tamten, gdy wygra, szczęśliwy, kiedy przegra, rzadko na zdrowie; ten zaś jako ptak i odleci i nadleci. Wojowałem ja też z Tatarami, a przecie nigdy trupa tatarskiego nie widziałem tak wiele na kupie, jak Niemców, Moskali i innych narodów, bo trzysta, czterysta zabitych Tatarów widzieć na kupie, wielkieto już być musi zwycięstwo, gdy przeciwnie inszych leżało jako drew na kupie. Bodajto z Niemcem wojować! zwycięży mnie, nie goni mnie; zwyciężę ja go, nie uciecze mi; inaczej zaś ma się rzecz z Tatarzem, bo temu i uciekać źle i gonić go rzecz też przykra, a choć go i dogonisz, to się przy nim nie obłowisz. Ale wracam do odbieżałej materyi.

Po tém tedy tak szczęśliwém zwycięstwie parkańskim i wzięciu Strygonii, poszło wojsko nasze ku granicy przez węgierską ziemię; tam między góry wszedłszy, wypadali z gór i lasów powstańcy węgierscy i bardzo naszym sprzeciwiali się, porywając i zabijając czeladź na czatach, i na tabory napadając i rabując, a kiedy źle, to w góry i lasy uciekając, mając po sobie dogodne od natury miejsca. Nastąpiły potem słoty jesienne; koni siła nazdychało; narzucano także i wozów z ową wiedeńską zdobyczą; drudzy woleli to palić, niżeli tém bogacić buntowników węgierskich. Dosyć na tém, że drudzy tak czynili. Idąc nasi przez Węgry, wzięli Lewczą i Syczyn, gdzie były tureckie załogi. Kiedy zaś podstąpili pod ów Syczyn, potrzeba im było języka z miasta. Kazano koniecznie Kozakom, żeby się o niego starali, obiecawszy im nagrodę. Poszło ich kilku w sady, lecz nikogo porwać nie mogli, bo ludzie byli ostrożni i nie wychodzili z miasta; ale obmyślili sposób taki: zasadziło się ich kilkunastu w sadach, a dwaj poszli

pod miasto, i, przypatrując się, postępują coraz bliżej; skoro tam z miasta ich spostrzeżono, zrozumiano, że ich kula dosięgnąć może; wyrzucano zatem do nich i strzelono z hakownicy, czyli jańczarki; jeden z nich naumyślnie, choć go nie trafiono, padł na ziemię; drugi począł go wprawdzie trzeźwić, podnosić, a potem i rozbierać z sukien. Widząc to Turcy, i do owego dali ognia z kilku sztuk rżem; ten w nogi, porzuciwszy drugiego niby zabitego, i nie obejrzał się, a jeszcze gołemi miejscami uciekał, żeby go z miasta widziano, że ku obozowi idzie. Ów niby zabity leży ubrany w suknię jasno-czerwoną. Po małej chwili idzie Turczyn rozbierać go; dochodząc do niego, stanął i obejrzał się na wszystkie strony; patrzył i pod drzewa; nie widać nic; przykniął się do niego, spojrzył mu w oczy i widzi, iż je ma zamknięte, a zęby wyszczerzone; pocznie się już sposobić do owęj ostatnięj nieborakowi posługi, (hultaj! nie ubierał go, a rozbierać chce); przyklęka i chce mu guziki rozspinać, a Kozak cap go za kark. Turczyn w krzyk. Ratować trudno, miasto daleko i przez fosse, a tu Kozacy z zasadzki lecą; Turczyn się wydziera i radby bardzo puścił Kozaka, a Kozak tego nie chce. Przypadli Kozacy, wzięli Turczyna i przyprowadzili królowi. Wyrozumiawszy król z języka, że przy nadziei bożęj, może być w rękach naszych pomieniony Syczyn, kazał do szturmego gotować się. Tam też przygotowano się na gości dosyć porządnie, a skoro już przystępowały regimenty do szturmego, dawano ognia okropnie; nastrzelano naszych dużo i kilku oficerów znacznych postrzelono; ale jak obaczyli Turcy, że nie będą mogli wytrzymać naszego szturmego, poddali się, prosząc o miłosierdzie, i tak dał im przebaczenie. W tym szturmie ustrzelono nogę lewą kawalerowi odważnie stawającemu, Franciszkowi z Brzezia Lanckorońskiemu, staroście stobnickiemu, który przypadek tak skonfundował króla i hetmanów, że woleliby byli tęg fortecy nie mieć, nie znać i zdaleka ją ominąć, niżeli pozbyć kawalera tak godnego i ojczyźnie potrzebnego. Bardzo się więc zawiodła zazdrośna fortuna, ogołociwszy ojczyznę naszą z tak potrzebnego syna; łaska i protekcya samego Boga nie dała jęg w tęg tryumfować. Jest serce i fantazyja, co i przedtęg; czyn-

ność i rezolucya, jako i była, siła jest; ochota do usługi ojczyzny taka, albo jeszcze lepsza; krótko mówiąc, czynimy, co należy; zajedziemy, gdzie potrzeba; będziemy tam, gdzie i drudzy; nie wzdrygajmy się wszędzie pokazać się. Nie może tedy zła fortuna dobrych ojczyzny ukrzywdzić synów, których ręka boska w swojej łaskawej zachowuje opiece, i owszem, chcąc zepsować, bardziej czasem naprawi, jakto dobrą sławę i nie umierającą nigdy reputacyą.

Po syczeńskiej okazji: mieli nasi apetyt na Proszowy i Koszyce, ale że czas największą był przeszkodą, bo zima zachodziła, a do tego wojska pokazawszy się tylko tym fortecom, poszły dalej ku granicy, Modrzejowskiego tam chrapką zgubiwszy, którego z działa zabito. Był to żołnierz dawny i doświadczony kawaler; bywał porucznikiem i rotmistrzem, półki wodził, kommandy miewał, a tam nieostrożnie zginął; stanąwszy na celu, gdzie już z miasta miano znak do rychtowania, (bo trzeba zawsze, przystępując pod fortecę, wystrzegać się stanąć, gdzie jest jakikolwiek majak albo krzak, ale takie miejsca jak najprędzej pomijać, gdyż do nich zwyczajnie puszkarze mają cel naznaczony).

Kiedy już król był blisko granicy, dopiero wojsko litewskie przyszło łączyć się z naszymi, piękne i porządne wojsko, ale cóż, kiedy już po wojnie posiłki nadeszły, których gdyby był król czekał, jako mu niektórzy radzili, bardzoby się było źle stało, boby był czas upłynął, Wiedeń byłby wzięty, boby już dłużej pewnie nie wytrzymał, jako sami przyznawali Niemcy, a zatem i to zwycięstwo tak fortunne, nie mogłoby było nastąpić przy fortecy, już od nieprzyjaciela zajętej. A tak wszystko poszło pomyślnie, a prawie rzec mogę, „prorockim natchnieniem króla pana i osobliwym ducha świętego instynktem,“ bo się z takim pośpiechem wybierał pod Wiedeń, że podobno choćby był i połowy nie miał tego wojska, to jednak miał już utwierdzoną przyszłego zwycięstwa nadzieję, ale też i z Wiednia, jako dusze z czyszcza, wyglądano posiłku, już, już, w takim będąc razie, właśnie kiedy owo wilk owcę doganiając, karku jej chciwą dosięga paszczką, a ona też chudziatko tém bardziej się jeszcze sili, aby tymczasem który myśliwy

nadjechał i ją obronił. Tak właśnie się i z cesarzem działo, kiedy już shukany i desperujący w szczęściu, nie mógł swojej ocalić stolicy, nie śmiał nieprzyjacielowi zajrzeć w oczy, i wojska już straconego serca stawić przeciw nieprzyjacielowi. Do Boga tylko uciekał się modlitwami, a Polaków wyglądał, ustawicznych gońców, jednego za drugim, posyłając do króla, żeby jak najprędzej przybywali i dopomogli gasić tego strasznego zapalu, który już też wszystko chrześcijaństwo byłby podobno pożarł. Uważał tedy król, jako pan rozumny, wszystkie cyrkumstancje, dla tego jako najprędzej życzył sobie pospieszyć, wiedząc, że pewniejsze są posiłki i skuteczniejsze na rok przed okazyą, niżeli w godzinę po okazyi. Turbowali się bardzo Litwini, że tak szczęśliwej wyprawy omieszkali. Obadwa hetmani, Sapieha i Ogiński, nasłuchali się nie raz od króla sarkastycznych przymówek, co jeżeli ich turbowało, to i to niemniej, że owego tak pięknego, z każdym rzeczypospolitą i z słusznym aparamentem wyprawionego wojska, nie przyszło nieprzyjacielowi pokazać. Żołnierze zaś niebożęta usychali, słuchając koronnych, opowiadanie im czyniących, jako im Bóg poblogosławił tak szczęśliwem zwycięstwem, jako wpadli na dobry byt i obfitość wszystkiego w obozach tureckich, a osobliwie, gdy widzieli dostatki srebra, suknie bogate, zdobycze, serce się im krajało i wodzów swoich bardzo winili. Tak tedy wyszło wojsko z Węgier. Litwini poszli ku Wołyniowi i tam dopiero zemścili się na krajach podlaskich, poleskich i wołyńskich, czego na tureckich omieszkali, bo je dobrze podskubali. Wychodząc z Węgier, umarł hetman polny Sieniawski, który już też był choro wybrał się na tamtą ekspedycyą, i tylko przecie z wrodzonej swojej ochoty chciał być na tak świętobliwej wojnie. Poszedł z ochotą, lubo tam cały prawie czas przechorował, a potem i umarł na usłudze ojczyzny i zaszczyście całego chrześcijaństwa. Po nim dano buławę Potockiemu, kasztelanowi połockiemu, synowi Stanisława Potockiego, który także był hetmanem za króla Jana Kazimierza.

Podczas tej ekspedycyi wiedeńskiej, z ordynansu królewskiego wpadł w tatarską ziemię Kunicki, którego król przed samą ekspedycyą przydał był Kozakom za hetmana;

byłto ślachcic, Lublanin. Ten Kunicki, z Kozakami bardzo dobrze gościł, bo ordy co lepsze powychodziły były pod Wiedeń; miał tedy czas palić, ścinać, jeżeli mu się nawinał jaki oddział zebranej ordy; wojska mu też coraz przybywało, bo niewolników tam już zasiedziały tak wiele odbierał, a drudzy, co dalsi, dobrowolnie do niego uchodzili, usłyszawszy o wojsku chrześcijańskim. Cuda ci Kozacy robili, nikomu nie folgując, białogłowy ścinając, dzieci rozdierając i cokolwiek najgorszego było wyrządzając im, i, jak udawano, że tam tego gatunku położył na trzykroć stotysięcy, i już tam chodził sobie marszem, nikogo się nie bojąc. Gdy zaś już z Węgier chan tatarski powracał, przebrano trzydzieści tysięcy ordy co lepszej, i nie takiej, jako inni, i posłano na odsiecz; było też z nimi nieco Turków; Kunicki dał im pole pod Kilią, zbił, zniósł, i zdobył, co mieli, odebrał, i wrócił się szczęśliwie za granicę. Aleć go potem Kozactwo sami między sobą utłukli, udając, że ich pokrzywdził w zdobyczy, jak to u nich nie nowina zabić hetmana z lada okazji. Tak mówiono, że ich nie krzywdził w niczem, tylko że miał zdobycz wielką, którą mu oni inakszym sposobem wydrzeć nie mogli, aż dopiero zbuntowawszy się, i tak zdrajcy dobrego kawalera mizernie stracili, który Tatarom dzielnieby był dokuczał, zaprawiwszy się na nich tak dobrze. Zastawszy Tatarowie owo w ziemi swojej spustoszenie, trupy żon i dzieci swoich, bydła stada pozabierane, płakali na swoje nieszczęście. Zgoła, wszędzie Pan Bóg natenczas błogosławił chrześcijaństwu, i w Niemczech, i w Wenecyi, i w Polsce, bo i Dyonidecki po nim siła dokazywał w Wołoszech, Turków z Wołochami bił, znosił, hospodara Đukę pojmał i przyprowadził do więzienia. W Turczach przeciwnie wielkie nastąpiły trwogi, szemrania i bunty przeciwko starszynie o nieszczęśliwe prowadzenie wojny i zgubienie tak wielu ludzi, co sułtan składając na wezyra, kazał go na publicznym rynku udusić, chcąc z siebie zwalić nienawiść ludu, aleć tego, po staremu, i sam potem nie uszedł, bo go z tronu zrzucano.

Z wielką tedy rok ten odprawił się szczęśliwością i z wszystkich narodów chrześcijańskich pociechą, oprócz sa-

nych Luteranów, którzy Pana Boga prosili o to, żeby dał zwycięstwo Turkom, bo Tekieli, buntownik, który przy Turkach stawał dla tego, żeby go luterzańskie prowincje wspierały pieniędzmi, puścił tę wieść między nich, że Turcy w tym celu wojnę podnieśli, żeby religią rzymską zniszczyć, a luterzańską na to miejsce postanowić po całej Europie. Dla tego tedy Pana Boga prosząc, wielkie nabożeństwa odprawiali, pobory składali i Tekielemu na wojnę dawali. Byłem natenczas, (jak wiadomo) w Gdańsku, kiedy te nabożeństwa odprawiali, naprzykrzając się Panu Bogu okrutnie, aleć ich przecie nie wysłuchał, bo się inaczej stało. Póki jeszcze Turków z pod Wiednia nie rozpłoszono i byli pewni odebrania tego miasta, to natenczas po ulicach piosnki śpiewali, na bulwarkach je deklamowali, projekty rzucali, obrazy Tekielego, jako walczącego za ich religią, malowali, drogo płacili i ledwo nie każdy starał się, żeby go w domu swoim mógł mieć; po kościołach zaś dzięki Bogu czynili, jak im cokolwiek przyszło wiadomości o szczęśliwem Turków powodzeniu, a we mnie prawie serce usychało. Nie wiem, jakie tam mieli ukontentowanie, dowiedziawszy się o klęsce Turków, bom już był w domu podczas zwycięstwa wiedeńskiego.

Zakończył się zatem rok ten we wszelakich od Pana Boga szczęśliwościach, nie tylko publicznych, ale i swoich prywatnych, bom był i przez cały rok zdrow i dobrze mi się we wszystkiem powodziło. Panie Boże dobrotliwy! racz takich lat używać łaskawie, póki życia mego stawać będzie, a za to niech będzie imię twoje przenaświętsze pochwalone!

R o k 1684.

Zacząłem rok ten tamże w Olszówce, daj Panie Boże szczęśliwie! i rok ten co do spraw publicznych był szczęśliwy, ale co do mojej osoby, to po jarmarku zły targ. W tym roku już nasi mogli oprzeć się, wzięwszy serce z zwycięstwa przeszlorocznego. Jakto powiadają, że ugłaskanego i ujeżdżonego konia lada kto osiądzie, hardego i bystrego zaś nie każdy; a do tego, że i Wenetowie czynili awersyą wojny, bo trzymali na sobie wielką część tego

wojska, które z potrzeby musiało być w tamtej stronie i na morzu. Nasz król z wojskiem koronnym osobiście poszedł za Dniestr i tam długo, zawojowawszy tamte kraje, zatrzymał na sobie kardynalną państwa tureckiego potęgę, którą to państwo najbardziej się szczyci, to jest; Tatarów krymskich, nahajskich, białogrodzkich i budziackich, a przytém Wołoszę i państwo multańskie, którzy wszyscy pewnoby byli poszli przeciwko Niemcom, gdyby nie ta awersya. Całą więc kampanią nasi z nimi odprawili, wytrzymując największe impety z wielką ich, ale też i naszych, zgubą, bo najwięcej naszej czeladzi brali na czatach, przy koszeniu trawy, przy pasieniu koni, jakto już z dawna tego narodu moda, a Niemcy tymczasem Turków jak biją, tak biją; znieśli ich wstępnym bojem w tym roku dwa razy; pobrali miasta, fortece, nowe zamki, Budę i insze w Wyższych Węgrzech dawno zawojowane i od Turków zabrane kraje. Wenetowie wzięli także Morejczyków, którzy się im dobrowolnie poddali, zbuntowawszy się przeciw Turkom; wzięli i innych miast wiele. Po prostu, smarowane rzeczy, idą, jak kiedy się to dwaj zmówią na jedno. A przecie nasi Polacy tego szczęścia, po łasce boskiej, największym są powodem, a osobliwie król, że się rezolwował oburzyć na tego, całemu światu strasznego nieprzyjaciela; sam osobiście i z wojskiem poszedł, począł im go i podał na obrót, a oni też, właśnie jako leniwi od rączego, z obrótu porwawszy na opiekę swoją wymordowanego zwierza, już go nie puszcza, aż uszczują, i prędzę się obłowią, niżeli ów, co im go podał w obrót. Wszak i to często widzimy, że nikczemny i leniwy prędzę się czasem obłowi; podobieństwo tego i w tej naszej koligacyi, bo zaczęliśmy im, pomagaliśmy im szczerze; obłowili się już przy nas i podobno jeszcze lepiej obłowią, wojując z tymi, którzy zniewieścili owym długim pokojem. A nam dostały się do zabawy narody te, które nie dosyć na tém, że z starożytności swojej zawsze były wojenne i niezwyciężone, ale to większa, że zawsze są w ustawicznym ćwiczeniu, w ciągłej wojnie, słowem, ichto żywot ustawicznie wojować i z wojny żyć, a choćbyśmy ich i zwojowali, nie siłabyśmy się na nich pożywili, bo chudzi pacholcy; jednym słowem, dobrą

sobie nasi koligaci obrali część, bo owę z cynamonem i z słodkimi kondymentami dobrze zaprawną porcyą; nam zaś coś z chrzanem i ostro pieprzne zostawili. Broń Boże! żeby nam od tego zęby nie podrętwiały, bo to widzę jest rzecz cierpka; a żeś dał z łaski swojej dobry początek, raczże też zdarzyć i dobry koniec.

Rok 1685.

Rok ten, daj Panie Boże szczęśliwy! zacząłem tamże w Olszówce. Sejm był w Warszawie. Tego roku w Wielkiej Polsce drożyzna była wielka dla nieurodzaju jarzyny, z której racyi i w Warszawie bardzo zdrożało, o czém ja dowiedziawszy się, kazałem naładować dubas jęczmieniem i grochem, na którym puściłem się w Maju sam i zarwałem przecie pieniędzy od Wielkopolanów, tylko, że już było za późno; gdybym tam był tygodniem wprzód pospieszył, póki nie tak nawieziono, wziąłbym był za korzec drugie tyle.

W tymże roku Stanisław, margrabia pińczowski, w Lublinie na deputacyi umarł, mnie w wielkim kłopotcie zostawiwszy, z przyczyny dzierzawy dóbr margrabskich, (o czém będzie niżej).

Powróciwszy z Warszawy, począłem się gotować do Gdańska i bardzo tęskniłem ze zbożem, które mi się w śpichlerzach bardzo grzało, i ustawicznie trzeba było koło przerobki pracować, ale że wody niebyło, musiałem i wszyscy czekać aż do Września. Gdy zaś zbliżał się czas pożądany naszym oczekiwaniom, zachorowałem bardzo 30. Sierpnia w dzień czwartkowy, a przypadła mi ta choróbka z przepicia, dla nieszczęśliwej kompanii, która mię zawsze do tego przywodziła, bo z swojej dobrej woli, nie pamiętam, kiedym się upił, jako znam takich niektórych; ale kiedy albo mnie kto rad szczerze, albo ja też komu, a osobliwie kochanemu jakiemu konfidentowi, to wtenczas naszej mody polskiej niepodobna nie obserwować. Zapadłem tedy tak niebezpiecznie, że zaraz i ludzi nieznał; niewiem, co tam robili zemną medycy, dosyć, że zdesperowali i rozgłosili, iż bardzo źle i niepodobne ozdrowienie. Tymczasem woda poczęła przybierać; przybiega stróż śpichlerzowy,

dając znać, żeby posyłać do ładowania; a ja o świecie nie wiem; kazała mu tam żona gdzieś pojechać, i do nieszczęścia pojechał. Nie było zaś żadnego podobieństwa, aby Bóg zemną miał jakie dziwne uczynić, i to w momencie prawie, jakie uczynił, a czego rzecz tak się ma: Kiedy już w owęj ciężkiej malignie leżąc od 30. Sierpnia, ze czwartku na piątek, przededniem, 7. Września, to jest w wigilią Narodzenia Najświętszej Panny, jak we śnie, w gorączce leżącego, trząsnęło mię coś za ramię, mówiąc: „a oto święty Antoni nad tobą stoi.“ Obrócić się do ściany, aż stoi zakonnik w habicie franciszkańskim. Patrząc, nie mówię nic; on też nic. Świeca się tam w kącie świeci; ludzie, poturbowani koło mojej usługi, już też posnęli. Gdy już ku dniowi znowu mię trząśnie, było mi jak we śnie, ale otrząsnawszy się zaraz, jużem się czuł, żem na jawie; jużem był przy dobrej pamięci; jużem się i w tém rektyfikował, że ja tą chorobą złożony, już mi i to w dobry rozsądek weszło, co się zemną dzieje, lubom przedtém o sobie niepamiętał, i tak sobie myślę: że to jakiego do mnie zakonnika przysłali, jako zwyczajnie do chorego; aż tu owa osoba rzecze: „Pilnowałem cię szczerze od przeszłego czwartku; niebójże się już, i wstań.“ Jakaś mi radość ogarnęła i wpadło mi na myśl, że to już nie prosty ksiądz, ale osoba święta być musi. Porwę się, chcąc mu do nóg upaść, zawoławszy wielkim głosem: „święty ojciec!“ Stoczyłem się z łóżka. Usłyszeli wszyscy owo zawołanie, przypadli z świecą, aż ja pytam: „gdzie poszedł?“ Rozumieją, że to w gorączce czynię, i mówią do mnie: „o kogoż pytasz? niebyłci tu nikt u ciebie.“ Ja mówię: „był, czy oczu niemacie.“ A wtém usiadłem już nie na łóżku, ale na stołku. Rzecze moja pani: „wołaj Kazimierza.“ Przychodzi cyrulik, pomaca pulsów, gorączki nie masz i jakoby nigdy nie była; ja też dopiero obaczywszy się i odpocząwszy trochę, pokłęknałem, pierwój dzięki czyniąc Panu Bogu i świętemu Antoniemu, a potem wstawszy, począłem im to powiadać; dziwowali się wszyscy; jedni wierzyli, że tak było, drudzy też nie dowierzali; nawet sam cyrulik wnosił, lubo widział, że już gorączka całkiem odstała, że przecie jeszcze jakąś słabość na umyśle zostawiła. I tak się zabawiają zemną. Aż ja

mówię: „widzę, że mi winszujecie i cieszycie się z konwalescencyi, a nie pytacie, jeżelibym téż co zjadł; namorzyliście się mnie dosyć przez te dni choroby mojej.“ Porwie się żona zaraz i pyta się mnie: „do czego mam chęć?“ Powiedziałem: „co dacie, to będę jadł z wielką ochotą.“ Radzą, coby gotować; to nie, to nie; aż cyrulik rzecze: „może jeść z masłem, choć i wigilia.“ Pytam: „do czego wigilia?“ Powiedzieli, że do Najświętszej Panny. Zdumiałem się, bom nie rozumiał, żebym tyle dni miał chorować, i mówię: „nie będę ja z masłem jadł, ponieważ wigilia.“ Ugotowali mi jakieś gramatki garnuszek mały; na ząb mi to nie padło; kazałem w większym garnku gotować i korzenia dużo nasypać; gotowano tedy, a ja tymczasem ubrałem się tak, jako należy, i kazałem iść do sadza z kancierzem, wziąć szczupaka i kwaśno, szaro, ugotować go. Tak tedy obaczyli, że jem smaczno i piję, i rzeźwość dostałem jak należało; dopiero uwierzyli, że jestem zdrow na duszy i na ciele, o czém cyrulik osobliwie bardzo wątpił. Przy owém jedzeniu mojem, mówi żona: „pragnął waść flisu, a teraz choróbka przeszkodziła.“ Pytam: „albo co?“ Powiedziała: „że dawano znać, iż woda wielka przybrała; pp. Rupniewski i Jaroszewski pojechali i na głowę chłopów powygniali do ładowania.“ Odpowiem: „to i ja pojadę.“ Rozśmiali się wszyscy, rozumiejac że żartuję, a ja czulem już w sobie siłę. Najadłszy się, przeszedłem się po izbie, kazałem włódcarza wołać, i rozkazuję mu, żeby chłopci zaraz wychodzili do ładowania, a tymczasem aby konie gotować i zaprzęgać. Mówią mi: „dla Boga! nie czyń tego; chodzi tu o twe zdrowie, które jest droższe.“ Ja mówię: „dajcie mi pokój, ja lepiej czuję, co się zemną dzieje, i temu ufam, co mi dał zdrowie, że mię przy niem zachowa i zaprowadzi szczęśliwie tam, dokąd zamierzam.“ Pojechałem, pożegnawszy się, i kazałem za sobą przywieźć to, co potrzeba. Wyjechawszy w pole, wsiadłem na konia z kolaski, i pobieżałem rysią, żeby woda nie uciekła. Zostałem, że jedni już poodkładali, drudzy téż jeszcze czekali na leguminę, kto nie miał gotowej w śpichlerzu; że zaś moi chłopci nie byliby byli ledwie na noc, bo przecie mil 7 drogi, dali mi sąsiedzi chłopów, naładowałem wnet dwie szkuty, tra-

twy zaś kazałem powoli już bez siebie ładować. W dzień tedy Najświętszej Panny raniusieńko, pojechałem do Franciszkanów, nająłem mszę przed świętym Antonim, i słuchałem jęj. A tymczasem tam ostatek kolo szkut pogotowano; wróciłem się, wsiadłem i kazałem od południa odłożyć, bo też już byli wszyscy poodkładali; chłopci moi prawie na darmo już przyszli, bo mi już byli cudzy, których miałem dosyć, porobili co potrzeba. Puściłem się tedy i szczęśliwie dogoniłem owych, co byli przedemną półtora dniem poodkładali, lubom w ten dzień mało co ujechał, a prawie jak nie, bo rotman źle miał czolno, i starał się sobie o in-sze. Stanęliśmy tedy w Leniwce dopiero dnia 23. Września, bo nam wiatry częste przeszkadzały, a tratwy za mną przyszły 14go dnia, z Leniwki wyszedłszy do Gdańska, mniej szły dni, niżeli szkuty, z téj racyi, że już były wiatry owe, co przeszkadzały skutom, ustały, kiedy tratwy od pola wychodziły, bo wychodziły 21. Września, a my już byli pod Toruniem, to jest w dzień świętego Mateusza, w który dzień mróz był potężny i lody po brzegach nadzwyczajne. Zajechałem tedy z łaski boskiej dosyć szczęśliwie, wybrawszy się tak po owéj chorobie, i głowa mię za łaską Boga niezabolala, za co niech będzie imię jego przenajświętsze pochwalone na wieki! Pokornie suplikując, żeby nas w każdych utrapieniach, a osobliwie w chorobach, z swojej ojcowskiej nie wypuszczał opieki.

R o k 1686.

Rok ten, daj Boże szczęście! tamże w Olszówce mieszkając, zacząłem w dobrém zdrowiu i powodzeniu. Te-goż roku byłem na oblóczynach panny Sieklickiej w Krakowie, którą rodzice, pan Adam Sieklicki, mój wielki przyjaciel, i Zofia Rabsztyńska, matka, oblóczyli do zakonu augustyańskiego; tam, przy wielkiem zgromadzeniu wielu godnych ludzi, proszono mię, żebym pannę oddawał do ślubów. Nie bardzo mi się chciało, wiedząc, iż tam nie trudno będzie o cenzurę, aleć nie ganili; może, że téżto tak tylko pochlebiali; nie wiem. Mówiłem tedy w ten sens; „Ktobykolwiek lata swoje tym tylko pędził zamysłem, aby

je samemi pieśczonej świeckiej marności mógł wytuczyć delicyami, nietylko na swojej zawodzi się imprezie, ale ze wszystkich niemal wiecznemi czasy wyzuwa się szczęśliwości. Szczęśliwy! kogo te pochlebne roskoszy świeckich fawory nie ułowiły, kogo na swojej nie zwiodły stateczności, kogo w swoich własnych, na wieczną hańbę, nie zatopily pieścidlach. Sąto prawda dobra do czasu dozwolone, dobra człowiekowi powierzone, ale onych według samego trzeba zażywać dawcy, w czym, jak ktoby najmniej przeciwko wyraźnemu wykroczył rozkazowi, w samych tylko nadziei zatopiwszy się marnościami, aż już gotowy z niebieskiego parlamentu czytają mu dekret: „wzgardziłeś słowem bożem, Bóg tobą wzgardził;“ a kogoż tam już z ziemskiego rugują królestwa? „Nie bądź królem nad Izraelem,“ aż wnet dla świata i na niebieskiej i na ziemskiej szwankować będziesz szczęśliwości. Trzeba, widzę, ostróżnie z światem, i z temi jego poczynać sobie pstrocinami, ale nie każdy to potrafić umie. A ponieważ na światowych ludzi tak chytre świat zastawia sidelka, toćbym rozumiał, że nierównie szczęśliwsi są ci, którzy z nim w żadną nie wchodzą korespondencyą; szczęśliwsi, którzy od jego oddaliwszy się konwersacyi, na pustyniach, w konwentach i różnych pobożnych zgromadzeniach, w wolnym sumnieniu szczególną tylko pasą się bogomyślnością, nieśmiertelności zostają synami, a ponieważ „służyć Bogu, jestto królować,“ więc i nieomylnymi królestwa górnego dziedzicami, czego oczywisty na tém tu miejscu przedstawia się dowód w osobie jnci panny Heleny Sieklickiej, która w zacnym i starożytnym zrodzona domu, przy tak pięknych od natury sobie udzielonych przymiotach, przy znamienitych staraniach ichmość rodziców swoich, nie zapatrując się na to, że jest bez rodzonego brata wszystkich ojczystych zbiorów dziedziczką, nie oglądając się na to, że za błogosławieństwem boskiem mogłaby osiągnąć szczęśliwości wszystkie świata tego, dobrowolnie je rzuca, ozdób jego, swobód i roskoszy zrzuca się, i w dożywotni z niebem wchodzi dziś traktat; dziś pierwsze niebu czyni śluby, a zakonny obierając żywot, swoje Bogu poświęca panieństwo. Nie schodzi widzę na niczém niebu, obmyśla mu panińska mądrość to

wszystko, czémby się jego mogła chelpić i zdobić wyniosłość, ale przecie, jakoby tam jeszcze boskich nie dosta- wało obrazów, których sobie Bóg znikąd nie zasięga, chyba z panięskich postępków. Jest tedy czego zacnym winszo- wać rodzicom, którzy taką córę człowiekiem wypiastrawa- wszy, aniołem Bogu oddają, dla czego ją ww. państwu po- leciciwszy, współ i w. m. m. pannom i całemu tutecznemu zgromadzeniu, jako reguły świętej spółkompanki i ducho- wnej winszując siostry, którą przezemnie jmc pan Sieklicki, w. m. pan i brat, tudzież jejmość pani, jako kochający ro- dzice, i cała zacna z obojga linii rodowitość, oddając w. m. m. pannom, a osobliwie tobie mościa panno matko, od- dają ochotnie przejrzaną Bogu ofiarę, z posłusznym na je- dno skinienie Abrahamem, nie żałując jej na służbę boską; oddają najdroższy skarb, bo ulubioną swoją krew, z którą oraz prawo starszeństwa swego przelewają na osobę wasz- mość panny, upraszając wielce, abyś w. m. panna, jako przyszłej towarzysze instytucyi, łaskawej nie odmawiała protekcji.“ Były te oblóczyny 24. Stycznia. Zimy tego roku nie było nic, ani śniegu, ani mrozów, rzeka żadna nie stawała, w Lutym role uprawiano na jarzynę, kwiatki i trawy były, żyta jare siano, bydlę trawy się najadło; zaraz w post wstąpiwszy, jęczmiony i owsy siano, luboby je był mógł siać i dawniej; przed wielkanocą wszystko po- zasiewano, i już nie było zimy i urodzaje były dość do- bre, co niezwyčajna w Polsce. I to rzecz nadzwyčajna, że gęsi dzikie włóczyły się całe lato stadami wielkimi, bo jest rzecz niezwyčajna, że koło Krakowa i Sandomierza, gdzie się nie lęga, zboża aż oganiano przed niemi, bo je bardzo psowały, ale jakieś były odmienne, nie takie, jak te, co zawsze bywają, niby trochę pstrokate koło karków; padały i z swojskimi gęsiami i nie bardzo były płochę; dały się zejść i kijem potrącić; różni różnie o nich tłóma- czyli.

Siódnego Sierpnia naładowałem pszenicę na cztery sta- tki i puściłem się do Gdańska; przedawszy, powróciłem, z łaski bożej, szczęśliwie ładem 17. Września.

Tegoż roku król jmc i wojska nasze chodziły na Bu- dziaki i do Wołoch. Tam z Tatarami po kilka razy poty-

kały się; to tylko najznacniejsza, że Iwan przeniósł się na rezydencją z Wołoch do Polski z całym sprzętem srebra swego, wzięwszy z sobą z tamtego monasteru kilku poufałych Czerńców. Cesarskim jednak wojskom jak Pan Bóg począł błogosławić, tak i w tym roku nie przestał, bo Turków po dwakroć potężnie zbili, obóz z dostatkami pobrali i fortec kilka potężnych opanowali, a przecie to wszystko za naszym powodem, żeśmy na sobie trzymali tatarską siłę.

R o k 1687.

Rok ten zacząłem tamże w Olszówce, gdzie już mi wychodziła aręda, to jest rok jedenasty dzierzawy mojej. Wywoziłem tedy rzeczy potroszę do Madziarowa, bom już był Smogorzew puścił pasierbowi przed rokiem, a puściłem w tym samym stanie, w jakim go odebrałem i trzymałem przez lat podobno 17., to jest grunta dobrze uprawne, które zastałem był po arędarzach bardzo zeszcpecone, budynki dobre, restaurowane, sady poszczepione, lasy zapuszczone i nic nie naruszone, co jest rzadko u ojcymów; terminy prawne uspokojone, na które wiele łożyłem kosztu i pracy, gdyż ś. p. pan Łącki kupił był tę majątność na sposoby, nie mając tak wiele pieniędzy na zapłacenie jój, nazaciągał był długów u klasztorów i niektóre kapitały na gruncie zostawił; oprócz tego, successorowie pierwszej jego żony, z domu Grodzickiej, czynili proces o wniosek jój, jakoto panowie Gomoleńscy i Lubańscy, więc, że pretendowali sobie własność téj sukcesyi, ja zaś tego potrzebowałem, żeby równie dać co się komu słusznie należało, i żeby drugi raz nie płacić jednéj summy, o to tedy między nami dziś była sprawa, kłótnie, exekucye, najazdy, wyganiania, bitwy, azatém i bassarunki, przez co ja straciłem wiele, a stąd i inne rozdziły się okazy z moją szkodą. Takto, tak, pojąc wdowę z dziećmi i z kłopotami; pierwszy mąż zaciągnie długi, zostawi kłopoty, dzieci, kłótnie, a ty dla cudzych interessów uschniesz, zdrowie stracisz; co byś miał sobie ubierać, wydasz na prawo, i jeszcze sobie zarobisz na niewdzięczność, miasto podziękowania. Ja to kładę na przestrożę, kto ma tak uczynić, i proszę do mnie na radę.

Na same tedy prawie wyderkafy, terminy prawne, wesela, obłóczyny, professye córek, których było pięć, pracowałem. Rachowałem jednak owe wydatki, których narachowało się przez te lata 40 tysięcy. To wszystko na jedno pasierba uniżenie, a przyjaciół instancją darowałem, nawet i dożywocia ustąpiłem, nic za nie nie wzięwszy, nawet pierścień, który mi była dała żona na znowę, oddałem, żeby przy mnie nic nie przysychało cudzego; przyznawali to sami jego krewni, żebym go był mógł wykwitować z Smogorzewa, gdybym był chciał.

Rok 1688.

W tym roku mieszkałem w Madziarowie, ale, mógłbym rzec, że więcej w Lublinie, pozywając się z margrabią. Żona jednak moja siedziała w olszowskim dworze, nibyto więziona, a oniby jej byli radzi i plot rozgrodzili, gdyby była chciała wyjechać.

Nastąpił sejm w Grodnie dnia 26. Stycznia, na który i ja musiałem jechać, z przyczyny owych artykułów, które na kilku sejmikach stanęły za moją stroną. Stałem tedy w Grodnie 1. Marca, zażywszy złych i okrutnie grudnych dróg. Posłowie nasi krakowscy, osobliwie moi konfidenci i pan Lanckoroński, starosta stopnicki, mówią mi: „chcesz rujnować margrabię?“ (bo téż i on za promocją pana strażnika stanął był posłem z sandomirskiego, a posłem niewinnym, gdyż i gęby między ludźmi nie rozdziawił, tylko siedział jako lelek, wytrzymawszy oczy i na innych zapatrując się, a więcej pilnując kart, z czego u królowej i u dworskich miał łaskę, ponieważ często obłowili się na nim). „Ponieważ nie masz na nim kondemnaty“ odpowiedziałem. Obaczywszy mię margrabia w izbie poselskiej, na pół umarł. Sami jego kolegowie, widząc tę konfuzyą, mówili do mnie; „dla Boga! dla pana margrabi trzeba wódki ożywiającej; pozbawisz nas posła dobrego; za nic izba poselska nie będzie stała bez niego.“ Tymczasem obrady sejmowe tamują się na prywatnych urazach pana Służki, hetmana polnego litewskiego, z panem Dąbrowskim, posłem województwa wileńskiego. Ja, mając do-

brych przyjaciół radę, żeby nie wprzód izbie poselskiej opowiadać krzywdę swoją, (gdzie miało być srogie w tej sprawie oburzenie, i już się byli potężnie przygotowali), ale królowi uskarżyć się i zjednać sobie przychylność, tak tedy czynię: staram się o audyencyą, którą otrzymawszy w naznaczonym czasie, mówię do króla te słowa: „Jako ukrzywdzony syn przed ojcem najpoufałój w swoich żali się dolegliwościach, tak i my życzliwi waszój król. mości, pana naszego miłościwego, poddani, mając sobie za ojca ojczyzny naszój, chowamy za ostatnią ucieczkę łaskę pańską, i waszój królew. mości, pana naszego miłościwego, protekcyą, do którój że ja poddańską udaję się pokornie submissyą, przepraszam najpierw pana mego miłościwego majestat, że mi prywatnemu przychodzi pańskie poważne i wielu ojczyzny troskami zatrudnione turbować ucho, jednak nie moja w tém wina, ale tych, którzy mając swego dosyć, cheiwe na cudze zbiory zaostrzyli apetyty. Byłem żołnierzem, nie czasem, ale ciągle służąc; przesłużyłem kwiat wieku, nie żałując zdrowia i fortuny. Mam świadki blizny i moich współżołnierzy, których jeszcze wielu widzę w stanie rycerskim, i w senacie przy boku w. k. m., pana mego miłościwego. Nie jestem w żadnym takim postępku, za który dobra konfiskują, i nie winienem też nikomu nic. Jmć pan margrabia pińczowski samowolnie wziął mi substancyą, i, prawie rzec mogę, ostatek nieprzesłużonój na usługę tej rzeczypospolitój sztuki chleba oyczystej; niewykroczyłem przeciw umowie, ponieważ przepisana kwotę dawałem na arędę; dawałem nie na prywatne wydatki, ale na spłacenie dawnych margrabskich długów, zaraz prawie po ustanowieniu margrabstwa zostawionych, o czém kontrakt uczy; dawałem prawnie opiekunowi, stryjowi rodzonemu, który wyrachował się z tych pieniędzy odemnie wziętych sukcesorowi, i kwit z opieki otrzymał z potwierdzeniem kontraktów i zapewnieniem pretensyj naszych. Nie wiem tedy, za co z dzierzawy mię wygnano, pieniędzy nie oddawszy, i to, co było, wzięwszy. Boli mię, najjaśniejszy królu, panie mój miłościwy, strata ubogiej substancyi, ale i to nie mniej boli, że mi odebrano bez przyczyny, i siebie tylko widzę na tym celu nieszczęśliwości, bo wszy-

scy kredytorowie, jedni pieniędzmi już są zaspokojeni, drudzy dotychczas zostają w possessyi; mnie tylko jednego, nie wiem z jakiej przyczyny, taka ichmościów potkała łaska, że nie przestają godzić na ubogą substancją, bez żadnej przyczyny; ale z samej tylko przeciwko osobie méj zawziętości.“ Słuchał król pilnie, a skorom skończył, rzekł: „Trzebaby na to odpowiedzieć z pisma świętego i przytoczyć prawo proroków; od czegoż trybunał, od czegoż inne sądy, tylko żeby każdemu należyta sprawiedliwość, choćby z największego pana, oddana była, ale kiedy się to i o nasze obija uszy, z wielką chęcią przyłożymy starania, żeby się takie bezprawie nie działo.“ Było przytém w pokoju ludzi kilkunastu z senatu i z posłów. Król rzekł do obożnego koronnego, Chełmińskiego: „waszec tam bliski sąsiad; coto za sprawa?“ Odpowie Chełmiński: „Toć wiem, miłościwy panie, że ślacheć dał substancją i był zawsze nie jak dzierzawcą, ale jak pocziwym podskarbin, bo w każdych najcięższych potrzebach do niego najpoufalej nad innych był rekurs, gdyż czasem sto złotych ledwie przenocowało w jego domu, kiedy ze Gdańska powrócił, bo zaraz miano o nim pocztę, nie dano się i ucieszyć z pieniędzmi, pisano mu tytuł: dobrodzieju, affektem jego i uczynnością zaszczycano się między ludźmi. Ale kiedy wracać, albo w dalszą possessyą majątności puścić, niemiło im było to słuchać; zgoła, dwaj możniejsi uwzięli się na biednego ślacheć, żeby go substancyi, przez zwłóczenie sprawy, pozbawić i wyniszczyć; jedném słowem, wniwecz obrócić tego, który dla domu ich czynił dosyć, a nawet nadto. Siłaby o tém mówić; po prostu, z nikim się dobrze nie obejdą; ze mną samym o tóż dobra, które także trzymałem po bracie moim, jakie wzniecili hałasy, wiadomo jest w. k. m., panu memu miłościwemu, w jakie mię wciągnęli kłótnie i koszty. Bóg widzi, żem więć wydał na prawo, niżeli mi Olszówka przez te sześć lat dzierzawy mojej uczyniła. Upraszam tedy w. k. mości, abys uciemiężonemu, jako temu, który w oczach w. k. mci wszelakie w tój ojczyźnie zasłużył względy, pomódz raczył. I teraz zasługuje on jako swoją osobą, tak i przez swoich krewnych. Oto i teraz synowiec jego, a towarzysz z pod

chorągwi mojej, przed lat półtora w niewolę wzięty, powrócił przed trzema dniami z Krymu, zasadziwszy tam na swoim miejscu towarzysza, żeby tém prędzej mógł się sam postarać o okup i już w części dobry stryj, jednego znacznego kupił mu Tataru u pana Gołyńskiego, porucznika; drugi Tatar, o którego kazano mu się postarać, żeby go za siebie wyzwolił, tego, a nie innego, jest między więźniami w. k. mości, suplikuje ten niewolnik do majestatu w. k. m. i ja mówię za nim, i wnoszę instancją, jako za dobrym żołnierzem i towarzyszem niepoślednim, który jest tu przede drzwiami.“ Rzecz król: „wołać go tu.“ Poskoczył obożny ku drzwiom; jam go poprzedził. Wyjde, nie masz go w antykamerze; idę do średniego pokoju, (bo się to działo w sypialnym, gdzie król sypia), aż tam pokojowy królewski obłapia go, całuje i płacze nad nim; obstało go wielu panów senatorów, posłów i inszych różnych. Rzekłem synowcowi: „pójdź waść do króla.“ Przeszedł; przyjął go król milusienko; pytał, u kogo siedział, jakim przypadkiem był wzięty? pytał go: o sułtanów, o murzów znajomych, i o niektórych téż niewolników. Synowiec prawił mu o wszystkiém. Następowala potem sesya, poczęli się senatorowie schodzić do pokoju. Król rzecz Matrzyńskiemu, koniuszemu natenczas koronnemu: „Proszę waści, żeby napisać assygnacyą i oddać do rąk pana Paska, tego, który z niewoli wyszedł, żeby na pierwsze zawołanie wydano w Żółkwi tamtego Tataru.“ Do mnie zaś obróciwszy się, mówi: „będzieto staraniem naszym, że waść w krzywdzie swojej zaspokojony zostaniesz.“ Znowu obożny koronny rzekł: „Miłoś. panie, zabiera się tu w téj okazji na wielki rozruch w stanie rycerskim, bo są z kilku województw artykuły, oraz i z mego sejmiku, żeby się przytém opponować i produkować to publicznie. Odpowie król: „wiemy o tém, ale znajdziemy sposób, że się to uspokoi, bez wielkiego rozruchu.“ Do mnie rzecz: „bądź waść dobrej nadziei, jako ten, który zarabiasz sobie na należyte w téj naszej rzeczypospolitej fawory, będziesz zaspokojony.“ A wtém zaraz przede drzwiami, już ubranego i ciekawego Dominikana wysłuchawszy mszy, poszedł do senatu i zasiadł. To się działo 15. Marca. Sejm począł się nachylać do

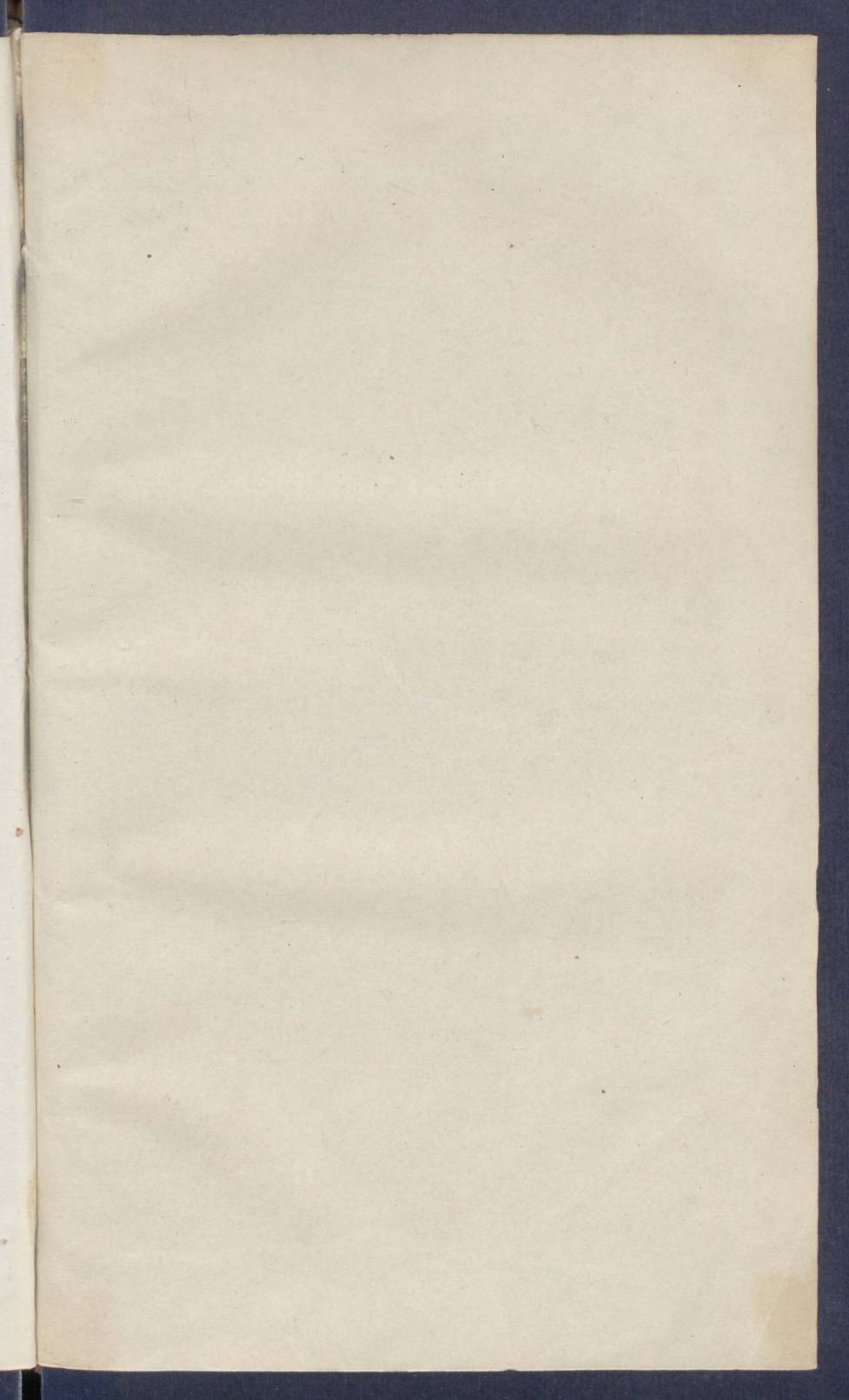
zerwania. Król był przerażony temi niezgodami, oraz i nowiną świeżą, że orda porobiła szkody w krajach ruskich a osobliwie w jego włościach; nie śmiałem się mu narażać, bo czasem i senatora już próg przestępującego nazad wracano. Tak więc tylko nawiasem nadsluchiwałem, upatrując, pogodnego czasu. Bo tak z panami trzeba zawsze. Jednak stawałem mu na oku, żeby mię widział. Kiwnął na mnie król, poszedł do okna i rzekł: „mówiłem z panem margrabią w tej sprawie dosyć rzetelnie, a on zaprzecza uroczyscie, żeby co był winien, i na stryja się odwołuje: „stryj brał, stryj niechaj płaci.“ Jam powiedział: „stryj brał, stryj ze mną kontrakt zrobił jako opiekun, ale na rzecz synowców, na spłacenie ich długów, o czém nauczy kontrakt.“ Ozwie się królowa: „obejdz się waść dobrze z panem margrabią.“ Ja odpowiadam na to: „mościa królowo! wasza królewska mość racz tak perswadować krzywdę czyniącemu, nie ukrzywdzonemu.“ Rzeczce znowu królowa: „ale postęпки złe.“ Król na to skrzywiwszy nos, uśmiechnął się trochę, i rzekł: „Marysienku! da waści za to asa.“ (Za to przymawiał, że to z nią karty grywał). Trochę się królowa zasępiła i poszła na stronę. Jak odeszła, aż król mówi: „daj jeno pokój; niechaj go okrzykną w poselskiej izbie, będzie on tańszy.“ Kazał mi tedy król być po obiedzie u siebie, a wtem wsiadł w karetę i pojechał do Karmelitów; tam też znowu poalterował się łajaniem kaznodziei Karmelity, który z ambony począł łajać na niego; jakoby mniej dbał o honor Boga, nie ujmując się za krzywdę jego. Przeciw stanowi zaś ślacheckiemu tém bardziej, wywodził ślactwo, coto jest ślaccie, jakie jego powołanie i który jest prawdziwy ślaccie. Przytoczył także przykład jeden tej osnowy: „Słyszałem jednego godnego podróżnego, dyszkurującego o swój podróży, kto kogo w czém przechodzi, a który mówił w ten sens: „„Byłem w Włoszech, widziałem biskupów, bo tam najwięcej biskupów; byłem w Niemczech, widziałem książąt, bo tam najwięcej książąt; byłem we Francyi, widziałem żołnierzy, bo tam najporządniejsze wojsko; byłem w Polsce, widziałem ślactę, bo tam najwięcej ślaccie.““ Ale, miła ślacto! przebaczysz mi, coć powiem; bardzo powaga twoja wypadła z kluby;

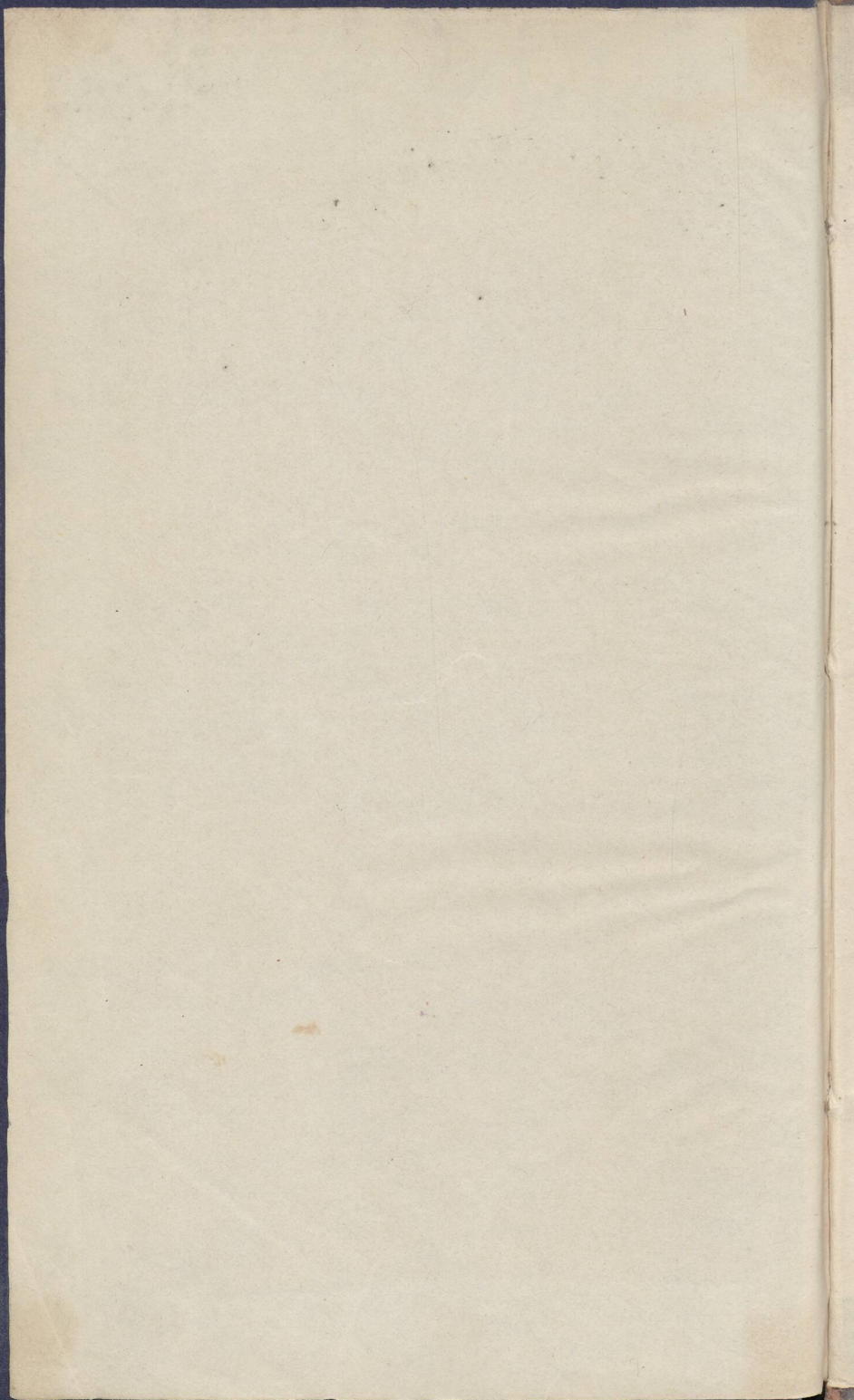
ta powaga, na którą owi przodkowie nasi tak zaszczytnie u narodów zarobili sobie, że ją jedną tylko pod słońcem na przykład (nie bez zazdrości) całemu światu wystawili, bo tacy byli Polacy!“ Kaznodzieja ten wywodził i inne dowody, a najbardziej gromił o to, że nie dbają o honor boski, bo też świeżo nastąpiła była sekta wszeteczna Łyszczyńskiego. Przychodzę tedy do króla popołudniu, jako mi kazał, aż on mówi: „poparłoby się w izbie poselskiej, ale się sejm zerwał; zahukaliby byli margrabię na śmierć twoi Mazurowie, bo ja już wiem, którzy się na niego ostrzyli, i my dopomogliśmy byli z boku; teraz już trzeba z inszej beczki zacząć. Jest tu już, słyszę, na zamku pan wojewoda sieradzki, który jest marszałkiem; każę go tu do siebie zawołać i zalecę mu tę sprawę, żeby nieodwłocznie i sprawiedliwie sądzona była.“ Kazał mi tedy poczekać, a po niego posłał. Przyszedł. Rzecz mu król: „Mospanie wojewodo, mamy tu człowieka skrzywdzonego (wskazał na mnie), ślachcica i żołnierza nam dawno znajomego, który, gnębiony od możnych, żąda sprawiedliwości. Ma bliską sprawę w rejestrze trybunalskim, zaczęm zalecam respektowi waści i sprawę i człowieka, jako dobrze zasłużonego w tej ojczyźnie, i proszę za nim, żeby był w krzywdzie swojej ukontentowany.“ Wojewoda rzekł: „Miłościwy królu! człowieka tego znam bardzo dobrze, bośmy razem w wojsku i na sejmikach wiele lat z sobą bywali; krzywdę też jego i sprawę wiem, żebym nie zachwiał sumnienia, choćbym osądził, inkwizycyi nie czytając; tymże bardziej, kiedy ta majestatu waszej królewskiej mości zachodzi powaga.“

(Na tém się kończą w rękopismie, który posiadam, Pamiętniki Paska.)



(1) (2) (3) (4) (5) (6) (7) (8) (9) (10) (11) (12) (13) (14) (15) (16) (17) (18) (19) (20) (21) (22) (23) (24) (25) (26) (27) (28) (29) (30) (31) (32) (33) (34) (35) (36) (37) (38) (39) (40) (41) (42) (43) (44) (45) (46) (47) (48) (49) (50) (51) (52) (53) (54) (55) (56) (57) (58) (59) (60) (61) (62) (63) (64) (65) (66) (67) (68) (69) (70) (71) (72) (73) (74) (75) (76) (77) (78) (79) (80) (81) (82) (83) (84) (85) (86) (87) (88) (89) (90) (91) (92) (93) (94) (95) (96) (97) (98) (99) (100)





BOOKKEEPER 2008



BG0486286

